

FELIKS NETZ (1939-2015)

www.slaskgtl.pl

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

20.
ROK
ZE SŁĄSKIEM

SŁASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

Nr 5 (234) • ROK XX • MAJ 2015

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

FELIKSOWI NETZOWI: Bajorowicz • Bereta • Dakowicz • Gleń
• Heska-Kwaśniewicz • Kabiesz • Kadłubek • Karwat • Kass • Kijonka
• Kuczkowski • Lyszczyna • Melecki • Suchanek • Rott • Turant

— „Rozmowa na 20. lecie”: prof. **MAREK S. SZCZEPAŃSKI**

— **MARIA DĘBICZ** – Karpacz. Przerwana rozmowa

— **KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ** – Listy z Dachau

— **GRAŻYNA BARBARA SZEWCZYK** – Odszedł
wielki szwedzki poeta Tomas Tranströmer

70 lat Filharmonii Śląskiej

— Kolekcja jubileuszowa: **FERDYNAND SZYPUŁA**



6 maja pod przewodnictwem rektora Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Marka Bojarskiego w Auli Leopoldyńskiej odbyła się uroczystość nadania tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Florianowi Śmiei. Podczas ceremonii wybitny hispanista, ceniony poeta, znakomity tłumacz i wydawca odebrał także Krzyż Komandorski Orderu Izabeli Katolickiej (Orden de Isabela la Católica) przyznany mu przez króla Hiszpanii, Filipa VI. Aktu dekoracji dokonał Agustín Núez Martínez, ambasador Królestwa Hiszpanii.



Fot. Dorota Szatters

Fot. ECC2015



W Katowicach, w dniach 20-22 kwietnia odbywała się siódma edycja Europejskiego Kongresu Gospodarczego, któremu patronował prezydent RP Bronisław Komorowski. W trzech dniach debat kongresowych udział wzięło ponad 6 tysięcy gości, w tym blisko 700 prelegentów. Odbyło się 100 sesji dyskusyjnych, spotkań biznesowych i rozmów. Akredytowanych zostało 500 dziennikarzy polskich i zagranicznych.

Gośćmi inauguracji EEC, która odbyła się w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach byli (na zdjęciu od lewej): prezydent Bronisław Komorowski, prezes Regionalnej Izby Gospodarczej Tadeusz Donocik, były wicepremier Janusz Steinhoff – przewodniczący Rady RIG w Katowicach oraz eurodeputowany prof. Jerzy Buzek, były przewodniczący Parlamentu Europejskiego. Współorganizatorem Europejskiego Kongresu Gospodarczego było Województwo Śląskie.

W katowickim kinie Kosmos odbył się pierwszy pokaz najnowszego filmu Lecha Majewskiego „Onirica. Psie Pole”. Film też był już pokazywany m.in. na festiwalach w Brazylii, Kanadzie, Batumi, Albanii, na Tajwanie, w Turcji i we Włoszech. Po tej podróży film trafią na ekrany polskich kin. Rozmowę Dagmary Drzazgi z reżyserem Lechem Majewskim o filmie „Onirica. Psie Pole” publikowaliśmy na łamach „Śląska” w październiku 2014 roku, tuż po włoskim sukcesie dzieła.



Fot. BP/Tomasz Żak

Fot. Jan Młenczuk



Ostatnia droga zmarłego 12 kwietnia 2015 roku śp. Feliksa Netza wiodła od archikatedry Chrystusa Króla na cmentarz przy ulicy Francuskiej. Żałobną mszę świętą celebrował oraz wygłosił pożegnalną homilię arcybiskup senior Damian Zimoń. Zmarłego żegnali również prezydent Katowic Marcin Krupa i red. Maciej Szczawiński z Radia Katowice. Redakcja to wydanie „Śląska” dedykuje śp. Feliksowi Netzowi – redaktorowi, który współtworzył to pismo i był z nami przez 20 lat, wspianemu poecie, prozaikowi, publicyście i tłumaczowi, a nade wszystko przyjacielowi.

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

WOJCIECH KASS

Kto

dla Feliksa Netza

kto teraz do mnie zdąży
lecz dąży po kryjomu
kto teraz po mnie woła
lecz woła nadaremnie
kto chwyta łuk Ogrodowej
kto cięciwę Grunwaldzkiej
kto nakłada strzałę światła
lecz trafić w cel nie może
kto dyszy, ale oddechu chwytać
nie umie, by dobiec do mnie
kto w zanadru trzyma prawdę
lecz nie dotrzymuje słowa
kto chce mnie ugościć
lecz przyjmuję krzywdziciela
kto chce przynieść miłość
lecz przenosi ją obok
kto biegnie jak oszalały
lecz nie dobiega do mnie
kto jest stróżem dobrej nowiny
a wieszczy widmo klęski
kto przesyła szacunek
lecz otrzymuję pogardę
kto pochyla się w pas
lecz nóż wbija w plecy
kto chce mi się przyśnić
lecz śni się komu innemu
kto śni moją sekretną bajkę
lecz snu tego nie zapamiętuje
kto czyta mi ten wiersz
lecz kradnie obolałe serce
kto darowuje mi ostanie słowo
lecz nie poznaje pierwszego
kto głaszcze mnie w trumnie
lecz życzy mi umierania

16.03.2015

Wojciech Kass (ur. 1.09.1964 r. w Gdyni) – poeta i esei-
sta. Opublikował tomiki: *Do światła* (1999), *Jeleń Thor-*
waldsena (2000) – za które otrzymał nagrodę im. Kazimie-
ry Iłakowiczówny i nagrodę Stowarzyszenia Literackiego
w Suwałkach, *Prószenie i pranie* (2002), *10 Gedichte aus*
Masurenland (2003, wybór wierszy w języku polskim i nie-
mieckim), *Przyływ cieni* (2004), *Gwiazda Głóg* (2005),
Pieśń miłości, pieśń doświadczenia (z Krzysztofem Kucz-
kowskim) (2006), *Wiry i sny* (2008) oraz *41* (2010). W 2012
ukazała się publikacja pt. *Czterdzieści jeden. Wiersze i glo-*
sy, zawierająca pieśni z *41*, dziennik poety z okresu ich
pisania, komentarze krytyków i historyków literatury o tym
tomie oraz wiersze nowe. W 2014 kolejny tomik *Ba!* Jest
autorem opracowania o związkach Czesława Miłosza i je-
go krewnych z Sopotem *Aj, moi dawno umarli* (1996) oraz
książki eseistycznej *Pęknięte struny pełni. Wokół Konstan-*
tego Ildefonsa Gałczyńskiego (2004). Należy do Stowa-
rzyszenia Pisarzy Polskich i Pen Clubu. Był stypendystą
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego
(2002, 2008). Wchodzi w skład redakcji dwumiesięcz-
nika literackiego „Topos”. Uhonorowany nagrodą „Nowej
Okolicy Poetów” za dorobek poetycki (2004), brązowym
medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis” (2007),
„Sopocką muzą” – nagrodą prezydenta Sopotu (2011). Je-
go wiersze tłumaczone są na język niemiecki, angielski,
włoski, francuski, hiszpański, litewski, czeski, słoweński,
serbski, chorwacki, bułgarski, rosyjski. Od 1997 r. pracu-
je w Muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego
w Praniu na Mazurach.

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNY

prezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel. 32 253-62-21
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bs1@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

DARIUSZ ROTT
Redaktor naczelny

WIESŁAWA KONOPELSKA
Zastępca redaktora naczelnego,
Sekretarz redakcji

KATARZYNA BERETA
Dział krytyki literackiej
portal www.slaskgtl.pl

MARIA SZTUKA
Dział kultury

BOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
Dział graficzny

IRENA FALKIN-SIBIGA
Korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel./fax 32 206-82-71
e-mail: redakcjask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

PUBLICYSTYKA

6. *Krysztyna Heska-Kwaśniewicz* ROZMOWY Z FELKIEM
8. *Zbigniew Kadłubek* ŻYCIE TO TŁUMACZYĆ
12. *Jacek Lyszczyński* CZYTAJĄC TŁUMACZENIA FELIKSA NETZA
14. *Tadeusz Kijonka* FELIKS NETZ Z KATOWIC (spisane z pamięci)
20. *Katarzyna Bereta* FELIKS NETZ W „ŚLĄSKU”
22. *Krzysztof Karwat* OBCY Z FELSÓ-SZILĘZIA
23. *Edward Kabiesz* FILMOWA „KROMKA CHLEBA”
24. *Maciej Meleki* CAŁKOWITA OBECNOŚĆ
25. *Witold Turant* DROGI FELKU...
26. *Karol Bajorowicz* UWAGA! SŁUCHAĆ...
32. *Maria Dębicz* KARPACZ. PRZERWANA ROZMOWA
36. „ROZMÓWA NA 20. LECIE”:
Rozmowa z prof. Markiem S. Szczepańskim BURMISTRZOWIE POWINNI RZĄDZIĆ ŚWIATEM
38. *Henryk Szczepański* KATOWICE ZA SCHNEIDERA (I)
42. *Krysztyna Heska-Kwaśniewicz, Lucyna Sadzikowska* GUSTAWA MORCINKA LISTY Z DACHAU
46. *Grażyna Barbara Szewczyk* ODSZEDŁ WIELKI SZWEDZKI POETA
TOMAS TRANSTRÖMER, LAUREAT NAGRODY NOBLA
53. *Karol Rafał Buła* PAMIĘCI „KAROLA Z ATMY”
55. *Dariusz Rott* STEFAN ŚLĄZAK – WIELKA POSTAĆ ŻYCIA MUZYCZNEGO NA ŚLĄSKU I W ZAGŁĘBIU
56. *Wiesława Konopelska* „SIEDMDZIESIĄTKA” ŚLĄSKICH FILHARMONIKÓW
58. XXV LAT RESTYTUCJI SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO
Krzysztof Kosiński GADANIE O NICZYM?

FELIETONY

35. Z MOICH GÓREK
Witold Turant KIMKOLWIEK JESTEŚ..., CZYLI MUSZTARDA PO OBIEDZIE
41. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYŚZA
Marek S. Szczepański WOJEWÓDZTWO ŚLĄSKIE I JEGO IKONY: TRWAŁOŚĆ I PRZEMIJANIE?
54. PORADNIA JĘZYKOWA
Katarzyna Wyrwas WSIE JAJA
61. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŹNA
Jan Miodek LUFTNAĆ SIĘ
75. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek GOŚCIE Z WARSZAWY W NOSPR; VI FESTIWAL PRAWYKONAŃ;
RECITAL PAWŁA WAKARECEGO
83. *Wojtek Łuka* PRZY SŁOWIA „ŚLĄSKA”
84. Z ZAPISKÓW EMERYTA
Jarosław Starzyk JESTEŚMY MĄDRZY?

PLASTYKA

48. *Wiesława Konopelska* SIŁA CZTERECH CZYLI „KOŃ TROJAŃSKI”
49. KOŃ TROJAŃSKI: BEDNAREK, BLUKACZ, NALIWAJKO, WALCZAK, BWA Katowice
50. WIKTOR OSTRZOLEK. Witraże z kościoła pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Katowicach
51. ks. *Henryk Pyka* WIKTOR OSTRZOLEK – ARTYSTA WPISANY W ŚLĄSKIE SACRUM
84. KOLEKCJA JUBILEUSZOWA „ŚLĄSKA”: FERDYNAND SZYPUŁA

TEATR

64. *Witold Kociński* DUCHY GÓRA!
65. *Joanna Warońska* Z BLISKA I Z DALEKA
66. *Katarzyna Bereta* W HOLDZIE PROFESOROWI JÓZEFOWI ŚWIDROWI

KSIAŻKI

69. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH
70. *Ryszard Bednarczyk* WIERSZE JAK UMIERAJĄCE SŁONIE
71. *Elżbieta Dutka* Z OPOŁA NA KRESY I Z POWROTEM
72. *Marcin Wieczorek* DYPLOMACI SASCY
73. *Witold Turant* MAKRYNA CIERPI ZA MILIONY

POEZJA I PROZA

1. WIERSZ NA OTWARCIE
Wojciech Kass KTO
7. *Krzysztof Kuczkowski* WIERSZ PIĄTY I SZÓSTY
11. *Przemysław Dakowicz* CZESŁAW MIŁOSZ I JERZY ANDRZEJEWSKI PISZĄ
SCENARIUSZ I WYGLĄDAJĄ PRZEZ OKNO
13. *Adrian Gień* TŁUMACZ ZGODY
27. *Jerzy Suchanek* CZWARTY DZIEŃ
28. *Feliks Netz* POSŁOWIE (fragmenty Posłowania do nowego wydania „Eugeniusza Oniegina” A. Puszkina)

EKOLOGIA

62. *Jolanta Matiakowska* CZEKI DLA... ZIEMI

STAŁE RUBRYKI

4. ŚLĄSKI MIESIĄC
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE. TRZY DNI EUROPEJSKIEGO KONGRESU GOSPODARCZEGO
68. OPOLSKIE
74. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Beata Wardęga BIBLIOTEKA OTWARTA NA ZMIANY

NOTATNIKI KULTURALNE

76. *Wiesława Konopelska* KATOWICE
78. *Jan Picheta* BIELSKO
79. *Joanna Kotkowska* CZĘSTOCHOWA
80. *Janusz Wójcik* OPOLE
81. *Maria Sztuka* ZAGŁĘBIE
82. *Jacek Sikora* ZAOLZIE

NA OKŁADCE:

Feliks Netz w Leśniczówce Pranie, 29 czerwca 2013 roku.
Fotografia: Lukasz Borkowski

Drodzy Czytelnicy

W 1989 roku nakładem Wydawnictwa „Śląsk” ukazał się *Śląski almanach poetycki*. Swoje utwory drukowali w nim: Krystian Gałuszka, Jacek Golonka, Marian Kisiel, Bogda Prejs, Beata Rokosz i wielu innych. Wśród nich znalazłem się i ja. Redakcji antologii podjęli się Feliks Netz i Maciej Szczawiński, a wstęp napisał Tadeusz Kijonka. Pamiętam długie godziny, które spędziliśmy z redaktorem Netzem dokonując wyboru moich wierszy. Był niezwykle skupiony i bardzo surowy w swoich ocenach, ale w końcu zaproponował do druku dwa teksty. Dwadzieścia pięć lat później wielkim zaszczytem dla mnie było powołać Feliksa Netza na kierownika działu poezji i prozy miesięcznika „Śląsk” i współpracować z nim. Planował napisanie do czerwcowego numeru tekstu syntetycznego o obecności literatury w naszym miesięczniku na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat. Objęliśmy niedawno patronat prasowy nad Jego bibliofilskim dwujęzycznym (hiszpańskim i polskim) tomikiem translatorskim zawierającym przekład jednego z poematów Federico Garcii Lorki, którego wydawcą był Instytut Mikołowski. I gdy już wydawało się, że Feliks Netz zaczyna remisować ze swoją chorobą, przysłała jakże smutna wiadomość... Wspominają Go w tym numerze m.in. Zbigniew Kadłubek, Tadeusz Kijonka, Krzysztof Karwat i Witold Turant...

Kilka miesięcy temu zaproponowałem wszystkim członkom naszego zespołu redakcyjnego pisanie „rotacyjnego” wstępniaka, zwanego z angielska „edytorialem”. Sporym zainteresowaniem Czytelników cieszył się zwłaszcza nietypowy tekst redakcyjny zaproponowany przez Wojciecha Łukę w formie komiksu. Postanowiliśmy więc wprowadzić nową stałą rubrykę – felieton komiksowy autorstwa Wojciecha Łuki pt. *Przysłowia «Śląska»*. W kolekcji jubileuszowej prezentujemy dzieła Ferdynanda Szypuły, przybliżamy także twórczość witrażową Wiktora Ostrzołka. Tym razem naszym rozmówcą na dwudziestolecie jest profesor Marek Szczepański, którego chyba nikomu z naszych Czytelników przedstawiać nie trzeba. Ponadto piszemy o jubileuszu siedemdziesięciolecia Filharmonii Śląskiej, a profesor Grażyna Barbara Szewczyk wspomina zmarłego 26 marca 2015 r. noblistę Tomasa Tranströmera. Jeszcze tak niedawno cieszyliśmy się z doktoratu honorowego nadanego mu przez Uniwersytet Śląski w Katowicach...

Zwracam uwagę zwłaszcza na dwie prawdziwe perły tego numeru: artykuł Marii Dębicz o Tadeuszu Różewiczu (w rocznicę śmierci Poety) oraz nieznane, niedawno przetłumaczone z niemieckiego listy Gustawa Morcinka z Dachau (pisze o nich profesor Krystyna Heska-Kwaśniewicz).

Na zakończenie muszę dodać, że moja misja jako redaktora naczelnego „Śląska” wkrótce – po trzynastu miesiącach – wygaśnie. To nie pierwsza zmiana redaktora naczelnego w okresie od stycznia 2013 roku. Ten ostatni rok to fascynująca przygoda. Pisma nie udało się zrewolucjonizować, nie to było jednak moim celem, ale udało się je utrwalić na rynku w roku dwudziestolecia miesięcznika, utrzymując – mimo różnorodnych niesprzyjających okoliczności – wysokie standardy dziennikarskie. I za to wszystkim, którzy mieli w tym swój wkład – oczywiście również krytyczny – a także naszym Redaktorom i Współpracownikom oraz szacownym Czytelnikom – serdecznie dziękuję.

■ **DOKŁADNIE** dekadę temu, 2 kwietnia 2005 roku zmarł Papież Jan Paweł II. Była to poruszająca wszystkich chwila. Tłumy w milczeniu łączyły się z cierpiącym papieżem. Emocje i żar przypominały liczne dodatki specjalne, programy telewizyjne i nabożeństwa.

■ **RADNI** powiatu cieszyńskiego nie zgodzili się na upamiętnienie Herberta Czai. W uzasadnieniu uchwały napisano, iż „Rada Powiatu Cieszyńskiego wyraża jednoznaczny, negatywną opinię w sprawie zamiaru umieszczenia na budynku Zespołu Szkół Specjalnych w Skoczynie tablicy go upamiętniającej”. Podkreślono także, że wszelkie „próby

gloryfikowania osób zaangażowanych w działalność antypolską wzbudzają nasz sprzeciw oraz stanowią przykład zakłamywania historii”.

■ **SILESIA** NISTYKA coraz bliżej startu. W październiku ruszają studia śląskie, pierwszy w Polsce kierunek oferujący wiedzę o regionie, której zdobycie będzie nagradzane tytułem magistra. Zgodę na utworzenie silesianistyki – w formule stacjonarnej i zaocznej – wydał Senat Uniwersytetu Śląskiego.

■ **KONIEC** darmowego parkowania w centrum Gliwic. Pojawiły się parkomaty na ulicach. Już w lipcu za postawienie auta np. na gliwickiej starówce przyjdzie zapłacić 2,80 zł za pierwszą godzinę. A potem jeszcze więcej.

■ **SZPITAL** Miejski w Sosnowcu będzie jak nowy. Zostanie tu zainwestowanych 30 mln zł. Powstanie za to m.in. nowy blok operacyjny i oddział intensywnej terapii.

■ **WSPOMNIENIA** są bezcenne. Dlatego ważne postacie z naszego regionu dzielą się przed kamerami swoimi wspomnieniami. Zbiera je FilMOTEKA Śląskich Portretów Mówionych. Powstaje w ten sposób bezcenny zapis dziejów. To arcyciekawy projekt Biblioteki Śląskiej w Katowicach. Jego celem jest uwiecznienie świadków dziejów regionu, ludzi, którzy „noszą w sobie bezcenną, wyjątkową historię czasów i miejsc, z którymi byli związani w ciągu swojego życia”. Z filmowych relacji powstaje multimedialna kolekcja licząca obecnie ponad 40 portretów.

■ **PORAŻAJĄCE** są ustalenia specjalnej, powypadkowej komisji Wyższego Urzędu Górniczego, dotyczące katastrofy z 6 października 2014 roku, jaka miała miejsce w kopalni „Wesoła” w Mysłowicach. Lamano tu górnicze przepisy i podobnie jak przed laty w Halembie, nie wyprawiano górników, kiedy stężenie metanu przekraczało dopuszczalne 2 proc. Zi-

gnorowano też pożar endogeniczny, który powstał na dzień przed tragedią. W rezultacie tych zaniedbań doszło do tragedii – pięciu górników zmarło, a 25 zostało rannych, zaś kolejnych dwóch nadal przebywa w szpitalach.

■ **TIR** nagle zjechał z drogi i uderzył w pobliski dom. Na prostej drodze. Ten wypadek, który mógł zdarzyć się wszędzie – miał miejsce w Czechowicach w środę 8 kwietnia tuż po północy. W ścianę domu pani Jadwigi Sokół uderzył duży, ciężarowy samochód – renault, przewożący przesyłki kurierskie taranując po drodze bramę, płot i ogródek. Było o krok od tragedii.

■ **BIELIZNA** dla Afryki. Parafia ewangelicka w Szczyrku-Salmopolu włącza się w pomoc dla Burkina Faso, wspierając projekt Centrum Misji i Ewangelizacji Kościoła Ewangelickiego „Sekretna Misja”. Praktyczni ewangelicy zachęcają jak największą liczbę Polek do kupna i podarowania kobietom z Afryki bielizny. Uwaga! Ważne, by była to bielizna z bawełny lub innej naturalnej tkaniny, bez sztucznych dodatków. Zbiórka trwa do 27 maja.

■ **WEZEL** Murkowska w Katowicach co jakiś czas się zapętla i w efekcie tworzy megakorek (albo megazator) w samym sercu śląsko-dąbrowskiej aglomeracji. Przypomnijmy, że codziennie jeździ tędy 100 tys. aut. Każdy remont w okolicach węzła Murkowska oznacza paraliż nie tylko Katowic, ale i aglomeracji. Tłoczne bywają zwłaszcza piątkowe popołudnia, kiedy wszystkim się śpieszy do domów.

■ **ZMARŁ** nasz Przyjaciel, Bliski nam Człowiek, red. Feliks Netz (rocznik 1939), znany pisarz, poeta i tłumacz, od lat związany z redakcją miesięcznika „Śląsk”, a także innymi śląskimi mediami (m.in. Radiem Katowice, tygodnikiem „Panorama”). Odszedł 12 kwietnia, pożegnaliśmy Go 16 kwietnia br. na cmentarzu przy ul. Francuskiej w Katowicach.

■ **FACEBOOK** musi być po śląsku. W połowie kwietnia uważało tak ponad cztery tysiące osób. Tytuł Ślązaków poparło apel o śląską wersję językową Facebooka. Pracowników Marka Zuckerberga, twórcy serwisu, ma przekonać 20 tysięcy wysłanych maili. Czy nabiera się aż tyle? Kto tymu prraje niech pisze...

■ **WSKOCZYŁ** na dach samochodu. Przez prawie kilometr jechał, trzymając się relingów. Do środka wozu dostał się przez tylne drzwi, zaciągnął ręczny hamulec, w końcu wyjął kluczyki ze stacyjki. I złapał złodzieja. Takie sceny rozegrały się w Pawłowicach. Na dachu był 35-letni Jacek Biernacki z Jarząbkowic, ratownik z kopalni „Pniówek”, któremu skradziono auto na stacji benzynowej, bo nieopatrznie zostawił kluczyk w stacyjce.

■ **TELEWIZJA** z Kataru, Al Jazeera, nakręciła – zdaniem wielu – uproszczony, przerysowany film o ginącym mieście, śląskim Bytomiu. Ale cóż więcej da się powiedzieć w 2,5 minuty? Zresztą to prawda. Młodzi ludzie stąd uciekają za granicę, starzy nie mają za co żyć, dookoła bieda, pogórnice ruiny i puste place zabaw. Przed Bytomiem nie ma świetlanej przyszłości.

■ **WESOŁE** Miasteczko będzie weselsze. Tak obiecują nowi właściciele ze

Słowacji, spółka Tatry Mountain Resorts, która w ciągu 5 lat zainwestuje w chorzowski przybytek 117 mln zł.

■ **GITARY** mają swoje muzeum i to w Katowicach. Przy ul. Krzywiej powstało prywatne Muzeum Historii Gitary. Jest tu 60 czynnych (bo można na nich zagrać) eksponatów. Współwłaścicielem muzeum jest Tomasz Cierpisz. Muzeum można zwiedzać od wtorku do niedzieli od 16 do 20. Wejściówki są po 7 i 10 zł.

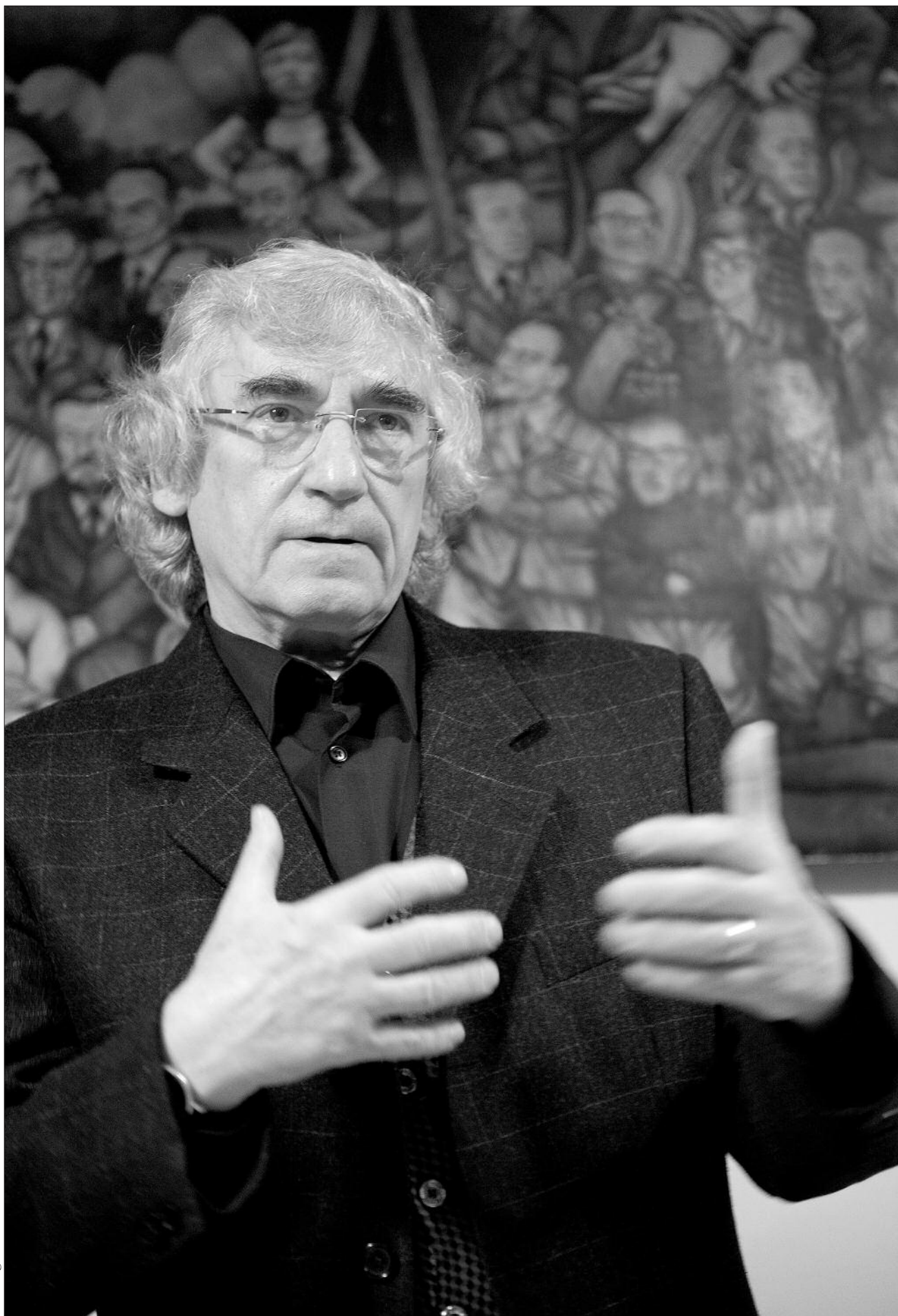
■ **TAPNIĘCIE**, jakie miało miejsce w kopalni Ruch Śląsk w Rudzie Śląskiej, w sobotę 18 kwietnia tuż po północy na głębokości 1080 metrów określono jako jedno z najsilniejszych w naszym regionie w ostatnich latach. Miało siłę ponad 4 stopni w skali Richtera. Fachowcy mówią nawet o „niewielkim trzęsieniu ziemi”, bo energia mu towarzysząca była odczuwalna w promieniu 20-30 km. W wyniku tapnięcia pod ziemią zostało uwięzionych dwóch górników. Do początku maja trwała dramatyczna akcja ratunkowa.

■ **NOWYM** szefem Jastrzębskiej Spółki Węglowej został Edward Szłek. Rada Nadzorcza węglowego giganta poinformowała 20 kwietnia wieczorem o swoim nogołośnym wyborze. Nowy szef spółki, 64-letni Edward Szłek, dotychczas prezesował spółce JSW-KOKS SA. Związkowcy podkreślają, że to człowiek Zagórowskiego, poprzedniego, znieawidzonego przez nich prezesa, ale – zaznaczają – dają mu szansę.

■ **KONFERENCJA** o Tragedii Górnośląskiej odbyła się 22 kwietnia w Sejmie RP. O dramatycznych wydarzeniach, w wyniku których część Ślązaków wywieziono w 1945 roku na Wschód wielu parlamentarzystów usłyszało po raz pierwszy w życiu. Nic dziwnego, bo to wciąż jedna z białych plam, wiedza nieobecna w podręcznikach historii. Pomyśłodawczynią spotkania była Danuta Pietraszewska, posłanka PO. Patronat nad konferencją i towarzyszącą jej wystawą objął marszałek Sejmu, Radosław Sikorski.

■ **ŚLĄSKIE** Davos, tak nazywa się Europejski Kongres Gospodarczy, jaki gości co roku w Katowicach od siedmiu już lat. W tym roku obrady toczyły się w nowoczesnym Centrum Kongresowym, a jeśli chodzi o statystyki – to nie licząc długości korków – kongres trwał trzy dni (od 20 do 22 kwietnia), wzięło w nim udział 7500 gości, przeprowadzono 110 debat – nie licząc wydarzeń towarzyszących.

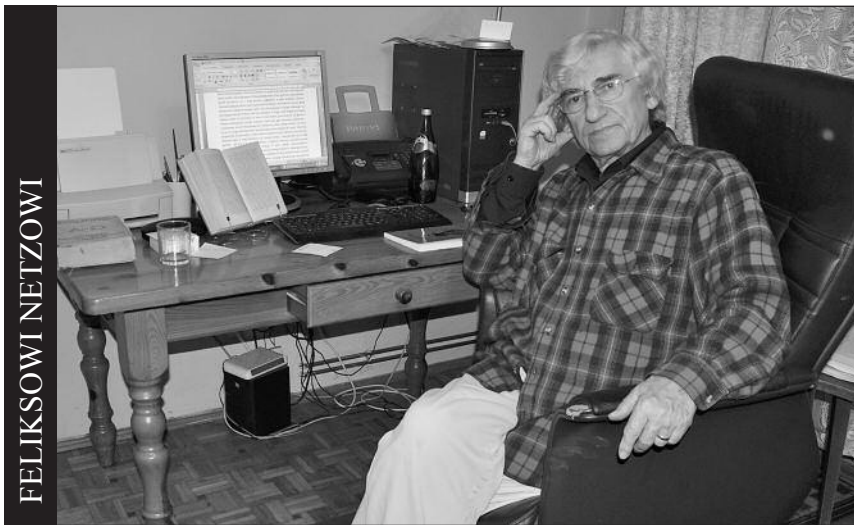
■ **OGROMNYM** powodzeniem cieszy się przedstawienie „Czarny Ogród” przeniesione na deski Teatru Śląskiego (premiera 17 kwietnia). Monumentalną, 500-stronicową publikację o dwóch dzielnicach Katowic – Nikiszowcu i Giszowcu stworzyła Małgorzata Szejnert. Adaptacja sceniczna, jak podkreślają twórcy (m.in. reżyser Jacek Głomb, scenariusz Krzysztof Kopka), nie jest spektaklem wyłącznie o historii Giszowca i Nikiszowca, lecz o ludziach tam mieszkających. W obsadzie – prawie wszyscy aktorzy Teatru Śląskiego, studenci teatralnego studium aktorskiego przy teatrze, dzieci i statyści. I niezawodny Bernard Krawczyk.



Fot. Zbigniew Sawicz

FELIKSOWI NETZOWI

SLASK



Fot. Jan Mientkuk

skrótowo). To piękna karta w Twoim życiu, nie tylko naukowym!

Ściskam Cię mocno!
Felek

W wymiarze osobistym i twórczym Feliks Netz doszedł chyba do pełni, choć chciał jeszcze wydać powieść i kilka tłumaczeń, choć był realistą, to przecież czuło się dochodzenie do jakichś granic. Przemysław Dakowicz nazwał ostatni z jego tomów poetyckich *Krzyk sowy* wędrówką „od grobu do grobu” („Topos” 2014 nr 5), pełną poetyckiej maestrii, zawierającą trudne pytanie o prawdę i źródło naszej wewnętrznej siły. Już wtedy Felek chyba znał prawdę, o sobie, o naszych dziejach, o porządku świata. Gdy mailowaliśmy na temat „Toposu”, w którym wywiad z Netzem prowadzony jest przez Wojciecha Kassa napisał: „Wyślę Ci najnowszy numer TOPO-Su, w którym jest blok materiałów poświęconych mnie, w tym długa, 30 stron wydruku, rozmowa ze mną, której mi już pogratulował Dariusz Rott, a z Sopotu dzwonił Zbyszek Jankowski: już w połowie lektury owej rozmowy musiał zadzwonić do mnie „porażony prawdą, niezależnością myśli i sądów”, jakie wypowiadał! Rzeczywiście, to, tam mówię, mówię w poczuciu pełnej wewnętrznej wolności.” (oktober 27 2014). Takiego poczucia nie osiąga się „bezkarnie”, za to się płaci najwyższą cenę, któż ma taką odwagę? Dobrze określił tę rozmowę, do bólu szczerą Zbigniew Jankowski, ona poraża, czytana wczoraj i dzisiaj wciąż boli, gniewem na siebie, na nas, na naszą historię i to, co z nią robimy (raczej – nie robimy!). Felek na tę drogę wszedł w stanie wojennym. Słynny wiersz *Dzień siódmy* otwierał nowy rozdział w jego życiu i pisaniu. Wtedy dostrzegł, że śmierć może być pożywna, jak kromka chleba. Ta droga doprowadziła do wiersza *Śmierć w Kutach* (tam zginął od kuli sowieckiego żołnierza Tadeusza Dołęga-Mostowicz), zbudowanego na motywie symbolu-kłucza szosy zaleszczyckiej i topiki „żagwiącego września” – bolesnego i historiozoficznego, pokazującego spojrzenie z oddali, ponad historią i jej pokrętną logiką. Człowieka, który już wie, także o tym, co dzisiaj jest w naszej codzienności, dokąd zmierzamy „zaleszczycką szosą”.

Zarliwa modlitwa, codzienna komunika święta i jego trudne zmaganie się z sobą (ks. prof. Jerzy Szymik mógłby coś o tym powiedzieć). I wiersze własne i cudze, rozrachunek i testament.

Potem maile coraz krótsze, czasem do bólu osobiste, jeszcze jakieś rozmowy, w grudniu po świętach trochę żartów. I trwożliwe komunikaty, wciąż więcej milczenia

Od niedzieli (12 kwietnia) już słyszę tylko wiersz Juliana Ejsmonda:

Gdy przyjdzie czas odlotu do krainy innej, to odleć w porywie szczęścia i natchnienia jak ptak, co uciekając z ziemi niegościnniej ziemi na niebo zamienia...

KRYSTYNA
HESKA-KWAŚNIEWICZ

Rozmowy z Felkiem

Tuesday, June 17, 2014 8:35

Felku Kochany, jak Twoje sprawy? Czy zjawisz się w radiu na promocji sonetów *Tadeusza*? Tak Cię dawno nie widziałam, tak często myślę o latach naszej wspólnej przyjacielskiej drogi, czy mógłbyś mi przysłać jakiś swój nowy wiersz? Potrzebuję chwili piękna! Wczoraj zrobiła doktorat moja 21 doktorantka, teraz taka to moja drużyna, bo wciąż czuję się drużynową. Serdeczności – k.

Wednesday, June 18, 2014 11:28

Droga i Miła Krystyno,

Jestem po pierwszym cyklu nowej fazy chemioterapii, czy się okaże skuteczna, zobaczymy... 27 wracam na kilka dni do Kliniki na drugi cykl, jest to równie wyczerpujące jak tamta wcześniejsza faza. Jestem głęboko wdzięczny za wszystkie myśli poświęcone mojemu zdrowiu, także naszej półwiekowej przyjaźni, wreszcie temu, co piszesz! Proszę o wiersz, ślę zatem z ochotą tekst, napisany, jak sporo innych, na Reymonta... A może jeszcze i ten drugi, „Ojciec” (ukazuje się w „Twórczości”, jesienią z *Barabasem* i *Łazarzem* oraz *Drogą Krzyżową*).

Mam nadzieję, że będę czuł się na tyle dobrze, by przyjść na promocję *Tadeusza*. Mam szczerzy zamiar!

Tak więc do rychłego!
Ściskam Cię mocno!

Felek

Rozmowy z Felkiem, a potem już tylko maile; podobno ważniejsza od maili jest żywa rozmowa z Drugim? A gdzieżbym szukała teraz tamtych myśli i słów! Wstrząsające, telegraficzne i pełne treści, dramatyzmu. Jest ich tak dużo, tyle że zbierałoby się na książkę-rozmowę. Ten wiersz wtedy przysłany, *Dwie śmierci* porażał wyobraźnię. Nawracający motyw jego poezji i prozy, rozdarcie między niemieckością (ojciec) i polskością (matka) tu zyskiwał wymiar ostateczny, ale zarazem codzienny, domowy:

Dwie śmierci były w moim domu;
po mieczu: der Tod – des Schlafes

Bruder,

po kądzieli: śmierć – siostra snu.

[...]

w holu mojego domu, tam gdzie zwykle
wieszam kurtkę i wełnianą czapkę,

wiszą
dwie kosy, czasem słyszę jak w nocy
jedno

ostrze lekko uderzy o drugie,
jakby mówiły: nie śpij nazbyt spokojnie,
jesteśmy,
czuwamy.

Taki hall jest w każdym domu, wieszamy tam płaszcze i kurtki, ale teraz, gdy zapada ciemność zaczynamy się wsluchiwać, czy nasze kosy też już dzwonią? Jakże trzeba być mężnym, by ten dźwięk nazwać i opisać! Ile było w jego dniach przedostatnich takich nocy, takiego słuchania? Jak tu spać, gdy słychać taki brzęk?

Felek bardzo świadomie zmagał się z chorobą, jego wiersze i rozmowy z nim były pełne myśli o odejściu (*bojaźń i drżenie. Choroba na śmierć*). Ale był także wychylony ku życiu, miał jeszcze ambitne plany nowych przekładów i nowych tekstów. Każda wiadomość od niego niosła informację o tym, co jeszcze zrobi. Kiedyś mi się zwierzył, że ostatnią dziesiątkę lat (a może jej połowę?) poświęcił na pisanie. Nie poświęcił już, i nie przeżyje jubileuszu, przygotowywanego przez żonę Beatę wraz z Urzędem Miasta Katowice. Ale w tych „rozmowach” wciąż słychać jego głos:

Sunday December 07 2014:

„Czekam na listopadowo-grudniowy TOPOS, do którego będzie dołączony mój tom „Krzyk sowy”. Jeszcze nie mam dość sił, by wrócić do mojej prozy, ale całe partie układam sobie w głowie. Jeśli wrócą siły, zapiszę to, co wymyśliłem do tej pory. Wiele mam już w komputerze, na szczęście.

[Z] Satysfakcją i podziwem obserwuję jak walczysz o prawdziwą narrację historyczną o wieży spadochronowej (mówiąc

Wiersz piąty i szósty

dla F.N.

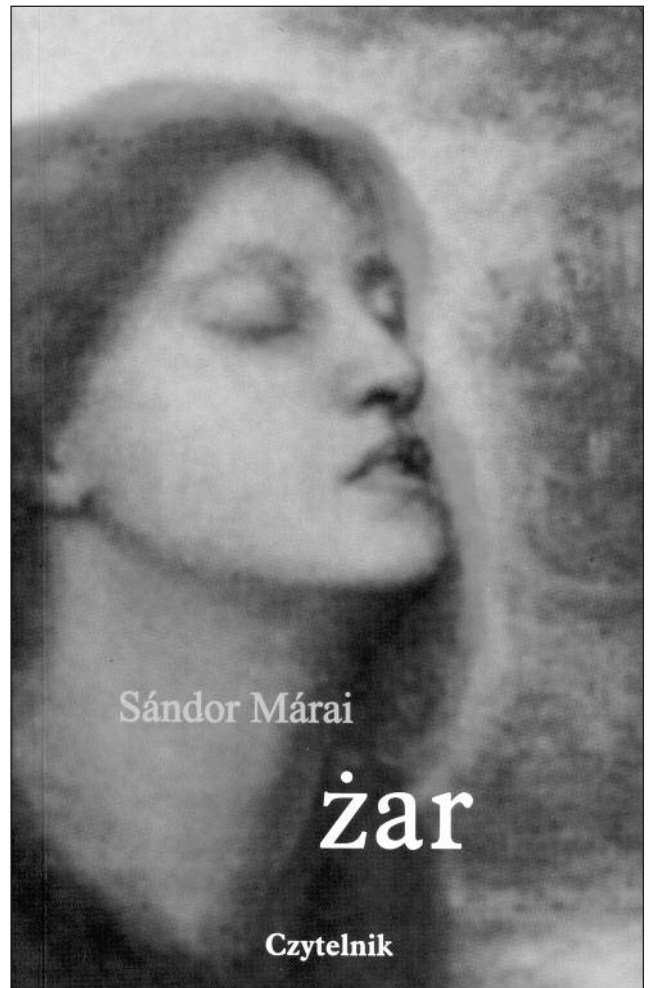
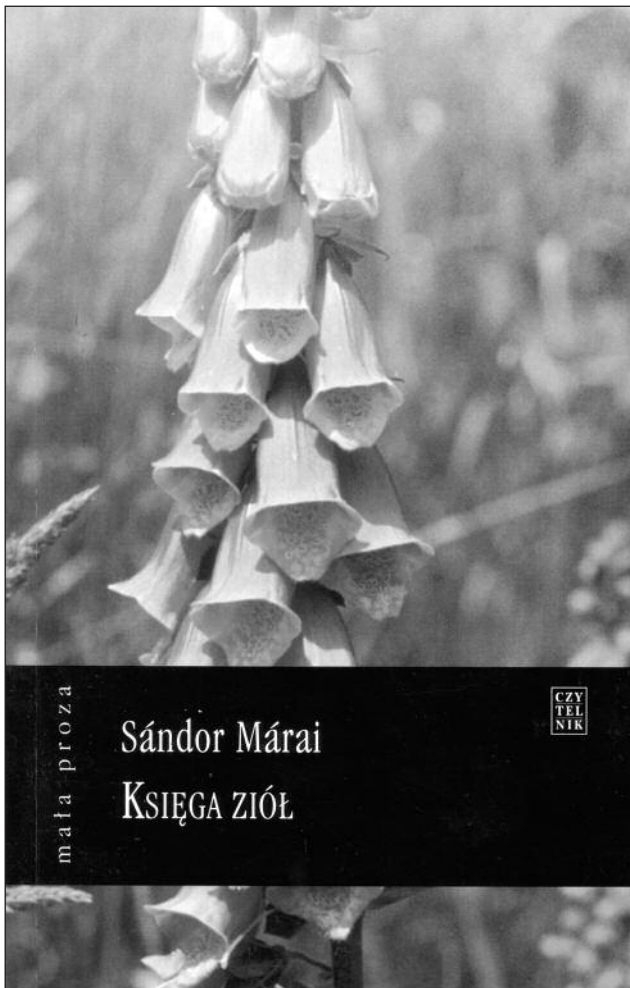
[piąty]

– Od pięciu, sześciu wierszy zaczyna się książka, mówi Netz. – A cztery?
A cztery, dopytuję, bo cztery nowe mam.
– Cztery to za mało, ani rytmu, ani formy, ani głosu, bo ten ginie w monotonnym szumie wieczności pośród innych głosów i form. Chodzi o właściwy ton, przecucie całości. Przy czterech nie można mieć przecucia całości. Piąty i szósty to co innego, są jak ambony na skraju lasu. Widać z nich całą okolicę. Wiosną na podestach drą się sójki, zimą dzikie psy szorują bokami o belki rusztowań. Tropią ślady lisów i borsuków. Poeta jest tropicielem. Drży z radości, kiedy lampa umysłu oświetla drogę pięciu, sześciu najbliższym słowom. – Cztery to za mało, powtarza Netz, i kiedy jeszcze mówi, z krajobrazu znikają ambony, las i jego skraj, kambryjski śnieg zasypuje ślady zwierząt. Droga ginie w domysłach, gaśnie lampa. Jest noc, a może dzień.

[szósty]

Nie zapominamy. Nie wybaczymy.
Spodziewajcie się nas. Siedzimy przed leśniczówką z widokiem na jezioro zachodzące pleśnią mgły. Spodziewamy się ich. Pliszka maszeruje po kalenicy od jednego krańca dachu do drugiego. Jest suwakiem zamka błyskawicznego, który rozdziela widziałem od zobaczyłem, niedokonane od dokonanego. Obydwa jednakowo realne. Jest dzień, a może noc.

Krajkowo/Orłowo, czerwiec/lipiec 2012



FELIKSOWI
NETZOWI

Życie to tłumaczyć

ZBIGNIEW
KADŁUBEK

Tłumacz jest praktykiem rozumienia i artystą sztuki pośredniczenia, łączącej rzeczy i epoki w taki sposób, że trudno to nawet sobie wyobrazić. Świat dawno by się już rozpadł, uwierzcie mi, gdyby nie wysiłki tłumaczy, żeby integrować, scalać i przekładać. Integrowacze-tłumacze są Atlasami podtrzymującymi na swych filologicznych mocnych plecach cały ten świat tak strasznie ciężki od głupoty. I są tłumacze szafarzami tajemnic. Bez tajemnic, tak samo jak bez tłumaczy dawno byłoby już po świecie. Jak to jest z tajemnicą czasu i tak zwanym przypadkowym zbiegiem okoliczności, rozmyślam...

Moja krakowsko-węgierska koleżanka i tłumaczka Noémi Petneki 12 kwietnia bieżącego roku napisała na swoim blogu, nazwanym ładnie „Krakkó blog”, o Feliksie Netzu. Dała do tego tekstu wiersz przywołujący ducha Ady’ego i Attili Józsefa. Mówi mi Noémi Petneki, że chciała uhonorować tłumacza literackiego, ponieważ dobrzy tłumacze ofiarują ciało i krew tłumaczonemu autorowi, wykonują najcięższą bodajże

pracę umysłową, aby wydawało się, że jego językiem ojczystym jest język docelowy tłumaczenia. Chodziło o wiersz na Dzień Poezji. Na Dzień Poezji właśnie wybrała wiersz Feliksa Netza, śląskiego pisarza, poety, radiowca i tłumacza, w kręgach hungarystycznych znanego przede wszystkim z tłumaczeń Máraiego, niemniej jego nazwisko można znaleźć w antologiach i tomach poezji węgierskiej wydanych w Polsce, pisze Noémi Petneki. Netz przekładał zresztą nie tylko z węgierskiego. Prezydent János Áder podczas obchodów Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej w Katowicach wygłosił długie przemówienie o zasługach Feliksa Netza i omówił jego drogę do Máraiego. Ale czy czytał jego utwór będący gorzkim podsumowaniem „osiągnięć” transformacji? Wiersz Netza ukazał się w „Nagyvilág” w przekładzie Gábor Zsille.

Mniejście teraz o ten wiersz. Chodzi mi tylko o to, że ten gorzki ton, o którym wspomniała Noémi Petneki pojawiał się u Netza często. Może nawet nie był wcale taki gorzki, co po prostu ciężki

etycznie. Brzmiał i nabrzmiewał jak wyrzut i ostrzeżenie – był to głos smutny, tak, jak często smutny był głos Máraiego. Głos ten jednak – tak twierdzą – był zawsze jakąś ukrytą formą czegoś przekładanego. Barbara Zwolińska, autorka monografii o prozie Máraiego (Gdańsk 2011), dedykowała swą książkę Netzowi. Autorka pisze o tym, dlaczego Netz przekładał węgierskiego pisarza i mało znanego wówczas w Polsce. I przytacza frazę Netza: po to, by wypełnić „deficyt niezłomności” (określenie samego Netza!). Uwalniać od zakłamywania, retuszów i fałszerstw pragnął Netz nie tylko w przekładach, ale także w swojej prozie.

W *Urodzonym w Święto Zmarłych* (Katowice 1995), najbardziej śląskiej prozie Netza, prozie niejako pierwotnej i przekładanej przez Netza ze słuchu, słyszymy narrację śląską, śląską translację, translację Górnośląską. Translator-Netz-narrator snuje refleksje, które przeplata opowieściami. Epizody, które się pojawiają, nie liczą się z chronologią. Koncentrują się wokół kolegów. Engel-

bert Drzystoń (samo nazwisko mogłoby uchodzić za przekład i przykład śląskości!), synek z familoka, który się posługuje tylko śląskim, pragnie zostać adeptem filologii polskiej, bo polonistyka ma sens właśnie wtedy, gdy studiuje ją Engelbert. „(...) Engelbert Drzystoń siedział obok mnie z tą swoją rozjątrzoną śląską duszą i (szczególnie na języku polskim) czaił się do skoku. W przepaść. W studnię. Czy już wtedy powiedział sobie, że pójdzie na polonistykę? Że skoczy w tę studnię i będzie leciał 600 metrów w głąb ziemi i albo się roztrzaska, albo wyrosną mu skrzydła” (*Urodzony w Święto Zmarłych*). Inny bohater: Janek Rutkowski z ojca Natana Hirschberga, który tożsamość żydowską jako egzystencję obiera i rozwija, nie przestając być rdzennym Jankiem Rutkowskim.

Postaci tej powieści – jak gdyby figurę przekładu – idą w kierunku swej tożsamości, są w drodze do niej, poszukują jej w głębi duszy, tak jak się szuka z uporem oczyjny albo miłości. Ich wybory życiowe są jednak do pewnego stopnia wrogię jakiegokolwiek tożsamości. Nie zaznają spokoju, czegokolwiek by nie wybrali. I nie chodzi tylko o tożsamość narodową czy etniczną. Są ludźmi krawędzi, do niczego nie przynależą, żyją na pograniczu, więc muszą ustawicznie przekładać. Miejsce zmusza ich cały czas do wyboru, tak jak wybiera się słowa tłumacząc tekst. Sporo tu górnośląskiej dramatycznej psychologii wyboru, męki opowiadania się za czymś jednym. Indywidualizują wszystko skrajnie, bo translacja jest indywidualizacją czegoś, co obce i obcości odpowiada innym głosem. Owo „górnośląskie” z urodzenia, z wyboru, z przyjechania, z ukochania przekłada się na inne, coraz to inne. Górnośląskości stanowi przeciwieństwo do pewnego stopnia fenomen translacyjny i Netz doskonale go rozczytał i rozpowszechnił.

Ucząc pięknej translacji, Feliks Netz dawał wiele wskazówek, jak w ogóle patrzeć na świat, bliski i daleki, Górny i Dolny Śląsk, Katowice i okolice, literaturę, film, epokowe przemiany, pulsującą, uciekającą doczesność i wieczność. „Netz” to nazwisko znaczące. Z nazwami i nazwiskami nie ma żartów. Nie wolno ich zmieniać i podmieniać. Ani zakłamywać. Feliks Netz-Sieć łowił obce słowa jak egzotyczne motyle, by przyszpilać je już na stałe do polszczyzny, w polszczyźnie umieszczać. Jako słowny lepidopterolog biegał z tymi słowami-motylami po łąkach rosyjskich, niemieckich, hiszpańskich, węgierskich, angielskich i jeszcze jakichś. Chwytał niejedno piękno słowo rosyjskie albo węgierskie. Z różnych języków cierpliwie i w skupieniu frazy wyławiał i wyjawiał po polsku ich lśniąca naturę i zawartość. Jak lepidopterolog wyruszał na łowy wśród babilońskich ksiąg. Netz-Pajęczarz odławiając co piękniejsze metafory, stawał się odnowicielem języka. Jacek Durski w zakończeniu recenzji *Dysharmonia caelestis*, zamieszczzonej w „Krytyce Literackiej”, pisze: „Netz napisał swoją najlepszą książkę (...), gęstą od prozy i od poezji. Obraz rosnący od środka. Katowice-Netz. On – Feliks Netz, nieważ-

ne czy w Katowicach”. Durski wplata Netz w Katowice. Dałoby się popatrzeć też odwrotnie. Bo Sieć Netza i Netz-Sieć rozpościera się szeroko: na Katowice na pewno, ale i dalej: aż po krańce języka. Staje się inter-Netzem, łączącym i oplatającym Internetem.

Naturalnie Netz był wpisany w przenoszenie znaczeń. Pochodził z ziemi dobrzyńskiej (województwo kujawsko-pomorskie), która winna uchodzić, ze względu na swą historię, za przykład miejsca przekładu, takiego lokum, które można czytać jako przekład. Dzieciństwo spędził w Lubaniu i był honorowym obywatelem tego miasta śląsko-łużyckiej i germańsko-słowiańskiej translacji. Od 1953 roku mieszkał w Katowicach, które również mogą uchodzić za lokum translacyjne i których się nie rozumie bez nieustannego przekładania.

Feliks Netz był oczywiście poetą, eselistą, krytykiem literackim i filmowym, jednak przede wszystkim był geniuszem przekładu wielkiej literatury. Dawał przekładowi nie tylko swoje słowa, wyobraźnię poetycką, swoje ciało, duszę i swoją wrażliwość (*Eugeniusz Oniegin* Puszkina). Na własne uszy to słyszałem, gdy twierdził, że urodził się po to, by przekładać książki heroicznie prawdomównego Sándora Máraiego (właśc. Sándor Károly Henrik Grossschmied de Mára). Dla mnie Netz był poetą zintensyfikowanej moralności wywiedzionej z prozy Sándora Máraiego. Przełożył tego pisarza: *Dziedzictwo Estery* (Warszawa 2008), *Księgę ziół* (Warszawa 2006), *Krew świętego Januarego* (Warszawa 2006), *Metoda Vidalego* (Gazeta Wyborcza 2010), *Niebo i ziemia* (Warszawa 2011), *Pierwsza miłość* (Warszawa 2007), *Południowy wiatr* (tekst chyba wciąż nieopublikowany), *Siostra* (chyba tak samo), *Wyspa* (Warszawa 2009), *Występ gościnny w Bolzano* (Warszawa 2005), *Żar* (Warszawa 2008). Nie mam pewności, czy wylczyłem wszystkie.

Netz urodził się, by żyć jako translator. By z mędrcem Máraim połączyć nas nicią Netz się urodził. Uczynił z własnego życia linię przekładową, transmisję, misję translacyjną. Márai w pewnym fragmencie *Dziennika* powiada: „Jedna jedyna istota – jeśli konsekwentnie jest tym, czym jest – może przemówić do otoczenia z wielką siłą wychowawczą”. Przekłady Netza, i nie tylko przekłady, właśnie w ten sposób przemówiły: mają moc moralną, etyczną, nie tylko uwodzą pięknoscią ułożonych słów. Miejscem docelowym translacyjnego wysiłku Netza, portem dla wszelkich przemieszczonych przez Netza między językami słów i emocji był Sándor Márai. Ten Węgier z Górnych Węgrzech, urodzony w węgierskim mieście Kassa, czyli w słowackich Kościcach oraz niemieckim i protestanckim Kaschau in der Zips, w węzle co najmniej trzech języków. Mógłby Márai i Netz wyznać to samo, co nomadyczny Peter Weiss: „Ich war Fremder, wo ich auch hinkam / Gdziekolwiek bym się udał, byłem obcy” (*Fluchtpunkt*). Ten temat należy do morfologii wygnania, która poważnie zajmowała Feliksa Netza. Netz także przestrzeń życia wybrał i codzien-

nie wybierał ją od nowa. Jako obcy został przywieziony do różnych form śląskiej czy górnośląskiej obcości. Najlepszymi tłumaczami są Odyseusze, zapamiętajcie to sobie; tłumaczenie jest odyseją, niepewnym kroczeniem i dziwną przygodą, zbliżaniem się do Itaki widmowej i domowej, która jest tylko wtedy, gdy do niej się zmierza. Gdy się dociera do Itaki, znika.

Każda niewiśnię i każdy fanatyzm mają swój początek w zamknięciu ucha na czyjeś słowo. Fanatyzm to wola niesłyszania. Gdy Sokrates czeka na egzekucję, przestrzega swych uczniów, żeby przypadkiem z czystej głupoty pewnego dnia nie zaczęli pogardzać cudzym słowem. Tak samo jak mizantrop, który ma w pogardzie świat i ludzi. W dialogu platońskim *Fedon* Sokrates nowe przykazanie daje nam: Nigdy nie stawaj się mizologiem (*misólogos*)! To znaczy człowiekiem nietolerancyjnym wobec słowa. To znaczy także: Nigdy nie przedstawaj byc człowiekiem przekładu. Wysłaj się w translacji. Ćwicz się w obcości nie-swojego języka. Przeciwnieństwem mizologa jest, jak wiadomo, filolog, a najbardziej filologiczną czynnością – jest przekładanie.

Co się dzieje w przekładzie? Jakie mechanizmy uruchamia inter-Netzowa translacja? Do jakiego działania dałoby się sprowadzić każde tłumaczenie? – Otóż w przekładzie jako oswojonej mowie, przyswojonym słowie, choć nigdy nie całkiem swojskiej mowie i całkiem przyswojonym słowie, nie tylko spotykamy się z innym, poznajemy innego, rozumiemy się/siebie jako inni albo tylko usiłujemy zrozumieć siebie w inności, lecz także – co równie wspaniale, jak trudne – dokonujemy rekonstrukcji sensów i znaczeń; dawnych i urwanych, najnowszych i najstarszych; wyjaśniamy sobie świat, objaśniamy siebie światu, dokonując jego obcości i przewyższając obcość własną. Co więcej: interpretujemy nasze międzasy w kosmosie i tradycji, przekładamy dawne i minione na współczesność, przekładamy każde znane wczoraj na niepewne dzisiaj. Istotą tej pracy jest to, że przesądza ona w ogóle o procesach rozumienia (wszystkich dyscyplin i aktywności), a jednocześnie wskazuje na wielość kontekstów. Przekład można by nazwać środowiskiem pamięci i dziejowości, tak samo jak tradycję. Lokum każdego przekładu jest „legowisko” przedziwnych logosów i losów w wielkim synkretyzmie treści.

Przekład – przeniknął tę mądrość Feliksa Netza – nie polega na wytrwałym sprowadzaniu czegoś jednego do czegoś drugiego. Ani na jakimś mozolnym ujednolicaniu, które byłoby oddaniem usług tłumacza procesom monotonizacji świata i tak już dość monotonnego. Przekład to robienie miejsca różnicy. Nieprzypadkowo Netz przekładał węgierskiego pisarza w Katowicach. W spustoszonych totalitaryzmami, ideologiami i propagandami Katowicach przekładał Węgra, by dać pole delikatniejszym relacjom – relacjom, które byłyby translacją. Czegoś takiego wyzukiwało to miasto i Śląsk, łaknąc nowych sensów. Tak się dzięki Netzowi otwierała ta nieskończona prze-

strzeń mówienia. Pomiędzy węgierskim oryginałem a katowickim życiem.

Literackie dzieło sztuki nie posiada żadnych zobowiązań historycznych ani geograficznych. W ogóle jest odporne, o ile jest prawdziwym dziełem sztuki, na presję tak zwanej rzeczywistości, czyli ekonomii i polityki. Chodzi raczej o obecność, jeśli już o coś chodzi w dziele sztuki literackiej, nieprzemijalne rozwinięcie obecności. Tłumacz wykorzystuje tę sytuację obecności. Przekład polega na kulminacji obecności w różnicy w jednym słowie – tak że tylko wtajemniczeni w różnicę i wyćwiczeni w byciu obcym wiedzą wprawdzie, że jest JEDNO SŁOWO, ale świeci się prądem różnorodnością. Zasymilować i przezwyciężyć obcość – w horyzoncie tłumaczonego węgierskiego tekstu – oznacza mocowanie się tak samo z własną i swojską obcością, jak i obcością Sándora Máraia, tą z koszyckiego urodzenia i tą nabywaną na emigracji. Netz wiedział, że trzeba dać Máraiemu dużo miejsca w sobie, nawet podczas tłumaczenia najkrótszego akapitu *Księgi ziół*, przestronnej księgi.

Sándor Márai, nie tracąc z pola widzenia uliczkę Koszyc, był wrośnięty w wielkie europejskie i amerykańskie metropolie. Wierny w dziwny sposób *genius loci* Koszyc. Tożsamość kształtował na fundamencie języka węgierskiego: „Tylko z językiem węgierskim jestem solidarny, do śmierci”. Poza tym był przekonany o tym, że człowiek jest przechodniem. Márai był wygnańcem, emigrantem, mieszkał krótko we Francji, w Szwajcarii, we Włoszech (Posillipo koło Neapolu, potem też Salerno), w USA (od 1952 r., Nowy Jork, San Diego). Był mieszkańcem całości świata, a zatem nie warto wymieniać tych pośrednich stacji ziemskiego bytowania Máraia. Po spinozjańsku zamieszkiwał glob: „Wszystko jest w Bogu. I Bóg jest we wszystkim. Spinoza miał rację”.

Z myśli spinozjańskiej wyrasta *Füves Könyv*, to znaczy *Księga ziół*. Sándor Márai dedykuje ten moralny podręcznik wszystkim, ale szczególnie Senece, Epiktetowi, Montaigne'owi, stoikom, dwóm-trzem mężczyznom i dwóm-trzem kobietom, każdemu, kto pragnie samodzielnie i po stoicko formułować sądy. Wydaje mi się po latach, że Tadeusz Sławek w eseju *Państwo i ojczyzna. Zapiski na marginesach „Księgi ziół” Sándora Máraia* (tekst zamieszczony na łamach „Słaska” w 2003 roku) miał rację, twierdząc, że „naprawić świat, a z dzieła Máraia nie wynika, aby było to w ogóle jeszcze możliwe, można byłoby tylko wtedy, gdyby odnowił się duch jednostkowej odpowiedzialności za kształt rzeczywistości, odpowiedzialności całkowicie ponad i poza formalnymi strukturami państwa”.

Márai zobaczył nagle człowieka autonomicznego i geopolitycznego, który wróci do kontaktu z ojczystą ziemią, czyli ze sobą, a nie z ziemią państwową, po której maszerują zastępy elegancko ubranych urzędników, korporacyjnych szczerów, funkcjonariuszy, w tłumach całej prekariat. Z najbliższą ziemią – takimi małymi i prywatnymi Koszycami każdego człowieka, może niewidoczny-

mi na mapie, ale obecnymi w sercu. A jeśli nie udałoby się odnowić świata, bo to trzeba wziąć pod uwagę, to bodaj można by świat posolić, żeby życie stało się potrawą możliwą do przelknięcia. W antropologicznym i teologicznym projekcie Máraia człowiek ma być solą ziemi (wymiar ewangeliczny nie jest bez znaczenia). Márai nie zniósłby ani przez chwilę – o tym się przekonuję, czytając *Księgę ziół* – dzisiejszego dyskursu naukowego z jego żargonowymi świecidełkami. Wielki Węgier pisze prawdziwie o „ludzkiem losie na ziemi”, bo „ważne jest – jak pisał Aleksandra Kunce – by w końcu mądrze opisać, co jeść, z kim rozmawiać, czego unikać, jak stąpać, jak zachować zdrowie i chorobę, jak kochać”. Dlatego też Márai stał się patronem wszystkich tych, którzy wyrzekają się gładkich ideologii i oszustów wymyślnych syntez naukowych (pożyczam frazę od Aleksandry Kunce raz jeszcze).

„Wszystko stracone, wszystko. Język, kraj rodzinny, sens pracy, młodość”, tak mówi jeden z największych mędrców dwudziestowiecznych. Wygnaniec z górnowęgierskich, czechosłowackich, słowackich, protestancko-niemieckich Koszyc (Kaschau in der Zips). Trochę dalej Márai pisze, że czuje się wolny. Dziwny zaiste paradoks. Netz, tłumacz koszyckiego pisarza, w eseju pt. *Morfologia wygnania* pisze: „Márai dwukrotnie wypowiada słowo „wszystko”, aby podkreślić, że nie ma NIC, że otacza go zewsząd NIC, że on jest w centrum owego NIC. I nareszcie jest wolny! Wypada więc zapytać: wolny „ku czemu”? Odpowiedź daje pisarz, o którym Márai nie słyszał, a który częstym zwyczajem wygnańców, również pisał *Dziennik*. W roku 1964, w dwudziestym piątym roku wygnania, powrócił w *Dzienniku* do tej chwili, w której rozumiał, że jest wygnańcem: Sam, zagubiony, odcięty, obcy, nieznan, utopiony. W istocie, niesamowity moment. Cisza, jak w lesie, i że słychać nawet brzęczenie muszki i w ciszy zaczynają dochodzić mnie dwa słowa, wyjątkowe, jedyne, szczególnie: Witold Gombrowicz, Witold Gombrowicz”.

Życie to autonomicznie wybierać siebie i zbierać doświadczenia jak się zbiera ziarna na łące. Taki zielnik, który powstaje z tych ziół, ma charakter terapeutyczny. Obok opisu ziół-doświadczeń muszą w nim być proste porady: „codziennie idź dalej, nawet w biedzie, nawet z okaleczonymi stopami”; „decyduj się, ale nie tak znowu bezwzględnie!”; „ucz się skromności”; „trzeba żyć jednocześnie ze słowem i z księżycem, z wezbraniem wód, z zimnem i ciepłem: nigdy przeciwko światu, lecz zawsze w zgodzie z harmonią świata, z powszechnym porządkiem stwarzania i niszczenia”; „myśl o tym, że jesteś wolny, dopóki jesteś sprawiedliwy”. Márai przestrzega wyraźnie przed niedorzecznym bytowaniem na świecie *contra naturam*. Taki zielnik jest także książeczką pielgrzymów, bo nieustannie idziemy i pielgrzymujemy, gdy żyjemy.

W *Wyznaniach patrycjusza* pisał Márai: „Do nikogo nie przynależę. Nie ma takiego człowieka, przyja-

ciela, kobiety, krewnego, którego towarzystwo wytrzymałbym przez dłuższy czas; nie ma też takiej ludzkiej wspólnoty, cechu, klasy, w której znalazłbym swoje miejsce; pod względem mentalności, stylu życia, duchowości jestem patrycjuszem, lecz wszędzie czuję się bardziej swobodny niż wśród patrycjatu; żyję w anarchii, którą uważam za niemoralną i ciężko znoszę ten stan”. Wiek dwudziesty radował się z rozpadania światów, jak żaden wcześniejszy. I dalej: „W Paryżu żyłem wygodnie, pięknie, pogodnie i spokojnie. A teraz nagle zacząłem czuć, że mój czas, że mój czas tu się skończył, nie ma tu już „nic do roboty”, muszę wracać do domu. Kłamałbym, gdybym powiedział, że naraz poczułem nostalgiię rodem z Szabolcski, ten typowy węgierski śmiech przez łzy, tęsknotę, by znów „zobaczyć stado koni opodał karczmy Hortobágy” – czy podobnie rozczulający literacki banał. Nigdy nie widziałem żadnej karczmy na Hortobágy i nie znam się na koniach... „Domem”, prawdziwą ojczyzną były dla mnie Koszycy i Rożnawa, Lewocza i Bańska Bystrzyca, a tam i tak nie mogłem jechać. W Kraju Zadunajskim czy pomiędzy Dunajem a Cisą czułem się zawsze trochę obco, ale też trochę tak, jakbym już kiedyś widział te strony we śnie. „Ojczyzna” pozostała dla mnie na zawsze Górna Węgry. O Budapeszcie myślałem bez sympatii, a budapeszteńczyków zapamiętałem jako tłum zarozumiałych, wysiadających po kawiarniach i biegających z teczkami agentów. Nie cierpiałem śpiewnej peszteńskiej wymowy, przemądrzałego akcentowania akcentowanych sylab, ich naiwnego i sentymentalnego cynizmu (...). Márai wiedział, że synostwo świata to bezwzględna afirmacja tego, co otacza nas dookoła, najmniejszy świat: „nie zapominaj, że byłeś także synem świata”.

Zastanawiam się, jak mógłbym zakończyć ten esej poświęcony zdziwieniu, translacyjnej maestrii, a także kolosalnemu przeświecaniu języka przez język i osoby przez osobę, Feliksa przez Sándora i Sándora przez Feliksa z panewnickiego lasu. Myślę, że zrobię najlepiej, oddając głos im Obu jednocześnie: „Z ostatnim tchnieniem podziękuję losowi, że byłem człowiekiem i iskra rozumu świeciła także w mojej mrocznej duszy. Widziałem ziemię, niebo, porę roku. Poznałem miłość, ułamki prawdy, żądze i rozczarowania. Żyłem na ziemi i powoli nabierałem wewnętrznej pogody. Pewnego dnia umrę; i to także jest cudownie zwyczajne i proste! Czy mogło zdarzyć się ze mną coś innego, lepszego, doskonalszego? Nie mogło”. A nam przydarzył się Netz uczący przekładania jako sposobu na życie. W porę i nie w porę – z całą mądrością tego wyniosłego Węgra – ponieważ żyć to znaczy tłumaczyć. Elni anny, mint fordítani.

Sindbad na koniec odwiedził Katowice – i powrócił do domu...

PRZEMYSŁAW DAKOWICZ

Czesław Miłosz i Jerzy Andrzejewski piszą scenariusz i wyglądają przez okno

Pamięci Feliksa Netza, autora „Krzyku sowy”

Gdzie jest granica, poza którą już tylko zgoda
na to, co się staje? Mrówka zdeptana
oglądana przez powiększające szkło.

*Kładliśmy nogi na stół albo na poręcz foteli,
chodziliśmy po pokoju, paliliśmy dużo
papierosów i ciągle nęciło nas okno.*

Robinson, wyrzucony na brzeg
przez falę, ocalony, gdy wszyscy zginęli,
cegła po cegle nowe miasto wznosi
na ruinach starego. Morze pluje resztkami,
oddaje skrzynie z narzędziami, papier,
pióra, inkaust. Rozbitek siedzi na skale
i zapisuje pamiętnik niemożliwego życia.

*Zauważyliśmy na parterze, w zakratowanych
oknach, dużo postaci młodych mężczyzn.*

Między okiem i umysłem ocalonego
wędruje myśl, entomologiczna konstatacja:

przykład ironicznych dowcipów Historii.

Wciąż nęciło ich okno, wabił ruch ręki,
krzyk ust wynurzonych z oddechu, opitych
wodą, więc pisali, dużo palili, chodzili
po pokoju.

*ślepa ofiarność
ślepa wierność*

Gdzie jest, poezjo, twój wybawczy cel?

Obserwatorko,
korespondentko,
komentatorko.

Co to, poezjo,
ocalenie?

Z nazwiskiem Feliksa Netza spotkałem się dawno, z początkiem lat siedemdziesiątych. Myślę sobie, że te kilkanaście lat różnicy wieku, które nas dzieliło, wydawać się może naprawdę niewiele, ale wtedy... Ja byłem uczniem jednego z katowickich liceów, a Netz – niemal dwukrotnie wtedy ode mnie starszy – był już uznanym pisarzem, mającym w swym dorobku wydane tomy poezji i prozy, ponad trzydziestoletnim dziennikarzem rozgłośni katowickiej Polskiego Radia, którego głos w różnych audycjach i felietonach był wyraźnie rozpoznawalny, a później regularnie pisywał na łamach katowickiej „Panoramy”. Był po prostu kimś znaczącym na kulturalnej mapie nie tylko regionu.

Osobiście poznałem go znacznie później, już pod koniec lat dziewięćdziesiątych, gdy był jednym z filarów stworzonego przez Tadeusza Kijonkę miesięcznika „Śląsk”. Musiałem się z nim wtedy zetknąć, zamieszczając w tym czasopiśmie m.in. artykuły dotyczące literatury na Śląsku oraz przekłady z języka hiszpańskiego poezji Federico Garcii Lorki. W ten sposób zainteresowałem się „drugim obliczem twórczym” Feliksa Netza – jego pasją tłumacza z różnych języków, dopełniającą doskonale jego twórczość oryginalną. Przekłady te – poezji i prozy – Netz publikował na łamach prasy, prezentował także w audycjach Polskiego Radia. Najważniejsze są jednak wydania książkowe całych utworów z prostego względu, że o ile drukowane w czasopismach czy prezentowane w radiu mają charakter ulotny, po latach trudno je odszukać i zwykle giną gdzieś w zapomnieniu, to książki jednak są trwalsze, zostają w bibliotekach domowych i publicznych, łatwiej do nich trafić nawet po latach.

A dorobek Feliksa Netza jako tłumacza jest imponujący nie tylko ze względu na wielkość, ale na ilość języków, z których tłumaczył literaturę. Wymienimy tu na pierwszym miejscu język węgierski, który pisarz poznał na tyle dobrze, że mógł z niego tłumaczyć powieści. Wymienić tu trzeba przede wszystkim Sándora Márai, którego twórczość w naszym kraju spopularyzowały właśnie tłumaczenia Netza – wielokrotnie zresztą podkreślał, że jest on jego ulubionym pisarzem. Wymieńmy więc tytuły książek Sándora Márai, które właśnie tłumaczenia Netza wprowadziły do naszych księgarni i bibliotek: *Żar*, *Księga ziół*, *Eseje*, *Występ gościnny w Bolzano*, *Krew świętego Januarego*, *Pierwsza miłość*, *Dziedzictwo Estery*, *Niebo i ziemia*, *Wyspa*.

Mówiąc o przekładach z węgierskiego wspomnieć trzeba też powieści Tibora Déry *Anatema* i György’ego Moldov *Ciemny anioł*, zbiór esejów Endre Illésa *Taniec motyla* oraz tomy wierszy György’ego Gömöri *Dylemat królika doświadczonego* i *Księżyc twojej nieobecności* Istvana Kovácsa.

Jak więc widać, tłumaczenia z języka węgierskiego nie były dla Netza jakimś epizodem, wynikającym np. z chę-

Czytając tłumaczenia Feliksa Netza



ci popisania się znajomością tak trudnego i egzotycznego dla nas języka – było to celowe działanie, zmierzające do przybliżenia polskiemu czytelnikowi dzieł ulubionych twórców, oczywiście przede wszystkim Sandora Marai.

Przypominam sobie też, jaką sensację wzbudziło przed laty opublikowanie nowego przekładu *Eugeniusza Oniegina* Aleksandra Siegiejewicza Puszkina. To nowe tłumaczenie, uwzględniające wrażliwość i język dzisiejszego czytelnika, spotkało się z zasłużonym uznaniem znawców. A dodajmy, że poprzedników przekładu tego klasycznego już dziś poematu miał Netz znakomitych, jak Adam Ważyk czy przede wszystkim Julian Tuwim. A skoro już jesteśmy przy języku rosyjskim, który oczywiście pokolenie pisarza znać musiało ze szkół – ale była to przecież znajomość niewystarczająca dla podjęcia się dzieła tłumacza. Podkreślmy, że nie wystarczy do tego najlepsza nawet znajomość języka – po prostu tłumaczenie to rzecz nie tylko lingwistyki, która jest w tym wypadku czymś oczywistym, niejako punktem wyjścia – ale znacznie ważniejszy, decydujący o jakości przekładu, jego wierności i literackości, jest szeroki kontekst kulturowy, którego nie sposób nauczyć się po prostu w szkole czy na studiach, ale którego znajomość wymaga po prostu obcowania z daną kul-

turą, wczuwania się w nią, a czasem i po prostu trafnej intuicji.

Z języka rosyjskiego Netz przełożył także wybór wierszy jednego z najznakomitszych poetów rosyjskich, laureata Nagrody Nobla, niezwykłego już Josifa Brodskiego – *Dwadzieścia sonetów do Marii Stuart*.

A przecież mówiąc o Netzu-tłumaczu to dalece jeszcze nie wszystko. Trzeba także wspomnieć o innych językach – angielskim (np. tomie esejów Gordona MacDonalda *Najlepsze miejsce pod słońcem*) i niemieckim (tom poezji Kurta Draverta *Wzór wewnętrzny*).

Oczywiście trzeba tu wymienić także język hiszpański – książkowe wydanie tłumaczenia z tego właśnie języka ukazało się w tym właśnie roku, jako pierwszy z 5 tomów mających ukazać różnorodność dorobku Netza-tłumacza i jednocześnie w ten sposób go uhonorować. Znalazła się w nim polska wersja poematu *Llanto por Ignacio Sánchez Mejias* wielkiego hiszpańskiego poety, jednego z największych europejskich pisarzy XX wieku – Federico Garcii Lorki, brzmiąca w przekładzie *Lament nad śmiercią Ignacia Sánchez Mejiasa*. Poświęcony jest on autentycznej postaci zaprzyjaźnionego z poetą toreadora, który został potracony rogami byka na arenie w czasie korridy 11 sierpnia 1934 roku i w wyniku tego zmarł. Poeta napisał poemat zaraz upamiętniający, ale polscy czytelnicy nie mieli dotąd okazji do zapoznania się z dobrym jak to właśnie tłumaczeniem całości tego utworu.

Widać po prostu, że tłumaczenie to wyszło spod pióra znakomitego pisarza i poety, a całość jest po prostu znakomitym wierszem, brzmącym doskonale po polsku. Innym wartym zauważenia zjawiskiem, wydawałoby się może oczywistym, ale przecież wcale takim nie będącym, jest to, że mamy w tym przypadku do czynienia z przekładem po prostu wiernym oryginałowi, bez żadnych widocznych zabiegów, mających go rzekomo „polepszyć” czy „wytłumaczyć”. Po prostu widać, że tłumacz tego dzieła nie zamierza być „lepszy” od hiszpańskiego poety, a to przecież jedna z cech, której wymagamy zawsze od tłumacza – żeby w parze z jakością artystyczną przekładu szła także pewna głęboka pokora wobec tłumaczonego tekstu, poczucie, iż w tym wypadku pracuje się przecież nie tylko na swój rachunek, ale właśnie autora oryginału, w tym przypadku wielkiego hiszpańskiego poety, przecież jednego z największych autorów literatury wieku XX.

Można więc powiedzieć, że jako tłumacz Netz mierzył się – nie tylko przecież poprzez język hiszpański – z największymi. Dodajmy, że tylko to ma sens, choć oczywiście nie zawsze takie podejście gwarantuje sukces, jak w tym przypadku. Ale takie właśnie równanie do najlepszych gwarantuje, że mamy szansę stanąć obok nich.

Tłumacz zgody

Panu Feliksowi Netzowi

1.

To Miasto jest wszędzie. Dokąd ciągną, trawione pragnieniem
czystości, wszelkie gorejące duchy.
A w nim – dom, w którym mieszkań wiele.

2.

– odtąd często zakradam się do przestronnego pokoju,
prześwietlonego pustką niebieskiego słońca.
Zawsze pod oknem stoi biurko, na nim maszyna do pisania
z paroma akcentami – nie do zastąpienia.
Od niej właśnie odchodzi ten, który opiera dłonie o szybę.
I głośno powtarza zaklęcia, co zbawić mają od świata.
Słucham ich cierpliwie, a gdy pada ostatni dźwięk, zamykam
jego szufladę.
Otwieram drzwi na powrót.

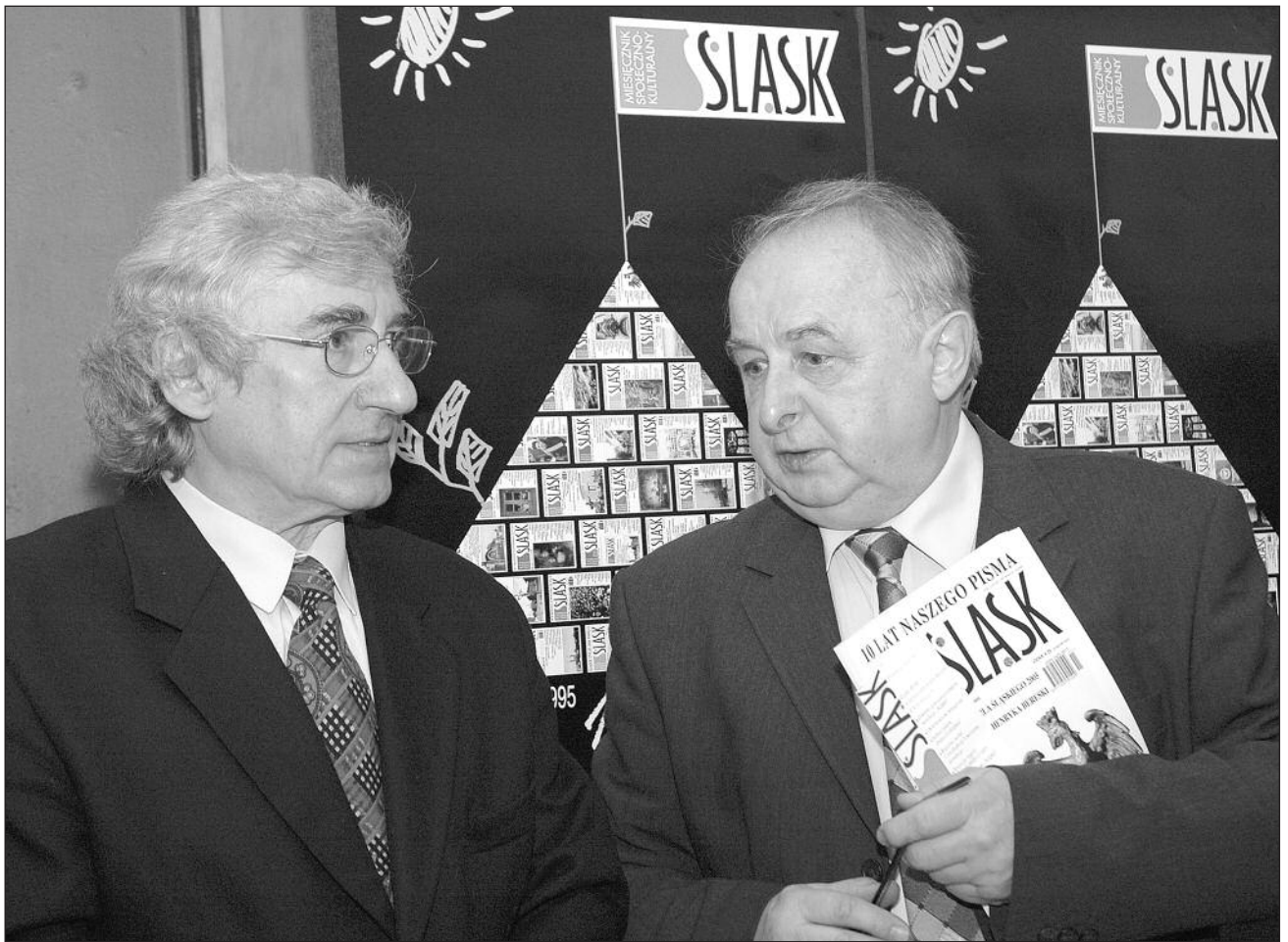
3.

Tak, trudził się (ale cóż nad to cenniejszego?), aby język mógł
się wyrzekać w głos.
Do ogłuszającego końca, w zrozumiałą ciszę.

4.

Jak dobrze w szeleszczącym szepcie wnuka czują się
wreszcie słowa tego dumnego starca, wpatrującego się
w napięty łuk horyzontu.
Jak w gnieździe, *otthon*.

VI 2014



Feliks Netz i Tadeusz Kijonka podczas uroczystości jubileuszowych miesięcznika „Śląsk”

FELIKSOWI NETZOWI

Feliks Netz z Katowic (spisane z pamięci)

Jego życie pochłonęła bez reszty literatura oraz zmagania z jej suwerennym światem w niejednym zresztą języku. Nic też nie liczyło się nigdy bardziej niż godziny przy biurku i komputerze w otoczeniu leksykonów i lektur. I tak od lat dzień po dniu według rygorystycznego porządku, z ograniczeniem do niezbędnego minimum zawodowych kontaktów a nawet udziału w życiu kulturalnym miasta. A przecież był człowiekiem lubianym o uznanych walorach towarzyskich, obdarzony błyskotliwą inteligencją i zmysłem humoru. Jego szerokie zainteresowania i nieprzeciętna erudycja imponowały. A temperament polemiczny, swada i refleks wyrafinowanego szachisty?...

Był, stał się wkrótce pisarzem jakiego dotąd w Katowicach nie było – nie licząc Wilhelma Szewczyka, ale to już inne generacje i uwarunkowania a także pojmowanie misji literatury. Czy jednak Katowice były tego świadome kim jest i stał się ten skupiony przybysz z dalekiego Pomorza, osiadły w 1955 r. w ówczesnym Stalinogrodzie, po przystanku rodziny po wojnie w poniemieckim Lubaniu nad Kwisą. Kim więc stał się realizując swoje pisarskie ambicje całkowicie o własnych si-

łach i czy Katowice były świadome kogo w jego osobie mają, bo nie tylko katowiczana z wyboru, ale przede wszystkim pisarza o wysokich aspiracjach i pełnej identyfikacji z miastem, który – podobnie jak Wilhelm Szewczyk – czuł się proletariuszem z rodowodu; był synem robotnika Emila Netza, który w Katowicach dopełnił żywota i tu spoczął pogrzebany przez syna.

W sprawach literatury Feliks Netz był autorytetem daleko wykraczającym poza regionalne granice i miary – niebywa-

le czytany, stały w opiniach i sympatiach, nieskłonny do ustępstw i kompromisów, oddany w przyjaźni. Zawsze skupiony i uporządkowany z upływem lat przykładał coraz większą uwagę do skutecznego wykorzystania czasu, skoncentrowany na terminach pisarskiego kalendarza. Toteż niełatwo dawał się wywabić z piotrowickiej samotni, domu z ogrodem na obrzeżu Katowic, jakby podświadomie czuł, że niewiele już przed nim życia, więc trzeba wykorzystać każdą darowaną godzinę.

A przecież nic nie zapowiadało wcześniej nagłego załamania zdrowia tego krzepkiego, zadbanego mężczyzny. Od lat w świetnej literackiej formie, wydajny i twórczy, imponował rozmachem nowych dokonań i ambitnych planów. Nawet gdy przyszło już zmagać się ze śmiercią i męczarniami wyniszczającej chemioterapii, które znosił mężnie, bo nie wypuszczał do końca pióra z ręki. I tak rozdziły się kolejne wersze ostatniego, moim zdaniem najświetniejszego poetyckiego tomu Feliksa Netza „Krzyk sowy”, o wysokim metafizycznym napięciu, przejmującego intelektualną zawartością przekazu w nawiązaniu do tragicznych wątków narodowej historii oraz prawdą przeżycia w sytuacjach ostatecznych. Aż nastał czas, gdy odchodzący Feliks Netz mógł już tylko szeptem dyktować nieodstępnej żonie ostatnie wersy, które zamykają jego poetycki trud zawarty w rękopisie.

Mam przed sobą „Krzyk sowy”, wiersze po które sięgam teraz co dnia. Ta książka nie trafiła jednak do mnie bezpośrednio z rąk Feliksa Netza. Sam oczekiwałem w tych dniach na kolejną operację w Centrum Onkologii w Warszawie. Jeszcze wtedy nie wiem, że już nie zobaczymy się nigdy, ani tego co mnie czeka. Pozostał kontakt telefoniczny. Przez „Krzyk sowy” przejdę w stanie przejmującego skupienia świadomy, że obcuje z poetką najwyższej miary. I to Feliksowi powiem zaraz po zachłannej lekturze. Słyszę w słuchawce jego zdyszany oddech i wiem co czuje, bo na te słowa ode mnie czekał.

O relacjach między nami oraz o tym co nas łączy, najwięcej mówi dedykacja, ostatnia którą mi wpisał i najważniejsza ze wszystkich, bo innej już nie będzie. Napisał mój Przyjaciel drugiego stycznia Nowego Roku:

Kochany Tadzio,

Może jest to moja ostatnia książka, jaką Ci dedykuję, może Bóg ma dla mnie jeszcze jakąś niespodziankę...

Przeżyliśmy pół wieku w zgodzie, przyjaźni a nawet miłości – trzeba więcej?!

*Felek
Katowice 02.01.2015 r.*

Z pierzyną do Stalinogrodu

Jest w biografii Feliksa Netza wydarzenie, które ma tonację zabawnej anegdoty, o swoistej podróży życia, może najważniejszej jaką odbył. Ten wiersz pt. „Initium Silesiae” z „Krzyku sowy” rozpoczyna szczegółowy opis sytuacji, która w każdej późniejszej relacji jest w szczegółach identyczna, co świadczy jak mocno zdarzenie to wpisało się w pamięć poety i nabrało historycznego znaczenia. Oto początek wiersza:

W oczekiwaniu na tramwaj, piętnastkę albo siódemkę, który miał dostarczyć na Zawodzie

*moją cioteczną babcie i mnie,
co miało miejsce
19 marca roku 1955 licząc
od Narodzin Chrystusa;
była piąta rano, gdy pociąg zatrzymał się na
stacji Stalinogród: spod tej nazwy
przebijała się
nazwa grodu właściwa: Katowice,
podobnie
jak przez zmięte i brudne szmaty
ciemności
przedzierał się świt jak ranny łos
brocząc krwią,
która rozlewała się po nisko
zawieszonym
firmamencie w zagadkowe figury
geometryczne;*

*staliśmy we wnęce głównego wejścia
kawiarni
Kryształowa; moja cioteczna babcia
zażądała,
abym ją przypiął do poły mojego
płaszczka wielką
agrafką, boję się, szeptała bezzębnymi
usty, co to
za miasto ten Stalinogród, czy to za
Uralem, miały
być Katowice, i zaplakała do środka,
w sobie,
ile ja już lat, zabrzmiało to jak
pytanie, żyję na tym
świecie, podpowiedziałem:
osiemdziesiąt osiem,
babciu, na co ona: napilabym się
gorącego mleka;*

Rzecz rozgrywa się o szarym świecie, w godzinie „między psem a wilkiem”, gdy sędziwa staruszka z wnukiem oczekują pod kawiarnią Kryształowa na tramwaj. Mają ze sobą dwie walizy i tobół z pierzyną. Podejrzliwi przechodnie obserwują tę zaskakującą scenę, gdy kilkunastoletni chłopiec co parę metrów przesuwa dwie walizy i tobół z pierzyną, ciągnąc za sobą zatroskaną staruszkę przypiętą agrafką do płaszczka, by nie rozdzielić się w drodze. Ta w gruncie rzeczy zabawna scena ma w sobie także swoisty patos wpisany w socjologiczne realia tamtych lat. Wydarzenie to, które otwiera wkroczenie do Katowic a i rozstrzyga o dalszych, śląskich losach polskiej części rodziny, ożywa potem w niejednej relacji Feliksa Netza.

Nie dość znane są pewne fakty związane chociażby z miejscem urodzenia. Otóż wieś Kretki znalazła się w historii rodziny po jej przeniesieniu się, w obawie przed nadciągającą wojną, z Łodzi na Pomorze. Matka Helena, z domu Kamińska uznała, że trzeba zmienić adres. Stąd Kretki, gdzie Feliks Netz, najmłodszy syn wielodzietnej rodziny, przychodzi wkrótce na świat. Dom Netza jest w tym czasie dwujęzyczny – to matka jest Polką i to ona ma pozycję dominującą pomiędzy trwającej okupacji. Ojciec, który czuje się Niemcem, trafia do wehrmachtu, zaś po wojnie znajdzie się jako jeńiec w strefie amerykańskiej. Starszy

o lat 15 brat Bruno też zostanie wcielony do tej formacji, on z kolei na froncie francuskim przedostaje się do Amerykanów. Gdy kończy się wojna, rodzina staje przed wyborem – zostać czy wyjechać do Niemiec, gdzie przebywa ojciec. Są już spakowani – i wtedy matka podejmuje ostateczną decyzję: zostajemy, przecież jestem Polką – i pomimo nacisków nie da się zmusić do wyjazdu. Ten moment rozstrzyga o losie Feliksa Netza, jak to stwierdził w wywiadzie zamieszczonym w „Toposie” (nr 5, 2014): „... przy jeszcze jednym obrocie losu mógłbym zostać Niemcem. Nie być, ale właśnie: zostać. Polskość została mi dana – przez matkę, i z tej postawy postanowiłem uczynić całość (...) Umiałem w sobie, w swoim ciebie, w swojej duszy, zbudować Polskę jak Katedrę. Czy musiałem? Chciałem. Takie postawiłem zadanie sobie, całemu mojemu życiu”.

Po wojnie rodzina w znacznej części osiada w Lubaniu, który zajmuje tak ważne i literacko udokumentowane miejsce w twórczości Netza. Rodzeństwo w różnych okolicznościach rozprasza się po świecie. Jego bracia i siostry osiedlają się na kilku kontynentach – Ameryka, Afryka, Europa... Najmłodszy Feliks trafia w końcu do Katowic, gdzie osiadła jedna z sióstr, która tu wcześniej wyszła za mąż. To ona postanowiła skupić polską część rodziny. I tak doszło do wyprawy na Śląsk z pierzyną, która odbyła dwie historyczne podróże – z Kretek do Lubania, zaś stamtąd, znad Kwisy – do Stalinogrodu nad Rawą. Szwagier wcześniej zabezpieczył stuletni domek przy ulicy Kopalnianej 1 w pobliżu kopalni „Katowice” (już dawno rozebrany). Następnie rodzina zamieszkała w budynku przy ulicy 1 Maja 47, którego też już nie ma. Tu zdarzy mi się być gościem Feliksa a bywa, że przenocować. Poznam wówczas Matkę Felka. Ojciec, który ostatecznie osiadł w Polsce też zamieszkał w Katowicach, przez pewien czas pracował w kopalni „Katowice” jako robotnik, a także jeden z braci i zaradny szwagier. Ojciec nie żył długo, ma też wymowę symboliczną fakt, że po śmierci najmłodszy syn zajmie się ojcem: obmyje zwłoki, ubierze do trumny, pogrzebie na bogucickim cmentarzu, gdzie spocznie także matka oraz cioteczna babcia, z którą odbył pamiętną podróż do Stalinogrodu. Jeszcze później przywiezie z Ameryki urnę z prochami brata, którą pochowa na tym samym cmentarzu. To wszystko złożyło się na miejsce Katowic w biografii Feliksa, jako miasta życia.

Ale okazały się także miastem gruntownej penetracji różnych sfer i obszarów, co wymagałoby szerokiej prezentacji. Jest pośród tych zdarzeń jedno o szczególnej wymowie, gdy niespełna 20-letni Feliks podjął pracę latem jako górnik w kopalni „Katowice”. Otóż

doszło wtedy w pewnym momencie do nieostrożnego zetknięcia z drutem ślizgowym pod wysokim napięciem. Rozległ się krzyk grozy porażonego Feliksa. Ocalał, choć można mówić o cudzie.

Po maturze w Katowicach rozpoczął studia polonistyczne. Jeszcze w Lubaniu miał wytyczone zainteresowania, które pogłębił i ugruntował. To widać od początku: literatura... i wszystkie wysiłki kierował w tę stronę, zaś Katowice okazały się miastem tym zainteresowaniom przyjazne z Biblioteką Śląską, Pałacem Młodzieży, Teatrem, siecią kin. Czyta zachłannie, uczestniczy w spotkaniach autorskich, buduje domową bibliotekę. Ma świadomość co musi spełnić, żeby stać się katowiczaniec rzeczywistym. Gdyż być, oznacza coś więcej niż żyć i mieszkać. Nie wystarczy sam adres. Lecz jak stać się w pełni – to nie tylko sprawa woli i postanowienia. Rzecz wymaga wielkiej pracy i konsekwencji by Katowice zdobyć, narzucić swoją osobę miastu, stać się jego częścią, by nie być człowiekiem znikąd. Tamta podróż 16. letniego Feliksa Netza była jak drugie narodziny, od pierwszych kroków, zanim pojawią się własne teksty i twórcze spełnienia a imię i nazwisko staną się znane.

Tu także rozstrzygnęły się najważniejsze kwestie tożsamości: to kim jest. Oto fragmenty wiersza pt. „Ojciec”.

*W żylach mojego ojca płynęła krew
starej Germanii, krew gęsta jak wody
Renu uderzające z furią o skałę,*

*na której
siedzi die schönste Jungfrau, Lorelei;*

*(...)
zapytał mnie: co ci się śniło, wziąłem*

*głęboki
oddech, na co mój ojciec: aber sag mir
das*

*deutsch! Na co ja: es geht nich,
mein Vati,
bo śniło mi się po polsku! Przyjrzał
mi się.*

*z okrutną powagą; czy to w tej
chwili ktoś
wszedł między nas i odsunął od siebie
na odległość wyciągniętych rąk*

*w lewo
i w prawo, jakbyśmy stanęli na dwóch*

*brzegach Renu, toczącego swoje wody
ciężkie jak krew starej Germanii, pod
kamienną Lorelei, która mierzy i waży
czyja*

*łódź ma się rozbić – mojego ojca,
czy moja.*

Feliks Netz pisarz i poliglota odbył wiele podróży, w tym i zarobkowe do Stanów Zjednoczonych, gdzie pracował fizycznie jako monter, by zdobyć środki na budowę domu, lecz mimo okazji nigdy nie zdecydował się osiedlić na Zachodzie, a przecież mógł liczyć na pomoc nowojorskiej rodziny.

Półwieku i lata wcześniejsze... Zapamiętałem dobrze pierwsze spotkanie umówione w Radio Katowice, gdzie zaraz po studiach rozpocząłem pracę (wcześniej związany współpracą). Te początki na jesieni 1960 roku nałożyły się na czas mojej wielkiej tragedii – śmierci młodziutkiego brata, studenta Wydziału Aktorskiego Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej w Łodzi, który umiera w Krakowie 12 stycznia 1961 roku na białaczkę. Ta śmierć zmieniła moje życiowe plany, bo nie wiem czy w innym przypadku zdecydowałbym się osiedlić na stałe w Katowicach. Już jako student byłem po książkowym debiucie a moje kontakty literackie były obiecujące.

W tym okresie w Katowicach konsolidują się na pewien czas młode środowiska w powołanym zbiorowo Klubie „Młodych Twórców”, w którym znajduje wnet ujście mój temperament organizacyjny. Mam już kontakty z redakcjami kilku pism, w tym pokoleniowej „Współczesności”. Katowice wówczas po likwidacji tygodnika „Przemiany” w 1957 roku przez szereg lat są pozbawione własnego tytułu. A trwają właśnie przygotowania do wydania śląskiego numeru „Współczesności” i zostałem zaproszony do współpracy przy jego organizacji. Pierwsze spotkanie z Felkiem Netzem miało miejsce wiosną 1960 roku. Jesteśmy właściwie rówieśnikami, bo co realnie znaczą trzy lata różnicy, bo o tyle jestem starszy. Pojawił się oto brunet zczesany z przedziałkiem, rzeczowy i skupiony, ubrany starannie, z którym uzgodniliśmy kwestie literackich kontaktów. Dojście niebawem, po wydaniu śląskiego numeru „Współczesności” m.in. z poematem Tadeusza Różewicza oraz do wizyty stołecznej redakcji w Katowicach w reprezentacyjnym składzie, m.in. ze Stanisławem Grochowiakiem, Markiem Nowakowskim, Witoldem Dąbrowskim i Ernestem Bryllem. Przed księgarnią przy ulicy Dworcowej zorganizowany został z rozmachem kiermasz książek. Przybyli pisarze rozjechali się też na spotkania do szeregu ośrodków; szczególną uwagę skupił jednak wspólny wieczór w Klubie Związków i Stowarzyszeń Twórczych przy ulicy Warszawskiej 37, z udziałem znacznej części młodoliterackiego środowiska regionu.

Ta wcale liczna grupa kilkudziesięciu łącznie nazwisk miała dokonać znacznych zmian i przegrupowań w pejzażu literackim Śląska. Niewiele z tych nadziei potem wyszło skoro większość debiutów nie dowiodła oczekiwań. Potwierdziło się, jak negatywnie zaważy na aspiracjach i szansach tej generacji brak zaplecza krytycznego i ogólnopolskich kontaktów. Większość autorów tego kręgu, w przewadze poetów, wycofa się z życia literackiego po wydaniu

debiutanckiego tytułu. To wówczas norma – przeciętność i prowincjonalizm, więc i niemożność przebiccia się na zewnątrz. To udało się zaledwie kilku osobom z młodszych roczników, w tym Feliksowi Netzowi, który dokonał wyłomu na własną rękę także jako tłumacz o najwyższych ambicjach.

Na czas krystalizowania jego zainteresowań przypadają ważne wydarzenia, które zmieniają klimat w kulturze regionu. Decydujące dla Feliksa Netza staje się przeżycie przełomu Października '56 oraz powrót do historycznej nazwy Katowic. Jest to również czas, gdy środowiska literackie dopominają się coraz bardziej odzyskania pisma społeczno-kulturalnego w miejsce zlikwidowanych „Przemian”. I do tego dochodzi w połowie następnego roku, gdy w sierpniu 1962 r. pada zapowiedź uruchomienia takiego tytułu, staną się nim „Poglądy”. Zadanie to zostaje powierzone Wilhelmowi Szewczykowi, który też widzi swoją osobę w zespole redakcji, w tym jako kierownika działu poezji. Już w pierwszym numerze pojawi się Tadeusz Różewicz, z którym mam kontakty od lat studiów, odtąd co jakiś czas obecny w piśmie.

Teraz moje koleżeńskie związki z Feliksem Netzem nasilają się, aż przerodzą się w stałe kontakty. Mamy sobie wówczas wiele do powiedzenia, bo też o najważniejszych sprawach myślimy podobnie, czyli krytycznie. Najistotniejsze, że jest gdzie drukować. Felek pojawia się w „Poglądach” także jako recenzent literacki a bywa, że i reporter. Jego wizyty w redakcji nie mają więc charakteru jedynie towarzyskiego i to też nas zbliża.

Redakcja Wilhelma Szewczyka staje się od początku także klubem i salonem, gości tu zawsze sporo, zaś szef, który nie akceptuje barier wiekowych, chętnie proponuje bruderszafty. Kończący studia Netz może liczyć na pracę w Radio i to w prestiżowej redakcji literackiej, bo przecież skutecznego wsparcia Szewczyk nie odmówi najmłodszemu przedstawicielowi środowiska literackiego. I tak już w 1964 roku Feliks Netz ma swoje biurko w rozgłośni przy ulicy Ligonia. Okazuje się być świetnym nabytkiem – radzi sobie z mikrofonem, ma lotne pióro a przede wszystkim objawia talent dramaturga radiowego, którego słuchowiska trafiają regularnie na antenę ogólnopolską. Jego dorobek w tej dziedzinie stanie się dość imponujący.

Wkrótce ujawnia też swoje wysokie kwalifikacje jako recenzent filmowy. Jeszcze parę lat i otrzyma stałą pozycję w „Panoramie”, z własną winiętą jako Feliks Netz. To pociąga za sobą etat w tym popularnym o ogólnopolskim zasięgu tygodniku ilustrowanym. Nie koniec na tym – gdy w 1972 roku Kazimierz Kutz tworzy w Katowicach Zespół Filmowy „Silesia” Netz obejmuje kierownictwo literackie zespołu. Zważmy ile czasu upłynęło, by zdobył tak znaczną pozycję zawodową, choć jest i czu-



10-lecie Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Przy mikrofonie Feliks Netz. Obok (od lewej) Marian Kisiel, Bogdan Widera, Wojtek Łuka, Wiesława Konopelska, Marek Baster. Katowice, Muzeum Śląskie, 19 grudnia 2002 roku.

je się przede wszystkim pisarzem, poetą i prozaikiem. Jego debiut poetycki – tom wierszy „Związek zgody” (1968) zdobywa w Gdańsku prestiżową nagrodę „Peleryny”. W tym samym roku wydał pierwszą powieść „Sto dni odpustu”. Pojawiają się teraz okazje zdobycia posady w Warszawie, trzeba tylko podjąć starania. Do tego jednak nie dochodzi, bo stał się już – i to czuje – Feliksem Netzem z Katowic. Na dowód dom, własny dom.

Lecz to, co najważniejsze jeszcze przed nami, bo zbliża się czas przełomu, gdy nastał sierpień i zatrząsł się także uległy dotąd Śląsk. W „Panoramie” dochodzi do małego przewrotu i z woli zespołu redaktorem naczelnym zostaje mianowany Netz. Pismo radykalizuje się, wchodzi w nurt politycznych rozliczeń i sporów, w tym z pozycji zdeklasowanego Śląska (i ja się tam pojawiaję z ważnym tekstem). Szczególnie wiele zważyć i rewizji wywołują dyskusje o kulturze podporządkowanej dyktatowi władzy z pozycji arbitralnej propagandy. Ożywają kontrowersje wokół sporu o pozycję zdegradowanego Śląska jako obszaru pustyni kulturalnej. O własne miejsce dopominać będą się wreszcie środowiska twórcze z postulatami podmiotowości i rewizji polityki kulturalnej. Mój głos słyhać wówczas dobitnie także jako inicjatora i współorganizatora Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych w 1980 oraz autora „Raportu o stanie kultury na Śląsku”, który nie został już przedstawiony

na Sejmiku Kultury Śląskiej, wyznaczonym na 19 grudnia 1981 r., a zaproszenia już wysłano. Wcześniej, z 12 na 13 grudnia 1981 roku, nastąpiła czarna noc stanu wojennego, która doprowadziła do porażającej pacyfikacji polskiego społeczeństwa.

Życie kulturalne zamarło, działalność redakcji zawieszono na czas nieokreślony. Toteż mamy teraz z Feliksem wiele czasu dla siebie na rozmowy i spotkania w moim brynowskim domu około kilometra od spacyfikowanej Kopalni „Wujek”, gdzie połała się krew. W tym czasie niemal co dnia powstają moje wiersze z tomu „Czas zamarły”, w którym znajdzie się ponad 70 utworów, w tym poemat „Atlas losów”. To wtedy powstaje też znany wiersz Netza pod pierwotnym tytułem „Dzień siódmy”, dedykowany Kazimierzowi Kutzowi i zapamiętany pod nowym tytułem „Śmierć jak kromka chleba”, bo taki tytuł nosić będzie film Kutza poświęcony tragedii wydarzeń na „Wujku”. Do tego tematu Feliks wróci pisząc przejmujące słuchowisko pt. „Pokój z widokiem na wojnę polsko-jaruzelską”. Odczuwam satysfakcję, że ten wybitny utwór ukazał się drukiem z następującym wpisem: *Tekst ten dedykuję Tadeuszowi Kijonce, z którym byliśmy wtedy tam, na „czarnym śniegu”! Katowice, niedaleko Kopalni „Wujek”, październik 2006.*

Tamte wydarzenia miały dla Feliksa Netza jeszcze jedno ważne osobiste znaczenie. Jak to powiedział w jednym z wywiadów – to wtedy „poczułem się

katowiczanie. Na wieść o pacyfikacji kopalni „Wujek”, ja wtedy 42-letni mężczyzna, płakałem. Właściwie ryczałem. Powiedziałbym, że któraś ze zbójceckich kul trafiła we mnie. Rozstrzelano moje miasto.”

Z tego okresu jeszcze jedno ważne dla mnie przypomnienie. Był u mnie przed południem akurat Feliks, gdy odezwał się dzwonek u bramy. Przed furką stał młody, nieznan mi mężczyzna. Okazało się, że to milicyjny kurier, który przyniósł wezwanie, które przechowuję, „do osobistego stawianictwa w dniu 7 stycznia 1982 r, o godzinie 13.00 w lokalu Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach przy ulicy Lompy 19”.

W drodze na przesłuchanie był ze mną Feliks, który miał poczekać na mnie pod Komendą Wojewódzką, a jeśli pobyt będzie się przedłużać mam przyjść do mieszkania Kutza. Przesłuchanie dotyczyło głównie działalności w Komitecie Porozumiewawczym i pracy nad raportem. Inna rzecz, że sprawy te nie były tajemnicą, skoro od początku chodziło nam o maksymalny rezonans społeczny i niemal wymuszaliśmy publikacje nowych oświadczeń.

Zapał już zmrok, gdy dotarłem do mieszkania Kutza, gdzie czekał na mnie zgodnie z umową coraz bardziej zaniepokojony Feliks. Kutz po powrocie z internowania i niedawno przebytej chorobie wrzodowej był zabiedzony, ale już oswojony z nową sytuacją, którą komentował dosadnie, czyli w swo-

im języku. A co się odwlecze... Miną lata i do niedoszłej dysputy o stanie kultury na Śląsku jednak dojdzie, w dużym stopniu dzięki mojemu uporowi, teraz już pod nowym szyldem – Kongresu Kultury na Górnym Śląsku – w okresie 26-27 września 1998 roku. Przewodniczącym Rady Programowej został Kazimierz Kutz, ja jestem znów jego zastępcą i autorem nowego raportu. W tym czasie od trzech lat ukazuje się już miesięcznik społeczno-kulturalny „Śląsk”.

Zanim do tego dojdzie – musi zmieścić się jednak wszystko, całe otoczenie i polskie życie. Wcześniej „Poglądy” na krótki czas staną się tygodnikiem, w którym negatywnie zweryfikowany za moją nadaktywność od sierpnia 1980 do grudnia 1981 jestem odstawiony na pobocze. Także Feliks nie wróci już do „Panoramy”, lecz obejmie w „Poglądach” dział literacki. Następnie nasze nazwiska znajdują się w stopce tygodnika „Tak i Nie”, który nie przetrwa czasu ustrojowego przełomu. Jesteśmy teraz co dnia razem, jeszcze nieświadomi, że to co najważniejsze – jeszcze przed nami: powołanie Górnos Śląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach i miesięcznika „Śląsk”.

Pasja i mozół tłumacza

Urodził się i wzrastał w rodzinie dwujęzycznej, więc wyniósł z domu niezłą znajomość języka niemieckiego, co zostało zapamiętane pośród rówieśników w katowickim liceum – wówczas im. Piecka – gdzie także pobierał naukę w tym języku. Ima się również przekładów: pamiętam z jakim uznaniem odniósł się Wilhelm Szewczyk do jego tłumaczenia dla „Poglądów” wiersza Goethego. Już w latach szkolnych Feliks z pasją zajął się rosyjskim, gdy w szkole w Lubaniu pojawiła się Sireń Dmitriewna Lebediew (hrabina), której perfekcyjna znajomość języka rosyjskiego i wspaniała dykcja zostaną przypomniane, gdy zmagają się po latach z „Onieginem”. Kiedy większość studentów na lektoracie ledwo duka w języku Puszkina – Netz mówi nim biegle i bierze się za przekłady.

Bierze... ale to nie są decyzje przypadkowe, lecz wybór wynikający z urzeczzenia. Na przykład poezją Nerudy. Oto wystarczył przypadek, że w księgarni Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki trafił na tom jego wierszy, który bez namysłu nabywa, choć nie zna jeszcze języka – nie zna, lecz już po roku Nerudę tłumaczy. Pamiętam jak podekscytowany wpadł do mnie do „Poglądów” z blokiem maszynopisu. Słuchaj... Wkrótce doczekał się kolumny przekładów Nerudy we „Współczesności” – w moim odczuciu znakomitych.

Podobnie rzecz miała się z sonetami Josifa Brodskiego, gdy w rosyjskiej księgarni na Manhattanie nabył tom po-

ezji Brodskiego i wkrótce „Dwadzieścia sonetów do Marii Stuart” znalazło swój kształt w języku polskim i zostało wydanych w Katowicach. Pokusą stała się także sama forma wiersza i jej rygory stawiające wysokie wymagania.

Jednak przypadkiem wyjątkowym jest to, co zdarzyło się z Sándorem Máraim, jednym z najświetniejszych pisarzy naszych czasów, którego Feliks Netz odkrył i wprowadził z rozmachem do języka polskiego. To cała pasjonująca historia związana z tropieniem adresów i wątków biograficznych tego wielkiego węgierskiego pisarza, autora 60 powieści, emigranta, który strzałem w głowę popełnił samobójstwo w San Diego w 90. roku życia. Wszystkie lata na obczyźnie staną się jednym pasmem wyniszczającej tęsknoty. Jego rodzinne Koszyce wcielone po wojnie do Słowacji, odtąd miasto Kass, są wymazane do korzeni. Netz tropi los pisarza, ale i „morfologię wygnania”, jako zjawisko naszych czasów.

Zaczął się od rozmowy Netza z przyjaciелеm, węgierskim pisarzem, w której pada nazwisko Márai. *A kto to, jak to możliwe, że nic o nim nie wiem?* ... Netz nie byłby sobą, gdyby nie zaczął dążyć sprawy, od momentu gdy w oknie małego antykwariatu zobaczył w 1985 r. na wystawie okładkę powieści Máraiego, której węgierski tytuł nic mu oczywiście nie mówił.

I stało się, że Feliks Netz rozpoczyna nieustępliwą naukę języka węgierskiego, by w 1996 roku ze stron „Śląska” Sándor Márai przemówił po raz pierwszy po polsku. Teraz na półce stoi już rząd tomów jego książek, w tym 10 w przekładzie polskiego odkrywcy, który z zadania przełożenia jego dorobku uczynił misję życia.

To należy widzieć jako wielki mozół, który wymaga niezłomnego uporu i pasji, skoro trzeba mocować się z jednym z najtrudniejszych języków. Powiedzmy wprost – właściwie bezinteresownie. Jak też mogło teraz wyglądać ich spotkanie 12 kwietnia, gdy w słoneczne popołudnie Feliks Netz przeniósł się na drugi, ostateczny brzeg, gdzie już od lat czekał Márai.

Ta praca, którą jako tłumacz wykonał, nie z chęci zysku, bo co może przynieść przekładanie wybitnej literatury dla elitarnego grona czytelników, wymaga absolutnej dyscypliny i poświęcenia. Co dnia choć parę mozolnych godzin. A w przerwach – spacer z psem, kolejnym wilczurem Remem II. Szczególnie jednak wiele znaczą dwa koty oraz włączona dochodzący na posiłki. Wśród anegdot o jego kotach, które znajdowały tu zawsze wyjątkowe względy, pierwsze miejsce zajmuje właśnie słynny Márai, władczy kot, oplakiwany potem długo. Do ostatniego dnia, Maks – jeden z dwu ostatnich kotów, leżał w nogach umierającego Felka, zatroskanego co będzie z nim potem.

Jako tłumacz doskonały, szczególnie poezji, Feliks Netz prezentuje mistrzo-

stwa i perfekcję formalną. Nie chodziło mu przy tym o dosłowne oddanie znaczenia, lecz o przeniesienie świata oryginału w polski język, oddanie odrębności stylistycznej cech oryginalnej wyobraźni. W tym rozumieniu przekładanie jest sztuką a już szczególnie poezji wysokiej miary, gdy rzecz dotyczy arcydzieła. W przypadku Netza wyjątkowe miejsce zajmuje „Eugeniusz Oniegin” Puszkina, a zdarzyło się, że przekład bez reszty go porwał, gdy jako rezerwista trafił do wojska i znalazł czas na skupienie, nie bez zabawnych sytuacji, bo czy miało miejsce kiedyś zdarzenie podobne? W latach ostatnich Feliks wrócił jeszcze do wydania nowej wersji przekładu swojego „Oniegina”. To oczywiście, że arcydzieło poezji można przekładać w nieskończoność. Na szczęście w tej wersji „Oniegin” trafił już do druku.

Z „Eugeniuszem Onieginem” wiąże się także największy sukces medialny tłumacza, kiedy to podczas trzech historycznych dni Katowic 21 – 23 czerwca 1993 roku, gdy Uniwersytet Śląski nadawał Josifowi Brodskiemu tytuł doktora *honoris causa*, w publicznej uroczystości w wypełnionym do ostatniego miejsca Teatrze Śląskim na scenie znalazł się także jako tłumacz Feliks Netz, w towarzystwie Czesława Miłosza, Josifa Brodskiego i Tomasa Venclovy oraz Stanisława Barańczaka i Andrzeja Drawicza. Dzień później odbyło się przyjęcie w Promnicach wydane na cześć Brodskiego z okazji wydania jego „20 sonetów do Marii Stuart” w tłumaczeniu Feliksa Netza (i ja tam byłem...). Podobnego święta poezji i literatury w najwyższym wydaniu, Katowice wcześniej nie przeżyły – ale czy jeszcze doczekają się takich dni?

Po dni ostatnie

Z tych ponad 50 lat współpracy i przyjaźni, najważniejsze były jednak te po roku 1990, gdy w nowej sytuacji ustrojowej pojawia się w życiu literackim pytanie – co dalej? Rynek wydawniczy i czasopisma w gruzach, organizacje pisarskie zmarginalizowane i bez znaczenia, a także zantagonizowane środowiska. Polityka kulturalna państwa nadal w kryzysie głównie na skutek chronicznego niedofinansowania. A jednocześnie szanse i możliwości, gdy otwierają się granice i nowe kontakty, no i nie ma cenzury. Mijają kolejne lata improwizacji i tymczasowości, całe środowiska zapadają się w niebycie, marnieją talenty a młode roczniki usiłują znaleźć wyjście z osaczenia.

Z Feliksem spotykamy się regularnie, a łączy nas przede wszystkim, jak w pierwszych latach przyjaźni – poezja, gdy ważne było pokazanie nowego utworu chociażby w rękopisie i wzajemne korygowanie tekstu na żywo. Zawsze będę miał w pamięci to zdarzenie, gdy jeszcze w mieszkaniu na Tysiącleciu, kie-

dy rodził się mój poemat „Pod Akropolem”, powiadomiony o tym telefonicznie Felek pojawił się natychmiast i brnął przez rękopis nie kryjąc uznania. I to nam pozostało: poezja – wzajemne zainteresowanie sobą co wiersz, jak teraz. Tak było i jest, bo najważniejsze jest już to, że mimo wszystko piszemy. Toteż, gdy nawiedzi mnie idea powołania nowej organizacji literackiej o charakterze regionalnym – Górnos Śląskiego Towarzystwa Literackiego, na listę członków założycieli podczas Zgromadzenia Założycielskiego 19 grudnia 1992 r. jako 6. wpisuje się Feliks Netz, choć wiem jak niełatwo mu się przemóc by poddać się presji zobowiązań organizacyjnych, kosztem pracy literackiej wyznaczanej przez narzucone sobie zadania tłumacza, a właśnie zbliżają się końcowe miesiące zmagania z „Eugeniuszem Onieginem”. Zrobił to, jak wiem, głównie dla mnie a i potem trwał przy kolejnych postanowieniach.

Najważniejszym celem było powołanie pisma – miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk”, gdy w wyjąłowych Katowicach nie było od lat gdzie zamieścić wierszy, opowiadania czy eseju. I to się w końcu udało po zniechęcających trudach przypominających swoistą Golgotę, gdy wypala się energia a ruszyć z miejsca nie można, bo i kogo obchodziła tu – a tak jest do dziś – literatura.

W końcu ruszamy od podstaw, w świetnym składzie pierwszego zespołu z Marianem Kisielem, Krzysztofem Karwatem, Jankiem Lewandowskim oraz Wiesi Konopelską (sekretarz redakcji) i Wojtkiem Łuką (opracowanie graficzne). Feliks Netz jako mój zastęp-

ca, któremu podlega literatura, gwarantuje doświadczenie zawodowe i autorytet wynikający z dorobku i kontaktów osobistych, w tym z młodym środowiskiem pisarskim. Pismo stabilizuje się z miejsca, ma wsparcie środowisk twórczych i szeroki odbiór. Sama redakcja staje się także miejscem spotkań i licznych imprez, które trzeba liczyć na setki. Tak mijają lata i wiele by wspominać. Jako odpowiedzialny za zbyt wiele, w tym pozyskiwanie funduszy, czuję jednak coraz większe zmęczenie i wpływ sił. Uznaję, że po 18 latach czas na zmianę sternika. Decyduję się na przekazanie piśma w inne ręce, po uzyskaniu zapewnienia Felka, że pozostanie w składzie redakcji, choć uzgodniłmiś kiedyś, że odejdziemy razem. Nie widziałem zresztą nikogo, kto mógłby go zastąpić w wielu rolach. Rozstanie przy sutym stole 27 grudnia w „Gwarku” było rzewne, choć już skład od pierwszej stopki zmienił się zasadniczo. Gdyby tylko spełniły się życzenia!

Do dziś zresztą nie wiem czy nie dręczyły mnie jakieś przeczucia, choć wcześniej nie było żadnych niepokojących sygnałów. Niedługo dni potem trafiłem na operacyjny stół, wkrótce po raz wtóry a niebawem wczesnym latem znalazłem się w Centrum Onkologii. A wysypywały się ze mnie akurat sonety, które Feliks wysoko oceniał. Kto mógł wtedy przewidzieć, że i jego dopadnie nowotwór i czeka go wkrótce nader trudna operacja, która owszem, była wyczynem chirurgicznym, więc rokowania były dobre. Lecz to już nie był ten Feliks Netz co zawsze, choć kiedy dojdzie odnowienia kontaktów z nadzieją mówimy o tym, co przed nami.

Wiosną 2014 roku znowu trafia do kliniki. Gdy 4 maja wchodzi do szpitalnego pokoju akurat podłączony jest do kroplówki. Z zamasztywej fryzury pozostał na głowie siwy puch, widać porażający spadek wagi, inna twarz i dłonie... Ale jest nadal pełen twórczych inspiracji i wciąż zapisuje w szpitalnym notesie nowe wiersze, choć dochodzi do utraty przytomności. Utwory, które znajdują się w zapowiadanym „Krzyku sowy” powstały w większości w tych warunkach; gdy tylko Felek trafi do domu – prześle mi większość tekstów i będę pod ich potężnym wrażeniem.

Ale może nie będzie aż tak źle? Gdy z końcem czerwca mam promocję moich „44 sonetów brynowskich” w Studio Polskiego Radia Katowice – zauważam na widowni Felka w tym charakterystycznym nakryciu głowy. Uśmiecha się, przesyła pozdrowienia, uściśniami się na pożegnanie. Następnie spotkamy się w Teatrze Śląskim 1 września, gdy Felek godzi się objąć ponownie funkcję przewodniczącego Rady Programowej. Jest aktywny, rozmowny, to dobry sygnał, że zbiera siły i takie też mam wrażenie już po wyjściu, gdy zmierzamy do domów, a ile mamy sobie do powiedzenia. Felek o „Krzyku sowy”, już w druku. Jeszcze nie wiemy, że nie zobaczymy się nigdy. W tym czasie, gdy już wydaje się, że największe zagrożenie minęło – ja po spotkaniu w Muzeum Literatury w Warszawie 23 października dowiaduję się, że czeka mnie kolejna operacja. Po Nowym Roku także Felek trafia do kliniki. Odtąd pozostaje tylko telefon, choć rozmowy są coraz bardziej zdławione. Kiedyś, gdy zadzwonił a telefon odebrała moja żona – tłumaczył się obolały: – *Wybaczcie, nie gniewajcie się, ale ja już nie mam sił nawet na rozmowę.* Cierpiał okrutnie.

W ostatnich tygodniach nawiedzały mnie dręczące obrazy. Trwałem w stanie półsnu, zapadania się, zmagania z niemocą. Feliks był jakby naprzeciw, oddech w oddech. Bałem się nocy i przebudzeń. Odczuwałem nieustające lęki. Tak do niedzieli 12 kwietnia. Było słoneczne popołudnie, gdy Beata zapytała obolałego, patrzącego w sufit męża: *Felku, czy idziesz do Mamy?...* Tylko westchnął i już nie podniósł głowy.

Pożegnaliśmy Feliksa Netza cztery dni później. Po mszy św. w Katedrze udaliśmy się grupami na cmentarz przy ulicy Francuskiej, gdzie spoczął. Jeśli powiem, że odszedł w pełni sił twórczych, to nie ma w tych słowach konwencjonalnej formuły. Przypomnijmy sobie tylko, co w ostatnim czasie napisał i co jeszcze czeka na wydanie, ten katowiczaniec i Ślązak z wyboru, który oddał swemu miastu wszystkie siły na miarę talentu.

TADEUSZ KIJONKA

FELIKS NETZ – ur. 26.12.1939 r. we wsi Kretki k. Brodnicy na Pomorzu. Poeta, prozaik, felietonista, publicysta, krytyk filmowy, tłumacz. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Debiutował zbiorem wierszy *Związek zgody* (1968), w tym samym roku wydał pierwszą powieść *Sio dni odpustu*. Twórca słuchowisk (m.in. *Mały traktat dla dorosłych* (1966), *Złota reneta* (1970, Główna Nagroda na Festiwalu Rozgłośni Regionalnych Polskiego Radia pt. „Wiosna opolska”), *Karta powołania* (1975, jedna z trzech nagród w konkursie Programu III Polskiego Radia na słuchowisko piętnastominutowe), *Ballada o familoku* (1977), *Carobójcy* (1990), *Harmonia* (1992, jedna z dwu nagród w zamkniętym konkursie na słuchowisko zorganizowanym przez Rozgłośnię Polskiego Radia w Katowicach), *Pokój z widokiem na wojnę polsko-jaruzelską* (2006, nagroda za scenariusz na festiwalu Dwa Teatry 2007, wyróżnienie na Prix Italia 2007), *Zegarek* (2008, II nagroda w konkursie zamkniętym na słuchowisko, zorganizowanym przez ZAiKS i II Program Polskiego Radia).

W minionych dwóch dekadach wydał m.in.: *Urodzony w święto zmarłych* (1995, powieść), *Wielki zamęt* (1996, felietony prezentowane na antenie Radia Katowice w latach 1990-1995), *Dysharmonia caelestis* (1994, powieść nominowana do nagrody Nike), *Trzy dni nieśmiertelności* (2014, tom wierszy, finalista Silesiusa), *Poza kadrem* (2006, teksty o filmach), *Ćwiczenia z wygnania* (2009, eseje i szkice, nominacja do Nagrody Mediów Publicznych COGOTO 2009). Znawca, komentator i tłumacz dzieł Sándora Máraiego (*Żar, Księga ziół, Występ gościnny w Bolzano, Krew San Gennaro, Pierwsza miłość, Dziedzictwo Estery, Wyspa, Niebo i ziemia*). Na druk czekają dwie pozycje tegoż autora: *Cztery pory roku* i powieść *Siostra*. Ostatnio wydał po raz pierwszy w języku polskim Mikołaja Gogola *Wybrane fragmenty korespondencji z przyjaciółmi*, w przygotowaniu nowy przekład *Eugeniusza Oniegina* Aleksandra Puszkina i obszerny wybór poezji Władysława Chodasiewicza *Lzy Racheli*.

Nota w oparciu o tekst autorski Feliksa Netza

Feliks Netz zmarł 12.04.2015 r. w Katowicach



W 2006 roku redakcję „Śląska” odwiedził Poeta – Tadeusz Różewicz. Po latach, kiedy przyszło nam żegnać Feliksa Netza nazwaliśmy go „śląskim Różewiczem”...

Feliks Netz w „Śląsku”

Naszą wędrowkę w przeszłość trzeba rozpocząć od oczywistego, choć nie banalnego stwierdzenia, że „Śląsk” i Netz to zjawiska nierozzerwalne. Nie byłoby pisma w ogóle, nie byłoby takiego pisma, gdyby nie jego obecność w redakcji – przez 18 lat fizyczna, niemal totalna i permanentna, a od ponad roku duchowa i intelektualna. Gdyby nie jego przekłady, wiersze, proza, krytyka filmowa i literacka, eseje, felietony, scenariusze, a także dokonywany przez niego wybór poetów i prozaików publikowanych na łamach miesięcznika. Dorobek autora *Dysharmonii caelestis* w „Śląsku” jest doprawdy imponujący. Należy mu się przyjrzeć z uwagą w tym szczególnym numerze, w którym pochylamy się nad całym życiem nieodżałowanego kolegi redakcyjnego.

Od listopada 1995 roku do stycznia 2014 roku, czyli przez 218 numerów, był zastępcą redaktora naczelnego. Na tym stanowisku współpracował kolejno z Tadeuszem Kijonką (do grudnia 2012 roku), Krystianem Gałuszką (do czerwca 2013 roku) oraz Witoldem Turantem (do stycznia 2014 roku). Nie była to jedyna funkcja, jaką pełnił w „Śląsku”. Nad doбором utworów literackich czuwał *de facto* od zawsze, a od października 2014 do kwietnia 2015 roku formalnie kierował działem prozy i poezji.

Czytelnicy naszego pisma zapamiętają go jednak przede wszystkim jako krytyka filmowego. W redagowanym przez

siebie cyklu „Poza kadrem” omówił 165 filmów polskich i zagranicznych. Na przestrzeni blisko 14 lat istnienia rubryki (nr 2/2000 – nr 12/2013) przeprowadził nas przez takie tytuły, jak: *Dług* Krzysztofa Krauzego (nr 2/2000), *Cyrulik syberyjski* Nikity Michalkowa (nr 4/2000), *Trzeci cud* Agnieszki Holland (nr 7/2000), *Duże zwierzę* Jerzego Stuhrera (nr 10/2000), *Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową* Krzysztofa Zanussiego (nr 2/2001), *Hannibal* Ridleya Scotta (nr 9/2001), *Cześć Teresa* Roberta Glińskiego (nr 12/2001), *Amelia* Jeana-Pierre’a Jeuneta (nr 2/2002), *Stacja* Piotra Weresniaka (nr 6/2002), *Edi* Piotra Trzaskalskiego (nr 12/2002), *Solaris* Stevena Soderbergha (nr 3/2003), *Telefon* Joela Schumachera (nr 8/2003), *Pornografia* Jana Jakuba Kolskiego (nr 12/2003), *Między słowami* Sofii Coppoli (nr 3/2004), *Słoń* Gusa Van Santa (nr 9/2004), *Za wszelką cenę* Clinta Eastwooda (nr 4/2005), *Persona non grata* Krzysztofa Zanussiego (nr 10/2005), *Wszyscy jesteśmy Chrystusami* Marka Koterskiego (nr 7/2006), *Plac Zbawiciela* Krzysztofa Krauzego i Joanny Kos-Krauze (nr 11/2006), *Katyn* Andrzeja Wajdy (nr 10/2007), *Czeski sen* Vity Klusáka i Filipa Remundy (nr 12/2007), *Boisko bezdomnych* Katarzyny Adamik (nr 11/2008), *Mała Moskwa* Waldemara Krzystka (nr 1/2009), *Rewers* Borysa Lankosza (nr 12/2009), *Różyczka* Jana Kidawy-Błońskiego (nr 4/2010), *Wydalony* Adama Sikory (nr 3/2011), *Młyn i krzyż* Lecha Majewskiego (nr 5/2011), *Pokłosie* Władysława Pasikowskiego

(nr 12/2012), czy wreszcie *Ida* Pawła Pawlikowskiego (nr 12/2013), którą zakończył cykl „Poza kadrem”. Już sam tytuł rubryki wskazuje, iż Netz w swoich krytycznych tekstach nie tylko opisywał, ale także analizował i interpretował, nie tylko spoglądał na bohaterów i ich perypetie, ale również często opuszczał plan filmowy, by przyjrzeć się szerszym kontekstom omawianych dzieł. Zawsze wypowiadał się jako rzetelny znawca kina i równocześnie dobry gawędziarz, dlatego jego artykuły czyta się z zapartym tchem niczym opowieści. Poza tym liczba przedstawionych tytułów dowodzi niezwyklej pracowitości krytyka oraz wyjątkowej fascynacji X Muzą. Cykl ten jest także odzwierciedleniem sporego kawałka historii polskiej i światowej kinematografii.

Znacznie mniej pozostawił nam krytycznych omówień literatury, ale i tych nie zabrakło na łamach „Śląska”. Przybliżył czytelnikom 22 książki, w tym: *Debiut z aniołem* Jerzego Górzeńskiego (nr 12/1998), *Pomiędzy* Renaty Putzlacher (nr 11/2002), *Metafizyka* Lecha Majewskiego (nr 3/2003), *Finis Silesiae* Henryka Wańka (nr 5/2003), *Poematy* Bohdana Zadury (nr 1/2004), *Dzienniki 1927-1969* Anny Kowalskiej (nr 11/2008), *Kawior i popiół* Marci Shore (nr 9/2009), *41* Wojciecha Kasasa (nr 6/2011) oraz *Dwanaście dni* Janusza Drzewuckiego (nr 11/2013), która była ostatnią publikacją zrecenzowaną przez Netza w „Śląsku”.

Zapamiętamy go również jako doskonałego eseistę i felietonistę, o lekkim,

ale i niezwykle ciętym piórze. Gdy pisał o katastrofie w kopalni „Wujek-Ruch Śląsk”, mającej miejsce we wrześniu 2009 roku, nie zawahał się nawet zacytować wulgaryzmu, który oddawał całą dramatyczność tego wypadku, nie zrezygnował z ostrej krytyki „góry”, która w jego odczuciu nabrała cech zwierzęcych w stosunku do pracowników dołowych i traktowała ich niczym niewolników planu wydobywania (nr 10/2009).

Publicystyczne pióro Netza było wnikliwe, dowodziło ogromnego czytania i orientacji w temacie, posiadało także własny rozpoznawalny styl. Niezależnie od problematyki, którą autor brał na warsztat – mógł to być życiorys profesora Józefa Pietera (nr 10/1999), twórczość filmowa Andrzeja Wajdy (nr 3/2000), rodzinne miasto Sándora Máraia (nr 10/2002) czy wspomnienie o Jerzym Kawalerowiczu (nr 2/2008) – zawsze wypowiadał się językiem znawcy, pasjonata i niezwykle świadomego odbiorcy, a zarazem twórcy kultury. Warto przynajmniej wymienić, jakimi zagadnieniami zajmował się jeszcze na łamach „Śląska”. Otóż, przybliżył nam problem urodzonych w Stalinogrodzie (nr 4/2002), twórczość esejistyczną Imre Kertésza (nr 12/2002), snuł rozważania wokół filmów nagrodzonych Oscarem (nr 5/2003), przedstawił dzieje Zespołu Filmowego „Silesia” (nr 6/2003), omówił twórczość Lecha Majewskiego (nr 6/2003), przeanalizował zjawisko chamstwa w arcydzielnym eseju pełnym językoznawczych, literackich i historycznych dygresji (nr 9/2003), zgłębił istotę wygnania i towarzyszącej mu samotności pisarzy XX wieku, szczególnie Sándora Máraia (nr 1/2004), zdiagnozował polityczną chorobę Polski w 15. roku transformacji (nr 5/2004), pochylił się nad życiem i twórczością Josepha von Eichendorffa (nr 6/2004), przyjrzał się filmom Kazimierza Kutza wyświetlonym w ramach festiwalu Nowe Horyzonty (nr 9/2004), rozważył okoliczności i atmosferę 60. rocznicy wyzwolenia obozu zagłady Auschwitz-Birkenau (nr 3/2005), napisał wspomnienie o Ryszardzie Pászendzie (nr 6/2005), przedstawił życie i twórczość Henryka Bereski (nr 11/2005), dokonał rozrachunku z rokiem 2005, wskazując fakty, dzięki którym go zapamiętaliśmy, a był to przecież rok śmierci Jana Pawła II (nr 1/2006), ostro rozprawił się z lekturowymi pomysłami słynnego niegdyś ministra edukacji (nr 7/2007), przybliżył historię Radia Katowice (nr 1/2008), napisał wspomnienie o Aleksandrze Sołżenicynie (nr 9/2008), snuł esejistyczne rozważania wokół problemu samobójstwa (nr 11/2008), omówił prozę Kazimierza Kutza *Piąta strona świata* (nr 3/2010) i wreszcie pozostawił nam sylwetkę Tadeusza Różewicza, którą przygotował po jego śmierci (nr 6/2014).

W ramach szeroko rozumianej publicystyki wspomnieć należy także cykl 10 felietonów radiowych „Radio-Katowice”, które ukazywały się na stronie A kolorowej wkładki miesięcznika (nr 3/1996 – nr 12/1996). Stanowią one przykład kolejnego rodzaju aktywności Netza – pracy redakcyjnej w radiu. Jej owocem była książka powstała na zamówienie katowickiej rozgłośni – *Róg Ligonia i Królowej Jadwigi* (Katowice, 1997), której fragment został opublikowany w numerze wrześniowym z 1997 roku.

Feliks Netz to jednak nade wszystko poeta, prozaik, scenarzysta i tłumacz z pięciu języków (niemieckiego, rosyjskiego, węgierskiego, angielskiego i hiszpańskiego). Czytelnicy „Śląska” mogli zetknąć się także i z tym rodzajem jego artystycznej działalności. Wśród opublikowanych w czasopiśmie wierszy należy wymienić: *Elegię na śmierć Rudzika* (nr 4/1996), *Ars poetica*, *Nie tak dawno* oraz *Nie obchodzi mnie* (nr 5/2009), utwory poetyckie *Śniła mi się Polska* oraz *Barbarzyńcy (2)* (nr 9/2014), jak również wydrukowane pośmiertnie *Dwie śmierci* z ostatniego tomiku *Krzyk sowy* (nr 4/2015). Wnikliwy odbiorca może się jeszcze doszukać żartobliwych *Nagrobków*, które ukazały się w cyklu „Podkopki” (nr 5/2000).

Łamy „Śląska” gościły także prozę Netza. Autor pozostawił nam następujące utwory: *Balladę o familoku* (nr 8/1996), *Miasto nierzeczywiste* (nr 10/1996), *Kulawego diabła* (fragment powieści) (nr 9/1999), *Opis miejsca zajścia* (nr 9/2000), *Wyjście z kotliny dinozaurów* (fragment powieści *Dysharmonia caelestis*) (nr 12/2004), *Odchodzimy* (opowiadanie osnute na wydarzeniach smoleńskich) (nr 4/2011) oraz *Nikość* (fragment powieści) (nr 10/2013). Ponadto ukazały się drobne utwory prozatorskie w odcinkach zamieszczonych w cyklu „Podkopki” – *Trzyminutowa nowelka* (nr 9/1997 – nr 8/1998) oraz *Nowelka pięciominutowa* (nr 9/1998 – nr 12/1998 i nr 2/1999).

Wydrukowaliśmy również dwa scenariusze: *Pokój z widokiem na wojnę polsko-jaruzelską* (nr 12/2006) oraz *Posła Pana Boga. Rzecz o Henryku Sławiku* (nr 4/2008).

Na zawsze w archiwalnych numerach pozostały też liczne tłumaczenia Netza. Najczęściej gościliśmy jego przekłady twórczości Sándora Máraia: *Dziennik 1956* (nr 10/1996), *Świece palą się do ogarka* (nr 11/1999), *Wspomnienia mieszczanina: Egy Polgár Vallomásai* (nr 10/2002), *W krzyżowym ogniu pytań* (nr 4/2004), *Pierwsza miłość* (nr 4/2006) oraz fragment powieści *Siostra* pod redakcyjnym tytułem *Warszawa padła* (nr 9/2011). Ponadto tłumacz pozostawił nam translacje utworów takich pisarzy, jak: Matthias Kneip (nr 4/1997), Imre Forbath (nr 8/1997), György Gómöri (nr 4/2001, nr 10/2004, nr 10/2006),

Dezső Kosztolányi (nr 2/2002), Gábor Zsille (nr 8/2002), Imre Kertész (nr 12/2002), Josef Škvorecký (nr 1/2003), Justo Jorge Padrón (nr 6/2003), István Vörös (nr 7/2004) oraz Federico García Lorca (nr 11/2012).

Obecność Feliksa Netza w „Śląsku” to także krytyka literacka książek jego autorstwa oraz przez niego tłumaczonych. W pierwszym numerze z 1995 roku ukazał się dwugłos Janusza Stycznia oraz Dariusza Nowackiego na temat powieści *Urodzony w święto zmarłych*. Wspomnianą publikację *Róg Ligonia i Królowej Jadwigi* zrecenzował Wojciech Sarnowicz (nr 3/1998). *Dysharmonię Caelestis* omówił Henryk Waniek (nr 2/2005), a zbiór esejów *Ćwiczenia z wygnania* Adrian Gleń (nr 6/2009). Wydrukowaliśmy także recenzje książek, które ukazały się w przekładzie Netza. I tak Sándora Máraia *Dziedzictwo Estery* przedstawiła Sabina Kwak (nr 3/2009), *Wyspę* omówiła Roksana Ziora (nr 5/2010), a *Niebo i ziemię* zrecenzował Michał Paweł Urbaniak (nr 9/2011). Z kolei Jacek Lyszczyzna przybliżył czytelnikom ostatnią publikację tłumacza z 2015 roku *Lament na śmierć Ignacia Sánchez Mejías. Llanto por Ignacio Sánchez Mejías* Federico Garcii Lorki (nr 3/2015). W bieżącym numerze zamieściliśmy już pośmiertnie omówienie ostatniego tomiku poetyckiego *Krzyk sowy* (autor rec.: Ryszard Bednarczyk).

Ostatnimi elementami mozaiki, jaką układają się nam na łamach „Śląska” w bogaty obraz Feliksa Netza, są wywiady z nim oraz artykuł na jego temat. O fascynacji kinem autora *Białej gorączki* pisał Jan F. Lewandowski w szkicu *Netz filmowy* (nr 12/2009). Szczególnie ważne są jednak dla nas jako kolegów redakcyjnych dwie rozmowy, których już nigdy nie będziemy mogli przeprowadzić na żywo, a które niegdyś przygotowali Marian Kisiel (nr 8/2002) oraz Witold Turant (nr 12/2009). Niech pozostanie w nas zatem niczym testament ostatnia odpowiedź, jakiej pisarz udzielił w 2009 roku swemu rozmówcy, Witoldowi Turantowi. Na pytanie: „Czy zastanawiałeś się kiedyś, kim jest Twój czytelnik?”, odrzekł: „To jest inteligent, który w każdej istotnej sprawie gotów jest zachować odrębne stanowisko. Czasem przychodzi do mnie, odnajduje mnie w redakcji. Czasem spotykam go na tzw. spotkaniu autorskim, w Katowicach, w Warszawie, w Szczecinie, w Koszycach, w Berlinie, w Budapeszcie. Ilu ich mam? Czy można powiedzieć, ilu pisarz powinien mieć czytelników? Dobrze jest, jeśli mamy trzystu czytelników i dla nich należy pisać. Ale trzeba założyć, że każdy z tych trzystu czytelników jest tak wymagający jak... Sándor Márai powiedziałby: jak Goethe! A czy nie można pisać dla człowieka mniej wymagającego? Oczywiście, że można, odpowiada Márai, ale nie warto”.

Obcy z Felső-Szilézia

Połowa lat 80. Gdzieś w biegu, chyba na korytarzu ktoś mnie przedstawia. Bo niebawem mamy zostać kolegami redakcyjnymi, a nawet we dwójkę dzielić ten sam pokój. Przy katowickim Rynku, i to przez parę lat. Właśnie dostałem etat publicysty w poczytnym tygodniku „Tak i Nie”. – Cieszę się, że pana przyjęli. Wódkę wypijemy innym razem – Feliks Netz, jak tyle razy później, na powitanie silnie uściśnął mi dłoń.

Mija trzydzieści lat, a butelka pozostaje nieotwarta, i taka już będzie na zawsze. Wtedy jednak nie mogłem wiedzieć, że Felek był nieledwie abstynentem. Unikał biesiad towarzysko-literackich, a jak już nie mógł się wywinąć, to i tak uciekał po pierwszym toaście.

Cierpiał na mizantropię? Chyba jednak nie, a w każdym razie – to nie to słowo. Przecież lubił głośno się śmiać, nieustannie dowcipkował, z lubością opowiadał najpięprzniejsze z najpięprzniejszych kawałów, ze swych bieżących lektur książek i filmów *ad hoc* wykuskiwał pyszne anegdoty, przy każdej okazji z biografii i dzienników artystów najchętniej wyjmował rozmaite śmieszności i człowiecze słabostki, z ognikiem w oczach czekając na nasze reakcje, a na deser – zawsze na weselo – komentował wypadki i wypadki aktualnych polityków. Słowem – sprawiał wrażenie człowieka, który trzyma rękę na pulsie rzeczywistości i za żadne skarby świata tego kontaktu nie chce i nie zamierza utracić. Ba, po ilus tam latach pracy w „Śląsku” nabrałem podejrzeń, że Felek traktuje nasze redakcyjne posiadłości nie tyle jako naturalne miejsce pracy i ekspresji twórczej, co przede wszystkim – jako swoiste *forum publicum*. Bywał w te dni, jak spuszczoney ze smyczy pies, który musi się wśród bliźnich (i na bliźnich) naszczekać, bo na co dzień siedzi w oddalonej od sadyb ludzkich budzie, gdzie wiedzie pracowity, ale z konieczności samotniczy los.

Samotniczy, bo swe posłannictwo pisarskie traktował bardzo poważnie. Układał myśli i zdania codziennie. Przez całe życie. W kapitalnej rozmowie, która otwiera jedną z jego najważniejszych książek, *Ćwiczenia z wygnania*, wyjaśniał Marianowi Sworzeniowi: „Od początku pisałem rzeczy różne, «wierszem i prozą». Od początku też tłumaczyłem. Czytałem i czytam nadal, piszę o filmach i książkach. Od czterdziestu lat piszę słuchowiska, co tydzień felieton radiowy, z czasem układają się z tego książki. W jednym jestem systematyczny i regularny: codziennie tłumaczę, niekiedy godzinę, dwie, częściej pięć, sześć godzin. Przerywam, wychodzę z psem do lasu,

wracam, dalej tłumaczę. Aż wykonam dzienną normę”.

Nie marnował czasu, bo nie miał czasu. Stąd ta jego szybkość w działaniu, żywiołowość, ruchliwość, energia. I ta ekspresja, którą obdarowywał i zarażał tych, którzy jakoś tam napataczali się na jego drogę. I stąd te ucieczki w pisarską samotność, gdzie jednak nie czuł się opuszczony, bo towarzyszyli mu tacy, jak Sándor Márai – ów największy z największych samotnych wilków. Zapewne to w jego towarzystwie Felek czuł się najlepiej. Chciał i umiał dostrzec w jego dziele i życiu jakąś wspólnotę losu, choćby nawet odległą?

Nie wykluczam tego. Netz nigdy nie ukrywał, że fascynuje go nie tylko piarstwo autora *Żaru*, jego tak bardzo rozległa i różnorodna twórczość, ale także postawa moralna i intelektualna. Budziła w nim podziw i – równocześnie – niepokój cena, jaką Márai gotowy był płacić za niezależność i wierność samemu sobie. Samobójstwo chorego, sędziwego, staczającego się w starczą niemoc Węgra, musiało Netzowi otwierać wyobraźnię, kierować w stronę eschatologii, pytań i odpowiedzi najważniejszych w życiu każdego wrażliwego i otwartego na metafizykę codzienności człowieka. Czyż te właśnie kwestie nie porwały Netza „od zawsze”?

Otwieram tomik *Z wilczych dołów*, z roku 1973. Skąd się wziął w mojej domowej bibliotece, skoro przecież wtedy nie mogłem jeszcze znać i czytać polskich poetów, zwłaszcza tych trzydziestoletnich? Z książki wypada kartka, a na niej kilka uwag w formie równoważników zdań. Rozpoznaję, z oczywistym rozręwnieniem: to mój charakter pisma! Ale jeszcze nie z czasów redaktorskich, raczej późnolicealnych, może studenckich. Bo, choć dość późno stanąłem na Felkowej drodze, to jego twórczość trochę już znałem wcześniej (np. debiutancką powieść *Skok pod poprzeczką*, z roku 1972). A teraz, po tylu latach przepisyję całość z owej karteczki, wyrwanej zapewne ze szkolnego zeszytu: „poezja filozofująca”, „wyrafinowane metafory” (*skrzydła żrenicy*), „zabawy językowe”.

Sprawdzam. Chyba się nie pomyliłem. Netz wpasowywał się w reguły i poetyki, obowiązujące na przełomie lat 60. i 70.,

był wychowankiem tej epoki, choć w kolejnych dekadach wolał odwoływać się do swego dzieciństwa i wczesnej młodości, a także do literatury, raczej właśnie wówczas powstającej: *sny moje żytnie worki noszę pod oczami / i mokre ziarna miały skrzydła żrenicy // po wieki wieków rozbudzony duch mój nad wodami / sieje już tylko strach – na wróble – zaczążone w sieni* (z wiersza *sny moje żytnie*).

Zawsze lubiłem poezję Felka, choć bardziej te z kolejnych etapów jego życia (im późniejsze, tym lepsze?). Na przykład z tomiku *Wir*, wydanego w roku 1985, bo w nim pojawiły się już nowe, a później stałe obecne w jego twórczości wątki, fascynacje i – także – zadziwienie tragicznym losem najwybitniejszych pisarzy i artystów węgierskich, w jakże wielu przypadkach ginących z własnej ręki albo w niewyjaśnionych nigdy okolicznościach (takim „instruktażem śmierci” pozostaje wiersz *Węgierski syndrom*). I pomyśleć, że Felek nie znał jeszcze wówczas Sándora Máraiego. Ba, nawet nie wiedział, że ktoś taki istnieje! Ujawnił ten fakt w *Urodzonym w Europie*, wspaniałym eseju ze wspomnianych już *Ćwiczeń z wygnania* (nawiasem mówiąc, czy można dziś w Polsce choćby zbliżyć się do twórczości Máraiego, bez pośrednictwa i nie tylko translatorskiej pomocy Netza?)

Na koniec pytanie dziwne. Może nie stosowne w tej chwili? A może właśnie dopiero teraz wolno mi je zadać, choćby tylko sobie? A zatem: Feliks Netz – poeta i tłumacz, powieściopisarz i krytyk, felietonista i eseista, publicysta i redaktor, radiowiec i dziennikarz – w jakiej z tych ról i profesji czuł się najlepiej, na którym z tych pól pozostawił najdorodniejsze plony? W planie osobistym i poniekąd autobiograficznym najważniejsze pozostają dwie powieści: *Urodzony w święto zmarłych*, z roku 1995 i o dziesięć lat późniejsza *Dysharmonia caelestis*. O Máraim mowa już była. To odrębny rozdział. W pewnym sensie była nim również wieloletnia przygoda translatorska z *Eugeniuszem Onieginem*. A wiersze? Zwłaszcza te z ostatnich lat. Do nich też – jestem pewny – będziemy jeszcze z przejęciem wracać. Zabraknie tylko tego, co Netz na bieżąco śledził – w kinie, literaturze, polityce – wielokrotnie przekraczając zwyczajowe ramy gatunkowe, bo w tych obszarach jego piarstwa nieraz trudno było rozstrzygnąć, co jest jeszcze recenzją, co już felietonem, a co z publicystyki przegradza się w refleksję eseistyczną, bywało, że po mistrzowsku sprozaizowaną i podciągniętą w rewiry, niedostępne ni jednemu piszącemu, niechby nawet tak jak on erudycyjnie przygotowanemu do podejmowania najtrudniejszych tematów. Bo w tych tekstach biła po oczach niecodzienna jasność stylu i umysłu. Netz opłynał język rozmowy i głębokiego dialogu – przede wszystkim z samym sobą tudzież naszym europejskim i polskim dziedzictwem kulturowym. No, i koło się zamyka. Więc jednak Poeta i Poezja, cokolwiek miałyby te słowa znaczyć? Tej niedookreśloności tego piarstwa, które przecież zawsze jakoś chciałem – także ja-

ko recenzent wielu jego książek – choćby tylko na swój użytek nazwać, będzie mi najbardziej brakowało.

A w perspektywie – by tak powiedzieć – prywatnej, osobistej? Czego mi zabraknie? Jego żartów na poczekaniu, najchętniej przy kolegialnym stole, inscenizowanych krotkowił, przyozdobionych w twarz trefnisa, stale przygotowaną na głośny śmiech (pamiętamy, jest takie zdjęcie, z jednego z pierwszych posiedzeń redakcji „Śląska”, gdy Felek włożył sobie na głowę nasze pismo i zrobił z niego pajacowaty daszek). Ale i tej jego powagi mi zabraknie, która czasem przyćmiewała mu oblicze i zaciemniała wrodzony optymizm, nakierowując – zapewne – w stronę jego codziennej harówki literackiej, gdzie – tak to widzę – wpadał w objęcia Sándora Máraiego. Może swego jedyne prawdziwego przyjaciela? Jak on – wyrwanego przez historię ze swego kulturowego matecznika, wypchniętego poza przestrzeń, w której mógłby się (chciałby się?) znaleźć. Obcego wśród swoich, swego wśród obcych.

Felek próbował oswoić Górną Śląsk. Felső-Szilézia – jak kiedyś z rozczuleniem przeczytał w dziennikowym zapisie Máraiego z września 1939 roku. I jego rozmaite osobliwości. Ale szło mu jak po grudzie, nawet jeśli – również, a może przede wszystkim dla własnego zdrowia – pisał rzeczy tak mądre, dobre i „śląskie”, jak *Pokój z widokiem na wojnę polsko-jaruzelską*. Nawet jeśli deklarował w wywiadach (i przyjaciel-



„Pamiętamy, jest takie zdjęcie, z jednego z pierwszych posiedzeń redakcji «Śląska», gdy Felek (na zdjęciu w środku) włożył sobie na głowę nasze pismo i zrobił z niego pajacowaty daszek”. A wraz z nim (od lewej): Krzysztof Karwat, Marian Kisiel, Wojtek Luka, Jan Lewandowski i Tadeusz Kijonka.

skich rozmowach), że już poza Górną Śląsk na pewno „się nie wybiera”, to czuć było w tych jego zwierzeniach może nie tyle rezygnację i gorycz, co mężne przyjęcie takiego właśnie wyroku. Czy własnego? Boskiego? Już sam fakt, że jednak takie wątpliwości nosił w sobie (bo przecież dziennikarze ani najbliżsi koledzy wcale go nie pytali o zamiar „emigracji”), dowodzi, jak trudno było mu się tutaj zmieścić. Dlaczego? Bo źle mu się oddychało w zatęchłej i podminowanej koniecznością nieustannych kompromisów atmosferze prowincji, która każdego ściągnie w dół, choćby się nawet

francuskimi perfumami spryskał. A takie – przez długie dziesięciolecia – były „Katowice i okolice”. Katowice Feliksa Netza.

Pamiętam. Kiedyś, chyba jeszcze w latach 80., chciał stąd uciec i nawet wykonał już pierwsze kroki. Próbował zaszyć się w Beskidach. Ale szybko wrócił. Trochę się potem ogrodził i pozamykał furtki, z których mogłoby wiać nudą czy stęchliną. I mozolnie prowadził – na własny i czytelniczy użytek – swoje osobiste „ćwiczenia z wygnania”.

KRZYSZTOF KARWAT

Filmowa „kromka chleba”

Feliksa Netza poznałem osobiście jako redaktora „Panoramy”. Zostałem zaskoczony miłym przyjęciem, ale nie miało to żadnego związku z filmem. Przyniosłem mu wówczas swój tekst o Marii Płonowskiej, mało znanej, ale ciekawej malarce. Znaczący zbiór jej obrazów znalazł się w niezwykłej galerii, jaką stanowiło mieszkanie M-3 w Olkuszu. Nie przypuszczałem, że później spotkamy się na innym polu jego zainteresowań, jakim był film.

Na przełomie lat 60. i 70. w Katowicach nie było bazy filmowej, ani też środowiska filmowego. Działo tu wówczas kilka DKF-ów prowadzonych przez filmowych pasjonatów. Feliksa Netza spotykaliśmy w studenckim Dyskusyjnym Klubie Filmowym „Kino-Okno” kierowanym przez Jana Lewandowskiego i niżej podpisanego, na pokazach filmów niedostępnych w szerokim rozpowszechnianiu.

Był wówczas jedynym na Śląsku krytykiem filmowym z prawdziwego zdarzenia. Jego zainteresowanie filmem w naturalny sposób spotkało się z inicjatywą Kazimierza Kutza, któremu na początku 1972 roku udało się stworzyć w Katowicach, pierwszy poza Warszawą, zespół filmowy. Kutz poznał Netza już wcześniej, w redakcji „Poglądów” i uznał, że nie było lepszego kandydata na stanowisko kierownika literackie-

go zespołu „Silesia”. Pełnił tę funkcję do 1975 roku. Jego, nazwijmy to „instytucjonalne”, związki z filmem nie skończyły się z chwilą odejścia z zespołu Kutza. Po latach włączył się w działalność Śląskiego Towarzystwa Filmowego, które przez jakiś czas współdzieliło z „Silesią”, a później, dzięki Kutzowi, odziedziczyło lokal przy Szafranka 9



w Katowicach. Spotykaliśmy się na zebraniach zarządu stowarzyszenia. Te zebrania często miały charakter bardziej towarzyski niż oficjalny.

W 1974 roku na ekrany wszedł zrealizowany według jego pierwszego scenariusza debiut Krzysztofa Wojciechowskiego, „Kochajmy się”. Zrealizowany w autentycznej scenarii i z udziałem grających samych siebie mieszkańców wsi poetycki dramat otrzymał kilka prestiżowych nagród. Napisał również scenariusz „Białej gorączki” Marka Wortmana, według własnej, wydanej w 1972 roku powieści.

W przypadku filmu o pacyfikacji kopalni „Wujek” Kazimierza Kutza poezja i film znalazły niezwykle harmonijną spójność. Kultowy niemalże tytuł „Śmierć jak kromka chleba”, został zaczerpnięty z przejmującego wiersza Feliksa Netza „Dnia siódmego”.

Feliks Netz kochał kino. Teksty publikowane przez lata w różnych pismach, poczynając od „Poglądów”, a kończąc na „Śląsku”, a także emitowane przez Radio Katowice felietony filmowe, umieszczały omawiane tytuły w szerokim kontekście, społecznym, politycznym i kulturowym. I pozostaną najważniejszym świadectwem jego filmowej pasji.

EDWARD KABIESZ

Całkowita obecność

Nie wiem, czy przydarzało się to każdemu młodemu piszącemu, że w wieku dwudziestu kilku lat chciał poznać jak najwięcej pisarzy czy poetów starszych od siebie, znanych z lektury czy też omówień, stanowiących w młodej, lekturowej konstelacji ważny, frapujący punkt odniesienia. Dla mnie było to zawsze ważne przeżycie, kiedy, jako młody nieopierzony człowiek – rojący sobie poetyckie zaświaty – takiego kogoś mogłem spotkać na swojej drodze.

Zanim wydałem swoje dwie książki poetyckie, byłem na początku lat dziewięćdziesiątych autorem arkusza poetyckiego i kilku publikacji swoich wierszy. W Katowicach tworzyliśmy silną grupę pod wezwaniem, staraliśmy się robić sporo poetyckiego fermentu, korzystając ze śląskiego inwentarza niedużych co prawda, ale będących w bliskim zasięgu możliwości ewokowania swoich plodów poetyckich. Myślę tutaj o instytucjach i czasopiśmie. Siłą więc rzeczy – tak to teraz odbieram – trafiliśmy (ja oraz Bartek Majzel) do redakcji świeżo powstałego w 1995 roku miesięcznika „Śląsk”, z zamiarem przedłożenia swoich wierszy, w celu ich ewentualnej publikacji. Pierwszym lokum tejże redakcji był budynek przy ul. 3 Maja, znany nam dotychczas z częstych wizyt w kinie „Światowid”. Pamiętam, że weszliśmy i zapytaliśmy jakąś panią o możliwość skontaktowania się z którymś z redaktorów. Pani odesłała nas do drugiego pokoju, a tam zastaliśmy Feliksa Netza. Opowiedzieliśmy o celu naszej wizyty. Feliks przedkroczony przeszedł do meritum, informując nas – ku naszemu lekkiemu zdziwieniu – że zna naszą twórczość, że czytał nasze wiersze w „Nowym nurcie” i „Kresach”, że tak, jak najbardziej, chętnie się im przyjrzy i postara się je – może nie wszystkie – opublikować. Pamiętam, że po wyjściu z redakcji byłem niezwykle rad z owego spotkania, albowiem pozostawałem pod wrażeniem doskonałej orientacji Feliksa w najmłodszej literaturze i tego, jaki emanował z niego zapal, jeśli chodzi o tworzenie w Katowicach częstych spotkań nie tylko na łamach „Śląska”, ale i też na forum publicznym, o czym parokrotnie w rozmowie wspominał. Oczywiście, znałem twórczość Netza. Jego tom wierszy pt. *Wir*, zakupiony na początku lat dziewięćdziesiątych, przeczytałem parę razy, zaś jego powieść *Urodzony w Święto Zmarłych* dość mocno przeżyłem. Korzystając z nadarzającej się okazji wręczenia Feliksowi swych pierwszych tomów, wiedziałem już, że mam w nim wnikliwego czytelnika. Nie ukrywam – imponowało mi, kiedy, jakiś czas potem, Feliks aprobatywnie mówił

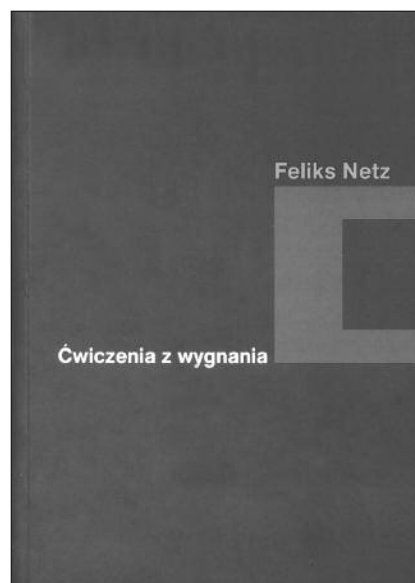
o swoich odczuciach z lektury owych tomów.

Rzecz, która od razu mnie w nim ujęła, przykuła uwagę i kazała pilnie go słuchać, to niebывале oddanie literaturze, pasja ogarnięcia i przeniknięcia każdego, nęcącego go aspektu czy wątku, przeświecenia myśli czy zagadnienia. Takie właśnie odnosiłem wrażenie, kiedy czytałem jego teksty poetyckie, prozatorskie, esejistyczne lub recenzenckie. Właśnie, owa uwaga w śledzeniu i dogrzebywaniu się do subiektywnego sedna, wykradanie dla czytelnika detali czy szczegółów z omawianych lektur czy filmów, zaciekle tropienie losów myśli literackich bohaterów, a wszystko to wsparte głębinową wiedzą – historyczną lub biograficzną – stanowiły i stanowią dla mnie imponujący przykład wiecznej konfrontacji z *innym*, wypełniony empatią i nieusuwalną wolą zrozumienia *innego*. Tak właśnie dzieje się na każdym polu literackiej działalności i aktywności Netza. Jak wiersz – to totalny, zespalający zarazem przygody treści i potyczki języka, jak powieść – to całkowita, do cna realizująca indeks autorskich intencji i zamiarów, a jak wywiad – o czym zdążyłem się niezwykle dobitnie przekonać, kiedy takowy z nim, wraz z Krzyskiem Siwczym, miałem okazję przeprowadzić – to opowieść wielotorowa, wprowadzająca czytelnika w delty hipnotycznych rozpoznań, przeżyć czy emocji. *Ćwiczenia z wygnania*, opasły tom esejów literackich, wydany w Instytucie Mikołowskim w 2008 roku, pokazał mi Netza w stanie permanentnego napięcia, generowanego czystą pasją dociekania niedocieczonego, który – niczym alchemik – wytapia w tyglu swoich lekturowych przeżyć niebывалы amalgamat odczytań i jednostkowo wizję przywołań tego, co tytułowo *wygnane*.

To wszystko, o czym nieśmiało starałem się tutaj napisać, skojarzeniowo jawi mi się jako trans. Ten, który Feliks ma w sobie i ten, który udziela się za każdym razem, kiedy się go czyta.

* * *

Powyższe refleksje napisałem sześć lat temu na prośbę Feliksa, który w 2009 roku obchodził 70. urodziny, i z tej okazji przygotowana została przez Wydawnictwo „Śląsk” księga pamiątkowa poświęcona twórczości Feliksa. Było to dla mnie niewątpliwą nobilitacją, że mogę – jako jeden z dwóch młodszych poetów – wziąć udział w tym zaszczytnym przedsięwzięciu, dając wyraz podziwowi dla jego twórczości. A działo się to w niezwykle gorącym czasie, albowiem na jesieni tego roku opublikowaliśmy w Instytucie Mikołowskim tom



wierszy Feliksa *Trzy dni nieśmiertelności* – pierwszy po dwudziestu czterech latach od pamiętnego tomu *Wir* – który w bardzo krótkim czasie okazał się wielkim wydarzeniem w świecie poezji, czego dowodem były liczne recenzje i eseje jemu właśnie poświęcone, a także nominacje do literackich nagród (Silesius, Nike). Tak więc niewątpliwie skala emocji, jaka wtedy we mnie była rozpięta – związana z postacią Feliksa i jego twórczością – okazała się bardzo spora. I tak też było przez kolejne lata, kiedy to wzajem siebie czytaliśmy i słuchaliśmy. Feliks obdarzony był wszak niebывалы pasją poznawczą, czemu dawał wyraz nie tylko w swojej autorskiej twórczości, ale i też w postaci uczestniczenia w różnych spotkaniach w redakcji miesięcznika „Śląsk”. Jego obecność podczas tych spotkań wzmagała – za każdym razem – uwagę na wierszach czy prozie zaproszonego autora, a wyrażane przez niego opinie nadawały wspólną dynamikę dyskusjom, które w trakcie spotkań automatycznie się wytworzały, i były toczony jeszcze w kulturalach. Stały z nim kontakt telefoniczny czy mailowy podtrzymywał we mnie wiarę w przepastne moce poezji, którą Feliks emanował i hojnie ją wokół siebie rozsiewał. Dawało to poczucie trwałej współobecności, usensowniającej własną twórczość, poprzez możliwość liczenia na kontakt z kimś takim jak Feliks – który zawsze gwarantował uważny odbiór, a także nastrojał energetycznie swoimi nowymi wierszami, jakie ostatecznie znalazły się w jego ostatnim tomie *Krzyk sowy*. Tom ten – czytany przeze mnie w bardzo minorowym już kontekście choroby Feliksa – uwyraźnił mi jeszcze bardziej jego dalekosiężny zakres *woli mocy*, jaką obdarzał współczesność i swoją pamięć, jego niezgodę na fałsz i stałą potrzebę podkreślania roli jednostki – pojedynczości w opowieści o świecie, w którym przyszło mu żyć. Feliks dał mi więc niezapomnianą lekcję tego, że twórca do końca swych sił zмага się nie tylko z sobą, ale także z mechanizmami, które usiłują jednostkę sobie podporządkować – czemu należy dawać nieustanny odpór, będący gwarancją pozostania kimś jedynym, niepowtarzalnym i osobnym. Czyli właśnie tym, kim był Feliks.

MACIEJ MELECKI



Drogi Felku...

„Drogi Felku, przesyłam Ci ten wiersz z prośbą o opinię oraz ewentualne wykorzystanie na łamach «Śląska», jeśli uznasz to za stosowne...” Tak zwykle pisałem do Niego, kiedy chciałem zaproponować Redakcji kilka słów wierszem. Ten list poprzedzał długi namysł i wielokrotna lektura tego, co miało zostać przesłane, ponieważ wiedziałem, iż opinia, mimo wzajemnej sympatii, będzie bezstronna i fachowa. Żadne efekciarskie łamańce stylistyczne czy semantyczne nie wchodziły w grę. Rozumiał emocje i nastroje, był otwarty na różne dykcje poetyckie, ale wymagania co do warsztatu były niezmiennie. Podobnie rzecz miała się z prozą czy eseistyką. To Jemu zawdzięcza „Śląsk” dobry poziom publikowanych utworów literackich. Kiedy zachorował i trzeba było obsadzić stanowisko szefa działu literackiego, braliśmy pod uwagę grono osób, które może i dorównywały Mu wiedzą oraz tak potrzebnym w tej pracy instynktem, jednak żadna z nich nie posiadała dwu cech, które czyniły go niezastąpionym: autorytetu w środowisku i czegoś, co nazywałbyśmy charyzmą. Na szczęście zdecydował się po kilku miesiącach na powrót. Odetchnęliśmy z ulgą. Wykonywał swe obowiązki szefa działu na zasadzie telepracy, przy komputerze.

Trzymaliśmy wszyscy za Niego kciuki, ale jakże brakowało nam podczas kolegiów jego dowcipnych komentarzy i trafnych point.

Jeszcze w styczniu tego roku pisałem do niego, zaczynając od zwyczajowego „Drogi Felku” i dołączając nowy cykl wierszy. Gdyby sięgnąć do początków naszej znajomości, a z czasem przyjaźni, trzeba by sięgnąć do czasów radiowych u początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy obaj powróciliśmy z wymuszonego stanem wojennym i jego następstwami wygnania. Być może powinienem przytoczyć tu jakąś anegdotę z tego okresu naszej znajomości i współpracy, ale jakoś nie jestem w nastroju. Wolę raczej wspomnieć życzliwą recenzję z późniejszych czasów, jaką opatrzył na potrzeby wydawcy – ryzykanta „Przygodę na Tylnej Mariackiej”, mój prozatorski debiut. Płynął wtedy na fali odkrywcy dla polskiego czytelnika prozy Sandoira Maraiego i jego czas był niezwykle cenny. Nic więc dziwnego, że moje serce drżało, gdy telefonowałem prosząc go o tę recenzję. Był też inny powód: „Przygoda” traktowała o bliskim mu mieście – Katowicach.

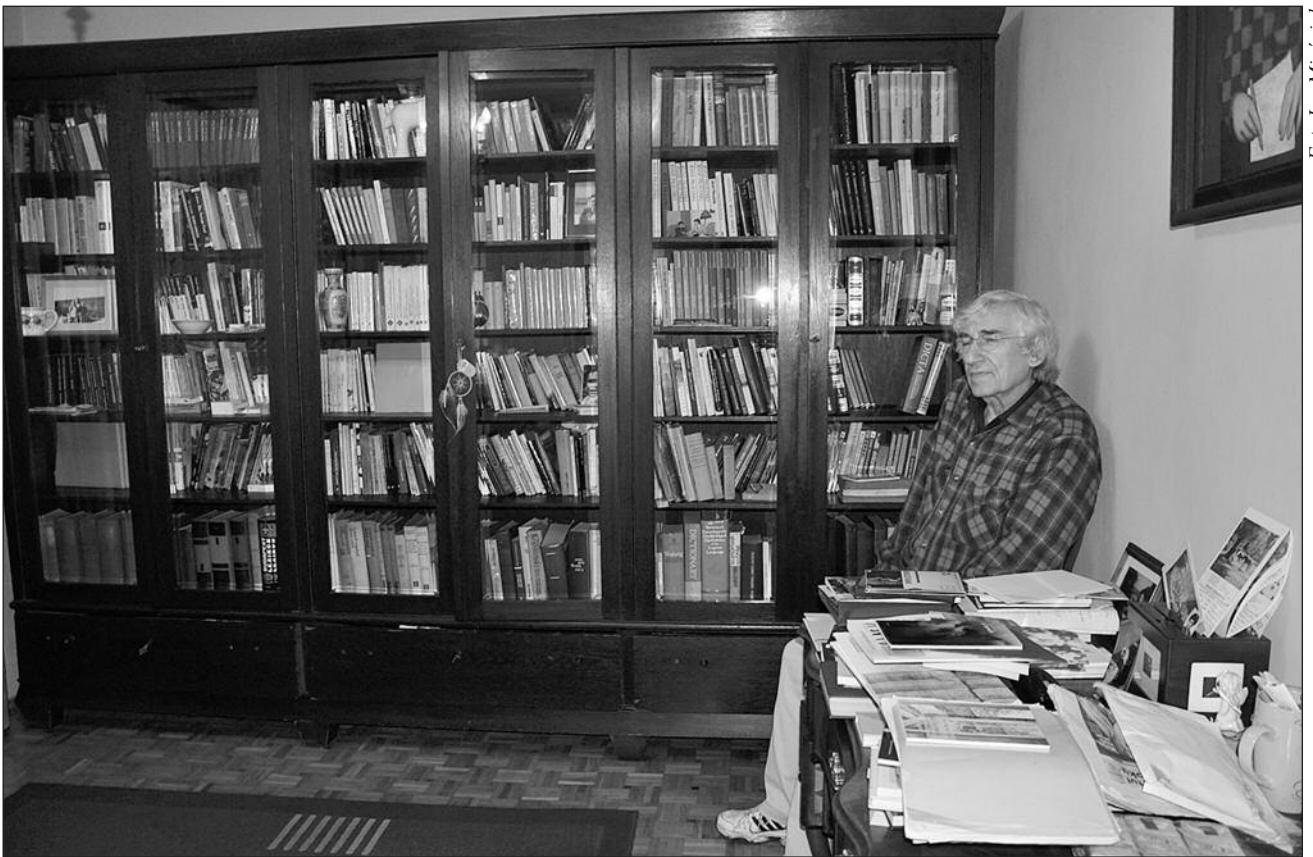
Dziś mam dla niego nowy wiersz. Nie wiem dokąd go przesłać. Dołączam go zatem do tego wspomnienia. Zacznę, jak zwykle: Drogi Felku...

Cmentarna mysz

(Felkowi na pożegnanie)

Szare futerko jak spowiedź dewotki
 Niezauważone przemyka
 Spłoszone dziesiątkami nóg
 – Wiem czego wy nie wiecie,
 Moje życie, nieważne i załężnione
 Uplywa na progu niepoznawalnego.
 Mój ogon udawał łodygę kwiatu
 Lub wstążkę z napisem „ostatnie”.
 Bawiłam się w chowanego
 W oczodolach czaszek,
 W chwilach głodu i zimna
 Nadgryzałam deski, za którymi
 Dokonywała się tajemnica.
 Znam tę i tamtą stronę,
 A napisy na płytach i tabliczkach
 Nic dla mnie nie znaczą.
 Poeci i przeciętnicy,
 Politycy i kurtyzany,
 Ideowcy i kondotierzy,
 Artyści i głuptasy
 Po pewnym czasie wyglądają
 Jednakowo.
 Wiara, nadzieja i miłość
 Zostają po tej stronie,
 Jak głupota, zło i fałsz.
 Wiem lepiej niż niejeden purpurat,
 Czego się spodziewać po wadze,
 Która na nas czeka.
 Odejdziecie stąd ze smutkiem
 Na twarzach i radością w sercach,
 Mając w uszach mój pisk niesłyszalny,
 A ja pozostanę tutaj,
 Z moją niewidzialną przyjaciółką
 I cichutkim tupotem łapek
 Odmierzającym minuty i godziny,
 I może coś jeszcze. –

WITOLD TURANT

FELIKSOWI
NETZOWI

Uważnie słuchał...

Do człowieka

pamięci F. Netza i A. Fryza

czy warto powtarzać
o czym tłum zapomina
wolnością jest poezja
nie tworzeniem z niczego
ale twórczością w nicości
z czegoś boskiego

Pamiętam, że na początku 2013 roku skorzystałem z zaproszenia Feliksa Netza; zimowa sceneria wokół domu przy ulicy Barcelońskiej w Katowicach podkreślała poetyckość wnętrza, a zwłaszcza gabinetu z podręcznym księgozbiorem oraz grafikami Andrzeja Urbanowicza, może dlatego, że w moim mieszkaniu dominują książki i niemal identyczna grafika urozmaica ścianę salonu. Gospodarz, mimo choroby, był w dobrym nastroju, pamiętał wiele szczegółów o filmach oraz spektaklach Teatru Telewizji jeszcze z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku; wspominał swój książkowy debiut z 1968 roku, „Związek zgody”, za który otrzymał Nagrodę Pe-

leryny. Uważnie słuchał, jak ważna w moim dzieciństwie była lektura „Chłopców z placu broni” Ferenc Molnara, a później, w stanie wojennym „W poszukiwaniu straconego czasu” Marcela Prousta. Podzielał moje zachwyty nad filmowymi adaptacjami „Rękopisu znalezionego w Saragossie”, „Lalki” i „Sanatorium pod klepsydrą” Jerzego Hasa. Długo nie zapomnę, jak Pan Feliks w pewnym momencie rozmowy zaczął z pasją deklamować po rosyjsku fragment poematu „Eugeniusz Oniegin” Aleksandra Puszkina (Jego przekład wydał Śląski Fundusz Literacki w 1993 roku).

Chociaż nie było z nami Pani Beaty, małżonki Gospodarza, o której zawsze wyrażał się bardzo ciepło i podkreślał, że pochodzi z Sosnowca, na spotkanie zaproszony był również Artur Fryz (przedwcześnie zmarły poeta, krytyk literacki, dyrektor Festiwalu „Złoty Środek Poezji”), który wówczas w kilku miastach organizował Panu Feliksowi spotkania autorskie. Dowiedziałem się wtedy, że dla jurorów VIII Ogólnopolskiego Konkursu Li-

terackiego na najlepszy debiut poetycki 2011 roku opinia Pana Netza zamieszczona na okładce tomiku *alteracje albo metabasis* była równie ważna, jak nominacja tej książki do finału Nagrody Poetyckiej Silesius 2012. Profesorskie opinie oraz wspomniane sukcesy pomogły w otrzymaniu od Marszałka Województwa Śląskiego stypendium, które m.in. wystarczyło na pokrycie kosztów druku oraz podatków za moją drugą książkę *klepsydra i proliferacja* (Nagroda Artystyczna Miasta Sosnowca w 2013). Dodam, że Panu Tadeuszowi Kijonce i Panu Feliksowi Netzowi zawdzięczam wydanie tego tomiku w Górnośląskim Towarzystwie Literackim, pod patronatem miesięcznika „Śląsk”.

Niestety Pan Feliks nie zdążył skorzystać z mojego zaproszenia; wiadomość o śmierci tego niezwykle życzliwego człowieka przyjąłem z wielkim smutkiem, ale pełen twórczej pasji głos Feliksa Netza pozostanie dla wielu czytelników symbolem świetnej poezji i prozy.

KAROL BAJOROWICZ

Czwarty dzień

Bóg już nie wpuszcza mnie w góry. Im chciwiej tam chcę, tym bardziej. A przecież już nie wierzę, że mniejszość i małość mają rację, taką niewielką rację żywnościową, język psa wciśnięty między dwie chleba kromki, do tego pół jabłka, to mniejsze pół jako dowód na niesymetryczność połówek, czyli też ćwiartek, stąd mniejszość i małość to jakoby całość, w co – od czego zacząłem, ale tym nie skończę – już nie wierzę, bo wierzę Bogu, że jest, skoro nie wpuszcza mnie w góry, zarasta ścieżki, przesuwa otoczaki w potokach, jakby poprawiał połówki. Wybuchnąłem i teraz segreguję gruz, przynoszę z powrotem odłamki, które odrzuciłem ze złością lub z obrzydzeniem. Bez tego co złe, bez zła, bez paskudztw i hańb i bez czasowników, które tutaj są i są potrzebne, jednak nie osobno: byłem zrobiłem, byłem wyrządziłem, byłem bawiłem, byłem zbyłem, nie odbuduję nawet schodka do tego, co chcę wyżej. Jeszcze te kawałki i kawały bólu, które przykryłem – byłem przykryłem – plandeką różowego śniegu, muszę odkryć, odróżnić przypadkowe i więdnące, od wiodących dalej niż w góry, gdzie najpierw boli, by Matka Bólu mogła móc. Chwila i zawsze będą tak samo, sobą nawzajem, poza nigdy, które nigdy nie jest tak, że jest. A też było, choć nie było, i nie będzie, bo się nie znosi i to je znosi w tym niczym i zawsze w chwili równania. Bóg się śmieje, dla Niego to kawały. Czy w tej chwili, w tym zawsze zostawia dwie nierówne połówki jabłka? Lecz nie skrywa jednej z nich. Mimo to jedna zostaje zabrana i nie da się dostrzec, która. Nie są równe, wydaje się, że nie zniknęła mniejszość i małość. Bo większości i wielkości nie ma. Siadam na kawale bólu i rzucam mniejszymi kawałkami w głuchy pień drzewa, które we mnie wyrosło, wypróchniało i świeci w środku zbyt oślepiająco, bym zobaczył moje zobaczenie. Nie pytam, dlaczego, gdy się obudzą, korkują butelki, do których byli włożyli dusze. Butelki odpływają, nie płyną za nimi. Za morzami, za górami korkociąg wykorkuje je w chwili zawsze. Też się go boję, zatykam się bólem, w wielu miejscach: w środku, w jego zimnej jasności i gorącej ciemności ile bólu, tyle korków. Skoro skoryguję się pod skórą, skarzę się i skargę odmówię, wpuścisz mnie w góry? Stało się, że mnie nie starło z szyby, żem stary i niestaranny, nie starcza dla mnie kart i krat, już jestem niewidziany, ale mam takie trzy dni, trzy dni, które byłem miałem i schowałem do blaszanego pudełka po tym tamtym czymś. Wiem, niewiele, trzy ćwiartki, czyli połówka i ćwiartka. Brakuje. Brakuje ćwiartki, tylko ćwiartki, więc nie ma, nie ma połówki, całości, wpuść mnie w góry na jeden dzień nim pójdę dalej, najbardziej, i już nie ruszę tego nigdy.

Pamięci poety Feliksa Netza, autora *Trzech dni nieśmiertelności*

16 kwietnia 2015 r.

ALEKSANDER PUSZKIN

Eugeniusz Oniegin

Przekład i *Posłowie*
FELIKSA NETZA

SLASK
28

POSŁOWIE

Zdaniem, nie tylko Rosjan, Aleksander Puszkina jest największym poetą Słowiańszczyzny. Na co Polak odpowie: nie czytaliście Mickiewicza! Ale sam Mickiewicz w jednym z paryskich wykładów powiedział wprost: „Najoryginalniejszy jego poemat, romans, będzie czytany z przyjemnością we wszystkich krajach słowiańskich i pozostanie na zawsze pomnikiem tej epoki”. Więc aż tak? Pomnik epoki!? Ale właściwie: jakiej epoki?

Kiedy dzieje się fabuła *Eugeniusza Oniegina*, kiedy rozgrywa się akcja owego *romansu wierszem*? Odpowiedź nie jest trudna i zarazem wcale niełatwa! To domysł, ale nie bezpodstawny: rzecz dzieje się mniej więcej w tym czasie, kiedy poeta zapisuje kolejne rozdziały lub nieco – trzy, pięć lat wcześniej. Mniej więcej, nieco wcześniej... Dzieło powstawało, przypomnijmy, przez siedem lat z niewielkim okładem: zmarł car Aleksander I, rządy sprawuje imperator Mikołaj; Puszkina pisze *Eugeniusza Oniegina* w różnych miejscach, tam, gdzie każe mu przebywać władza – jest to forma przymusowego pobytu tam, gdzie niekoniecznie chciało się przebywać, zwie się to zesłaniem, jednakowoż, czym jest prawdziwe zesłanie wiedzieli ci spiskowcy ze Stowarzyszenia Południowego, tak zwani dekabryści, ci, naturalnie, spośród nich, których nie powieszono, których pognano etapami na Sybir; to do nich Aleksander Puszkina skierował swoje słynne *Pismo na Sybir* (*W głębinie syberyjskich rud, Wytrwajcie dumni, niezawisli...* tłum. J. Tuwim); dodajmy, choć zabrzmi to gorzko: to właśnie dzięki swojemu dość bezpiecznemu zesłaniu nie podzielił Puszkina losu rzeczywistych zesłańców: swych przyjaciół i bliskich znajomych. Car Mikołaj wzywa (a może zaprasza) poetę na rozmowę w cztery oczy, po której cenzurze nic do Puszkina, jego cenzorem jest od chwili tej rozmowy sam imperator. W artykule napisanym po francusku, jaki Adam Mickiewicz ogłosił w piśmie *Le Globe* na wieść o śmierci Aleksandra Puszkina, czytamy: „Cesarz w tym wypadku niepoślednio okazał zręczność, potrafił on ocenić poetę i odgadł, że Puszkina miał za dużo rozumu aby mógł nadużyć wyjątkowego przywileju, i za wiele wzniosłości duszy, aby nie zachować we wdzięcznej pamięci tak niezwykłej łaski”. Przyjaciele obserwują zmianę, jaka stopniowo zachodzi w poecie, który oddala się od swych wcześniejszych, manifestowanych całkiem odważnie, poglądów.

I nic z tego nie przeniknęło do strof *Eugeniusza Oniegina*! Nie ma tutaj żadnego tła historycznego. Słowo „wolność” pojawia się bodaj raz, w trakcie charakterystyki postaci Włodzimierza Leńskiego, który przywiózł z Niemiec „wzniosłe marzenia o wolności”, co zresztą było w modzie, podobnie jak „długie kędziory aż do ramion”. Możemy zadawać sobie pytania w rodzaju: czy ów generał, którego oświadczyły przyjęła Tatiana, ów dzielny wojak z kilogramami orderów zdobiących jego galowy mundur, a także frak, wslawił się na przykład podczas rzezi Pragi bądź też w trakcie wyrzynania Czeczenów i Azerów? A ów ułan Bujanow, któremu oddała swą rękę Olga i tuła się z nim po różnych regimentach, nie zostanie – w nagrodę za przykładną służbę – wysłany do *Priwslanskiego Kraja* celem *usmirenija* zbuntowanych Polaczków? Kto wie... Ale wiemy jedno: sam Aleksander Puszkina za kilka lat, w czasie, gdy postawi ostatnią kropkę wieńczącą ów niezrównany *romans wierszem*, zabierze głos w sprawie nader pilnej: jednemu wierszowi nada tytuł: *Na wzięcie Warszawy*, drugiemu: *Oszczercom Rosji*. Ale to wszystko nie wdziera się na terytorium *Eugeniusza Oniegina*. (...)

lekcjach języka polskiego „przerabialiśmy” *Eugeniusza Oniegina* (fragmenty w przekładzie Tuwima), ale przekładu Adama Ważyka nie znałem (wiedząc, naturalnie o jego istnieniu) do czasu, gdy sam przystąpiłem do tłumaczenia arcyepoematu Puszkina, co – nawiasem dodam, zdarzyło się we Wrocławiu, w jednostce wojskowej, do której zostałem powołany jako oficer rezerwy na trzymiesięczne ćwiczenia, w rzeczywistości sprowadzone do pracy czysto biurowej: z języka angielskiego tłumaczyłem jakieś broszury, czy instrukcje, w jakie wyposażony był każdy oficer amerykański w Wietnamie. Gdy wszakże na jednej z odpraw usłyszałem, że „Nasze wojska (nasze, czyli wojska Układu Warszawskiego z furją uderzą na państwa Beneluksu” (a zdaje się, mieliśmy przy okazji roznieść w pył Półwysep Jutlandzki!), uznałem, że pora zająć się czymś poważnym. Dzień wcześniej kupiłem w empiku tom Aleksandra Puszkina ИЗБРАННОЕ, rok wydania: 1975. W odruchu, jakby to rzecz – samoobrony? – zacząłem tłumaczyć pierwsze strofy i... przepadałem. Na siedemnaście lat! Nic mnie nie ponaglało: tłumaczyłem dla siebie, bez umów, bez terminów, bez żadnych zobowiązań. Prócz jednego; względem samego siebie: doprowadzić pracę do samego końca. Tak się złożyło, że *Eugeniusza Oniegina* najpierw poznałem w języku oryginału. „Pani od rosyjskiego”, z braku podręcznika (z winy drukarni), zaczęła nas wprowadzać w język rosyjski poprzez strofy *Eugeniusza Oniegina*. Dzięki Ci za to, hrabino Lebediew! Każdą przetłumaczoną przeze mnie strofę porównywałem z trzema dostępnymi przekładami: Tuwima, Ważyka i Leo Belmonta (z roku 1902, poprawione wydanie ukazało się w stulecie śmierci Poety, w roku 1937, z doskonałą przedmową Władysława Lednickiego). Może to zabrzmiało dziwnie, ale od pierwszej strofy nie miałem wątpliwości, że będą tłumaczył posługując się wyłącznie rymami żeńskimi. Podejrzewam, chyba nie bez racji, że Julian Tuwim przerwał tłumaczenie *Eugeniusza Oniegina*, na długo przed jego ukończeniem, ponieważ doszedł do wniosku, że tej ilości rymów męskich, jakiej wymaga polski przekład *Eugeniusza Oniegina*, rymów świeżych, niebanalnych, nie w stylu Leo Belmonta, np.: „rąk” – w krąg”, „raz -wraz”), nie znajdzie już w „ojczyźnie-polszczyźnie”, że po takich porażkach jak pary rymowe: „Ją”-„nią”, „że”-„je”, że powtórzenie w końcowym dystychu zaimka „,jej”, gdy tłumacza nic do tego nie upoważniało, czy zachowanie w XIII strofie Rozdziału Ósmego zwrotu w języku rosyjskim, aby zrymować polskie słowo „stał” z rosyjskim „баи” – całe przedsięwzięcie nie może się udać. (Jednak szkoda, że nie przełożył *Listu Tatiany do Oniegina*...). Jest taki dystych, który utwierdził mnie w przekonaniu, że polski rym żeński lepiej służy Puszkiniowi, niż męski; mówię o przytoczonym wyżej dystychu zamykającym strofę XXIII (Rozdział Pierwszy). Bez łamania głowy przetłumaczyłem ją, jak mi się zdawało, zgodnie z intencją Poety i dobrze po polsku:

Tym wszystkim pokój swój uświetnił
Filozof osiemnastoletni.

Bardzo byłem ciekaw jak ten sam dwuwiersz przetłumaczył Adam Ważyk?! Sprawdziłem. Oto wersja Ważyka:

Tym wszystkim pokój swój uświetnił
Filozof osiemnastoletni.

Wrażenie było tak silne, że krzyknąłem. Potem pomyślałem: a więc tak jest dobrze, wybrałem właściwą drogę, i pójdę dalej niż Adam Ważyk: nie pozwolę, by mnie dosięgła „kłótnia męskiego rymu” (określenie Ważyka). Skoro niemiecki tłumacz *Pana Tadeusza* skrócił frazę o dwie sylaby, całą polską epopeję oddając, z sukcesem!, aleksandrynem, bo tak chciał język niemiecki, nie ma powodu, bym, zgodnie z naturą polskiego wiersza sylabotonicznego, nie zbudował mojego

przekładu wyłącznie na żeńskim rymie! *Demon* Lermontowa, obfituje w męskie rymy, jednak z przewagą rymów żeńskich, lecz Polski tłumacz, znakomity poeta i doskonały tłumacz poezji francuskiej, zupełnie zignorował męskie rymy, posługując się wyłącznie – z powodzeniem! – rymami żeńskimi. Sądzę, że doświadczenie wyniesione z licznych tłumaczeń poezji francuskiej – a tam, gdzie w wierszu francuskim występuje rym męski, w polskim tłumaczeniu, pomijając praktyki Młodej Polski, z powodzeniem zastępuje rym żeński – upewniło autora *Sprawy wyobraźni*, iż racja jest po jego stronie. Czy strofa onieginowska doznała uszczerbku z powodu braku rymów męskich, czy też rymy żeńskie wyszły jej na zdrowie – w tej kwestii, naturalnie, osąd należy do Czytelnika.

5

Aleksander Puszkina pisał *Eugeniusza Oniegina* 7 lat, 4 miesiące, 17 dni. Zaczął 9 maja 1923 roku w Kiszyńowie, skończył 25 września 1830 roku w Bołdinie. Informacja jest z pierwszej ręki: poeta wyręczył przyszłym badaczom dzieła jego życia. Tak, Puszkina miał pewność, że stworzył dzieło życia, aczkolwiek przyjaciele-poeci nie byli tak dobrej myśli o owym *romansie wierszem*. Był dla nich zbyt pospolity, zbyt powszedni, a nawet błahy, a już na pewno nie był poematem romantycznym. Przede wszystkim dlatego, że dwudziestoparoletni Eugeniusz Oniegin nie miał w sobie nic ze zbuntowanych przeciw światu bohaterów Byrona, choć – zwłaszcza w pierwszym rozdziale – widoczny był wpływ autora *Don Juana*, zresztą przez Puszkina wcale nie skrywany. Nie znaczy to jednak, że Eugeniusz Oniegin był bohaterem nie problematycznym; takim, niestety, bładym, pozabawionym wewnętrznego dylematu, nie szukającym w sobie granicy między dobrem a złem, był Tadeusz Soplica. Eugeniusz Oniegin wchodzi na powieściową scenę jako beztroski, by nie rzec: bezmyślny złoty młodzieniec, który ledwie przeżył ćwierć wieku, a już jest znużony i znudzony powszednią egzystencją. Za kilka dekad pojawi się w literaturze rosyjskiej za sprawą Fiodora Sologuba pojęcie *мелк уй бес*, w tłumaczeniu na język polski: mały bies, ale „mały” nie oddaje zjadliwości wyzierającej zza liter słowa *мелк уй; бес* – wiadomo, to „bies”, więc może „kieszonkowy bies”, a od „biesa” lepszy byłby „demon”. KIESZONKOWY DEMON! Kimś takim jest Eugeniusz Oniegin, któremu się wydaje, że jest Childe Haroldem, a w gruncie rzeczy jest jedynie zużyтым bawidamkiem. W najlepszym razie, jest – by posłużyć się językiem współczesnej kultury – playboyem. Dzień życia takiego malowanego, petersburskiego, kieszonkowego Childe Harolda, opisuje Puszkina w Rozdziale Pierwszym. Zauważmy: autor nie nazywa **części** swojego *romansu wierszem*, ni księgą, ni pieśnią, po prostu – rozdziałem, jak zwykli czynić autorzy romansów pisanych prozą. Puszkina był zbyt pewnym swego talentu poetą, pewnie czuł, że jako liryk został skrojony nie na ludzką miarę, po cóż tedy miałby wypuszczać się na niezbadane wody prozy powieściowej. Przecież nawet Mikołaj Gogol pierwszą wielką powieść rosyjską – *Martwe dusze* – nazwał poematem, jakby za tą etykietką chciał ukryć coś wielce kłopotliwego, a może przepraszając czytelnika, że zamiast wierszem napisał ów „poemat” prozą. Wolno przyjąć za pewnik, że *Eugeniusz Oniegin* napisany prozą byłby co najwyżej na poziomie *Córki kapitana* i *Damy pikowej*, na tyle – w prozie – Puszkina było stać. Obie wymienione opowieści są świetne, gdyby jednak Puszkina nie napisał był swego romanisu wierszem, byłyby tworamami swojej epoki, mniej czy bardziej udanymi od innych sobie współczesnych, ale też niczym więcej. Tymczasem stało się tak, że ów arcyepoemat ustawił raz na zawsze głos poezji rosyjskiej. Nie tylko w zakresie wersyfikacji, choć to także: poeta-tłumacz, przekładający na język rosyjski wiersz Tadeusza R. Różewicza, odruchowo

przełoży go jambem czterostopowym. Chociaż, prawdę powiedziawszy, dla Rosjanina wiersz Różewicza nie jest wierszem, czyli – w jego odczuciu i rozumieniu – poezją. Puszkina zdaje się mówić swoim rodakom gotowym poświęcić się karierze literackiej, lecz nie poezji, a prozie: dałem wam wzór, odrzućcie strofy i rymy, pozostańcie przy rozdziałach, i pamiętajcie, że najważniejszy jest bohater, przemiana, jaka w nim zachodzi, a także obyczaj, nie obejdzie się bez romansu, i – to bardzo ważne: tragedia musi się krzyżować z komedią, groteską, karykaturą, patos (umiarkowany) z drwiną (bezlitosną). I jeszcze to: zmienność klimatów, tak jak zmienne są pory roku. I dobrze będzie, jeśli na każdej stronie umieścicie ot, tak, mimochodem, błyskotliwy żart... Myślę, że edytor ostatniego wydania *Eugeniusza Oniegina* w Bibliotece Narodowej, prof. Ryszard Łużny, nie miałby nic przeciwko wykorzystaniu przede mnie jego frazy na zakończenie tych dywagacji: „I na tym właśnie polega najistotniejsze znaczenie Puszkiniowskiego arcyepoematu w dziejach rosyjskiej Literatury dziewiętnastowiecznej”. (...)

7

(...) Wielkie romanse stawiają opór bezlitosnemu działaniu czasu z zadziwiająco dobrym rezultatem. Romanse pisane prozą, nie wierszem. W tym sensie romansem (ściśle: parodią romansów rycerskich) jest *Don Quijote de la Mancha*. A czymże innym, jeśli nie błyskotliwą parodią romansów jest *Eugeniusz Oniegin*?

Dobrze się stało, że pomysł owego *romansu wierszem* nie przyszedł poecie do głowy w czasie, gdy postanowił zamienić rymowaną strofę na prozę; *romans prozą* byłby jeszcze jednym, może nadzwyczaj zajmującym czytadłem, może i kunsztownym, ale nie w takim stopniu, by można było mówić o arcyromansie.

Romans! Ten rodzaj literatury był strawą duchową Tatiany. Puszkina zdradza nam, co czytała owa rosyjska panna, żyjąca na prowincji, daleko od Moskwy i Petersburga; bez wątpienia to samo, co jej rówieśnice mieszkające w tych wielkich metropoliach. Czytano to, co kazała czytać moda! Tatiana czytała romanse w oryginalne francuski lub przetłumaczone na francuski, [Puszkina wymienia tytuły i podaje nazwiska autorów: *Julie* J.J. Rousseau, *Mathilde* Madame Cottine, *Valerie* Madame de Krüdener, *Delphine* Madame de Staël, *Cierpienia młodego Werthera* J.W. Goethego oraz *Grandison* i *Clarissa* Samuela Richardsona. To była literatura minionego stulecia (Np.: pierwsze wydanie *Grandisona* ukazało się w roku 1753), w pewnych wypadkach ledwie ocierająca się o wiek XIX, ale moda podpowiadała Tatianie i jej rówieśniczkom, że pora przestroić swe upodobania z osiemnastowiecznej powieści sentymentalnej na powieść romantyczną, pisaną czy to wierszem, jak francuskie przeróbki dzieł Byrona, czy prozą, jak choćby *Melmoth* Maturina, czy *Jean Sboogar*, francuskiego naśladowcy Byrona, Nodiera. Można domniemywać, że te rzekomo ulubione romanse Tatiany Łariny były też powszednią strawą samego Puszkina, który pewnie konsumował owe czytadła w wannie ćmiąc lulkę. Nic tedy dziwnego, że szukając formy dla swojej opowieści o bohaterze (przez „ch”) naszych czasów, zanim tak właśnie nazwie go w swojej doskonałej prozie Michał Lermontow, wybrał gatunek romansu, w tę formę tak namiętnie czytaną w ówczesnej Europie, czyli na szerokim świecie, wrzucając współczesną jemu i jego czytelnikom, rosyjską *love story*.

8

Po co nam Puszkina, zwłaszcza dzisiaj? Po co nam *Eugeniusz Oniegin*, właśnie dzisiaj? *Умом неп оймѣи* – ta fraza z wiersza Fiodora Tiutczewa (1803-1873), powtarzana jest

w świecie jako rosyjskie przysłowie. Rosji nie zrozumiesz posługując się rozumem... Wobec tego czym? Czy można coś zrozumieć nie uciekając się do rozumu? Ale skoro jest w tej frazie ziarno prawdy, tym bardziej trzeba szukać różnych sposobów zrozumienia Rosji. Zwłaszcza dzisiejszej. Tej, która tęskni za Rosją imperialną, w jakiej żyli Puszkina i Tiutczew. Tiutczew, także dyplomata, był bezkrytycznym apologetą Rosji potężnej, rzucającej na kolana na przykład Polskę, owego „Judasza Słowian”. Aleksander Puszkina miał szałachetne porywy, ale – powróćmy na koniec do owej przywołanej wcześniej rozmowy Imperatora. Po tej rozmowie coś w nim pękło. Bo cóż to znaczyło, że sam imperator będzie jego cenzorem? Ni mniej, ni więcej, tylko to, że poeta zostanie poddany nieporównanie surowszej cenzurze od tej, z którą i on, i inni rosyjscy ludzie pióra jakoś się oswoili. Kaganiec, choćby z jedwabiu, nie przestaje być kaganiec. Jeśli chcemy zrozumieć uwielbienie, jakim wybitny reżyser, laureat Oscara, Nikita Michalkow, darzy współczesnego cara Rosji, jakim bez wątpienia jest Putin, czytamy Puszkina, także dlatego, że ten piewca wolności był święcie przekonany, iż dobrze jest i być tak powinno, że ponad wszystkim, ponad wszystkimi jest ten jeden jedyny człowiek, który wziął na siebie brzemień odpowiedzialności, który czuwa nad wymiarem sprawiedliwości, który sam – bo musi to spoczywać na jednym barkach, na jednej głowie – jest Sprawiedliwością! Nie zapominajmy, że Aleksander Sołżenicyn – ucieleśnienie hartu, niezłomności, nieustępliwości w dążeniu do poznania prawdy, po to, by zdemaskować kłamstwo, powiedział, iż nie ma wielkiej Rosji bez Ukrainy!

Czytamy *Eugeniusza Oniegina*, naturalnie, dla jego niezrównanych czarów i powabów, ale nade wszystko – cóż za paradoks! – dla Rozdziału Ósmego, którego nie ma. Który jednak był! Nie wiemy, co było w Rozdziale ósmym, który z woli poety został wyjęty z *romansu wierszem*, tym samym Rozdział Dziewiąty przesunął się na pozycję Ósmego, to natomiast, co poeta uznał za nadające się do publikacji, opatrzył tytułem *EPIZODY Z PODRÓŻY ONIEGINA*. Pytanie, co nie nadawało się do publikacji, czego Puszkina nie chciał oddać do rąk swemu supercenzorowi, pozostanie zagadką. Można snuć domysły. Czy w tym rozdziale, z którego poeta ostatecznie zrezygnował, pozostawiając jedynie ślady w postaci pozbawionych numeracji, właściwie nie powiązanych ze sobą strof – tkwi (tkwił) klucz do *Eugeniusza Oniegina*? Aleksander Puszkina dojrzywał, nabierał pisarskiej, ale i zwyczajnie ludzkiej powagi, razem ze swoim bohaterem.

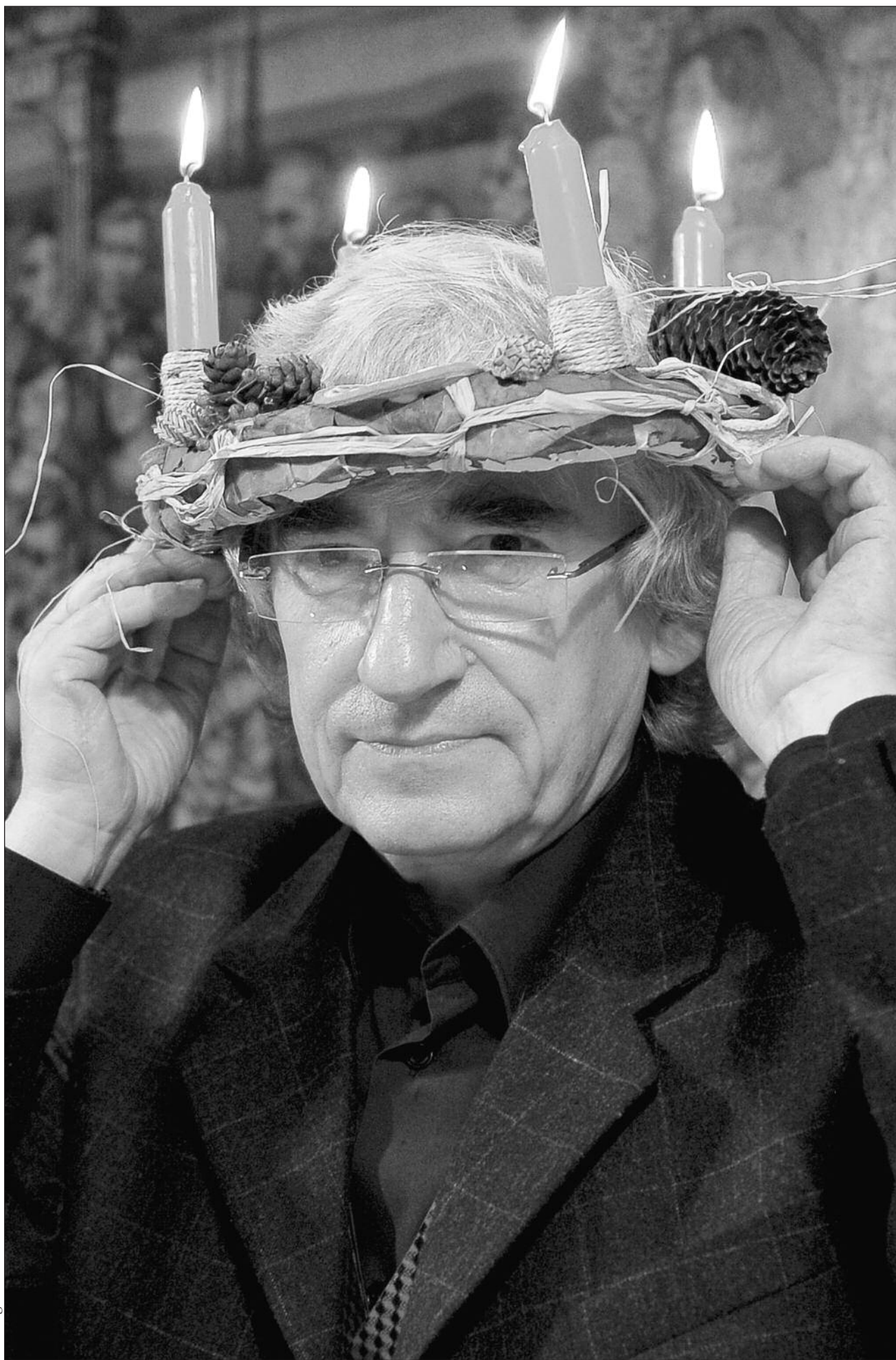
Czytamy Puszkina, aby poznać to, co w nim jasne, i to, co ciemne. Aby lepiej rozumieć Rosję, to, co w niej jasne, i to, co ciemne. W tym, co dotarło do nas z pierwotnego Rozdziału Ósmego, więcej jest ciemnych tonów, więcej sceptycyzmu, więcej, co istotne, samego Puszkina! Niby to *Oniegin jedzie do Astrachania, stamtąd na Kaukaz* – wedle informacyjnych uwag poety, niby to *Oniegin zwiedza Taurydę*, ale to przecież tylko kamuflaż. *Oniegin* – im bliżej finału *romansu wierszem* – po napisaniu listu do Tatiany i ostatnim z nią spotkaniu – był już Puszkiniowi niepotrzebny. Poeta chciał coś nadzwyczaj ważnego powiedzieć o Rosji, ale zatrzymał się w pół drogi. To tak, jakby powiedzieć tylko połowę prawdy. Tylko, czy połowa prawdy jest prawdą? Nie waham się powiedzieć: dobre i to!

To też trzeba wiedzieć, aby chcieć i móc pojąć Rosję, na przekór Tiutczewowi, rozumem.

Wybrane fragmenty *Posłowia* pochodzą z przygotowywanego przez Wydawnictwo SIC! nowego wydania *Eugeniusza Oniegina* Aleksandra Puszkina w przekładzie Feliksa Netza.

Skróty pochodzą od redakcji.

Redakcja dziękuje pani Beacie Netz za udostępnienie *Posłowia*.



Fot. Zbigniew Sawicz

Moja ostatnia wola
i prośba,

jest moim pragnieniem, aby urna z moimi prośbami
została pogrzebana na cmentarzu ewangelicko-
augstberskim przy kościele Wang w Karpaczu Górnym.

Proszę też miejscowego pastora, aby wspólnie z księdzem
kościół rzymsko-katolickiego (którego żartem całonocnym
przez drzewostan św. i bierzmowania) odmówił odpowiedniej
medytacji. Pragnę być pochowany w ziemi, która stała
się bliska mojemu sercu, tak jak ziemia gdzie się
urodziłem. Może przyczyni się to do dobrego wpoświadczenia
tych dwóch rozdzielonych nyznan i zbliży do siebie
kultury i narady, które żyły i żyją na tych ziemiach.
Może spełni się marzenie poety, który przepowiedział,
że „Wszystcy ludzie będą braćmi”. Amen.

Tadeusz Różewicz
(urodzony dn. 9. X. 1921r w Radomsku)

Ostatnia wola Tadeusza Różewicza

Karpacz.

MARIA
DĘBICZ

Przerwana rozmowa

Wierzę w obcowanie żywych i umarłych w mojej poezji.

Tadeusz Różewicz

I

To było 2 stycznia 1995 roku. Noworoczna wizyta Tadeusza Różewicza w Muzeum Zabawek Henryka Tomaszewskiego w Karpaczu. Z fotoreporterem Adamem Hawałajem spełniliśmy ciche życzenie Poety, który od dawna interesował się kolekcjonerską pasją twórcy wrocławskiej Pantomimy. Tomaszewski był już zadomowiony w Karpaczu. Po intensywnej pracy w Teatrze coraz częściej wyjeżdżał do domu w górach. Coraz bardziej czuł się związany z lokalną społecznością. Dojrzywała decyzja, aby podarować miastu gromadzone od 30. lat lalki i zabawki. Kupowane i zdobywane w Polsce i na całym świecie podczas niezliczonych podróży artystycznych Pantomimy i wyjazdów na własne kontrakty. Miasto znalazło lokal. Przyjacieli i współpracownika Tomaszewskiego scenograf Kazimierz Wiśniak zaprojektował miasteczko: ratusz, uliczki z domkami dla lalek, pokoiki z małymi mebelkami i sprzętami gospodarzami.

Tego dnia było bajkowo. Za oknem padał śnieg. Artyści zagubili się w uliczkach lalek.

Tadeusz Różewicz: – Jadąc tu myślałem, jak to się zaczęło. Pan szukał doskonałego aktora... Tu widzę, jak wokół lalki buduje pan sceny, małe światy...

Henryk Tomaszewski: – W domkach lalek wszystko musi być realistyczne. To na przykład jest mieszkanie z początku XX wieku w stylu *art deco*. Salon z fortepianem, dwa foteliki, kanapa Koeniga z 1912 roku, ciężko zdobyte. W łazience piec na węgiel, w kuchni stół z wysuwanymi miskami...

TR: – Czy pan jako dziecko w wieku pięciu, sześciu lat miał dużo zabawek?

HT: – Tak, miałem. Mój ojciec nauczyciel strugał mi z drewna zabawki. Miałem cały „zoołóg”. Rysowałem, malowałem i wycinałem teatryzki. Z kurtyną i budką suflera. Bez kurtyny i budki nie było teatru.

TR: – My zabawki mieliśmy biedne. Pamiętam celuloidowego murzynka. Chowaliśmy go z bratem w pudełeczku po gilzach, bo był trochę uszkodzony... ktoś mu wyrwał nóżkę. A rower zastępowała nam fajerka, z którą biegało się po podwórku. Wycinaliśmy wojsko no-

życzkami i stawialiśmy na podstawkach z tektury. Takich żołnierzy pan nie ma?

HT: – Nie, mam z łożwiu i z cyny. Strażaków mam dużo i wozy strażackie.

TR: – Pod stołem mieliśmy z bratem teatrzyk. U mnie ta zabawa zmieniła się w prawdziwy teatr. Zacząłem „występy” w przedstawieniach Sodalitacji Mariańskiej. Graliśmy z kolegą uczniem dobrego i uczniem złego. Jeden do kościoła, drugi na wagary chodził. Ja grałem tego „łotrzyka”.

HT: – Przypomniał mi się pana wiersz o reżyserze filmów niemych.

TR: – *Melies?* On nakręcił kilkadziesiąt filmów krótkometrażowych, a skończył jako właściciel sklepu z zabawkami w Paryżu. Umarł w zapomnieniu. Tak teraz myślę, może bym sobie na koniec życia posadę u pana załatwił? Siedziałbym i pilnował eksponatów. Może skonstruujemy razem jakąś zabawkę.

HT: – A może byśmy najpierw coś razem w teatrze zrobili?

TR: – Rozmawiamy już o tym ze dwadzieścia lat. Jakby to przybrało realne kształty, spotykałibyśmy się po cichu w Karpaczu. Nikt by nie telefonował... Nie planujemy długo. [...]

Dyskretnie towarzyszyliśmy artyście. Na starym dyktafonie zachowało się nagranie całej ich rozmowy, u Adama Hawałaja fotografie.

Kilka miesięcy po tym spotkaniu powstał wiersz *W gościnie u Henryka Tomaszewskiego w Muzeum Zabawek*:

*Jak cicho jest spotkać mima
jak dobrze że Pan nie mnoży słów
odbyła się taka piękna pantomima
wyjęta ze snów dzieciństwa*

*Starych artystów dwóch – aktor
i poeta –*

*spotkało się pod koniec wieku
i mówią o zabawkach
milczą o Człowieku*

*Dwie siwe głowy dwie zabawki
znalazły dla siebie cudowny kątek
na progu wielkiego cienia
[...]*

Różewicz powiedział kiedyś, że poezja musi mieć miejsce do zamieszkania, tak jak człowiek. Zastanawiam się, gdzie jest teraz rękopis tego wiersza, który oprawiony w ramkę, wisiał na ścianie w domu Tomaszewskiego. Tego domu już nie ma. Jego właściciel odszedł we wrześniu 2001 roku.

Poeta, który od 1996 roku zaczął często bywać w Karpaczu, zaprzyjaźnił się z Tomaszewskim. Spotykali się z mieszkańcami i turystami. Pojawili się na plenerowym wieczorze autorskim. Z burmistrzem zastanawiali się, czy nie dałoby się budynku dworca zaadaptować na centrum kultury. Tomaszewski bardziej wrośnięty w społeczność miasta, podkreślał w rozmowach: „Nie jesteśmy Ślązakami, wybraliśmy te strony jako drugą ojczyznę.” Zachęcał Różewicza

do przeprowadzki. Gospodarze miasta sprzyjali temu pomysłowi. „Mieilibyście ze mną za dużo kłopotów, zmieszania „– żartował Różewicz. Kończyły się wspólne lata z Tomaszewskim.

Poeta po raz ostatni odwiedził go w domu na Wielkanoc 2001. Zapamiętał piękną dekorację świątecznego stołu, porcelanę. I lalki siedzące na kanapach.

Wiersz *Dom lalek*, dedykowany pamięci Henryka Tomaszewskiego, kończy słowami: *Domek zamknięto / opiekę powierzono / lalki zaczęły umierać /*.

Potem odwiedzał jego grób na małym ewangelickim cmentarzu przy świątyni Wang.

Świątynia, jedna z największych atrakcji turystycznych regionu, położona w Karpaczu Górnym przy głównej drodze na Śnieżkę, ma ciekawą historię. Drewniany kościółek nad jeziora Wang w Norwegii, zakupiony do zbiorów muzealnych króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV, został rozebrany na części i w 1841 roku przetransportowany do Berlina. Znana z filantropii właścicielka ziemiska z regionu jeleniogórskiego Fryderyka von Reden nakłoniła króla do postawienia świątyni w jej obecnym miejscu. Uroczyste poświęcenie odbyło się w 1844 roku. Jest teraz parafią Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce, którą kieruje ksiądz dr Edwin Pech. Tomaszewski należał do parafian i wspólnie z Różewiczem zaczęli odwiedzać Wang.

Poeta polubił Karpacz, także jego żona Wiesława chętnie tu przyjeżdżała. Nawiązywały się znajomości i przyjaźnie. Pani Wiesława przekazywała do zbiorów Muzeum Sportu i Turystyki statuetki, dyplomy, odznaczenia, przyznawane poecie, z których na jego 80. urodziny powstała jubileuszowa wystawa, a potem pamiątki pozostały jako ekspozycja stała. O tej darowiźnie Różewicz pomyślał pewno już w 1996 roku, kiedy z ówczesnym konsulem Niemiec we Wrocławiu Brunem Weberem pierwszy raz odwiedził Muzeum. Wtedy też nawiązała się serdeczna więź z jej długoletnim szefem Zbigniewem Kulikiem, który jako rodowity jeleniogórzanin, wiedział o Karkonoszach wszystko. Utrwał na świetnych fotografiach krajobrazy, florę, faunę, zabytki i ludzi. A w 1996 roku zaczął fotografować poetę... Wtedy jeszcze dyrektor Kulik nie przeczuwał, że z tych zdjęć powstanie niezwykle kronika pobytów Różewicza w Karkonoszach i, że 7 lat później poeta powierzy mu swój testament, który będzie przechowywany w sejfie Muzeum.

Na razie poeta słucha opowieści o Karpaczu i okolicach. Spaceruje, czasem wędruje dalej, do schroniska Samotnia, na Chojnik. A w roku 1997 powstaje poemat *Gawęda o spóźnionej miłości* [pierwodruk w miesięczniku

Śląsk w 1997 r., rękopis w Karpaczu], poetyckie wyznanie zachwytu nad górami: „liczę sobie / 75 lat / i wypisz wymaluj / zakochałem się w Karkonoszach / które mają / około 450 milionów lat /”.

Bohaterką II części poematu jest alpinistka Wanda Rutkiewicz, zdobywczyni Mont Everestu, uhonorowana wystawą w Muzeum Sportu i Turystyki. Tu poeta nizin z Radomska trafił na „śląd jej ręki” w postaci wpisu do kroniki Muzeum, kopię autografu umieszcza między strofami wiersza. Tak połączą się w utworze oba muzea, ważne dla Różewicza. Z Muzeum Zabawek wyjdzie na „zalaną słońcem ulicę”:

*przez mgnienie oka
zdawało mi się że zrozumiałem
upływanie czasu i życia
że poznałem drogę
do wnętrza matki ziemi
do śmierci [...]*

i razem z Wandą, którą zawoła po imieniu, choć wie, „ona już była / umarła” powędrują wzdłuż strumienia.

II

Karpacz sprzyjał twórczości. W przyjaznym pensjonacie Jaskier państwo Różewiczowie czuli się domowo, a kiedy poeta przyjeżdżał sam, dbała o niego właścicielka. To pani Jadzia z wiersza *W pensjonacie*, której głos dźwięczał, „jak wezwanie / do życia”... i pracy.

Tu Różewicz napisał wiersz o ojcu *Dwie siekiery*, który włączył do tomu *Matka odchodzi* [1999]. Patrząc na góry, przywoływał krajobrazy Karkonoszy, malowane przez Caspara Davida Friedricha, ulubionego malarza doby romantyzmu. Pocztówka z reprodukcją jego obrazu *Kobieta w oknie* stała na biurku poety. Napisał wiersz pod tym samym tytułem i dedykował malarce z Karpacza [pierwodruk w *Śląsku nr 8*]. W Karpaczu szkicował pomysły ada-

ptacji *Lekarza wiejskiego* Kafki, potem *Głodomora*, ciągle z myślą o Tomaszewskim. Jednak obaj wiedzieli, że dzieło jego życia – *Pantomima* – będąca najpierw w bujnym rozkwicie, traciła siły, powoli więdła, podobnie jak ciało mistrza.

Różewicz będzie mówił o tym z czułością i nostalgią. Na wieczorze autorskim podczas Targów Książki w Jerozolimie, niedługo po śmierci mima, Różewicz przeczyta poświęcony mu utwór, ponieważ „poeta może uczcić wielkiego artystę, pisząc dla niego wiersz.” I powie jeszcze: „jesteśmy zabawkami skonstruowanymi przez stwórcę, a czasem ta zabawka się psuje...”

III

Jest 29 kwietnia 2014 roku. Pożegnania poety. Ekumeniczne nabożeństwo żałobne. Przed ołtarzem w świątyni Wang stoi pokryta kwiatami urna. Zbigniew Kulig załamującym się głosem odczytuje *Ostatnią wolę i prośbę* poety. Ksiądz proboszcz Edwin Pech i ksiądz proboszcz parafii rzymsko-katolickiej Zenon Stroń odmawiają modlitwy. W pięknym, mądrym kazaniu ks. Pech przypomniał o pewnej wędrowce, opisanej w Ewangelii św. Łukasza [rozd. 24]: „I oto tego samego dnia dwaj z nich szli do miasteczka zwanego Emaus...” Ta świątynia jest, jak Emaus – powiedział. W dalszych rozważaniach subtelnie nawiązał do poematu Różewicza *Nauka chodzenia*, poświęconego ewangelickiemu pastorowi Dietrichowi Bonhoefferowi, straconemu 9 kwietnia 1945 roku w obozie we Flossenburgu za udział w spisku przeciw Hitlerowi. – „Na lekcjach chodzenia prowadzonych przez poetę Tadeusza Różewicza i pastora Dietricha Bonhoeffera uczymy się szacunku dla innych, godnego życia na bezbożnym świecie. Nie mamy też liczyć na karę lub nagrodę.



Henryk Tomaszewski i Tadeusz Różewicz przy Muzeum Zabawek podczas pierwszej wizyty Poety w Karpaczu, 2 stycznia 1995 roku

Doświadczać mamy, że życie bez Boga jest możliwe, ale także tego, że *życie bez Boga jest niemożliwe*” – zacytował zakończenie wiersza *Bez*.

Mam miejsce na chórze, obok organistki Małgorzaty Marciniak. Jest też klarncista, uczeń gimnazjum w Karpaczu, Mikołaj Marcinak. Jeszcze przed rozpoczęciem nabożeństwa z chóru popłynęła muzyka Debussy’ego, wykonywana na flecie. To grał Edward Sytiano. Przeprasza, że musi wyjść: „spieszę się do pracy. Jestem Białorusinem, zamieszkałem tu. Kiedyś poznałem pana Różewicza, pytał mnie co robię i jak mi się tu żyje. Rozmawialiśmy też o muzyce, wiem że lubił Debussy’ego. Przyjechałem z Kowar.”

IV

Jest 24 kwietnia. Pierwsza rocznica śmierci Tadeusza Różewicza. Siedzę na widowni Teatru im. Norwida w Jeleniej Górze, czekając na rozpoczęcie przedstawienia jego „komedii niesceniowej” *Akt przerywany*, napisanej w 1963 roku. Przed południem obejrzałam w Muzeum Karkonoskim wystawę *Cd. Nauki chodzenia*, z Teki grafik Tadeusza Różewicza i Geta Stankiewicza, zmarłego w kwietniu 2011 wybitnego wrocławskiego plastyka. Miesiącami siedzieli w Domku Miedziorytnika przy Rynku i pracowali nad wystawą, którą pokazali w Muzeum Narodowym we Wrocławiu. Teraz ta kolekcja przyjechała do Jeleniej Góry.

Patrzę na pustą jeszcze scenę Teatru. We wspomnieniach pojawiają się obrazy ze spektakli Henryka Tomaszew-



Groby Henryka Tomaszewskiego (po lewej) i Tadeusza Różewicza na cmentarzu przy świątyni Wang w Karpaczu

skiego. Reżyserował tu w latach 70. Niezapomniana *Legenda* Wyspiańskiego, *Sen nocy letniej* Szekspira, *Peer Gynt* Ibsena... Za chwilę młodzi aktorzy zaczną mówić słowami Tadeusza Różewicza. Dzięki iluzji teatru spotka-

nie Mima i Poety znowu stało się możliwe.

W Karpaczu blisko siebie dwie mogiły. W oddali rozległa panorama Karkonoszy.

Z mojej korespondencji mailowej z panią red. Marią Dębicz

Dwóch Ślązaków z wyboru

22 kwietnia 2015 roku, 13:21

p.s. Jestem niepokieszona z powodu śmierci Feliksa Netza. Bardzo Wam współczuję. Miałam do Niego parę pytań, miesiącami się z tym nosiłam, niepomna rad Pana Tadeusza: „nie odkładaj spraw na zbyt długo...” itd.

22 kwietnia 2015 roku, godz. 17:22

Szanowna i Droga Pani Mario!

(...) Majowy „Śląsk” będzie dla nas niezwykle: poświęcamy go w pewnej części pamięci Feliksa Netza – jak to powiedziałam, w dniu Jego śmierci – odszedł taki nasz śląski Różewicz... A tu, dzięki Pani, jakie będzie miał piękne sąsiedztwo... To niebывałe i chyba gdzieś Mu przeznaczone.

Na razie trudno mówić o zastąpieniu Feliksa kimś innym w redakcji – mimo choroby pracował, decydował o tym, co literackie w numerze. Zastąpić Go – tylko kim? Równie obiektywnym, o takim autorytecie – zarówno dla młodych jak i twórców z dorobkiem. Niby nazwisk wiele, a tak trudno zastąpić.

Raz jeszcze dziękuję, pani Mario za ten tekst i zdjęcia z niezwykłym rękopisem Poety – to wielka sprawa dla nas.

Łączę serdeczności i wyrazy szacunku
Wiesława Konopelska

22 kwietnia 2015 roku, 18:12

Droga Pani, bardzo dobrze Was rozumiem. TR po śmierci Turowicza wysyłał z mojego teatralnego faksu kondolencje, redagował je w mojej obecności [mam rękopis] i użył słów, że „redakcja została osierocona”, chyba dodał – „dosłownie”. Ja przyjaźniłam się z Krisztiną Baba [Tadeusz też ją bardzo lubił], a Ona z p. Netzem. Zmarła tragicznie 11 kwietnia 2011, nie mogę się z tym pogodzić... Tadeusz też, bo była dla Niego symbolem witalności i wszystkiego co dobre na Węgrzech. Mam piękne materiały z ich spotkań... itd. Była w filmie „Gliwickie lata TR”, była w Gliwicach... jako dyrektorka Instytutu Węgierskiego wiele dla Polski zrobiła. O tym, m.in., miałam pogadać z p. Netzem, i tak trwało, trwało... Super, że nazywaliście Go Śląskim Różewiczem. Talent i wielka klasa! Teraz się wszystko posypało: nie ma Krisztiny, Feliksa Netza, nie ma Tadeusza... więc chociaż o nich piszmy, pamiętajmy Ich! Świetnie, że tak redagujecie numer. I dobrze będzie pasował, ma Pani rację ten materiał o Dwóch Ślązakach z wyboru: Mimie i Poezie.

Serdecznie pozdrawiam, łączę najlepsze myśli, trudne zadania stoją przed Panią i Zespołem Redakcji.

Maj to miesiąc, w którym wiosna z kapryśnego podlotka przeistacza się w piękną pannę o nieco bardziej ustabilizowanym charakterze. Można z nią już na pewne tematy w miarę poważnie porozmawiać. W wiejskim pejzażu taka panna to cudo. Nic tylko patrzeć. Z reguły bywa tak, że na takie cuda lepiej patrzeć, niż z nimi rozmawiać. Jednak ostatnio zdarzyło mi się z pewną rzeczywistą panną w wiosnie swoich lat poważnie porozmawiać. Było to jeszcze przed wyborami, których wynik gdy moje pisanie ujrzy światło dzienne będzie już znany. – Musztarda po obiedzie. – Machnie ręką jakiś niecierpliwym czytelnik. A jednak nie. To, o czym mówiła ta młoda osoba jest i będzie aktualne przy okazji wszelkich wyborów – prezydenckich, europejskich, parlamentarnych i samorządowych.

Otóż opowiedziała mi owa panna, z którą równie przyjemnie porozmawiać, jak i na nią patrzeć, o spotkaniu przedwyborczym z pewnym kandydatem, którego ani program, ani sposób prowadzenia kampanii zupełnie mi nie odpowiadał. A jednak młodzi ludzie – studenci – potraktowali go całkiem serio. Na pytanie, co w wystąpieniu było takiego atrakcyjnego, odpowiedziała bez wahania, że ona i jej koledzy odnaleźli w jego programie perspektywy i szanse dla siebie i ocenili je jako realistyczne. Poza tym człowiek ów zadał sobie trud, żeby zapoznać się z problemami tej części swojego elektoratu i zastanowić się, jak do niego przemówić. W każdym razie sprawiał wrażenie, że traktuje ich poważnie. W pierwszej chwili chciałem mojej rozmówczyni udzielić stosownego do mojego wieku pouczenia. Jednak ugryzłem się w język, wysłuchałem jej relacji, a później uruchomiłem narząd, który czasem służy mi do myślenia. Analiza tego, co usłyszałem, skłoniła mnie do niewesołej refleksji: zakładając nawet sporą porcję demagogii, ponieważ tak jak nie ma róży bez kolców, tak trudno sobie wyobrazić działalność polityczną bez choćby szczypty demagogii, to ktoś do młodych przemówił i przedstawił im, nawet jeśli tylko z pozoru, jakąś atrakcyjną wizję.

Pozostali kandydaci nie zadali sobie tego trudu i najwyraźniej zlekceważyli tę część elektoratu. Kilkoro było względnie młodych. Fakt. Ale po pierwsze tylko względnie,

Z moich Górek
WITOLD TURANT

Kimkolwiek jesteś..., czyli musztarda po obiedzie

a po drugie korzystali z pomocy suflerów, którym także nie przychodziło na myśl, że poza stałymi adresatami ich prezentacji, jest jeszcze ktoś, o kogo warto zabiegać. Teraz, kiedy gości zostały nie tylko rzucone, ale także widzimy efekt tego rzutu, nie ma już co rozpaczać nad utratą tych głosów. Stało się. Ani skazani z góry na niepowodzenie harcownicy polityczni, ani nadęci pierwszoligowcy, a już tym bardziej zwycięzca, kimkolwiek się okazał, nie muszą sobie głowy zaprzętać ani przemyśleniami mojej znajomej, ani jej kolegów. Czy aby na pewno? Dziś młodzież dojrzewa szybko i szybko podejmuje decyzje. Takie jest współczesne życie. Kolejne wybory za pasem i ktoś, kogo zlekceważono tym razem, nie musi dać się zlekceważyć po raz kolejny. Co wtedy? Nic wielkiego. Nastąpi głęboka zmiana, polegająca na wymianie graczy; po prawej stronie tego dość błotnistej boiska, w jego centrum, a także po lewej. I niech się nie łudzi prawica, że zniknie lewica. I odwrotnie. Jakies centrum także będzie. Tyle że gra toczy się będzie w całkiem innym stylu. Czy lepszym, wypełnionym konkretami, uczciwością i rzetelnością, tego nie wiem. Oby tak było, choć jako człowiek bez skłonności do hazardu, zakładać się nie będę. Podejrzewam jednak, że znikną z tej gry

takie obecne teraz w niej elementy jak martyrologia, rodzicofobia, grzebanie w życiorysach zamierzchłych przodków i być może kilka innych. Z drugiej jednak strony niepokoić mnie będą wychowankowie tzw. młodzieżówek różnych partii. Uczą tam bowiem, oprócz zwykłych zasad gry politycznej także trochę kunktatorstwa, odrobiny arogancji i pewnej dozy hucpy. To się już daje zauważyć. Jeśli jednak młodzi wyciągną właściwe wnioski z wygłupów obecnego establishmentu – to jest jakaś nadzieja. Głównie dla nich samych, bo pokolenie niżej podpisanego coraz mniej będzie mieć do powiedzenia i do zyskania. Może poza emeryturą. A zatem kimkolwiek jesteś Panie Prezydencie RP – muzykiem rockowym, felietonistą czy atrakcyjną kobietą (wtedy wołacz zabrzmi oczywiście Pani Prezydent, chyba że jakiś osioł wylansuje Prezydentkę, jak próbowano to uczynić z ministrami), a co bardziej prawdopodobne, chodzącym uśmiechem lub jowialnym wujkiem, to wygląda na to, że dla pokolenia owej panny, pokolenia w wiosnie swoich lat jest Pan (lub Pani) już historią.

Na koniec naszej rozmowy, kiedy oświadczyłem, iż po żadnym z kandydatów cudów się nie spodziewam, zostałem uraczony przypowiadką o orle wychowanym przez kury. Niby, że moje pokolenie mogłoby latać wysoko, ale... No właśnie. Trudno o bardziej trafną i lapidarną krytykę. Przyjąłem ją więc, jak to się mówi, na klatę i wróciłem do mojej klatki, czyli do Górek, by rozkoszować się wiosną nieupersonifikowaną, czyli świeżą zielenią, śpiewem ptaszków, wschodem słońca i innymi cudami. Zwłaszcza że są one jedynymi, na które można liczyć. Bo na taki, który polegałby na naprawieniu drogi w moim sąsiedztwie, to już chyba nie bardzo. Ale może i w ten sposób objawia się kurze wychowanie. Orzeł wzbilby się wysoko, a potem wypatrzywszy swym orlim wzrokiem instytucję lub osobę odpowiedzialną, pikowałby jak ten F16, a jeśli by było trzeba, powtarzałby ten manewr do skutku. Trzeba będzie spróbować. Możliwe też, że przy okazji uda się coś jeszcze dojrzeć; coś czego z okna nie widać, a co warto jest zobaczyć. W Górkach, a może i gdzieś dalej. Nigdy nic nie wiadomo.



Z prof. MARKIEM S. SZCZEPAŃSKIM,
socjologiem z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach,
rozmawia WIESŁAW KOSTERSKI

Burmistrzowie powinni rządzić światem

– Był pan na ostatnich wyborach samorządowych?

– Chodzę na wszystkie możliwe wybory: i samorządowe, i prezydenckie, i parlamentarne. Dla socjologa miarą społeczeństwa obywatelskiego jest uczestnictwo w wyborach. A Polska tutaj nie świeci przykładem, nasz region również niczym się nie wyróżnia. Dość powiedzieć, że w ostatnich wybo-

rach uzupełniających do senatu w okręgu nr 75 głosowało 7 proc. uprawnionych. To głęboko podstandardowe. Uczestniczę w wyborach z przekonaniem.

– Czym się pan kieruje idąc do urny – nazwiskami, czy sztyldami politycznymi?

– Jeśli chodzi o wybory samorządowe, to jednoznacznie nazwiskami, bo znam ludzi, którzy kandydują na funkcje prezydenta

miasta, czy radnych. Kluczową rolę odgrywają dokonania zawodowe. To dla mnie bardzo istotne, co kandydat zrobił dla miasta, najbliższego otoczenia, swojej małej ojczyzny, zwłaszcza w takim wymiarze prometejskim, obywatelskim, nieprzeliczalnym na złotówki.

– Im mniej partii tym lepiej?

– Tak. Dlatego, że samorząd lokalny powinien opierać się na racjonalnych wyborach, umiejętności obracania lokalnym groszem tak starannie, jak to jest tylko możliwe, na rozeznanie nie politycznych, ale rzeczywistych, obywatelskich preferencji związanych z dobrostanem mieszkańców.

– Zwykle interes partyjny bierze górę nad interesem publicznym.

– Zwłaszcza tam, gdzie są mnogie, konkurencyjne partie, tam pojawiają się interesy polityczne, personalne skoki, wstawienictwa polityczne. A mnie interesuje kompetencja, dokonania i możliwości dalszych dokonań. Myślę, że wielu wyborców na poziomie samorządowym dokonuje takich wyborów.

– W regionach dominują jednak partie. Tam samorządów nie oddano jeszcze obywatelom. Sejmiki wojewódzkie są zabawką w rękach funkcjonariuszy partyjnych.

– Rewolucja samorządowo-lokalna była najbardziej udaną rewolucją i transformacją w Polsce. Cieszymy się, że nastąpiła częściowa depolityzacja, odejście od polityki na rzecz nazwiska, kompetencji i dokonań. Ludzie mają dobre rozeznanie, wiedzą, co kandydaci zrobili. Natomiast trudno powiedzieć, żeby takie zindywidualizowane wybory obowiązywały w wymiarze regionalnym. Tam w dalszym ciągu partie polityczne dominują, w dalszym ciągu koalicje partii decydują o kształcie zarządu województwa. Cesje personalne związane są z wpływem własnym poszczególnych partii lub ruchów politycznych.

– Gdzie leży próg utrudniający przejście do samorządu bardziej kompetencyjnego.

– Interesy polityczne w sposób jednoznaczny zdefiniowane są na poziomie regionalnym. Powiedzmy wprost – przecież, kto ma władzę w województwie ten może wiele stanowisk obsadzić, o wielu instytucjach decydować. To gra dla bardzo wielu aktorów politycznych – o posady, prestiż, pieniądze.

– Ciągłe więc terytorium podbite...

– I tak się dzieje, niestety.

– Skok na kasę.

– To brzmi trochę prokuratorsko, ale terytorium podbite – tak, z wieloma różnymi instytucjami regionalnej nomenklatury, które można obsadzić i objąć wpływami. Nie pomijałbym przy tym elementów prestiżowych związanych z pełnieniem różnych funkcji publicznych.

– Rząd lekceważy samorządy, co pokazały negocjacje z górnikiemami.

– Dowiedziałem się z przekazów medialnych, z niedowierzaniem przyznam szczerze, że pani premier Ewa Kopacz, przygotowując program dla Śląska, właściwie nie zaprosiła ważnych, prominentnych działaczy, poczynając od marszałka województwa, a na związkach zawodowych, ekspertach – także z naszego regionu – i samorządach lokalnych kończąc. To było zaskakujące, że należało wpraszać się do tych debat.

To złe myślenie. Tak, jak fatalnym było myślenie o Kompanii Węglowej z pominięciem KHW i JSW. Miałem nadzieję, że czło-

wiek uczy się na błędach. Ale okazuje się, że popełnia się po raz kolejny te same błędy, podejmując próby rozwijania rzeczy bez udziału najważniejszych aktorów, których z rzeczy bezpośrednio obchodzą.

– **Program dla Śląska z udziałem samorządów** – taki tytuł znalazłem w internecie. To pokazuje charakterystyczny sposób myślenia o sprawie. Co to znaczy z udziałem? Przecież samorząd ma stworzyć program.

– Samorząd jest kluczową instytucją, która będzie się potykała z problemami górniczymi i postgórniczymi. Oczywiście, finansowo sam sobie nie poradzi, bo to przekracza jego możliwości. Takie myślenie z udziałem samorządu trzeba odwrócić – to ma się odbywać z udziałem eksperckim i budżetowym rządu, także związanym z funduszami UE.

Górnictwo jest organizmem chorym, ale wciąż żywym. Te 100 tys. ludzi to wciąż żywy organizm. I tego typu majsterkowanie przy programie dla Śląska, dla górnictwa, na rok, dwa, to niedopuszczalne sposoby radzenia sobie z rzeczywistością.

– **Zrezygnujemy z mnożenia kosztów i zagrożeń w górnictwie węgla kamiennego i postawmy na węgiel brunatny. Dla czego Śląsk wciąż wpędzamy w takie sytuacje, a gdzie indziej nie potrafimy lykami węgla wydobywać.**

– Jest wiele powodów, ale główny jest taki, że establishment polityczny jest przekonany, że polska energetyka, polskie bezpieczeństwo energetyczne opiera się o węgiel kamienny w pierwszej kolejności. Trzymanie się kurczowo tego paliwa nie jest dobre. W konsekwencji chodzi nie tylko o węgiel brunatny, ale także o inne źródła energii, również te odnawialne. W Polsce to w dalszym ciągu margines, oczywiście głośny margines, bo się o tym dużo mówi.

– **Nie ma pan wrażenia, że cały czas chodzi o elektorat, głosy świadomych wyborców?**

– Dokładnie tak. Górnicy to bardzo dobrze zorganizowana, łatwa do mobilizacji, bo teorytorium jest niewielkie, grupa. Najmarniej licząc 100 tys. górników plus ich rodziny, dorosłe dzieci i kooperanci daje na niewielkim skrawku ziemi kilkaset tysięcy ludzi żyjących pośrednio lub bezpośrednio z węgla. A to klientela polityczna trudna do przeceńnienia. I nie mam żadnych wątpliwości, że wiele działań wobec węgla kamiennego związanych było z polityką.

Premier Donald Tusk rok temu powiedział w Katowicach, że nie będzie likwidacji kopalń, nie będzie redukcji zatrudnienia. Nie zrobił tego na podstawie racjonalnych analiz ekonomicznych, zrobił to w moim przekonaniu z powodów politycznych. Cisza, cisza nad górnictwem, bo daje to komfort rządzenia w Warszawie.

– **Rząd miał spokój, władze spółek dobre pensje, a związkowcy przyzwolenie na kręcenie swoich geszeftów. Wszyscy byli szczęśliwi.**

– Wszystkie, co tak funkcjonuje ma swój kres. Dramatycznie spadły ceny węgla, pojawiły się zwaly, powstały poważne deficyty we wszystkich górniczych spółkach. Do tego gigantyczne uzwiązkowanie. Najlepsza ekonomia nie udźwignie takiego ciężaru. Tylko nie wolno wylewać dziecka z kąpielą. Związki zawodowe są niezwykle potrzebne. Powinny pełnić podwójną rolę – dbać o dobro załogi, ale też i o kondycję firmy żywicielki. Jeśli nie ma w tym równowagi, to rola związków jest niedopełniona,

zła i właściwie niezgodna z duchem syndykalizmu.

– **Brakuje myślenia kategoriami firmy, biznesu. Jest przechylenie w inną stronę.**

– W stronę medialnych obecności, pokazania swojego radykalizmu.

– **Ustawa o związkach jest nietknięta, nadal 10 pracowników może tworzyć związek zawodowy. W „Silesii”, która stała się lustrem, w którym powinno przeglądać się polskie górnictwo, dogadano się z czeskim właścicielem, poobcinano przywileje, ogony placowe.**

– Ale też zainwestowano. To, co przynosiło straty i było nierentowne okazało się rentowe po zainwestowaniu w konkurencyjność całego przedsięwzięcia.

– **Kto powinien być gospodarzem programu dla Śląska? Fundusze trzyma rząd, przepisy, które trzeba zmienić, parlament. Może pieniądze powinny zejść na poziom regionów?**

– Nie mamy sejmu śląskiego, nie mamy mocy ustawodawczej (śmiech). Jednoznacznie region. Mamy do czynienia z pewnym zaskakującym zjawiskiem. Dokonuje się różnych cesji uprawnień na regiony, samorządy przy jednoczesnej centralizacji finansów. To paradoks naszego kraju. Gminy otrzymują kolejne zadania, a w ślad za tym nie idą pełne cesje finansowe. To musi się zmienić. Głównym dysponentem powinien być region, marszałek i przede wszystkim samorządy, które w naszym regionie mają problemy z terenami poprzemysłowymi, nie tylko z górnictwem.

– **Z tym, co pozostało po kopalniach samorząd sam sobie nie poradzą.**

– Tak. Ale jestem przeciwny, żeby Śląsk był traktowany unikatowo, nadzwyczajnie w Rzeczypospolitej. Są przecież inne regiony, które mają również poważne problemy, choć nie na taką skalę, jak u nas. Chciałbym, żeby program dla Śląska był pilotażem dla innych regionów, żebyśmy nie korzystali z renty tej unikatowości.

– **Pojawiają się też nowe zjawiska – przybywa ludzi starszych, bezrobocie wśród młodzieży, strefy biedy. Tych obowiązków samorządom ciągle się dokłada.**

– Nawet jeśli niektóre z nich nie są ustawowo wpisane w rolę samorządu, to papier swoje, ustawa swoje, a samorząd z tym i tak zostaje. W tej chwili wielkim problemem naszego regionu jest starzenie się populacji i wyludnianie niektórych miast. Arabska telewizja Al Jazeera pokazała film *Bytom umiera powoli*. Krótki, ale poruszający, być może przesadny. W Bytomiu w ciągu ostatnich 20 lat ubyło 50 tys. ludzi. To ubywanie podatkików, mówiąc językiem fiskalnym. Z punktu widzenia ekonomii miejskiej wielki dramat.

Rośnie liczba bezrobotnych wśród absolwentów szkół wyższych. Jeszcze całkiem niedawno był to problem marginalny, ale od dobrych paru lat wcale marginalnym nie jest. Młodzi ludzie z aspiracjami zderzyli się z lokalnym rynkiem pracy. To czynnik wypychający ich poza miasto, region, kraj. I getta biedy, wykluczenia społecznego. Są w wielu miastach naszego regionu. W bogatym woj. śląskim 800 tys. ludzi żyje w trudnych warunkach mieszkaniowych i finansowych, w tym dzieci. A banałem jest stwierdzenie, że te dzieci będą budowały charakter, oblicze i profil regionu.

– **Odstaszy to inwestorów. A to pan powtarza, że samorząd powinien tworzyć dobry klimat dla biznesu.**

– Mam nadzieję, że nie do końca odstaszy. Są przecież enklawy bogactwa, zamożności. W Katowicach i innych miejscach. Kapitał nie chce zdegradowanych terenów, chce dobrze skomunikowanych greenfieldów i przyjaznego klimatu biznesowego. To bardzo ważne pojęcie socjologiczne. Oznacza szkołę, oddział z angielskim, pub, boiska do squash, pole golfowe. Kapitał staje się coraz bardziej wybredny, chce mieć z jednej strony zielone pola, z drugiej – bogatą infrastrukturę.

– **Żeby te sprawy nie rozgrywały się ponad naszymi głowami trzeba stworzyć metropolie, które mają inną siłę przebicia niż pojedyncze miasta. Ich brak to duża strata.**

– To bardzo duża strata. Zespół, którym kierowałem, przygotował strategię rozwoju metropolitalnego. Sprawa pozostała w znacznym stopniu na papierze.

– **Niektóre siły polityczne boją się mocnych struktur?**

– Oczywiście, że tak. Jeśli będzie dofinansowana metropolia, to na pewno zabraknie na obszary wiejskie. I już pan wie, o kogo chodzi. Obawa przed silną blisko 2-milionową metropolią to dosyć czytelny element polityki kolejnych rządów. Rząd PO obiecał ustawę metropolitalną. I nie dochował tego, mimo że ma wszystkie możliwości do przeprowadzenia takiej ustawy.

Metropolia ułatwiłaby wiele rzeczy – ucztyelnienie sieci szkół, przedszkoli, żłobków, układów komunikacyjnych, transportowych, zwłaszcza jeśli są przy granicach poszczególnych miejscowości. Niestety, wciąż czekamy na kolejne kroki.

– **A Europa staje się coraz bardziej kontynentem regionów...**

– ... i metropolii. Niektórzy mówią, że metropolie rządzą światem. Ostatnie hasło, dla mnie niezwykle ważne, jednego z wybitnych socjologów i politologów, brzmi: burmistrzowie powinni rządzić światem. Czyli, przedstawiciele samorządów.

Jeśli popatrzy się na satelitarne zdjęcie kuli ziemskiej nocą, to widać wyraźnie, gdzie pali się światło. Pali się najintensywniej w trzech miejscach – w rejonie Bostonu i Waszyngtonu, to najsilniejszy obszar metropolitalny świata, w Unii Europejskiej na terenie południowej Anglii, Francji i Niderlandów oraz w Japonii – koło Tokio, Jokohamy i Osaki.

Na tym tle nasza metropolia prezentuje się mizernie. Trzeba ją budować w kooperacji z Krakowem i Ostrawą, wzduż nitki autostradowej. Tak trzeba myśleć, strategicznie.

– **Politycy wiedzą o tym doskonale. Czego więc brakuje, by sensowniej poukładać ten nasz kawalek świata.**

– Kilku rzeczy. Po pierwsze woli politycznej i odejścia od partykularnych interesów partyjno-ideologicznych. Niekadencijności myślenia i odwagi. Odwagi, żeby powiedzieć, że górnictwo wymaga zmian – ograniczenia zatrudnienia i liczby kopalń. Taki elementarny typ odwagi pojawia się zaraz po wyborach, bo wtedy odwaga jest najtańsza.

– **A pieniądze?**

– Bez fenickiego wynalazku nie da się wiele zrobić. Żeby jednak fenicki wynalazek został dobrze sedytkowany, to najpierw muszą być tacy ludzie, o których mówiłem: odważni, niekadencyjni, finezyjni w myśleniu o regionie. Znamy przykłady fatalnie wykorzystanych pieniędzy, bo nie było idei.



Kattowitz O.-S. August-Schneiderstrasse.

Początki ze zbiorów Muzeum Historii Katowic

Widok na August Schneider-Straße od strony rynku, po prawej łaźnia, synagoga i gimnazjum.

Katowice za Schneidera (I)

HENRYK
SZCZEPAŃSKI

Urodził się w 1851 r. Był potomkiem pruskich mieszczan od XVIII wieku osiadłych na Dolnym Śląsku, synem okręgowego radcy prawnego i wnukiem radcy dworu. Studia prawnicze ukończył na Uniwersytecie Wrocławskim. Miał 39 lat, gdy w tajnym głosowaniu został wybrany na stanowisko „pierwszego burmistrza” miasta Katowice. Z tytułem „Erster Bürgermeister” progi tutejszego ratusza przekroczył latem 1890 roku. Nad Rawą czuł się jak u siebie. Od 8 lat w pobliskich Mysłowicach prowadził kancelarię adwokacką. Był zaprzysiężonym bratem katowickiej loży „Zum Licht im Osten”. Miał tam najbliższych przyjaciół: dr. Adolfa Koscha, prawnika i kolegę z czasów akademickich, od niedawna w katowickim magistracie pełniącego obowiązki niepłatnego burmistrza, adwokata dr. Hugo Sachsa i jego teścia, mistrza Richarda Holtzega, przewodniczącego rady miejskiej, który Schneiderowi zapewnił rekomendację i poparcie w wyborach.

„Holtze wpadł na pomysł, aby zaproponować mi tę posesję. – wspominał dr August Schneider. – Byłem zaprzyjaźniony z jego zięciem. Na jego zapytanie zapewniłem, iż dostarczę moje podanie o urząd pod warunkiem, że zostaną wybrani burmistrzem bez głosów sprzeciwu. Tak się też stało. Poza jedną niezapisaną kartką, wszystkie inne głosy zostały na mnie oddane. Ten jednomyślny wybór przyjąłem i 4 sierpnia 1890 roku wprowadzony zostałem na nowy urząd.”

Na krawędzi wieków

Służbowe mieszkanie miał w ratuszu – w Rynku pod numerem 10. Z jego okien, trzy razy w tygodniu oglądał tłumy Ślązaków krążących pomiędzy straganami miejskiego jarmarku, kamienice najzamożniejszych miejscowych Żydów: Altmannów i Frölichów, już prawie pół wieku liczące hotele „Welta” i „De Prusse” a także perspektywę Grundmannstrasse (obecnie 3 Maja), zaczynającą przypo-

minąć handlowe ośrodki kresowych miast wilhelmińskiej rzeszy.

Municipalna wspólnota liczyła wtedy ponad 16 tysięcy obywateli.

Jako szef magistratu pracował przez 12 lat. Ten okres w dziejach miasta uchodzi za przełomową i złotą erę. Na krawędzi stuleci pomiędzy 1890 a 1902 Katowicom przybyło wiele budowli utrwalających ich miejski wizerunek. W tym czasie wybudowano: gmach nowego gimnazjum klasycznego, a vis á vis wyrosła bliźniaczko do niego podobna Wielka Synagoga. Oświatowcy zainicjowali działalność gimnazjum realnego, otwarto szkołę rzemieślniczą a unowocześniony zakład kąpielowy, zapraszał do krytej pływalni – jedynej na Górnym Śląsku. Przy obecnej ulicy Francuskiej oddano do użytku nowy szpital, europejskim komfortem i wytworną gastronomią zaczynały kusić dopiero co otwarte hotele: Grand oraz Deutsches Haus.

W 1897 roku Katowice inkorporowały pięć sąsiadujących z nimi gmin. Liczba mieszkańców przekroczyła

próg 25 tysięcy. Zgodnie z ordynacją miejską uzyskały status miasta wydzielonego na prawach powiatu. Poszerzyły się kompetencje Schneidera, któremu teraz przysługiwał tytuł nadburmistrza.

Za jego kadencji zagospodarowano znaczną część terenów po dawnym stawie Kuźniczym. Ewidentnie zmienił się pejzaż dawnej ulicy zwanej „am Rawabach” oraz „Uferstrasse”. Dziś jest to rejon ulicy Mickiewicza. Na początku stulecia stał się najbardziej nowoczesnym fragmentem miejskiej zabudowy. Na cześć ojca miasta, nową arterią, aż do 1922 roku katowiczanie nazywali: August Schneiderstrasse.

Budynek dawnego hotelu De Prusse wraz z browarem na zapleczu od strony ulicy św. Jana poddano przebudowie; od 1899 roku jego wnętrza zaczęły pełnić funkcję biur i sal konferencyjnych nowego ratusza; tutaj znalazł się gabinet i kancelaria Schneidera; salę posiedzeń katowickich rajców zaliczano do piękniejszych na Śląsku. Inwestycje stawały się wizytówkami Katowic i decydowały o ich miejskim, dwudziestowiecznym wyglądzie godnym stolicy powiatu.

Będąc na emeryturze Schneider wspominał: „Z natury jestem bardzo szczery. Rozmawiając z ludźmi, rzadko kiedy powstrzymywałem się od mówienia prawdy. W szczególności jako burmistrz i adwokat otwarcie przedstawiałem swoje poglądy, nigdy nie stosowałem żadnych sztuczek adwokackich ani forteli dyplomatycznych – i najczęściej dobrze na tym wychodziłem. Kłamstwa były rzadkością i tylko w razie konieczności. Natomiast rozwinąłem zdolność do robienia interesów, która oddała mi istotną przysługę w działaniu dla dobra Katowic.”

W 1902. uzyskał awans na stanowisko tajnego radcy cesarza Wilhelma II. Opuścił Katowice i przeniósł się do Berlina. Potem mieszkał we Wrocławiu, przez pewien czas w Cieplicach u stóp Karkonoszy, a następnie w Dreźnie. Tam zmarł w 1929.

W zbiorach MHK znajduje się współcześnie malowany portret oraz pamiątkowa plakietka z popiersiem nadburmistrza, który organizując życie burżuazyjnych Katowic wzorował się na rzymskich prokonsulach i renesansowych podestach. Był wierny dewizie: „Przeszłość trwa wiecznie”.

Zmiana warty

W pierwszych miesiącach urzędowania Schneidera, Katowice świętowały swoje 25-lecie. Jako szef magistratu, na wniosek rajców wyróżnił najbardziej zasłużonych mieszkańców. Tytułem honorowego obywatela Katowic obdarował dr. Adolfa Goldsteina, radnego od 1866 r. i wiceburmistrza w latach 1888-1889, w tym czasie obchodzącego także srebrny jubileusz pracy lekarskiej. Podobnym zaszczytem uhonorował Eliasza Sachsa, kupca, pierwszego katowickiego bankiera, filantropa, miłośnika pięknych



August Schneider, burmistrz Katowic 1890-1903. Zdjęcie pochodzi z: Georg Hoffmann „Historia Miasta Katowice”, Muzeum Śląskie 2003

Katowic, nie szczędzącego energii ani pieniędzy na ukwiecanie i zadrzewianie miejskich skwerów. Do grona honorowych obywateli wszedł Otto Menzel, dyrektor kopalni, długoletni radca i wiceburmistrz w latach 1882-1888.

Zaczynały się lata prosperity. Katowice przeżywały swoją *la Belle époque*. Na terenie powiatu mieszkało 120 tysięcy obywateli. Władzę w osiemnastowiecznym mieście sprawowali juryści. Wzrastały obroty handlowe miasta i przychody magistratu. Otwierał się kolejny rozdział. Bohaterowie poprzednich odchodzili w stronę cienia. 7 listopada 1890 roku zmarł Kazimierz Skiba, przedostatni sołtys wsi Katowice, ostatni na tym stanowisku reprezentant słowiańskich, chłopskich rodów. Za ponad dwa miesiące zmarł Richard Holtze. Tak na fotelu mistrza łoży masońskiej jak i na stanowisku przewodniczącego Rady Miasta zastąpił go zięć adwokat Hugo Sachs.

Nestorem wśród katowickich notabli pozostał przyjaciel Holtzego, inż. Edward Nack, jako adept do warsztatu sztuki królewskiej wprowadzony jeszcze w Tarnowskich Górach. Stamtąd wywodzili się pierwsi katowiccy farmazoni. 25 września 1893 roku obchodził 25-lecie służby wolnomularskiej. Z tej okazji, dr Sachs nowy mistrz łoży, w imieniu wszystkich braci, na biodrach jubilatą związał prostokątny, biały fartuch z błękitną lamówką i srebrną cyfrą „25”.

Plac dwóch burmistrzów

W 1894 roku Schneider przeprowadził się do pałacu Goldsteinów przy Wilhelmsplatz (obecnie plac Wolności). Rozległy plac nazywano nowym Rynkiem (Neue Ring) a planowane tu osiedle Cesarskim Przedmieściem. Dopiero od czasów fine de siècle w Katowice zaczęto wymieniać wśród większych miast cesarstwa.

Od 1893 r., przy modnym placu pod dwójką, w kamienicy Salomona

Wienera, mieszkał także dr Adolf Kosch, przyjaciel Schneidera, jego zastępca, prokurator powiatowy, prezes katowickiego Sądu Rzemieślniczego i przewodniczący komisji do spraw podatku dochodowego.

Tam właśnie, w połowie drogi pomiędzy domostwami katowickich burmistrzów, jesienią 1898 roku, w centrum owalnie uformowanego skweru obsadzonego grządkami kwiatów i szpalarami ozdobnych krzewów, niemieccy monarchiści ustawili piedestał z czerwonego granitu, a na nim spiżowe posągi Cesarza Wilhelma I Białobrodego, zwanego „księciem kartaczy” i jego syna kronprinza Fryderyka III. Nazywali go „Zwei Kaiser-Denkmal” – pomnik dwóch cesarzy. Cały ten skwer i jego otoczenie, żartownisie przechrzcili na „plac dwu burmistrzów”.

Masoni i hakatyści

Obydwaj ojcowie miasta, tak jak ich poprzednik burmistrz Ruppel, byli wolnomularzami – braćmi łoży „Zum licht im osten”, założonej przez dr. Holtzego. Integrowała katowickie elity. Prócz okazałej, stylowej świątyni wzniesionej nad brzegiem Rawy, gdzie celebrowali ważniejsze uroczystości, mieli także łożę klubową przy obecnym placu Wolności 4. W każdy czwartek o 8 wieczorem wygłaszali odczyty i dyskutowali.

W mieście funkcjonowała jeszcze jedna łoża typu niemieckiego – Kaiser-Friedrich-Loge (Łoża cesarza Fryderyka). Należący do niej bracia obradowali w hotelu „Zur Post” przy ulicy Pocztowej.

W podobnym stowarzyszeniu zrzeszającym tylko Żydów spotykali się bracia łoży „Concordia”. W 1894 r., świątynię przenieśli do pomieszczeń nowego hotelu „Kaiserhof” przy Stawowej 19.

Przy cesarskim placu miał siedzibę Deutscher Ostmarkenverein (Niemiecki Związek Kresów Wschodnich), osławiona „hakata”. W Katowicach miała swój oddział od 1894 r.

W trzydziestotysięcznym mieście było wtedy zarejestrowanych 59 organizacji politycznych, społecznych, sportowych, artystycznych itp.

Gdy zapłonęła pierwsza żarówka

W 1893 r. nad ulicami śródmieścia królowały gazowe, mrugające latarnie. Było ich ponad 150. W mieszkaniach płonęły palniki kuchenek i pieców gazowych. O świetle elektrycznym można było tylko poczytać w gazetach albo pogadać ze znajomymi wracającymi z Paryża czy Londynu.

Od 1894 roku w instytucjach publicznych i w domach najzamożniejszych mieszkańców Katowic zapłonęły pierwsze lampy elektryczne i rozdzwoniły się telefony. Na Śląsku były to nadzwyczajne cuda techniki wkraczające do najbogatszych i najbardziej eleganckich salonów naszego kontynentu. Po-



Fragment Schloßstraße, na pierwszym planie „Grand hotel Wiener”, za nim eklektyczna kamienica nr 5 Luisa Dame.

czątkowo energię wytwarzano na potrzeby lokalne użytkowników. Pierwszym wytwórcą elektryczności na terenie dzisiejszych Katowic była kopalnia „Ferdynand”, własną elektrownią dysponująca od 1893 roku. Rozpoczęła się epoka elektryfikacji.

Dopiero od 1898 r. stała dostawa prądu Katowicom zapewniła elektrownia Chorzów. Był przesyłany siecią kablową.

Do otwartego w 1899 roku „Grand Hotelu”, katowiczanie zachodzili nie tylko na „reńskie” i „węgrzyna” ale także aby podziwiać pierwszą w mieście – windę elektryczną. Kolejna – od 1902 roku – wozila klientów pierwszego w mieście Domu Handlowego braci Georga i Artura Baraschów. Mieścił się w dwupiętrowym budynku przy obecnej ulicy 3 Maja nr 9.

Elektryczne oświetlenie katowickich jezdni i trotuarów pojawiło się stosunkowo późno. Dopiero w 1907, jako pierwsze w mieście nad elewacją Teatru Miejskiego zapalili się świece Jabłoczkowa będące unowocześnioną wersją lamp łukowych. Dwa lata później, kolejne dwie zainstalowano na pobliskich kamienicach. W 1910. nad Rynkiem i wychodzącymi stąd ulicami zapalały się już 44 lampy elektryczne. Niebawem nad witrynami sklepów, kawiarni i restauracji rozbłysły neonowe reklamy. Jednym z bardziej aktywnych przedsiębiorców elektryfikujących oświetlenie ulic i domów ówczesnych Katowic był inż. Kurt Siwinna, najmłodszy z synów słynnego księgarza i wydawcy. Rodziła się legenda najpiękniej iluminowanego miasta niemieckiej la Belle époque. Jasno jak w dzień było na głównych ulicach – dziś noszących nazwy: Warszawska, Rynek, 3 Maja, Dworcowa, Stawowa, św. Jana, Mickiewicza itd. – ale dopiero w ostatnim roku przed wybuchem wielkiej wojny!

Latarki z gazowymi żarówkami – w liczbie ponad 700 – wciąż oświetlały boczne i peryferyjne położone ulice.

Tramwaje wąskotorowe

W 1892 roku burmistrz Schneider dokonał uroczystego otwarcia pierwszej linii tramwajów konnych na linii Katowice – Załęże, później obsługiwanej przez tramwaj parowy, a od 1898 r. elektryczny, będący zwiastunem wielkomiejskiej komunikacji. Jeden z przystanków znajdował się na ukwieconym skwerze przy placu dziś zwanym – Wolności. W tym czasie usługi przewozowe świadczyły też konne omnibusy firmy Alojza Barona obsługujące trasę Katowice Laurahütte – Siemianowice. Ponadto ulicami miasta kursowało kilkadziesiąt dorożek powożonych przez fiaków – w tym dwie panie: Helenę Schmidt oraz Idę Treister. Każda dorożka miała urzędowo zatwierdzony numer boczny. Postoje znajdowały się obok dworca kolejowego, w Rynku przed hotelem „Welta”, przy Stawowej u zbiegu z dzisiejszą 3 Maja oraz przy dzisiejszej Kamiennej w pobliżu sądu i więzienia.

Pierwszy katowicki tramwaj trakcji parowej pojechał z przystanku obok huty Marta, przez Welnowiec do Siemianowic a więc dzisiejszą aleją Korfantego, sprzed „Superjednostki” w kierunku pętli „Słoneczna”. Wagoniki po torach szerokich na niecałe 80 centymetrów ciągnęła dymem i parą buchająca lokomotywka. Były mniej więcej o połowę węższe od tych po jakich pędzą dzisiejsze tramwaje. Inauguracyjny przejazd nastąpił w przeddzień nocy sylwestrowej dnia 30 grudnia 1896 roku.

Tramwaj elektryczny (niestety, też wąskotorowy) pojechał tą trasą w niecałe dwa lata później – 3 października 1898.

Od 25 listopada tamtego roku, z przystanku przed hutą Marta, elektrycznym tramwajem wzdłuż szosy Królewskohuckiej (obecnie: Chorzowskiej), przez Dąb jeździło się także aż pod hutę Bismarcka, tam gdzie dzisiaj znajdu-

je się centrum Chorzowa. Podróż trwała 30 minut.

Kolejną linię tramwajową zbudowano na trasie ze Świętochłowic, przez Załęże i Katowice do Mysłowic. Pierwszy odcinek z Katowic do Zawadzia był czynny już w sierpniu 1898. a następny w kilka tygodni później. Prowadził z katowickiego Rynku przez Załęże do Hajduków. Miał trakcję elektryczną, ale jeździł po wąskich torach. Budowę ostatnich odcinków trasy łączącej Świętochłowice z Mysłowicami ukończono w październiku 1900. Od tej pory katowicka trasa „W-Z” stała się główną i najbardziej nowoczesną arterią miasta. Ostatnią linię tramwajową sprzed gmachu katowickiej poczty do Parku Południowego (obecnie: Kościuszki) wybudowano w czerwcu 1912. Wcześniej obsługiwał ją omnibus konny restauratora Bugli, który w parku miał gospodę.

W tamtych czasach każda z pięciu linii tramwajowych (podobnie jak metro w Nowym Jorku czy Budapeszcie) była oznaczona kolorystycznie, a nie cyframi. Do Siemianowic spod huty „Marta” jeździło się „czerwoną”; z placu Wilhelma (dziś Wolności) do Mysłowic – „białą”; sprzed ratusza przy Pocztowej do Parku Południowego „białą”; z Rynku do Bytomia przez Świętochłowice – „niebieską”, ale z przystanku pod „Grand Hotelem”, przez Chorzów „białą”. Aż do lat 20. XX wieku katowickie tramwaje (za wyjątkiem kursujących na trasie do Parku Południowego) były nieco archaicznymi, ale urokliwymi wąskotorówkami – atrybutami prowincjonalnego krajobrazu.

Codziennosc

W lipcu 1892 przy Gartenstrasse (obecnie Kozielskiej) wybudowano pierwszą miejską ubojnię. Teraz zwierzęta dowożono wagonami po specjalnie doprowadzonej boczniicy kolejowej. Dawniej stada krów, wołów i cieląt przeganiano ulicami Katowic. Na furmankach dowożono pokwikujące wieprzki i prosiaki, pobekujące kozy, owce i barany. W sąsiedztwie rzeźni dla mieszkańców miasta został otwarty sklep mięsny ze świeżyzną.

W następnym roku przy udziale burmistrza oddano do użytku nowoczesny gmach Urzędu Pocztowego – największy w rejencji opolskiej. Tutaj trafiała korespondencja i paczki. Na pocztowej dokonywano wypłaty wynagrodzeń górniczych przesyłanych przekazami. Stąd można było wysłać pieniądze do miejscowości w odległych zakątkach świata. Przyjmowano prenumeratę krajowych i zagranicznych czasopism. W gmachu znajdowało się 12 łączy telegraficznych i 132 telefoniczne realizujące około trzech tysięcy połączeń na dobę. W 1894 r. ukazała się pierwsza katowicka księga adresowa z nielicznymi jeszcze numerami stacji telefonicznych.

• Pochwała przemysłu: archiwum i nowoczesność

Blisko dwieście lat temu francuski filozof, współtwórca nowoczesnej socjologii, Claude Henri de Saint Simon ogłosił pracę zatytułowaną *Katechizm industrialistów* (1823-1824). Z pasją opisywał w niej dwie kategorie społeczne: warstwy nieproduktywne i produktywne. Do pierwszej zaliczył przedstawicieli arystokracji i szlachty, wojskowych, urzędników państwowych, prawników i wreszcie rentierów. Do drugiej z kolei – przemysłowców i robotników. Wracam do tych archaicznych i anachronicznych idei nieprzypadkowo. Tak jak porewolucyjna Francja, zachowując wszelkie proporcje, potrzebowała nowego otwarcia rozwojowego, tak jest ono nieodzowne w przypadku województwa śląskiego. I właśnie tym nowym impulsem zmian poświęcam felieton, podkreślając, że dotyczy on całkiem nowego uprzemysłowienia w dwóch najbliższych dekadach XXI stulecia.

• Kopalnie: regionalne utrapienie czy szansa?

W pierwszej kolejności warto, i należy, strategicznie zdefiniować los górnictwa węglowego. Wieloletnie pielęgnowanie politycznej ciszy nad kopalniami oraz ostentacyjne pudrowanie węgla spowodowały dramatyczne nawarstwienie problemów społecznych, finansowych, logistycznych w branży. A ta wciąż daje zatrudnienie blisko stu tysiącom ludzi. O niepracujących żonach, uczących się dzieciach i zależnych kooperantach nawet nie wspominam. Węgiel zapewne już nigdy nie będzie czarnych złotem, oprawionym zawodową mitologią rodem z realnego socjalizmu. Już dawno stał się towarem na lokalnym, regionalnym i globalnym rynku. Czasem towarem niesprzedawalnym, zalegającym, jak wyrzut sumienia na przykopalnianych hałdach. Ale branża ma przed sobą jeszcze kilka dekad funkcjonowania pod warunkiem, że sprosta konkurencji taniego węgla z Rosji, Kanady, Australii czy egzotycznego Mozambiku. Konieczne są odważne decyzje właścicielskie ze strony państwa i kolejnych jego politycznych emanacji – rządów RP. Z trzydziestu fedrujących kopalń zostanie zapewne kilka, co najwyżej kilkanaście, a zatrudnienie w tej symbolicznej dla regionu branży spadnie w najbliższych dwóch dekadach o połowę, do poziomu 50-60 tysięcy górników i wzmocnionych dozorem oraz pracownikami na powierzchni.

• Magiczne słowo: reindustrializacja

Najlepiej nawet rozwijany sektor usług może obejść się bez kolejnej fali uprzemysłowienia regionu. I nie chodzi tutaj o niemożliwy w istocie powrót do stalowej i węglowej potęgi województwa, ale o stworzenie sprzyjających warunków i przyjaznego klimatu biznesowego dla inwestorów, zarówno krajowych, jak i zagranicznych. Posiadających kapitał i pomysł na zyskowne jego ulokowanie. Tylko lewitujący marzyciele, może z obrazów Marca Chagalla, zakładają, że kapitał kieruje się sympatią wobec mieszkańców regionu, a nie rachunkiem ekonomicznym. Jest oczywiście inaczej i tak szybko jak to jest możliwe należy wystosować zaproszenie do inwestorów związanych nie tyle z montowaniami samochodów czy innych utensyliów masowych, ale takich, którzy zamierzają angażować wykształcone i kreatywne umysły regionu. Byłoby naj-



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Województwo śląskie i jego ikony: trwałość i przemijanie?

piej gdyby to Bill Gates i jemu podobni docenili inwestycyjnie województwo śląskie i dostrzegli, że jest to ziemia przyjazna nowoindustrialnemu myśleniu. Początek został zrobiony, a Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna jest dobrym tego przykładem.

• Metropolia – przerwany sen o szpadzie

Niezwykle ważnym przedsięwzięciem strategicznym w województwie śląskim i katowickiej konurbacji jest perspektywne myślenie o Krakowicach. Za dwadzieścia lat, bez względu na ambicje prezydentów miast i antymetropolitalne postawy kolejnych formacji politycznych rządzących RP, prawdopodobnie społecznym faktem stanie się miasto Krakowice. Dystans dzielący Kraków i Katowice zmniejszy się zasadniczo, a do tego symbolicznego tandemu miejskiego oraz innych ośrodków górnośląskich i zagłębiowskich dołączy również czeska Ostrawa. Krakowice staną się jedną z dwóch największych metropolii RP, obok Łodziawy, czyli połączonych gotową w końcu autostradą Warszawy i Łodzi. I zapewne nie zmieni tego faktu chwilowe szkodnictwo zarządzających odcinkiem autostrady łączącej Katowice i Kraków, śrubujących ceny przejazdowe, jakby chodziło o zwycięstwo w bie-

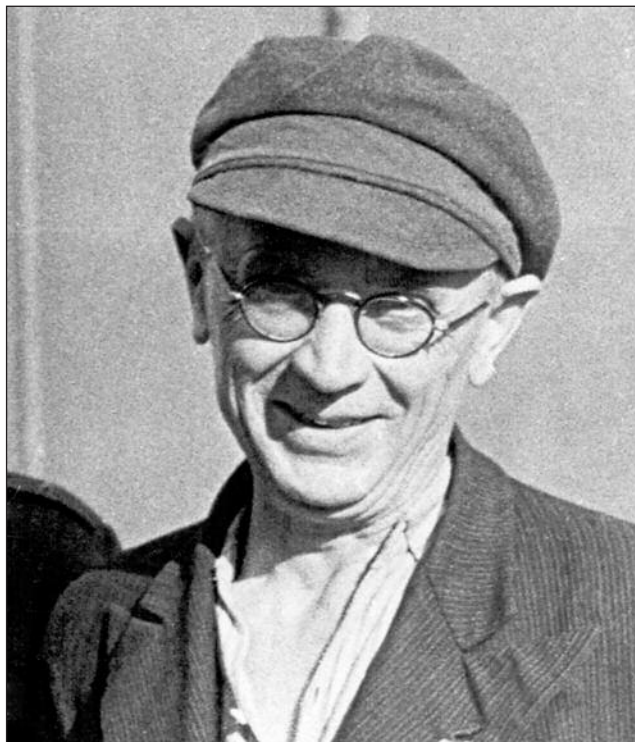
gu na krótkim dystansie. Od 1 marca 2015 roku przejazd nieco ponad 50 kilometrów kosztuje w jedną tylko stronę 20 złotych, a to przecież kwota wcale niemała. Krakowickie związki międzymiejskie jednak zwyciężą bo ich istnienie podyktowane jest pragmatyką i wygodą życia codziennego mieszkańców, koniecznością uporządkowania sieci szkół wszystkich typów, wywozu i utylizacji śmieci, przestrzennego ulokowania szpitali, teatrów, kin, galerii, sklepów, racjonalizacji sieci światłowodowych. Jednym z najpoważniejszych problemów Krakowic będzie niekontrolowane rozlewanie się miast tworzących metropolię, włączanie do ich granic ościennych wsi czy miasteczek. Co więcej, znaczna część mieszkańców centralnych części konurbacji opuści je w poszukiwaniu miejsc gdzie woda jest czysta, trawa zielona, a uciążliwość miejskie, takie jak smog, hałas, rwetes i pośpiech – ograniczone.

• Nowa klasa średnia

Swoją pozycję w metropolitalnej przestrzeni ugruntuje w bliskiej przyszłości nowa klasa średnia i nowi mieszcianie, czyli ludzie emocjonalnie związani z miastami województwa, ich społecznościami, przestrzenią i instytucjami. Wyzwania stawiane przez rodzimą klasę średnią odnoszą się nie tylko do sfery materialnej, ale coraz wyraźniej do niematerialnej. Stąd wraz z powstawaniem centrów handlowych oraz ekskluzywnych sklepów oferujących produkty najznamienitszych światowych marek, takich choćby jak ubrania czołowych projektantów, twórców wyrafinowanych kosmetyków i utensyliów ułatwiających życie lub stanowiących o statusie jednostki, metropolitalusze oczekują również przeżyć duchowych, wartych pieśni. Apaszki od Hermesa, kremy La Prairie, buty Blahnika czy zegarki Hublot to już dzisiaj rzeczywistość najbogatszych obywateli województwa. Mieszkańcy, a raczej pewna ich część uczestniczyć będą w światowych wydarzeniach kulturalnych, organizowanych nie tylko w Nowym Jorku czy Londynie, ale także Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, i miejmy nadzieję, w Katowicach. Ci ludzie zapewnią sobie dostęp do najnowszych technologii informatycznych, kształcić i doksztalać będą siebie i swoje dzieci na najbardziej prestiżowych uczelniach świata, wypoczywać w luksusowych kurortach, słowem tworząc regionalną część światowej elity metropolitalnej. Ta kategoria Krakowic najszybciej zrezygnuje z uczestnictwa w świecie, który jeszcze kilka lat temu wyznaczał poziom i standard życia społeczeństw. Chodzi tutaj o wielkie centra handlowe, czyli świątynie konsumpcji, w których miliony mieszkańców dzisiejszej konurbacji robią zakupy i spędzają rodzinnie czas wolny. Przypomnijmy jedynie, że w 2014 roku granice Silesia City Center przekroczyło 14 milionów obywateli. Dzisiaj przestrzenie konsumpcji różnicują się wewnętrznie, a wśród powstającej klasy średniej widać wyraźnie potrzebę małych, wyjątkowych w swojej ofercie handlowej i atmosfery, sklepów, restauracji, klubów i galerii. W tych eleganckich i drogich miejscach można kupić pojedynczy produkt, zjeść wykwintne danie, posłuchać niszowej muzyki lub zobaczyć niezwykłą performance. To kierunek przeciwny do wciąż wszechobecnej i święcącej jeszcze triumfy macdonaldyzacji. A jednocześnie przyszłościowy dla województwa śląskiego.



Siostra Gustawa Morcinka Teresa (1958 r.).



Gustaw Morcinek po wyjściu z Dachau (1945 r.).

Gustawa Morcinka listy z Dachau

KRYSTYNA
HESKA-
KWAŚNIEWICZ
LUCYNA
SADZIKOWSKA

W Muzeum Gustawa Morcinka w Skoczowie zachowało się 120 listów pisarza wysyłanych z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, a następnie z Dachau, do siostry Teresy. Teresa Morcinek mieszkała wraz z bratem w „Domu w słońcu”, w Skoczowie i prowadziła mu od śmierci matki gospodarstwo. Rodzeństwo bardzo się kochało i wspierało we wszystkim, co przyniosło życie. Listy, z wyjątkiem dwóch, pisane były po niemiecku, niekiedy z polskimi wtrętami, na charakterystycznym formularzu lagrowym. Stanowią jedyny tego typu dokument w kulturze polskiej.

Pisarz został aresztowany w swoim domu w Skoczowie 6 października 1939¹, a pierwszy list z Sachsenhausen stęskniona Tereska otrzymała 10 grudnia 1939 roku. Był bardzo lapidarny, zawierał tylko informację o dobrym samopoczuciu i py-

tania o zdrowie, sytuację domową i prośbę o 10 marek miesięcznie, jeśli to możliwe. List kończyły pokrzepiające słowa „Głowa do góry i do przodu”. Od tej pory, aż do wyzwolenia w roku 1945, listy przychodziły regularnie, co dwa tygodnie. Każdy z nich musiał zawierać słowa: „Ich bin gesund und es gehet mir Gut”. Formuła taka obowiązywała we wszystkich obozach koncentracyjnych.

Korespondencja zawiera dużo cennych informacji o życiu więźniów, o reżimie obozowym, ukazuje sytuację psychiczną pisarza, jego walkę o przetrwanie i świat wartości, żywy i ważny w miejscu, w którym programowo miało go nie być. Wiele w nich też informacji o współtowarzyszach obozowych, o codzienności lagrowej. Przede wszystkim jednak stanowi tak piękny dowód serdecznych relacji brata z siostrą, że jeszcze obecnie budzi wzruszenie.

Piątego marca 1940 r. Gustawa Morcinka przewieziono do obozu w Dachau, gdzie były dużo gorsze warunki niż w Sachsenhausen. Teodor Musioł, autor monografii poświęconej Dachau i znający lagier z autopsji, wspomina, że personel blokowy był ordynarny wobec więźniów i z całą bezwzględnością stosowano okrutne kary cielesne, ale o tym nie znajdziemy w korespondencji żadnych informacji. Tereska słała listy pełne troski, przekazywała pozdrowienia od przyjaciół oraz z wielką oględnością informowała o swojej sytuacji. Pisarz nieodmiennie dziękował, wzruszony każdym odruchem przyjaźni, pamięcią i solidarnością z więźniem. Potem, gdy terror zelżał, od roku 1942, zaczął Morcinek otrzymywać paczki, nawet od obcych osób, były one dla niego dowodem przyjaźni a to cieszyło najbardziej, było istotniejsze niż ich zawartość. I one i listy podtrzymywały wiarę w człowieka. Darczyńców było niezwykle wielu i chwilami trudno sobie wyobrazić, że aż tyle osób pomagało uwięzionemu pisarzowi! W październiku 1940 pisał Morcinek do Tereski: „Minął rok i podczas tego czasu Ty i ja tak wiele przeżyliśmy. Najwspanialsze jest przekonanie, że przyjaźń, czasem przyjaźń bezimienna czyni nasze życie wartym trwania. Janek i jego rodzina, Alfred i Wiktor, Błękitna Janka, Prauska i wielu innych, których imion w tej chwili nie wymienię to ci, którzy budują naszą wiarę w człowieka i pozwalają myśleć o radosnej przyszłości.” Zdumiewał go i bardzo cieszył fakt, że ten okrutny czas jest sprawdzianem przyjaźni przez przyjaciół i znajomych jego oraz Tereski, zdany na celująco! Listy pisarza stanowią swego rodzaju hymn na cześć przyjaźni.

Morcinek najczęściej pytał o Jana Kuglina, który bardzo troszczył się o Tereskę. Pytał i o inne osoby: o Adama Bunscha, Alfreda Jesionowskiego, Wincentego Lutostawskiego, Władysławę Ostrowską, Franciszka Popiołka, Antoniego Mikulskiego, Zofię Ślosarską, Emila Zegadłowicza, Elżbietę Daniłowską i licznych Skoczowian. Morcinek ufał w opiekę zmarłej matki i Bożej Opatrzności, wierzył, że wojnę przetrwa, a Teresce, jak i wszystkim bliskim mu ludziom nie stanie się nic złego. Choć w *Listach spod morwy* i *Listach z mojego Rzymu* opisał porażający koszmar obozowy i chwile, gdy był bliżsi załamania – w listach do siostry nieustannie słał słowa pełne nadziei. Na Boże Narodzenie 1944 r. pisał do siostry: „Wierzę w Boga, w nowo narodzoną miłość, w nowe narodzenie ludzkiego serca, w cud Świętej Nocy. [...] Nie bądź więc, Teresko, smutna w tej nocy cudu, bądź radosna, pełna wiary i nadziei, ponieważ wiele, wiele serc będzie przy Tobie. Całuję Cię, Teresko, serdecznie. Twój i Wasz Gustlik”. Siostrze często radził: „Cierpliwość i wiara w boską opatrzność, a także opiekę matki niech Cię Teresko odwodzą od zgryzoty i sprawią byś z odwagą patrzyła w jasną przyszłość” (12 X 1941).

W lagrze otaczała pisarza przyjaźń, którą zdobywał swą postawą, i to łagodziło nieco koszmar obozowych dni. Gdy do Dachau przywieziono ks. Leopolda Bilkę (Poldka) i inż. Rudolfa Machalicę, bliskich mu Cieszyniaków, cieszyło go wspólne czytanie listów, dzielenie się paczkami, pomoc w chorobie, wreszcie wspieranie psychiczne w chwilach załamania. Często pisał o książkach, które czytał (w Dachau istniała oficjalna biblioteka, a komanda wychodząca do pracy do Monachium przemycała dużo wartościowej literatury), marzył też o książkach, które jeszcze napisze. Wielokrotnie czytał *Dzieje duszy* św. Teresy od Dzieciątka Jezus i poezję Jana Kasprowicza; listy są zdumiewającym dowodem obozowej recepcji tego poety. W jednym z nich opisał doznania, jakie towarzyszą lekturze *Hymnów*: „Mam dziwne odczucia podczas czytania tej książeczki: słaby, delikatny zapach płynący z tych stron i wnikaający we mnie, daje mi poczucie prostego szczęścia” (2 VII 44).

Czytelnictwo w Dachau kwitło, bo książka pozwalała na chwilę oderwać myśli od obozowego koszmaru, była rodzajem terapii. W lagrze działał też tajny „uniwersytet” i ślad tego odnajdziemy w niektórych lekturach autora *Wyrabianego chodnika*.

Pisarz był cały wychylony w stronę świata wolności, ciekawy każdego skoczowskiego szczegółu, pytał nawet o domowe koty i drzewa owocowe w sadzie, czy ogród jest tak piękny jak kiedyś, nawet czy topole nadal rosną. Zyl tą korespondencją, czasem czytał ją kilka razy, to ona odmierzała czas izolacji i przełamywała obozową rzeczywistość.

Kiedys porównał list od siostry do jasnego talerza słonecznika rozświetlającego codzienność (16 II 1941).

W trzecim roku wojny poradzono Teresie, by nakłoniła brata do podpisania volkslisty, ponieważ była w tym spora szansa na uwolnienie z obozu. Z tej możliwości zwolnienia z lagru pisarz kategorycznie zrezygnował. Pisząc o sobie, by zmylić czujność cenzora, używał szyfru „Twój chłopiec”, więc czytamy „Nie, kochana Teresko wiem na pewno, że Twój chłopiec nie ma nic wspólnego z volkslistą” (12 VII 1942). Wielokrotnie dyskutował nad problemem podpisywania volkslisty z ks. Stefanem Zielonką; nie potępiał tych, którzy to robili dla ratowania życia, ale sam tego uczynić nie mógł. Ślad tych zabiegów wyraźnie jest w listach obecny, choć bardzo starannie zaszyfrowany.

Listy stanowią także dowód samowiedomości pisarza, widział jak się zmienia wewnętrznie, jak zaczyna cenić rzeczy i sprawy dawniej zwyczajne. Pisał o tym m.in. w imieninowym liście do siostry „Wiesz dobrze, że kiedy byłem jeszcze przy Tobie nigdy nie przywiązywałem dużej wagi do życzeń okolicznościowych, czy imieninowych. Potrzeba było pięciu lat życia pośród obcych ludzi, głęboka tęsknota za ojczyzną, za Bekidami i ludźmi tam żyjącymi, za wolnością, przeżytych w głęboki sposób, by każde pozornie nawet najmniej znaczące słowo miało bogate w treść znaczenie” (1 X 1944).

Piękny to fragment, podobnych jest więcej. Literackość i sugestywność wielu listów jest zaskakująca, aż trudno uwierzyć, że były pisane z obozu koncentracyjnego. W tym miejscu ze względów oczywistych jedynie zarysowujemy ich problematykę i prezentujemy skromny wybór. Autorem tłumaczenia jest Michał Szalonek. Całość ukaże się w wydaniu książkowym.

* * *

10 XII 1939

Kochana Siostrzo!

Przed wszystkim pozdrawiam Cię najserdeczniej i zawiadamiam, że mam zdrowie i że wiedzie mi się dobrze. Bądź tak dobra i napisz mi co nowego w domu, jak się wiedzie Tobie, czyś zdrowa, co porabiają nasze koty i Maciek? Czy masz pieniądze i czy nasi przyjaciele Cię odwiedzają? Jeżeli to możliwe ślij mi miesięcznie 10 Marek, ale nie listem, tylko przekazem pocztowym. Jak często mogę pisać i jak często otrzymywać pocztę dowiesz się z nagłówka tego listu. Przy przekazach pieniędzy wpisz po lewej stronie blankietu: August Morcinek Nr 5535 Blok 45. Dowód ten nie może być zapisany na odwrotnej stronie. Listy zapisuj atramentem i wysyłaj w niezaklejonych kopertach z podaniem adresu nadawcy. Odwiedzaj często grób naszej Matki. Głowa do góry i zwawo! Bądź pozdrowiona najserdeczniej.

Twój Gustlik

18 II 1940

Kochana Resi!

Czas upływa i powoli wiosna się zbliża (to jak z prostej dziecięcej rymowanki), a od Ciebie żadnych wiadomości. Zaczynam się niepokoić, żeś chora, że może powoli popadasz w umartwienie, tracisz otuchę i nadzieję. Niech Bóg sprawi, bym się mylił! Jak we wcześniejszych listach tak i teraz chcę na Ciebie wpłynąć, byś była przez cały czas dobrej myśli. Dla mnie Resi, wielką radością byłoby dowiedzieć się, że moje pisanie naprowadziło Twoje myśli na coś innego, pełnego nadziei i słońca, że pogodziłaś się z tymczasowymi przecież faktami, ale przede wszystkim, że troski i kłopoty zdają się już nic nie znaczyć. Nie powinnaś Resi dawać wiary żadnej mrocznej plotce (myślę tu o pełnych schadenfreude „Przyjaciółach”), i poddawać się „zwiększaniu głowy”. Bo znajdziesz się w opresji, a jak mówi przysłowie – na bezrybiu i rak ryba. Jeśli o mnie chodzi to jestem zdrowy i dobrze mi. Tylko tęsknię za Tobą, za moimi książkami i pracą, a nawet za naszym głupim Mackiem (żyje jeszcze, czy komuś go może oddałaś w prezencie?) i naszą kocią rodziną. Przez cały czas myślę o Tobie ciesząc się już teraz radością, która nas czeka kiedy tylko wrócę do domu. Pozdrawiam Cię z całego serca i jeszcze raz: Bądź Dobrej Nadziei!
Twój Gustlik

25 V 1940

Moja Kochana Teresko!

Przed wszystkim serdecznie dziękuję za Twój kochany list! Cieszę się, że jesteś w Skoczowie i że nie dajesz wiary bezsensownym plotkom, że jesteś – jak miałem nadzieję – dobrej myśli. Jedno tylko: oszczędzaj swoje zdrowie! Powinnaś wierzyć i być przekonana o tym, że z każdym dniem i w każdym względzie wszystko idzie ku dobremu i coraz lepiej, tak jak u mnie. Nie jestem przesądny, ale niekiedy wierzę mocno w to, że jestem pod stałą opieką mojej matki. Jestem zdrowy i choroba się mnie tu nie ima. Myślę często o grobie naszej matki i spoglądam z ufnością w przyszłość. W domu pozdrów mi panią Masny i panią Machalicę a także naszą przyjaciółkę Branny. Dobrze byloby, gdybyś zaprosiła do siebie podczas ferii naszą Małgosię. Pieniądze otrzymałem i dziękuję serdecznie. Napisz mi tylko czy masz ich jeszcze, bo wydaje mi się, że nie wymieniałaś wszystkich. Pisz dużo i już wkrótce. Proszę Cię z całych sił byś była zawsze dobrej myśli. Czy napisałaś już do pana Caputy w Mysłowicach? Chodzi o mniej więcej 50 RM. Pozdrawiam Cię, moja Teresko najserdeczniej

Twój Gustlik

16 II 1941

Moja kochana Teresko!

Jak ten czas mija, skoro znowu wiosna stanęła przed drzwiami (pisałem podobnie rok temu) i nowe nadzieje pojawiają się „niby kwiaty na łące”. Wszystkie są skromne i proste, a tylko jedna jedy-

na nadzieja na Twój kolejny list zawierający dobrą myśl o niedalekim spotkaniu rozświetla szarość dnia niczym jasny talerz słonecznika. Teresko jestem zdrów i mam się dobrze. Z Leopoldem widzimy się prawie codziennie. Powiedział mi, że napisał do swojego brata, by pamiętał o tobie gdyby zaszła nagła potrzeba. Bądź tak dobra kochana Teresko i pisz mi o wszystkim, co się dzieje u nas i na mieście. Wiesz coś dokładniejszego o Karelu i księdzu Rduchu.

Jak kształtuje się współzycie z panią i panem inspektorstwem szkolnym? Nic nie wiesz o Władce? A Ziułka jeszcze pisuje? Tak wiele chciałbym wiedzieć, a Ty jesteś tak oszczędna w słowach, Teresko! Pozdrów mi wszystkich znajomych, kochana Siostrzyczko (pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.) i bądź mi serdecznie pozdrowiona.

Twój Gustlik

P.S. przesyłkę pieniędzy z 4 znaczki pocztowe otrzymałem.

8 VI 1941

Moja kochana Teresko!

Nie należy aż tak martwić się o Twojego chłopaka. Jego czas nauki przecież właśnie się kończy a szef likwiduje interes, więc będzie tak czy inaczej musiał zjawić się u Ciebie, by rozejrzeć się za jakąś posiadą. Wiem, jest Twoim ukochanym, ale te parę miesięcy będziesz musiała z bólem serca obyć się bez niego. Co się tyczy małego tchórzliwego Karolka to zostaw go w spokoju i nie wódz na pokuszenie. Lepiej napisz mi o Baśce Bernackiej, jeżeli tylko coś o niej wiesz. Już dawno temu przekazałem jej ułamaną gałązkę kwitnącej czereśni. I o Małgosi też chciałbym coś usłyszeć. Opowiada jeszcze czasami o swojej kozie, która rogami bodła tramwaj? I nie zapomnij odpowiedzieć mi na moje pytania ostatniego listu. Chodzi o Karcha i księdza Rducha – czy już są w domu? Jestem zdrów i mam się dobrze. To samo z Poldkiem.

Kochana Teresko oszczędzaj się, zwracaj uwagę na swoje zdrowie, bo masz jeszcze dużo do zrobienia, czeka Cię wiele obowiązków, trudu i pracy. Pisz mi dużo moja Teresko (pisownia oryginalna polska) i bądź mi najserdeczniej pozdrowiona. Twój Gustlik

P.S.: piękne pozdrowienia dla naszych przyjaciół

31 VIII 1941

Moja Droga Teresko

Dzisiaj to ja przesyłam Ci najlepsze życzenia imienninowe! Wiesz, czego życzę Ci najbardziej moja najbliższa Teresko! Czasami jest mi straszno, kiedy o Tobie myślę, ale nie trwa to długo, bo wierzę w Ciebie i Twoją wolę do cierpliwości (wysokiej formy odwagi!) i do życia! Czas dla Ciebie i dla mnie się teraz zatrzymał, a pomimo, iż minęły dwa lata kiedy się z Tobą żegnałem i pomimo iż staliśmy się o dwa lata starsi, nadal czuję się młody i zdolny do podjęcia walki z losem – tak jak Ty moja Teresko! Tylko trudno mi obywać się bez takich ludzi jak Dr. Raszka, Zegadło i inni. Mo-

żesz mi napisać coś bliższego o Emilu Z.? I w następnych listach proszę wspomnij coś o Ili, Julce, Janku, Alfredzie, panu asesorze i o innych. Proszę, proszę, Teresko! Poldek jest zdrowy i ma się też dobrze. Dla niego wciąż jesteś tą samą „Tereską” jak kiedyś. Myślę, że Gretchen nie przychodzi do Ciebie, ale Małgosia odwiedza Cię często? Czy kocha jeszcze 50-letniego „Wujka”? Całuję ją i Ciebie moja (pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.) Teresko i pozdrawiam Cię najserdeczniej.

Twój Gustlik

3 maja 1942

Rostomiło Teresko! (pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.)

Twoje sprawozdanie z 28 IV o naszych przyjaciół otrzymałem i dziękuję. Także za znaczki pocztowe (5 szt.) – wystarczą mi do końca sierpnia (!). Za wszystko Bóg zapłać (pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.), kochana Teresko! Ze zdaniem Janka i Andrzeja zgadzam się całkowicie. Też tak uważam. Jestem zdrów i mam się dobrze. Tylko szare dni zliczam jak perły różańca i w czasie wolnym staram się odgonić przygnębiające myśli, zajmując się książkami. Zaczęłem od Gottfrieda Kellera i drogą okrężną dotarłem do Jacka Londona, którego książki są dobrym lekarstwem na zmęczenie i zniechęcenie życiem. Londona znajdziesz pomiędzy książkami Twojego chłopaka, jeżeli tylko do tej pory nie zmarnował całego zbioru, bo myślę, że po książkach zostało już tylko melancholijne wspomnienie. No nie? (pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.). To by było już wszystko, co dziś leżało mi na sercu. Jeszcze jedno: wiosna jest diabelnie zimna! U was też? Pozdrawiam wszystkich, którzy są nam bliscy, a Ciebie rostomiło Teresko (pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.) całuję serdecznie

Twój Gustlik

29 XI 42

Moja najukochańsza Teresko!

Bóg zapłać za Twój kochany list i za paczkę. Cieszyłem się bardzo z Twojego dobrego, złotego serca, ale jedno było nieprzyjemne. Patrz Reśl, wszystko, co znalazło się w paczce (miód, masło, smalec, cukier, suchary itd.) odjęłaś sobie sama od ust, żeby mnie zrobić radość! Moja droga Teresko! Tak nie wolno, nie możesz z mojego powodu prawie głodować. Na następną paczkę przed Świętami cieszę się już teraz, ale jeżeli ma to wiązać się dla ciebie z wyrzeczeniami, to nie slij mi żywności tylko opłatek (pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.), pastę do zębów i małą puszczyk maści na rany, szelki i parę papierosów. To byłoby wszystko. Bielizny nie potrzebuję, podobnie jak pieniędzy – naprawdę – w grudniu nie wysyłaj mi pieniędzy! Jestem zdrowy i mam się dobrze. Kochana Teresko proszę Cię oszczędzaj siebie i swoje zdrowie! Jestem Ci wdzięczny za wszystko o czym napisałaś. Pozdrawiam wszystkich dobrych ludzi, którzy mają dla Ciebie serce, a Ciebie kochana

pozdrawiam najserdeczniej, prosząc o znowu tak dobry list. Twój Gustlik.

P.S. (nieczytelne) otrzymałem paczkę! Dziękuję bardzo!

Wolno nam przyjmować paczki z jedzeniem, tytoniem i bielizną. (Bez napojów alkoholowych!). Jedzenie i tytoń, mogą być spakowane do jednej paczki. Bielizna ma być wysyłana osobno. Na zewnętrznej stronie paczki ma widnieć określenie odpowiednio „Bielizna” lub „Żywność”.

10 VII 43

Rostomiło Teresko! (pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.)

Paczką sprawiłaś Poldkowi ogromną radość. Powiadomił mnie, że jego radość i zaskoczenie były podniebne, ale najbardziej cieszył się z cebuli; „tak wielkiej jak głowa naszej Kociczki (pis. oryg. pol.) w domu”. Dobrze to zrobiłaś Teresko. O paczki które od ciebie dostają się nie martw. Wszystko jest dobrze popakowane i przychodzi w dobrym stanie. Ostatnią przesyłkę otrzymałem 29 VI – dziękuję ci od serca i przesyłam podziękowania także za Twój dobry, kochany list z 28 VI. Wczoraj znów otrzymałem paczkę od Pawełka. Już nie wiem jak mu mam dziękować! Zrób to w moim imieniu, Teresko, dobrze? (pis. oryg. pol.) Jestem zdrów i mam się dobrze. – Stara, monotonna śpiewka, która nie mówi nic. Bardziej znacząca jest tęsknota za Tobą Teresko i za Naszymi, tęsknota za domem, a na końcu za moją dawną pracą, co wcale nie ma oznaczać, że się nad sobą roztkliwiam (pis. oryg. pol.). Broń Boże! Wolę, i przychodzi mi to łatwiej zacisnąć zęby i iść do moich przyjaciół by podyskutować z nimi na przykład o Bogu... Poza tym jestem zdrów i mam się dobrze, moja (pis. oryg. pol.) Teresko ponawiam prośbę o książki dla Twojego chłopaka. Wyślij mu co możesz. Wiem, że ze swojej biblioteki pożąda takich pozycji jak na przykład „Człowiek istota nieznaną”, (pis. oryg.) od Karela, albo Carela, albo „Historia Filozofii” Tatarkiewiczza, albo... no (pis. oryg.) to wystarczy. Czy napisałaś do Janka? Odpowiedział? Napisz mi Teresko znowu dużo i o nowinach skoczowskich, kto się urodził, kto umarł, kto pał na froncie itd. Pozdrawiam Cię Teresko serdecznie i ściskam również wszystkich Naszych. Twój Gustlik

10 X 43

Moja jedyna Teresko!

Przede wszystkim przesyłam ci na Twoje imienniny moje najserdeczniejsze życzenia: niech Bóg sprawi byś żyła w zdrowiu i niech obdarzy Cię otuchą, niech rozjaśni Twoje życie słoneczną nadzieją a po tym jak radość, której sobie życzyliśmy przez ostatnie lata nie nastąpiła – niech w tym roku Twojego życia Bóg sprawi, że przeżyjemy ją Ty, ja i nasi przyjaciele, o moja jedyna Teresko! A powiedz Jadwisi, że stary ujek (pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.) w Dachau także jej z okazji imiennin życzy szczęścia, zdrowia i radości,

żeby jej czarne oczy tryskały życiem tak jak kiedyś, przed laty... Całuję ją serdecznie mimo że „mała Jadwina” już jest dużą dziewczyną całuję z „szczypano” a Anieli i Jankowi serdeczne podziękowania za paczkę, a przede wszystkim za ich serce. Bądź tak dobra Teresko i napisz pani dyrektor Słóarskiej, że otrzymałem jej paczkę i że się bardzo, bardzo cieszę, że przetrzymała do tej pory te trudne czasy i że życzę jej z całego serca, by Pan Bóg się nią dalej opiekował i że dziękuję jej serdecznie, że o mnie w tak kochany sposób pamiętała. Napisz jej, że powiedziałem: „Bóg zapłać!” (pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.). Czy ona może ewentualnie jest w stanie dowiedzieć się, gdzie jest Władka? Bądź tak dobra Teresko! A co się tyczy tego Derlicha z Freistadt, to kim jest pani Wilez? Teresko wiadomość o śmierci naszego Ludwika dotknęła mnie bardzo! Tak mi przykro, tak strasznie przykro o to młode życie! We wspomnieniach widzę go wciąż takim jaki był u nas, młody, prawie dziecinny, wyglądający swiata i życia. Szkoda naszego młodego, biednego Ludwiczka! (pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.) Rudolfowi i Zofii wyrażam moje głębokie ubolewanie! Pozdrawiam ich serdecznie, podobnie jak wszystkich Naszych i Ciebie moja Teresko ściskam i całuję serdecznie. Małgosię też! Wasz i Twój Gustlik

P.S. 29 IX dostałem Twoją paczkę. Dziękuję!

27 XII 43

Moja jedyna Teresko!

Jest już po Świętach, które spędziłem w gronie moich przyjaciół i wszyscy myśleliśmy w Wigilię o Tobie Teresko a poza tym o naszych przyjaciółach. Były to już piąte „Gody” (pisownia oryginalna, polska, przyp. tłum.), które spędziłem tak daleko od Ciebie. Nie byłem smutny, ani sentymentalny; wspomnienia stanęły przed oczyma tak kolorowe i słoneczne jak nigdy do tej pory. Byłem radosny i przepełniony nadzieją, podobnie jak moi przyjaciele, a kolendy (pisownia oryginalna polska choć niepoprawna, przyp. tłum.) tak piękne jak nie pamiętam kiedy. Grudzień przez cały miesiąc jest dla mnie jednym wielkim „Szczodrym dniem” (pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.). Zobacz Teresko, pani Słóarska, P. Piaszczyńska, spółem Warszawa, potem Pawełek, Leon, pani Wilczek, Błękitna Janka, pani Dana, Kuglaskowie i wreszcie mała chrześniaczka Christl Wojnar z Wisły (pisownia oryginalna, polska, przyp. tłum.) wszyscy oni o mnie pamiętali, myśleli z serdecznością, a Ty pośród nich, Teresko! To oczywiste, że moi znajomi, którzy nie zostali tak szczerze obdarzeni również mieli w tym swój szczęśliwy udział i wyrażali swoją wdzięczność dla darczyńców mniej lub bardziej kwiecistymi słowami. Żałuję, że nie mogę wszystkim odpisać, ale jeżeli Ty to zrobisz, to powiedz im, serca moich nowych znajomych były pełne miodu, ale przede wszystkim pełne wdzięczności – wszystkim im mówię „Bóg Zapłać!”

(pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.), małą Christl natomiast całuję ciepło. Czy to imię oznacza tyle co Krystyna? Bądź tak dobra Teresko i udaj się do Księdza Burian? Może on będzie wiedział, co stało się z Władką? Gdyby okazało się, że zginęła możesz mnie o tym powiadomić. Tak jak pisałem już w poprzednim liście: „Inż. Szeruda” albo jedna z dwu innych księżek zrobiłyby mi wielką radość. Teresko jestem zdrow i mam się dobrze. Z Połdkiem często przebywamy razem. Dostałem od niego piernikowe serce, z pomocą którego uradowałem znowu moich znajomych i przyjaciół. Napisz mi Teresko znowu dużo, o sobie przede wszystkim, potem o naszych przyjaciółach i wreszcie o nowinach w Skoczowie. Dyr. Machalica cieszy się, kiedy mam jakieś aktualne i wtedy „plotkujemy” (pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.) jak dwie stare klachy. Pozdrawiam wszystkich Naszych i Ciebie Teresko całuję i ściskam – Twój Gustlik

Małgosię też całuję serdecznie.

20 II 44

Moja kochana Teresko!

Moje najlepsze, najserdeczniejsze podziękowania za Twój kochany list i treściwą paczkę. Wszystko co w niej było, dotarło nieuszkodzone. Mam z tego bardzo dużo radości i podziwiam Ciebie i Twoje starania, w wyniku których Twojemu chłopcu nie brakuje nawet „ptasiego mleka” (jak mówiła zawsze nasza matka). Funkcjonująca zapalniczka, którą przysłałaś wzbudza zazdrość wśród moich kamratów. Jeden z nich używa octu do golenia jako dodatku do sałatki ziemniaczanej, a krem do golenia zamiast pasty do zębów. Poza tym otrzymałem paczkę od Pawelka (Bóg Zapłać!), od „Spółem” (Bóg Zapłać!) i dwie paczki od pani Słóarskiej. Ona stała się dla mnie niczym serdeczna ciotunia, która tygodniowo wysyła coś Twojemu chłopakowi, który za każdym razem ma potem ręce pełne różnych dobrych rzeczy jak jaki Mikołaj, pamiętający o innych opuszczonych małych chłopakach. Więc także mojej złotosercej ciotuni Słóarskiej – Bóg Zapłać! – a co się tyczy „ptasiego mleka” to doznałbym w pełni jego smaku, gdybym w kolejnej od Ciebie paczce odkrył znowu chininę dla mojego przyjaciela, a także środek przeczyszczający (parę pastylek), a w paczce od Janka „Księgę Ubogich” (pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.) Kasprowicza. Bądź tak dobra, Teresko i powiadom Janka co następuje: że Twój chłopak nagle poczuł w sobie romantyczny zryw, że stał się wielkim adoratorem Kasprowicza, że entuzjazmuje się jego książeczką („Księgę Ubogich”), a jego wiersze uznał za czarodziejski środek przeciwko szarej, jednostajnej codzienności. Może droga Teresko tak uskrzydłona przemowa dotknie Janka na tyle głęboko, że przy kolejnej okazji wyśle mi tę przepiękną książkę. No nie? (pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.) Spróbuj kochana Teresko! Tak bardzo się z tego cieszę, że Małgosia wciąż jeszcze jest dobrą i grzeczną Małgosią i że w pamięci ma nie tylko wujka, ale także

Jaśka. Całuję ją za to wielokrotnie. Poldek powiedział: „No, no, dyć przeca!” (pisownia oryginalna polska, przyp. tłum.), kiedy doniosłem mu Twoje podziękowania, kazał Ci serdecznie pozdrowić. Tytoń, który mi wysłałaś, smakował również jemu. Teresko, czy masz już adres Władki? Ziutka i Ila tak długo już niczego do Ciebie nie pisały! Teresko pozdrawiam wszystkich naszych przyjaciół, Ciebie ściskam serdecznie i całuję – Twój, Twój Gustlik

10 XII 44

Moja najdroższa (język oryg. pol., przyp. tłum.) Teresko!

Mamy już niedzielę, a ja wciąż nie otrzymałem listu od Ciebie. Może dostanę go jeszcze dzisiaj, a może jutro, w każdym razie chcę ufać w to, że gdzieś pomimo oczywistego opóźnienia. Ponieważ to już ostatni list w tym roku dziękuję Ci moja (pis. oryg.) Teresko już teraz z wyprzedzeniem za dwa listy, które nadejdą w grudniu. Zarazem dziękuję z całego serca za paczkę (z kaczką) (pis. oryg.) i moje najlepsze podziękowania także dla Pawelka za cudowną przesyłkę wraz z kunsztowną kartką artystyczną. Teresko, donoszę, iż otrzymałem łącznie już trzy paczki od Czerwonego Krzyża z Genewy (Szwajcaria) i jest awizowana paczka od Janka (od pani Danuty nic jeszcze nie dotarło). Chciałbym w tym miejscu podziękować Wielkiemu Ludzkiemu Sercu. Niby to taka mała rzecz, ale po prawdzie – coś Wielkiego, Dostojnego, coś, co pozwala wierzyć w ludzkość. A kiedy myślę o nadchodzących Świętach Bożego Narodzenia z ich mistyką i przeżyciami duchowymi, dziecinnymi wzruszeniami i ich naiwną, jasną radością, a przede wszystkim z przecuciem nadchodzącego nowego życia – kiedy o tym myślę, to myślę o Tobie moja (pis. oryg.) Teresko, moja jedyna, i jestem spokojny i szczęśliwy i nie chcę już być smutny, a przeciwnie – chcę się radować. Pytasz mnie Teresko – dlaczego? Dlatego, że wierzę w Boga, w nowo narodzoną miłość, nowo narodzone serce ludzkie i w cud Świętej Nocy. A Ty moja (pis. oryg.) nie dopuścisz w tę Noc do siebie smutku, prawda? A moje serce będzie z Tobą i z naszymi Kuglaskami, Małgosią i wszystkimi, którzy nas, Ciebie i mnie kochają. Nie smuć się więc w tę Noc Cudu, ale się raduj Teresko, pełna wiary i nadziei, bo wiele, wiele serc będzie przy Tobie. Całuję Cię Teresko i ściskam serdecznie, moją złotą Małgosię też – Twój i Wasz Gustlik

P.S. Przesyłanie listów ekspresowych, a także poleconych i poleconych paczek jest od zaraz zabronione.

¹ Dokładnie okoliczności aresztowania opisałam w: *Morcinek w Dachau*. „Śląsk. Miesięcznik kulturalno-społeczny” 2011, nr 9, s. 46-49.



Odszedł wielki szwedzki poeta

Tomas Tranströmer, laureat Nagrody Nobla

GRAŻYNA
BARBARA
SZEWCZYK

Podczas zorganizowanej w dniu 12 września 2014 roku w Sztokholmie uroczystości nadania Tomasowi Tranströmerowi przez Uniwersytet Śląski tytułu doktora *honoris causa* (sprawozdanie z uroczystości ukazało się w październikowym numerze „Śląska” 2014 r.) nikt z grona jej uczestników nie spodziewał się, że będzie to jedno z ostatnich publicznych wystąpień wybitnego szwedzkiego poety. Wydarzenie to, w które wpisało się również osobiste spotkanie członków polskiej delegacji z noblistą, pozwala dzisiaj, kilka tygodni po jego śmierci, powrócić do przelożonych na język polski poetyckich wersów i wyłowić z nich nowe treści. Kontakty Tranströmera z Polakami – warto przypomnieć, że gościł dwukrotnie w Polsce w 1987 r. i 1993 r. – zwłaszcza z tłumaczem Leonradem Neugerem i grupą krakowskich oraz katowickich krytyków, zaowocowały wymianą myśli i przyczyniły się do spopularyzowania jego utworów wśród polskich czytelników.

Wiadomość o śmierci wybitnego szwedzkiego poety i laureata Nagrody Nobla w dziedzinie literatury Tomasza Tranströmera (1931–2015) wywołała poruszenie nie tylko w kręgach najbliższych jego przyjaciół, pisarzy i ludzi ze świata kultury w Szwecji, ale i wśród krytyków, tłumaczy i miłośników jego poezji na całym świecie. W Niemczech, gdzie Tranströmer był wielokrotnie przekładany i czytany i gdzie regularnie ukazywały się recenzje jego książek, szpalty dzienników i tygodników wypełniły się artykułami wspomnieniowymi. „Tajemnicą tranströmerowskiej poezji były jej obrazy i jej metafory. Był artystą wysokiej rangi, poetą wyjątkowym, w pełni odpowiedzialnym za język” – pisał felietonista „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. W opinii szwedzkich krytyków jego sztuka poetycka była wyrazista, a pełne muzycznych akordów wiersze wskazywały na duchowe związki łączące poetę z wielką literaturą światową. „Jego poezja będzie żyła tak długo, jak długo będzie istniał język szwedzki” – podsumował publicysta „Svenska Dagbladet”.

Zmarły w dniu 27 marca 2015 r. Tomas Tranströmer był poetą wszechstronnie utalentowanym; pisał wiersze, komponował krótkie utwory muzyczne, grał na pianinie, czerpał z historii muzyki i malarstwa wiele tematycznych wątków, wykonywał zawód psychologa i był z zamiłowania kolekcjonerem chrząszczy i motyli. Mimo, iż jego poetycki dorobek obejmuje zaledwie dwanaście, niewielkich objętościowo tomików wierszy z lat 1954–2004 (w 2011 r. otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury), każdy utwór wypełniony jest gęstą siecią niezwykłych obrazów i metafor. Powiązane ze sobą misternie, przesycone jasnymi barwami i tajemniczymi dźwiękami, tworzą świat, który wydaje się z pozoru, rzeczywisty, bliski i namacalny. Jednak w chwili zanurzenia się w bezdenną toń odczuć, wrażeń i odniesień staje się dziwnie odległy, niekiedy zimny i odpychający. Odczytywanie słownych sensów okazuje się wówczas trudnym zadaniem.

„Grudzień. Szwecja jest statkiem wciążniętym na ląd, niezdatnym do żeglugi. Jego maszty wznoszą się niezdarne ku mrocznemu niebu. A mrok trwa dłużej niż jeden dzień” [...]. czytamy w jednym z młodzieńczych wierszy poety. Metafora statku zanurzonego w ciemności i w ciszy przerywanej odgłosami wzburzonego morza i wiatru, jest jedną z wielu symbolizujących los człowieka, jego miejsce w świecie żywołów przyrody i pielgrzymkę prowadzącą w stronę „bezpiecznego brzegu”. Tranströmerowskie obrazy surowej szwedzkiej natury są niezwykle dynamiczne i bogate w szczegóły, każdy z nich jest ważny, wyraźny i uchwytny dzięki grze światła i dźwięków, każdy żyje własnym życiem. Przyglądając się wypowiedziom zdaniowym zbudowanym z metafor, np. w wersach „Zatarte wspomnienia opadają na dno morza i zastygają w obce posągi”, „W środku umierającego lasu, tam, gdzie zbutwiały

drewno przez ociekające sokiem okulary odczytuje protokół chrząszcza”, czy „W powietrzu nad sadem wymalowany jest hieroglif ujadającego psa” zauważamy, że teksty Tranströmera wyrastają z podłoża innego tekstu zbudowanego ze wspomnień, sennych marzeń i zagadkowych znaków. Poeta często i chętnie powraca do wspomnień o bliskich zmarłych, o ukochanym dziadku-sterniku, przyjaciółkach, o wybitnych postaciach w historii Szwecji, w dziejach europejskiego malarstwa i muzyki, a także o obumarłych rzeczach. Ludzie, krajobrazy i rzeczy towarzyszą lirycznemu podmiotowi w śnie i na jawie, rozbudzając głębokie warstwy pamięci i rozpinając mosty między przeszłością i teraźniejszością.

„Chcą coś powiedzieć, ci umarli. Pałają papierosy, ale nie jedzą, nie oddychają, ale zachowali głos. Pobiegnę ulicą jak któryś z nich. Mroczniejąca, przytłaczająca jak księżyc katedra, powoduje odpływ i przyływ” pisze w wierszu *Głęboko w Europie*.

Porównując młodzieńcze wiersze Tranströmera z lat jego debiutu w 1954 r. z utworami powstałymi w następnych dziesięcioleciach można nakreślić drogę jego poetyckiego rozwoju. Dla współczesnego czytelnika ważniejsza jednak wydaje się odpowiedź na pytanie, czym była za życia cała jego poezja i co pozostanie z niej dzisiaj w świadomości odbiorcy. Znając biografie szwedzkiego noblisty, wypełnioną wieloma przeżyciami, radośnym dzieciństwem, licznymi podróżami, spotkaniami autorskimi i pisarską aktywnością, zmuszeni jesteśmy zatrzymać się

na roku 1990, kiedy w wyniku ciężkiego wylewu Tranströmer został częściowo sparaliżowany i pozbawiony możliwości komunikowania się z otoczeniem. Czy jednak rok ten wyznacza rzeczywiście cezurę w jego poezji, skazując go na lata milczenia? Poezja była dla szwedzkiego noblisty od początku „nowym sposobem komunikowania się”, wiersz „swoistym węzłem komunikacyjnym”, a metafora jego potwierdzeniem. Poeta, którego częściowy paraliż pozbawił zdolności mówienia, nie zrezygnował do końca życia z pasji pisania wierszy. Sięgając do lapidarniej formy wiersza haiku, starał się nadać każdemu przywoływanemu w myślach słowu wyjątkowe znaczenie.

Od początku pisarskiej drogi jawiał się skomplikowane zjawiska przy pomocy prostego, obrazowego języka. Od początku też spotykamy w poezji Tranströmera motyw śmierci, która pojawia się najpierw w śnie, z czasem tylko w otaczającej go rzeczywistości. W wierszu pt. *Czarne widokówki* z 1983 r. pisze: „W środku życia zjawia się śmierć i bierze miarę na człowieka. Zapominamy o tej wizycie a życie dalej się toczy. Ale ubranie szyje się w ciszy”. A w jednym z ostatnich tomików poezji pt. *Wielka zagadka* spodziewając się, że śmierć niebawem nadejdzie, zastanawia się nad przemijalnością i kresem ludzkiego życia. Śmierć objawi się wtedy jako postać wylaniająca się z fal morskich, z czarnego masztu żaglowca czy z pękającego nad głową sufitu.

Nie można mimo to nie zauważyć, że poezja Tranströmera wypełniona jest

przede wszystkim obrazami pulsującego dookoła życia i wieloma zmysłowymi wrażeniami, a tam, gdzie przedmioty i ludzie wychodzą z „cienia”, stają się widoczne i objawiają magiczną moc, ma charakter epifaniczny. Jej przesłanie nie jest wówczas mroczne, wypełnione tęsknotą i smutkiem, lecz zwiastuje radość i nadzieję. Także wersy z wydanego w 1993 roku tomu poezji, pt. *Widzę mnie wspomnienia*, artykułujące wiarę w człowieka i w odnawiającą moc przyrody, zachęcają do podróży z poezją Tranströmera przez przestrzenie jego prywatności i wrażliwości, obszary muzyki, malarstwa i dnia codziennego. I sięgać będziemy do nich ilekroć poszukiwać będziemy dobrej, oryginalnej poezji.

„Moje życie”. Kiedy zastanawiam się nad tymi słowami, widzę przed sobą smugę światła. Przy bliższym spojrzeniu smuga przyjmuje formę komety z głową i ogonem. Najbardziej rozświetlona strona, głowa, to dzieciństwo i lata dorastania. Jej rdzeń, najbardziej zagęszczona część, to bardzo wczesne dzieciństwo, kiedy zostały określone najważniejsze cechy mojego życia. Próbuję sobie przypomnieć, próbuję dostać się do środka. Ale trudno poruszać się w najbardziej gęstych obszarach, to niebezpieczne, to tak, jak gdyby chciało się zbliżyć do śmierci. W tylnej części kometa jest rzadsza – ta dłuższa część, to ogon. Jest rzadki, coraz bardziej ale też szeroki. Kiedy piszę te słowa, znajduję się w ognie komety”.

VIII Metropolitalne Święto Rodziny

Rodzina – gościnny dom

23.05 - 6.06

swieto-rodziny.pl

PATRONAT HONOROWY:
ojciec Wiktor Skonieczny
Metropolita katowicki
bp Jan Kasper
Ordynariusz Gliwicki
bp Jan Grajcar
Ordynariusz Opolski

KOORDYNATOR:
Halga Szostak-Marko-Szostak
Prezydent Miasta Zabrze





Wernisaż Konia trojańskiego: (od lewej) Eugen Bednarek, Marek Kuś dyrektor BWA, Ireneusz Walczak, Zbigniew Blukacz, Piotr Naliwajko i Ingmar Villqist (przy mikrofonie).

Dlaczego Ingmar Villqist swojej kuratorskiej wystawie czterech malarzy: Bednarka, Blukacza, Naliwajki i Walczaka w katowickiej galerii BWA nadał tytuł „Koń trojański”? [- [...] nie z chęci zapowiedzi jakiegoś artystycznego kataklizmu, ale m.in. z potrzeby zilustrowania takim pokazem malarstwa tekstów o śląskich malarzach, które pisę w katowickiej Wyborczej” – tyle sam autor wystawy gwoli wyjaśnienia. Nie wiele. Czytam te teksty w Wyborczej – jak zawsze pisane z bardzo osobistego punktu widzenia, z dotknięciem tego co niewidzialne, bez emfazy, bez popisów erudycyjnych. Pełne oglądu sztuki przez niewątpliwie wytrawnego znawcę sztuki najnowszej i jej wielkiego orędownika. I z jakąś nutą smutku, że tak wielu znakomitych artystów, niezwykłych malarzy i grafików chodzi ulicami Śląska, mających ogromny dorobek, ale może za skromnych na wielki, skomercjalizowany, rozcelebrytowany świat. Dlatego ów Koń trojański pojawił się w katowickiej BWA – z jego wnętrza wysypały się dokonania artystów, których Villqist opisywał w swoich „malarzskich” felietonach. Zestawił nieprzypadkowo te cztery nazwiska – są swoistą forpczta być może kolejnych odsłon? Co i kogo chciał pokazać Villqist w BWA? Będąc samemu przed laty związanym z tą instytucją, miał pewien plan pokazywania tego, co najlepsze w sztuce Śląska, co spokojnie może stawać w artystyczne szranki nie tylko na forum krajowym ale i europejskim. Największa profesjonalna galeria sztuki współczesnej w regionie poszła jednak w innym kierunku. On tymczasem, jako historyk sztuki, zawędrował wyżej – do Warszawy. Powrócił jednak na Śląsk z zamysłem pokazania li tylko niewielkiego wycinka dorobku artystów stąd. Właśnie Eugen Bednarek mieszkający na stałe w Niemczech i Piotr Naliwajko, Zbigniew Blukacz i Ireneusz Walczak – artyści rocznik 60. i 61. mi-

Siła czterech czyli „Koń trojański”

nionego stulecia stali się „flagowymi” artystami Konia trojańskiego. Bednarek i Naliwajko – z Pracowni Jerzego Dudy-Gracza, Blukacz i Walczak – z Pracowni Jacka Rykały. Lecz ani śladu w ich pracach ręki mistrzów. Każdy poszedł własną drogą, osiągając mistrzostwo. Dlaczego oni? Bo najbliżsi rocznikowo Villqistowi, rówieśnicy, a więc wyrosli w podobnych warunkach, w podobnych nastrojach, wrażliwości. Ponad wszystko niezależni, wierni sobie. Zestawienie ich prac w przestrzeni BWA dawało piorunujące wrażenie. Jak pokazał wernisaż, chętnych doznania tych wrażeń była ogromna ilość! Nie pamiętam, by któraś z ostatnich wystaw zgromadziła taki tłum ludzi chcących nie tylko pogadać ze znajomymi artystami, zobaczyć prace artystów dawno nie widzianych w tym miejscu (Naliwajko okazał się debiutantem w tej galerii!), a na dodatek w takim znakomitym zestawie. Zwłaszcza Eugen Bednarek przez ponad półtora dekady był nieobecny na wystawach na Śląsku i w Polsce. Zatem ciekawość ogromna – co robi, w jakim kierunku poszła jego twórczość. Naliwajko ze swoimi realistycznymi, a nawet nadrealistycznymi postaciami ojców i synów i scenami mitycznymi, Blukacz z rozmachem malujący przestrzenie wychodzące poza horyzont czy Walczak z malarstwem

„publicystycznym”, będącym osobistą wypowiedzią na temat trudnej przeszłości i teraźniejszości skrawka ziemi zwanej Śląskiem, ale też odnoszącą się do sytuacji człowieka i jego egzystencji w nowoczesnym świecie, zdominowanym przez przemoc. Wielowymiarowe obrazy Ireneusza Walczaka rozpychają ramy, pozwalają się czytać z każdej strony, wychodzą poza płaską płaszczyznę obrazu. Jak świat zewnętrzny otaczają odbiorcę, pozwalają śledzić wydarzenia, komentować, dyskutować z ich twórcą. Bednarek pozostał wierny swoim zdeformowanym postaciom, pojawiającym się na mało malarskich podłożach, przetrwanych bądź rozprutych zdobytych materiałach z bliskiego otoczenia człowieka. Twarze ludzkie, postaci – to zdeformowane, bezkształtne stwory, wykrzywające pozornie piękny współczesny świat. Jego „Pszczółki Maje”, „Optymiści” są zaprzeczeniem sielanki, otwierają przed nami prawdziwe oblicze wszechobecnego zła. Dramatyczne jest to widzenie rzeczywistości. Ale czy nie mniej dramatyczne są postaci Naliwajki – ludzie z sąsiedztwa, czasem ułomni, niepiękni, zwyczajni do bólu, niezauważani wokół nas. Dopiero gdy stają się postaciami z obrazów widać ich siłę, wzajemne relacje stają się czytelne – ojcowie i synowie, nieważne czy ich postury są bardziej czy mniej atletyczne, czy są schorowane czy takie, jakie oglądamy na co dzień w lustrach domów, nie nadające się na pierwsze strony gazet, ale jakże prawdziwe.

O każdym z tych artystów można jeszcze długo pisać. Villqist pokazał zbiorową siłę wyrazu twórców tych dzieł, ich indywidualność i niezwykłość. Świat każdego z osobna, zestawiony z innymi światami pokazuje ich niezwykłość. Oby to nie był jedyny „Koń trojański” w katowickiej BWA.

WIESŁAWA KONOPELSKA

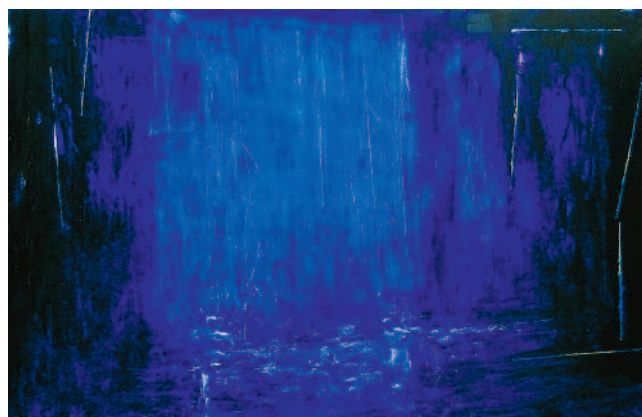


Eugen Bednarek, *Optymista*, technika mieszana, 70x100 cm



Eugen Bednarek, *Pszczółka Maja*, technika mieszana, 70x100 cm

Bednarek • Blukacz **KOŃ TROJAŃSKI**



Zbigniew Blukacz, z cyklu *Rytmy i Tonacje Scen*, olej, akryl, płótno, 130x200 cm

Naliwajko • Walczak



Piotr Naliwajko, *Adam Brożek z synem Łukaszem*, z serii *Abraham i Izaak. W drodze. Wariacje eugeniczne na dwie zielenie i czerwień angielską*, olej, płótno, 180x160 cm, 2009



Ireneusz Walczak, *Multikulti I*, olej, akryl, pł., 100x100x17cm, 2013



Ireneusz Walczak, *Instalacja Szymona Kobylarza wg projektu*



Wiktor Ostrzołek

– witraże w kościele
pw. Najświętszego Serca
Pana Jezusa w Katowicach



Wiktor Ostrzołek – artysta wpisany w śląskie sacrum

KS. HENRYK PYKA

W roku 2014 „Dziennik Zachodni” przeprowadził plebiscyt na najpiękniejszy kościół w Katowicach. Największe uznanie wśród odwiedzających katowickie świątynie uzyskał kościół Ojców Oblatów na Koszutce pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa.



Zdjęcie: Zbigniew Sawicz

Kościół na Koszutce przechodził trzykrotną przebudowę. Kolejne przemiany architektoniczne zawsze wynikały z potrzeb lokalnej wspólnoty parafialnej.

Budynek kościelny istnieje po to, by w nim się zbierało zgromadzenie, które wielbi Boga i które Bóg uświęca. Domem Bożym są chrześcijanie, a budynek to łupina osłaniająca żywy organizm.

Druga przebudowa kościoła dokonała się w ciągu zaledwie siedmiu miesięcy: od maja do listopada 1957 roku. Architektem tej przebudowy był Stanisław Sepioł, autor kaplic maryjnych Kalwarii Panewnickiej. Mieszkańcy Koszutki, których stałe przybywało w tej nowocześniejszej na owe czasy dzielnicy Katowic potrzebowali takiej „łupiny”. W krótkim czasie, tuż po „odwilży” w roku 1956 i powrocie biskupów katowickich z wygnania powstał tu kościół, który swoim wnętrzem wpisał się do podręczników współczesnej sztuki sakralnej w Polsce.

W tym krótkim czasie rozbudowy małej klasztornej kaplicy, powstałej tu w okresie Międzywojnia nie rozważano w roku 1957 programów architektonicznych. Zainteresowanie architektów tematyką sakralną na Zachodzie w tym czasie było bardzo wielkie. W roku 1955 powstała przecież we Francji słynna kaplica Le Corbusiera w Ronchamp. W Katowicach zbudowano „łupinę”, by osłaniała Kościół – Lud Boży. Zbudowano kościół halowy na planie krzyża łacińskiego, długi, by pomieścił jak największą liczbę mieszkańców Koszutki po to, by nie stali w czasie na-

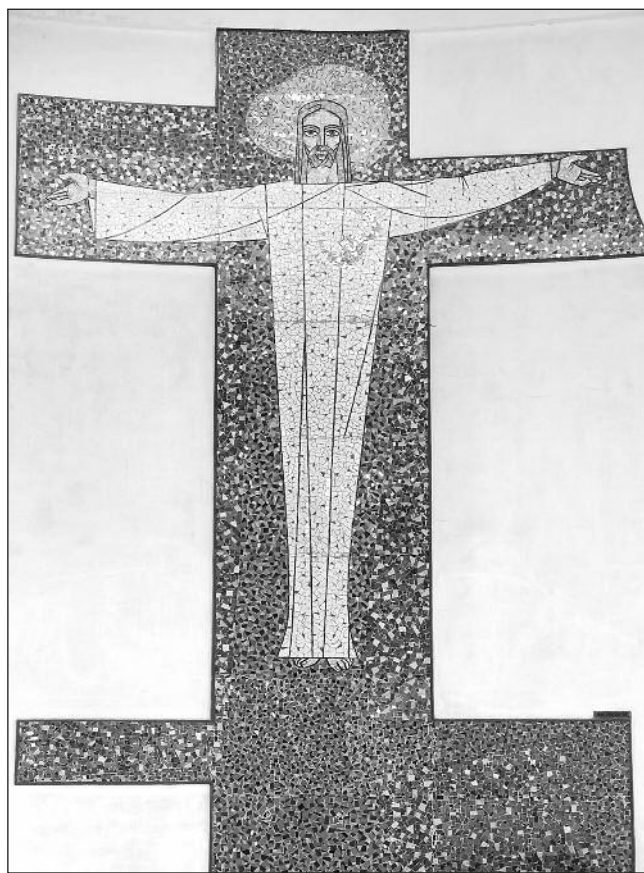
bożeństw na deszczu. Takich „barokowych” kościołów powstało po roku 1945 w diecezji katowickiej kilka. Czasami były to faktycznie baraki jak w Rojcy, tarnogórskich Sowicach, w tyskich Cielmicach, czy katowickim Brynowie. W takich kościołach – barakach, sakralny charakter wnętrza przypominał zapach kadzidła po nabożeństwie i ołtarz był przeniesiony najczęściej z innego kościoła.

Kościół na Koszutce barakiem nie był, choć pamiętam miał otwartą, jak w każdym baraku więźbę dachową. Pracujący tu duszpasterze zrozumieli, że o sakralnym charakterze wnętrza w takim pospiesznie zbudowanym kościele może zdecydować artysta. Wybrano Wiktora Ostrzołka, który w tym trudnym dla Kościoła czasie, korzystnie wpływał na poprawę strony graficznej „Gościa Niedzielnego”. W roku 1957, kiedy kościół na Koszutce wybudowano, Wiktor Ostrzołek uzyskał dyplom w krakowskiej ASP, zwanej wówczas Akademią Sztuk Plastycznych. Jego realizacje rozpoczęły się w tym kościele w roku 1960. Wielu artystów z obawy o represje nie podejmowało wówczas współpracy z Kościołem. Ostrzołek poproszony przez ówczesnego proboszcza – oblata, Jana Jopa o realizację we wnętrzu, przeniósł w sferę obrazowania treści ideowe, które zarysowały się w Kościele w trakcie obrad Soboru Watykańskiego II. Pięćdziesiątą rocznicę zakończenia tego Soboru w tym roku obchodzimy. Wiodącym i na wiele sposobów odmienianym hasłem Soboru było powtarzane w języku włoskim przez polskich duchownych słowo „ag-

giornamento”. Oznaczało ono usiłowanie Kościoła wyjścia naprzeciw wszystkim przemianom, które wpłynęły na obraz człowieka lat po roku 1959. Droga Człowieka, powtarzał Sobór jest drogą Kościoła. Przeniesienie tej zasady myślenia i postępowania w sferę obrazowania przez liczącego wówczas 27 lat artystę zdecydowało o tym, że jego realizacje na Koszutce zostały zauważone. Potraktowano je jako „biblię pauperum” naszych czasów, dzięki której współczesnemu człowiekowi łatwiej zrozumieć odwieczne przesłanie Ewangelii. Ewangelizacja Życia, była w okresie późniejszym tematem wiodącym I Synodu Diecezjalnego Katowickiej. Powstał nawet przy Synodzie Diecezjalny Ośrodek Ewangelizacji Życia. Artysta zatem znalazł się w nurcie zagadnień, żywo odbieranych przez Kościół i we właściwy sposób je przetwarzał. Nie tylko na Koszutce, gdzie ostatnią z wykonanych przez niego prac w tym okresie była kaplica chrzcielna opracowana pod kątem obchodów milenijnych w roku 1966. Z tego samego czasu co realizacje Ostrzołka na Koszutce pochodzi wielkie okno kościoła w Katowicach-Murckach, gdzie teologiczne treści kompozycyjnie przesączają wielorakie sfery ludzkiej działalności. Tym oknem, wpisanym w architekturę Zygmunta Gawlika Ostrzołek osiągnął plastycznie pełnię tego, co Sobór pragnął wyrazić używając słowa „aggiornamento”. Witraż powstał w roku 1960, zaraz na początku Soboru, w klimacie zachwyty myślenia soborową, która musiała przeniknąć rozmowy w kręgu osób „Gościa Niedzielnego”.

Wskazanie w plebiscycie „Dziennika Zachodniego” Koszutki, jako miejsca lokalizacji „najpiękniejszego” kościoła w Katowicach zawiera z pewnością ocenę jego wnętrza, w którym realizacje Ostrzołka stanowią dominantę. Z pierwszego okresu jego działalności w tym wnętrzu zachowała się monumentalna mozaika przedstawiająca Ukrzyżowanego w szacie kapłańskiej z otwartym sercem. Wypełniała ona ścianę czołową ponad ołtarzem. Dzisiaj wypełnia lewą, północną flankę centralnie ukształtowanej przestrzeni celebracji z zachowanym, pierwotnym ołtarzem, który Ostrzołek zaprojektował. Dawna przestrzeń kościoła zawiera się między tą mozaiką a przeciwległe położonymi organami. Finałnym efektem rozbudowy tej przestrzeni jest obecny kościół. W celu poszerzenia wnętrza usunięto ścianę, w której znajdowała się większość witraży. Niektóre nie zachowały się. Niektóre osadzono w oknach innych pomieszczeń. Katowiccy architekci Tadeusz Czerwiński i Jan Muszyński są autorami tej przebudowy. Ukształtowali przestrzeń, która pozwala na wspólnotowe przeżywanie Eucharystii. Myślę, że ten aspekt zaważył w ocenie przydatności ukształtowanego wnętrza do potrzeb rodziny parafialnej. Uczestnicy zgromadzeń liturgicznych w tak ukształtowanej przestrzeni są mniej anonimowi. W długiej nawie drugiego kościoła z oddali widzieli postać przewodniczącego zgromadzenia. Tu i kapłan jest blisko i zgromadzonych łatwo ogarnąć jednym spojrzeniem. Anonimowość i bezosobowość mieszkańców wielkich osiedli w takim miejscu wydaje się być przewyżczona. Kościół zaprojektowany na rzucie półkola jest dobrze oświetlony w części centralnej latarnią doświetlającą ołtarz. Okalająca wnętrze galeria mieszcząca wiele osób w całości jest przeszklona. Te przestrzeń wypełniają witraże Ostrzołka wykonane już po zakończeniu przebudowy. Artysta, który od roku 1961 kształtował sakralną atmosferę tego wnętrza, w roku 2009 wprowadził tu finalny akcent w postaci fryzu okalającego całą tę przestrzeń. Kiedy porównuje się wczesne dokonania Ostrzołka w tym wnętrzu z jego ostatnią realizacją, widać jak bardzo w ciągu minionych pięćdziesięciu lat ewoluowała plastyczna forma wyrazu tego artysty.

Fryz witrażowy ukończony na Koszutce w roku 2009 powstał równoległe z innymi witrażami, które artysta ostatnio wykonał dla katowickich ko-



Mozajka ołtarzowa w kościele Ojców Oblatów w Katowicach

ściołów. Mimo że przekroczył już osiemdziesiąty rok życia nadal przyjmuje zlecenia i realizuje je z powodzeniem. Witraże Ostrzołka w Katedrze katowickiej, kościele Bożego Ciała na katowickim „Manhatanie”, czy w Gisowcu posiadają formę zbliżoną do fryzu koszuckiego. Nie są to jednak realizacje tak monumentalne. Artysta opasał przestrzeń kościoła barwną, świetlistą wstęgą, w którą wpisał dwanaście zdarzeń biblijnych i pozabiblijnych stanowiących osnowę historii zbawienia rodzaju ludzkiego. Poszczególne epizody ukazują posługę aniołów w dziele zbawczym. Można zatem przyjąć, że cały fryz jest traktatem angelologicznym i jako taki zasługuje na uwagę. Tym bardziej że zainteresowanie aniołami przedjawiało się ostatnio pięknymi wydaniami prezentującymi ten wdzięczny temat w sztuce.

Dla zwiedzających kościół na Koszutce, ułatwieniem w rozpoznaniu poszczególnych wydarzeń z udziałem aniołów niech będzie lakoniczna prezentacja, która rozpoczyna się dla patrzących na ołtarz od prawej strony:

Zadanie ciosu upadłym aniołom zapowiedzią zwycięstwa Dobra.

Wygnanie z raju. Anioł z połyskującym ostrzem miecza.

Ofiara Izaaka. Anioł powstrzymuje śmiertelny cios Abrahama.

Walka Jakuba (Izraela) z Aniołem.

Gabriel – Anioł Zwiastowania.

Aniołowie nad Betlejem wiodący magów.

Anioł nawiedzający w śnie Józefa w kontekście ucieczki do Egiptu.

Anioł pocieszenia z kielichem na Górze Oliwnej.

Aniołowie pustego grobu Zmartwychwstałego.

Aniołowie unoszący Jezusa do Nieba.

Anioł fatimskich objawień.

Anioł Stróż opiekun człowieka na drodze zbawienia.

Sceny posiadają formę graficznych opracowań, dlatego są czytelne i można by je wpisać do ilustrowanej historyjki biblijnej, jakich wiele ukazało się jako pomoc w nauczaniu religii. Artysta jednak powiązał te wydarzenia kosmiczną formą barwnej kompozycji. Dopiero ta galaktyczna forma łączy poszczególne wydarzenia w kosmogeniczną opowieść o człowieku, o jego zakorzenieniu w Bogu, który do człowieka wielokrotnie przemawiał poprzez znaki świata widzialnego i niewidzialnego. Rozpo-

czętą tu przez Ostrzołka w roku 1961 narrację, objaśniającą sens spraw codziennych pośród których „zdeputuje” się człowiek, artysta poszerzył o refleksję nad człowiekiem zagubionym pośród gwiazd. Nie pyta już o wartość ludzkiej pracy, rodziny, wszelkich usiłowań czyniących świat bardziej ludzkim. Na ten temat wypowiedział się Sobór i artysta we właściwym czasie umiał to zobrazować. Dzisiaj, nawiązując do kosmicznych, galaktycznych form, znanych nam z przekazów teleskopów orbitujących ponad Ziemią pyta się o sens istnienia człowieka. I odpowiedź znajduje wpisując w kosmiczne tło znaki Bożej Obecności i Bożych interwencji.

Długa droga katowickiego artysty naznaczona licznymi realizacjami w kościołach w całej Polsce i poza jej granicami warta jest trudu archiwizacji. Archiwizować należy myśl i dzieło. Kiedy w roku 2006 po ukazaniu się monografii poświęconej artyście, Ostrzołek otrzymał nagrodę Prezydenta Miasta Katowice, słyszałem słowa: nie wiedzieliśmy, że w Katowicach mieszka artysta, który tak wiele dokonał dla Kościoła i polskiej kultury. Biblioteka Śląska w Katowicach rozpoznała wartość twórczości artysty i podjęła aktualnie współpracę z Ostrzołkiem, by ocalić od rozproszenia jego projekty, notatki i pamiętki przechowywane w pracowni.

Pamięci „Karola z Atmy”

KAROL RAFAŁ
BULA

W 2017 roku w marcu minie 80 lat od śmierci kompozytora, któremu los nie pozwolił spełnić się całkowicie. Odszedł z tego świata w wieku pięćdziesięciu czterech lat, gdy jego działalność twórcza, tak ważna dla rozwoju muzyki polskiej, osiągnęła wysoki poziom dojrzałości i zaczęto doceniać ją w kraju i na świecie. Fatalny rok 1937, w którym zmarło kilku jeszcze innych wielkich kompozytorów, a wśród nich Maurice Ravel, George Gershwin i Albert Roussel, nie zapowiadał bliskiej już II Wojny Światowej, która miała zaważyć na jakże istotnej wieloletniej przerwie w rozpowszechnieniu powstałych w ciągu ostatnich lat dojrzałych dzieł kompozytora nie bez powodu uznanego za najwybitniejszego kompozytora w odrodzonej Polsce. Światowej sławy dyrygent Sir Simon Rattle, od 2002 roku szef artystyczny Berlińskich Filharmoników, użył przed laty znamiennych słów odnoszących się do muzyki Karola Szymanowskiego „*Dla Szymanowskiego właśnie nadszedł czas*”. Zafascynowany kompozycją „*Stabat Mater*” Szymanowskiego Rattle odkrywał kolejne dzieła wielkiego twórcy i nagrywał je na płytach. Nagrania opery „*Król Roger*”, IV Symfonii, obydwu koncertów skrzypcowych budzą podziw koneserów muzyki. Wraz z Rattlem muzykę Szymanowskiego „odkrywało” wielu artystów i melomanów urodzonych po zaprowadzeniu pokoju w Europie.

Powstałe w Zakopanem niemal 40 lat temu ogólnopolskie Towarzystwo Muzyczne im. Karola Szymanowskiego, dbając o spuściznę po wielkim kompozytorze, regularnie przypomina polskim melomanom o jego dorobku w swoich licznych koncertach, które zwłaszcza w formule festiwalowej wywołują szczególnie silny oddźwięk wśród naszego społeczeństwa. Obok dorocznego międzynarodowego festiwalu „*Dni Muzyki Karola Szymanowskiego*” w Zakopanem powodzenie zyskały sobie zwłaszcza organizowane od 18 lat w katowickiej Akademii Muzycznej Wieczory Muzyki Karola Szymanowskiego, którego muzyce towarzyszą każdorazowo utwory innego kompozytora współczesnego Szymanowskiemu. W minionych latach można było na nich wysłuchać m.in. muzyki Leoša Janačka, Maurice Ravela, Claude Debussy'ego, Sergiusza Prokofiewa, Dymitra Szostakowicza, Alfreda Caselli, Bohuslava Martinu. W tym roku dziełom Karola Szymanowskiego w marcowych koncertach towarzyszyła muzyka urodzonego rok przed naszym twórcą najwybitniejszego kompozytora rumuńskiego George'a Enescu, genialnie wszechstronnego muzyka: kompozytora, pedagoga, skrzypka, pianistę i dyrygenta najwyższej klasy. Jako wykonawca odnosił sukcesy w najbardziej renomowanych salach koncertowych Europy i Ameryki. Z jego umiejętności pedagogicznych korzystali wybitni potem artyści, a wśród nich Yehudi Menuhin, Diny Li-

patti, Ida Haendel, a z Polaków Roman Totenberg, Eugenia Umińska, Stanisław Wisłocki.

W trzech wieczorach muzyki kameralnej (2, 5 i 7 marca) przez estradę Sali koncertowej Akademii Muzycznej w Katowicach przewinęła się plejada artystów z oddaniem prezentujących muzykę dwóch mistrzów. W pierwszym z nich z *Sonatą d-moll na skrzypce i fortepian op. 9* Szymanowskiego zestawiono *III Sonatę skrzypcową a-moll op. 25* Enescu. Obie sonaty zaprezentowali Krzysztof Lason/skrzypce i Michał Szdzikowski/fortepian.

Sonata Szymanowskiego, jedno z jego wczesnych dzieł (1904) od chwili prawykonania w 1909 roku przez dwóch znakomitych muzyków Pawła Kochańskiego i Artura Rubinsteina podejmowana jest przez najznakomitszych skrzypków Nie może więc dziwić, że pojawia się regularnie w katowickich Wieczorach, lubiana tak przez wykonawców jak i słuchaczy. Tym razem jej prezentacji podjęli się dwaj wielce uzdolnieni absolwenci katowickiej Akademii Muzycznej, zapewniając dziełu wszelkie spodziewane walory. Z dużym zaciekawieniem słuchacze oczekiwali kontaktu z muzyką rumuńskiego kompozytora, którego dzieła raczej rzadko goszczą na polskich estradach koncertowych. Sonata oparta na rumuńskich motywach (sugeruje to sam podtytuł) nie zawiodła ich oczekiwań. Zarówno oryginalne wątki liryczne, jak i odwołujące się do muzyki ludowej rytmy taneczne oraz opracowanie imitujące chwilami grę na cymbałach, doskonale uchwycone przez dwójkę muzyków, wywołały duże wrażenie.

Program pierwszego wieczoru uzupełniły pianistycznie wymagające *Wariacje h-moll op. 10 na polski temat ludowy* Szymanowskiego wykonane z maestrią przez Magdalenę Lisak, znaną i podziwianą za muzykalność i niezwykle umiejętności techniczne laureatkę Konkursu Chopinowskiego profesorującą w tutejszej Akademii Muzycznej.

Na program drugiego wieczoru złożyło się kilkanaście utworów instrumentalnych i pieśni. Doskonałą interpretację pierwszej opusowanej kompozycji Szymanowskiego – *5 z Dziewięciu Preludiów op. 1* (h-moll, d-moll, Des-dur, b-

-moll, d-moll) popisał się Zbigniew Raubo, pieśni (*3 Mélodies op. 4* Enescu oraz *3 fragmenty z poematów Jana Kasprowicza op. 5*) zaprezentowali w sposób budzący podziw znani koneserom muzyki wokalne akademicy Ewa Biegas (sopran) i jej małżonek Grzegorz (fortepian). Twórcy programu zadbali o zwiększenie atrakcyjności koncertu i zaprosili do udziału w nim wykonawców reprezentujących flet, trąbkę, altówkę i wiolonczelę, na te instrumenty i fortepian napisał bowiem utwory George Enescu – *Cantabile et Presto na flet i fortepian* (Agata Kielar-Długosz/Andrzej Jungiewicz), *Légende na trąbkę i fortepian* (Piotr Nowak/Adam Greń), *Konzertstücke na altówkę i fortepian* (Malwina Wyborska/Andrzej Filipek) oraz *Nocturne et saltarello* na wiolonczelę i fortepian (Adam Krzeszowiec/Anna Krzeszowiec). Dobór wykonawców i w tym wypadku był w pełni trafny, co znalazło swe odbicie w żywym aplauzie.

Na finałowy wieczór złożyły się dzieła prezentowane przez dwa znakomite kwartety smyczkowe: Kwartet Śląski (Szymon Krzeszowiec, Arkadiusz Kubica, Łukasz Syrnicki, Piotr Janosik) i laureat I nagrody na I Międzynarodowym Konkursie Kwartetów Smyczkowych im. Karola Szymanowskiego – Sedlaček String Quartet z Czech (Michal Sedlaček, Jan Maceček, Vit Kubik, Karel Chudý). Koncert rozpoczął się I Kwartetem smyczkowym op. 37 Szymanowskiego w wykonaniu Kwartetu Sedlačka. To wspaniałe dzieło zamykające okres impresjonistyczny w twórczości Szymanowskiego znalazło w muzykach z Pragi doskonałych odtwórców, którzy w ostatniej pozycji Wieczorów połączyli swe siły z Kwartetem Śląskim wykonując imponujący rozmiarami (ok. 40 minut) oraz bogactwem rozwiązań technicznych i zawartością emocjonalną *Okiet C-dur na 4 skrzypiec, 2 altówki i 2 wiolonczele op. 7* George Enescu. Z estrady Sali koncertowej Akademii Muzycznej popłynęły dźwięki „małej orkiestry smyczkowej”, zamykając w sposób imponujący trzydniowy festiwal. Trzeba jeszcze wspomnieć o pewnym odchyleniu od jego formuły. Kwartetowi Sedlačka powierzono ponadto prawykonanie utworu skomponowanego na zamówienie Towarzy-

stwa u laureata III nagrody na I Międzynarodowym Konkursie Kompozytorskim im. Karola Szymanowskiego w 2012 roku – Ryuji Kuboty (Japonia). Oparty na współczesnych środkach techniki kompozytorskiej ok. 9-minutowy *Kwartet smyczkowy „un poco di raggio”* inspirowany „Boską Komedią” Dantego przyjęty został przez publiczność życzliwie, acz bez entuzjazmu. Wydaje się, że zbyt mało wyraził, pozbawiony większych napięć, zbytnio odbiegał od nasyconych emocjami dzieł dwóch tytułowych bohaterów festiwalu.

Wzorem ubiegłych lat Towarzystwo nie omieszkalo rocznicę śmierci Karola Szymanowskiego wyartykułować w Willi „Atma” – Muzeum jego imienia w Zakopanem dwoma koncertami laureatów międzynarodowych konkursów wykonawczych: wokalnie-fortepianowym 27 marca i fortepianowym 28 marca, w wigilię rocznicy. W obydwu koncertach wystąpili aktualni bądź byli studenci katowickiej Akademii Muzycznej. W pierwszym koncercie publiczność szczególnie gorąco reagowała na występ urodziwej i sugestywnie śpiewającej Lucyny Jarząbek (sopran), która obok trzech pieśni z cyklu *Pieśni Kurpiowskich* oraz pieśni Rachmaninowa i Poulenc’a zaprezentowała arie z opery *Paria* Moniuszki i *Arię z klejnotami* z opery *Faust* Gounoda. Partnerujący jej doskonale pianista Jakub Czekerda wzbudził również podziw



wykonaniem *Sonaty b-moll op. 35* Fryderyka Chopina.

Podobnie zróznicowany był program drugiego wieczoru. Obok utworów Karola Szymanowskiego – wybranych Preludiów i Mazurków z op. 50, w „Atmie” można było wysłuchać m.in. utworów Tansmana, Schuberta i mało znanego u nas kompozytora estońskiego Eduarda Tubina. I tym razem wykonawcy rekrutowali się spośród najzdolniejszych absolwentów Akademii Muzycznej w Katowicach. Szczepan Kończal, jak i Łukasz Trepczyński mają w swoim ar-

tystycznym dorobku wiele sukcesów w międzynarodowych konkursach i festiwalach muzycznych, oklaskiwano ich też na koncertach w licznych salach koncertowych poza krajem. Zgromadzeni w pomieszczeniach Muzeum stali w przeważnie słuchacze koncertów w „Atmie” z wdzięcznością poznali dzieła Tansmana (*Sonata rustica*) i Caselli (*Puppazetti* na fortepian na 4 ręce), a *Preludia op. 1* (nr 1,2,3) i *Mazurki z op. 50* (1,2,15) Karola Szymanowskiego nie mogły nie wzbudzić ich szczerzej radości. Młodzi artyści na taką reakcję w pełni zasłużyli, dowodem czego były gromkie oklaski i kwiaty od samego Burmistrza Zakopanego.

Miłą niespodzianką tegorocznych Wieczorów w Zakopanem był towarzyszący im koncert Tatrzańskiej Orkiestry Klimatycznej pod dyrekcją Agnieszki Kreiner. 29 marca Dworzec Tatrzański rozbrzmiewał całą gamą wybranych utworów Mistra, a były wśród nich jedna *Pieśń Kurpiowska*, dwie pieśni ze *Słowieńni*, *Etiuda b-moll*, fragmenty *Stabat Mater*, *Pieśń Roksany* z opery *Król Roger*, *Walc z operetki Loteria na mężów*, *Andante z Sonaty skrzypcowej*, I. *Mazurek op. 50* i *Taniec zbójnicki* z baletu *Harnasie* – same „przeboje” „Karola z Atmy”. Piękne dopełnienie 78. rocznicy śmierci Karola Szymanowskiego. ■

www.poradniajęzykowa.pl

Wsie jaja

Do naszej Poradni napisał kiedyś przedstawiciel Inspekcji Handlowej z prośbą o opinię, czy nazwa *Wsie jaja* na opakowaniu jajek sprzedawanych w jednej ze znanych sieci supermarketów jest poprawna grammatycznie i właściwa jako nazwa handlowa. Odpowiedzieliśmy, że twórca przymiotnika *wsi* złamał konwencje gramatyczne. Przymiotnik *wsi* nie jest odnotowany w żadnym słowniku języka polskiego. Został utworzony dzięki zmianie sposobu odmiany z rzeczownikowej (*wieś*) na przymiotnikową (*wsi*). Tak powstały wyraz ma znaczenie genetyczne, tzn. wskazuje pochodzenie przedmiotu: *wsie jaja* to „jaja pochodzące ze wsi”. Niepoprawność omawianego wyrazu polega na tym, że w polszczyźnie przymiotniki takie tworzy się wyłącznie od wyrazów oznaczających istoty żywe, od nazw zwierząt, np. *krowie mleko*, *kurze jaja*, *owcza wędna*, *białko zwierzęce*, *strusie jaja*, *psi węch*, *bocianie gniazdo*, *kocie oczy*, *rybia łuska* itp.

W polszczyźnie mamy dwa przymiotniki od rzeczownika *wieś*: *wsiowy* oraz *wiejski*. Pierwszy – definiowany jako ‘taki jak na wsi, właściwy wsi’ – raczej nie pojawi się w nazwie handlowej, ma bowiem obecnie nacechowanie zdecydowanie negatywne, pogardliwe lub lekceważące, jak *wsiowe zwyczaje*, *akcent*, *wsiowa moda*, *wsiowy głupek*, *wsiowa baba*. Przymiotnik *wiejski* istnieje w polszczyźnie od XVI wieku, a współcześnie jest używany m.in. w znaczeniu ‘związany ze wsią’ oraz ‘odnoszący się do mieszkańców wsi; wykonywany przez nich, typowy dla nich’. Faktem jest, że w polszczyźnie, zwłaszcza potocznej, mocno akcentowana jest opozycja *wieś* – *miasto*, w której to, co z wsią ma związek (mieszkańcy, ich zwyczaje, zachowanie i gwara), bywa wartościowane negatywnie. Z tego też względu przymiotnik *wiejski*, który w słownikach jest prezentowany obiektywnie, w codziennej komunikacji miewa nacechowanie pogardliwe. Mimo wszystko przymiotnik *wiejski* kojarzy się jednak Polakom również pozytywnie: z terenami ekologicznie czy-

stymi, nieskażonymi, a także ze zdrową, naturalną żywnością wytwarzaną tradycyjnymi metodami. Do tych skojarzeń odwołują się np. nazwy restauracji: *Wiejskie jadlo*, *Wiejska chata*, *Karczma wiejska*, *Zajazd wiejski*; opisy restauracji i potraw: *dobra polska kuchnia z wiejskim klimatem*, *tradycyjne dania kuchni wiejskiej*, *smaczna wiejska kuchnia*, *wiejska kuchnia bliska naturze*; nazwy produktów spożywczych: *serek wiejski*, *wiejskie masło*, *twarożek wiejski*, *chleb wiejski*, *szynka wiejska* itp. Pozytywnie nacechowane są także określenia *wiejski klimat*, *wiejski wypoczynek*, *wiejskie powietrze*, kojarzone ze zdrowiem, brakiem zanieczyszczeń, dobroczynnym wpływem na organizm. Takie pozytywne konotacje pozwalałyby na użycie w nazwie handlowej słowa *wiejski*, gdy tymczasem forma *wsi* może razić poczucie językowe Polaków. Inna rzecz, że niezadowolone części klientów wrażliwszych na piękno i poprawność polszczyzny ma zapewne również skutek marketingowy podobny do tego, jaki co pewien czas wywołują reklamy z celowo użytymi formami błędnymi. Czy reklamodawcy uważają, że społeczeństwo może nawet krytykować, byle tylko o produkcie było głośno?

KATARZYNA WYRWAS

Ponad sto szesnaście lat temu – 21 marca 1889 r. w Puchaczowie na Lubelszczyźnie – urodził się Stefan Ślązak, kompozytor, wybitny organizator życia muzycznego, współzałożyciel Filharmonii Śląskiej oraz Teatru Polskiego w Katowicach. Postać niesłusznie dziś prawie zapomniana.

W Pietrzykowie koło Mińska Mazowieckiego ukończył szkołę powszechną. W latach 1902–1908 przebywał w Płocku, gdzie uczęszczał do gimnazjum. W 1907 r. ukończył z odznaczeniem szkołę muzyczną I stopnia w klasie gry organowej i dyrygentury chóralnej. Jako uczeń prowadził chór „Drużyna śpiewacza” i chór mieszany w Domu Ludowym. W 1908 r. został zaangażowany na stanowisko artysty śpiewaka w sezonowym teatrze operetkowym w Płocku. Otrzymał też stanowisko kapelmistrza w teatrze płockim. W latach 1909–1914 studiował w Warszawskim Konserwatorium Muzycznym. Pracował jako dyrygent, reżyser i śpiewak w teatrach operetkowych Warszawy i Lublina. W 1918 został zaangażowany w warszawskim Teatrze Nowości. Wystąpił m. in. w operetce *Piękna Helena* Jakuba Offenbacha i własnej pt. *Czar nocy*. W 1919 został dyrektorem Teatru Wielkiego w Lublinie, rok później wstąpił na ochotnika do wojska i został odkomenderowany na Śląsk, gdzie brał czynny udział w powstaniach śląskich. Ze Śląskiem związał się na długie lata. W latach 1922–1923 dyrygował orkiestrą teatru w Sosnowcu. W 1923 r. z jego inicjatywy powstało w Katowicach Towarzystwo Muzyczne, które rozpoczęło starania o otwarcie konserwatorium. Dwa lata później Wydział Oświecenia Publicznego Województwa Śląskiego udzielił Ślązakowi koncesję na założenie prywatnej szkoły muzycznej w Katowicach – Śląskiego Konserwatorium Muzycznego. W lutym 1927 przemianowano ją na Pierwszą Śląską Szkołę Muzyczną im. Józefa Elsnera. Pod kierunkiem Ślązaka szkoła działała do września 1939 r., prowadząc bogatą działalność koncertową. Zajęcia prowadzono w klasach teorii i kompozycji, śpiewu i instrumentów, kameralną, chór, instrumentów orkiestrowych, gimnastyki rytmicznej, dykcji i deklamacji. W szkole kompozytor prowadził chór. Zdolności organizatorskie Ślązaka przyczyniły się również do założenia filii szkoły w Tarnowskich Górach, Rybniku i Szkoły Muzycznej w Sosnowcu.

W okresie międzywojennym był reżyserem, dyrygentem i śpiewakiem na scenach śląskich, współorganizował Teatr Polski w Katowicach (1923). Pracował w Teatrze Polskim w Katowicach, Teatrze Ludowym w Chorzowie, Teatrze szkolnym w gimnazjum polskim w Bytomiu oraz w teatrach amatorskich na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. W r. 1924 wystąpił do Towarzystwa Teatru Polskiego w Cieszynie o stworzenie stałego teatru na Ziemi Cieszyńskiej. Długoletnie starania przerwał wybuch wojny. W 1925 Ślązak założył i redagował pismo „Nuta Polska”. Każdy numer, obok artykułów autorstwa znanych muzykologów, pie-

70 lat Filharmonii Śląskiej



FILHARMONII ŚLĄSKIEJ
IM. HENRYKA MIKOŁAJA
GÓRECKIEGO

W 1932 roku, w Katowicach, przy Śląskiej Szkole Muzycznej powołał do życia Towarzystwo „Filharmonia Śląska”

Stefan Ślązak – wielka postać życia muzycznego na Śląsku i w Zagłębiu

śniarzy i pedagogów, zawierał dodatek nutowy opracowywany przez Ślązaka i zawierający śląskie pieśni ludowe. Wydawcą czasopisma był Komitet Opieki nad Wydawnictwem Pieśni Polskiej na Śląsku, który założono w 1923 r. z inicjatywy Ślązaka, Emila Szramka i Emanuela Imieli.

Współpracę z ruchem śpiewaczym na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim rozpoczął w 1925 r., jako dyrygent chóru mieszanego „Ogniwo” w Katowicach. W 1926 r. otrzymał nagrodę w konkursie kompozytorów polskich w Chicago za pieśń *Śpiew niewolnika*, a w 1928 r. zajął I miejsce w konkursie kompozytorskim towarzyszącym Wystawie Krajowej w Poznaniu. Organizował kursy dla nauczycieli szkół powszechnych, koncerty i popisy. Jego recenzje muzyczne zamieszczały periodyki: „Polak”, „Polonia”, „Polska Jutrzejka”. Był również

założycielem i prezesem Towarzystwa „Filharmonia Śląska” a także dyrygentem (pierwszy koncert odbył się 6 listopada 1932), Filharmonia działała przy Śląskiej Szkole Muzycznej.

Ślązak znany jest ponadto jako autor operetki *Czar nocy*, *Amelia*, *Donzuan*, muzyki do *Ballady* Juliusza Słowackiego, wodewila *Krowoderskie zuchy*, satyry muzycznej *Noc sylwestrowa* i innych. Ukoronowaniem jego twórczości była kantata *Piastowie na Śląsku* oparta na utworze Jana Nikodema Jaronia *Konrad Kędzierzawy*. Kantata stała się pierwowzorem opery *Silesiana*. Inne utwory Ślązaka to kilkadziesiąt pieśni na fortepian oraz pieśni na chór mieszany.

W okresie drugiej wojny światowej był szykanowany przez Niemców, którzy bezskutecznie poszukiwali partytury *Silesiany*. Ślązak odmówił objęcia kierownictwa konserwatorium lub teatru niemieckiego, jego rodzina została wysiedlona z Katowic, a on stracił bogatą bibliotekę. W latach 1940–1945 prowadził w Sosnowcu tajną szkołę muzyczną, kształcąc około 150 uczniów. W 1940 r. był organistą w kościele św. Barbary w Sosnowcu. Z tego okresu pochodzą jego utwory o charakterze religijnym.

Po wyzwoleniu Katowic, 1 lutego 1945 otrzymał zgodę na zorganizowanie i objęcie Śląskiego Konserwatorium Muzycznego, a także 6 marca 1945 r. na założenie Instytutu Muzycznego w Sosnowcu. W mieście tym utworzył chór reprezentacyjny „Hejnał” oraz chór męski „Echo”, a na terenie Zagłębia – liczne amatorskie zespoły artystyczne. W 1954 r. z jego inicjatywy powstał Państwowy Instytut Muzyczny w Będzinie i Miejski Instytut Muzyczny w Sosnowcu. Ostatnią założoną i kierowaną przez niego placówką było Społeczne Ognisko Muzyczne w Zawierciu. Ślązak miał swój wkład w powstanie wielu szkół muzycznych, m.in. w Katowicach, Rybniku, Tarnowskich Górach, Zawierciu i Sosnowcu.

Swoje zainteresowania kierował również ku folklorowi. W 1954 r. Ślązak podjął starania mające na celu opracowanie folkloru muzycznego ziemi olkusko-siewierskiej. Zebrał ponad czterysta motywów pieśni i tańca z tego regionu. Opracowanie całości przerwał mu zawał serca. Folklor muzyczny badał i gromadził głównie na podstawie zbiorów Kolberga oraz badań terenowych.

Ślązak zmarł 23 listopada 1957 w Będzinie. Pozostawił po sobie bogaty dorobek twórczy: muzykę operową, operetkową, religijną, symfoniczną, pieśni solowe i chóralne. Już w latach trzydziestych szesnaście jego pieśni zostało zarejestrowanych na płytach gramofonowych. Był wybitnym organizatorem życia muzycznego, doświadczonym pedagogiem, dyrygentem chóralnym, organizatorem szkół muzycznych i Filharmonii Śląskiej w Katowicach. Propagował amatorski ruch muzyczny, szczególnie chóralny, na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim, propagował folklor, wykorzystując go twórczo w swoich kompozycjach.

DARIUSZ ROTT



Koncert z okazji otwarcia wyremontowanego i zmodernizowanego gmachu Filharmonii Śląskiej poprowadził prof. Mirosław Jacek Błaszczyk, 2014 r.

„Siedemdziesiątka” śląskich filharmoników

WIESŁAWA KONOPELSKA

W sobotę 26 maja 1945 roku odbył się pierwszy koncert orkiestry Państwowej Filharmonii Śląskiej. Po upływie 70 lat od tamtego, jakże ważnego nie tylko dla katowickiego życia muzycznego wydarzenia, śląscy filharmonicy świętują swój jubileusz.

Idea powołania zespołu orkiestrowego w Katowicach jest jednak znacznie starsza i sięga czasu międzywojnia, a konkretnie września 1932 roku, kiedy Stefan Ślązak (znany również jako Szlązak) założył zespół pod nazwą „Filharmonia Śląska”, która zadebiutowała w listopadzie tego roku. Jednak po kilku koncertach, z powodu braku funduszy, musiała zakończyć swoją działalność. Dziesięć lat temu, wybitny znawca i badacz życia muzycznego na Śląsku prof. Leon Markiewicz, przywołując fakty z historii Filharmonii Śląskiej w „Jubileuszowych reminiscencjach” (*Śląsk* nr 6, 1994 r.) zaznaczył, że „Idea założenia orkiestry symfonicznej w Katowicach nie upadła. Podjęło ją założone w 1932 roku Towarzystwo Muzyczne, którego prezesem był wicewojewoda Tadeusz Saloni a kierownikiem artystycznym Faustyn Kulczycki – długoletni dyrektor Śląskiego Konserwatorium. Orkiestra finansowana przez Towarzystwo Muzyczne, zasilana z funduszków Sejmu Śląskiego, rozpoczęła swą działal-

ność występując raz w miesiącu w sali Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych lub dla młodzieży w sali kina „Capitol”, organizowała też koncerty kameralne, recitale z udziałem muzyków z całego kraju. Ona to zdobyła się na współwykonanie wraz z chórem „Ogniw” oratorium *Stabat Mater* Karola Szymanowskiego w obecności kompozytora oraz na prawykonanie trzech utworów debiutującego wówczas Bolesława Szabelskiego – *II Symfonii*, *Suity* i *Etiudy*”.

Również okres powojenny nie był łatwy. Mimo przyjazdu do Katowic wielu znakomitych muzyków, którzy łączyli wielkie nadzieje z odrodzeniem się dawnego życia muzycznego, sytuacja Filharmonii Śląskiej była niepewna. Powstała pod dyktando Grzegorza Fitelberga Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia mogła spowodować upadek dopiero co odrodzonej Filharmonii. Na szczęście nie doszło do takiej sytuacji. W lutym 1950 roku ówczesny minister Wincenty Rzymowski podjął decyzję o powo-

łaniu w Katowicach Państwowej Filharmonii Śląskiej. Po Janie Niwińskim i Faustynie Kulczyckim dyrygentką pałeczkę i przewodnictwo artystyczne nad zespołem przejął w 1951 roku Stanisław Skrowaczewski – dyrygent wykształcony w Paryżu, który jednak wkrótce miał rozpocząć swoją światową karierę. W tym samym roku za pulpitem dyrygenckim stanął także – jak się rychło okazało – jej późniejszy wieloletni dyrektor artystyczny Karol Stryja, jedyny powojenny uczeń wielkiego Fitelberga. Trwał na tym stanowisku 37 lat! W tym czasie zbudował rzed można wielką Filharmonię Śląska, jeden z najznakomitszych zespołów orkiestrowych w Polsce, z którym występowała plejada najznakomitszych instrumentalistów, wokalistów i dyrygentów o międzynarodowej renomie. Poprzeczka artystyczna powędrowała w górę! Ale nie tylko rozwijał się zespół orkiestrowy. Niezbędne do właściwego funkcjonowania Filharmonii, do wykonywania utworów z dawnej literatury muzycznej jak i dzieł kompozytorów współczesnych, było powołanie w 1974 roku zawodowego chóru spełniającego najwyższe standardy – na tym polu ogromne zasługi położył Jan Wojtacha – oraz – wprawdzie dopiero w 1981 roku – Śląskiej Orkiestry Kameralnej, której prowadzenie powierzono Janowi Wincentemu Hawelowi.

Czas Karola Stryji w Filharmonii Śląskiej mierzony jest wielkimi osiągnięciami, zwłaszcza w dziedzinie muzyki współczesnej. Już w 1956 roku z powodzeniem filharmonicy śląscy wystąpili na Międzynarodowym Festiwalu „Warszawska Jesień”. Wykonywanie w salach koncertowych a także dokonywanie nagrań dzieł współczesnych polskich mistrzów było jednym z najważniejszych zadań, jakie postawił przed sobą Karol Stryja.

Był też Karol Stryja inicjatorem od lat cieszącego się wysokim prestiżem Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga, który wyrósł



Jerzy Skrowaczewski



Karol Stryja



Mirosław Jacek Błaszczyk

na gruncie powołanego konkursu krajowego. Od początku z konkursem związany był prof. Leon Markiewicz. Oddając głos profesorowi Markiewiczowi raz jeszcze, trzeba zacytować jeszcze jeden fragment jego „Jubileuszowych reminiscencji”: – Przez wiele lat dane mi było uczestniczyć w przygotowaniu tej imprezy i w pracach jury a przez to poznać wzrastające jej znaczenie wśród setek młodych dyrygentów całego świata, jak i w gronie Światowej Federacji Międzynarodowych Konkursów Muzycznych”. W 1980 roku katowicki konkurs znalazł się na liście powstałej w 1957 roku, w Genewie, Światowej Federacji Międzynarodowych Konkursów Muzycznych. W gronie laureatów edycji z 1991 roku był absolwent dyrygentury w klasie prof. Karola Stryji w katowickiej Akademii Muzycznej – Mirosław Jacek Błaszczyk, od 1998 roku dyrektor artystyczny, a od 2013 roku – już jako profesor – dyrektor naczelny Filharmonii Śląskiej. Przed nim na kilka lat prowadzenie zespołu powierzono Jerzemu Swobodzie. Jego następcą został właśnie Mirosław Jacek Błaszczyk.

W minionym 2014 roku jubileusz 40-lecia powstania świętował Chór Filharmonii Śląskiej, który swój pierwszy profesjonalny koncert w siedzibie Filharmonii dał 20 czerwca 1975 roku. Powstały z inicjatywy prof. Karola Stryji zespół

profesjonalnych śpiewaków, zastąpił współpracujący z nią chór „Ogniwo”. Twórcą zespołu, jak również jego dyrektorem artystycznym przez 30 lat był prof. Jan Wojtacha. Bogaty i różnorodny repertuar zespołu pozwolił nie tylko na wykonywanie utworów wraz z orkiestrą symfoniczną, ale także na podejmowanie koncertów a cappella. Następcą prof. Wojtacha został na kilka lat również znakomity chórmistrz Waldemar Stryk. Dzieło swoich poprzedników kontynuuje z powodzeniem Jarosław Wolanin.

Filharmoniczną całości dopełnia Śląska Orkiestra Kameralna. Jej twórcą i wieloletni dyrygent prof. Jan Wincenty Hawel – absolwent kompozycji u Bolesława Szabelskiego i dyrygentury u Karola Stryji, był jednocześnie rektorem Akademii Muzycznej w Katowicach. Za jego sprawą zespół kameralistów był porównywany z najlepszymi zespołami w Europie, w tym z legendarną Academy of St. Martin In the Fields. Dziś w repertuarze orkiestry znajdują się dzieła mistrzów wszystkich epok a także czasów współczesnych. Długo by wymieniać artystów, którzy wystąpili ze śląskimi kameralistami nie tylko podczas koncertów w ich katowickiej siedzibie, ale i w wielu krajach Europy. Pierwszym gościnnym dyrygentem, został Massimiliano Caldi laureat VI Międzyna-

rodowego Konkursu Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga, który po latach współpracy przejął kierownictwo muzyczne zespołu. Jego następcą jest Robert Kabara.

Dzisiejsza, 70-letnia już Filharmonia Śląska jest instytucją mającą rozbudowane spektrum działań muzycznych – od koncertowych i nagraniowych po edukacyjne przeznaczone przede wszystkim dla dzieci i młodzieży. Wychowanie przyszłej, umuzykalnionej publiczności stało się jednym z najważniejszych wyzwań.

Nowoczesna, odnowiona i rozbudowana, ze wspaniałymi tradycjami Filharmonia od kilku lat nosi imię Henryka Mikołaja Góreckiego, które zobowiązuje wobec wielkiego patrona, także dopinguje do ciągłych starań o jak najwyższy poziom artystyczny i jest wyzwaniem do podejmowania coraz to nowych pozycji repertuarowych.

Sezon jubileuszowy Filharmonia Śląska kończy 23 maja 2015 roku uroczystym koncertem pod dyrekcją Mirosława Jacek Błaszczyka z udziałem znakomitego skrzypka Piotra Pławnera. Trzeba też zauważyć, że był to także rok pamięci o setnych urodzinach profesora Karola Stryji.



Prof. Jan Wojtacha (z prawej) i prof. Mirosław J. Błaszczyk.



Prof. Jan Wincenty Hawel (w środku)



Prof. Leon Markiewicz



Gadanie o niczym?

KRZYSZTOF KOSIŃSKI

Budzi emocje wśród samorządowców. Czy jest przedmiotem zainteresowania tzw. szarego obywatela? Może trochę, przy okazji kolejnych wyborów. Skoro tak, to trzeba zacząć od podstawowego pytania. **Ustawa metropolitalna** czyli właściwie...

...Po co to komu?

Nie czas i nie miejsce tutaj na dość akademickie rozważania pojęć: „metropolia” czy „obszar metropolitalny”. Co autor, to inna definicja i inne kryteria. Spróbujmy zatem użyć intuicyjnego rozumienia tego słowa. Tym bardziej że do której definicji by nie sięgnąć, skupisko miast od Gliwic poprzez Katowice aż do Dąbrowy Górniczej jest zgodnie uznawane za tzw. obszar metropolitalny. Tak samo, jak wszyscy zgadzają się, że metropolią jest Warszawa. „Na nosa” za metropolię uznamy też takie miasta, jak Kraków, Wrocław czy Poznań z całym wianuszkiem otaczających je miejscowości. To do „stolicy” metropolii jeździmy do pracy, na koncert, na prestiżowe zawody sportowe albo do jakiejś centrali czegoś... To typowe metropolie czyli wielkie miasto otoczone mniejszymi (albo wręcz małymi). Aglomeracja śląska wyróżnia się tym, że nie ma jednego, aż tak dominującego miasta. Nie wszystko, co ważne mieści się w Katowicach (banalny przykład tak prestiżowej instytucji jak opera). Nie są też zbyt wielkim miastem (Sosnowiec jest niewiele mniejszy, a miast prawie 200-tysięcznych jest w aglomeracji kilka). Dlatego wedle fachowej nomenklatury to konurbacja, a nie aglomeracja, ale to znów przykład

nazewnictwa, które niewiele waży na istocie rzeczy. Podobnie jak rozważania, jaki dokładnie obszar zaliczyć do metropolii.

Jak by nie liczyć, śląska metropolia zawsze będzie miała więcej mieszkańców niż nawet Warszawa (w zależności od koncepcji – od 2,2 mln do 3,5 mln). Skoro tak, to właściwie czemu ma służyć ustawa metropolitalna? Poprawie poczucia własnej wartości? Pogębieniu zarozumiałych warszawiaków i krakusów? Poważni ludzie na pewno tak sprawy nie stawiają. A zatem...

Czy nie wystarczy tak, jak jest?

Nie wystarczy, bo ta tzw. siła przebiecia to jest realna siła. Przykład? Przepomnę batalię o Euro 2012. Można snuć spiskowe teorie o niechęci „centrali”, ale żadne ze śląskich miast i tak osobno szansy nie miało.

Miasta tworzące metropolię są powiązane ze sobą mnóstwem zależności. Jedna i ta sama ulica przechodzi nagle z miasta do miasta. W ciągu 15 minut autobus może przejechać przez trzy miasta. Mieszkańcy niedużych miast nie wytwarzają tyle śmieci, żeby sensowne było własne wysypisko w każdym z nich, tak samo oczyszczalnia ścieków itd. itd. Są też powiązania bardziej skomplikowane. Nie wdając się w historyczne już rozważania, kto wykorzystał, a kto przespał swoje 5 minut, jest faktem, że w miastach przodujących gospodarczo: Katowicach i Gliwicach powoli zaczyna brakować terenów inwestycyjnych. W innych miastach jest ich wciąż pod dostatkiem. Ale to tereny na razie nie „inwestycyjne”. Trzeba je uzbroić, przygotować,

zbudować drogi dojazdowe. Tylko że tamtych miast często na to nie stać. I koło się zamyka... Dlaczego Katowicom czy Gliwicom ma zależeć na tym, żeby do Zabrze czy Świętochłowic zawitali nowi inwestorzy? Bo w naszej aglomeracji nowe miejsca pracy nie obniżają bezrobocia tylko w danym mieście. Dojazd do pracy z Rudy Śląskiej do Katowic nie trwa dłużej, niż z jednego końca Krakowa na drugi.

Polski system administracyjny i samorządowy został skrojony na miarę potrzeb „typowych”, średnich. W pewnym uproszczeniu gmina to gmina, miasto to miasto. Mają swoje obowiązki i kompetencje. Problemami, które dotyczą większych obszarów, zajmują się powiaty, jeszcze większych – samorządy wojewódzkie. I ten system sprawdza się w miarę nieźle i jest logiczny. Schody zaczynają się właśnie przy wielkich metropoliach. Tylko Warszawa doczekała się swojej próby (mniej czy bardziej udanej) rozwiązania tych problemów.

W telewizji pokazali...

...i pokażą to znowu za kilka miesięcy w ramach „cyklu” – urzędnicza bezmyślność. Padną określenia: absurd, marnotrawstwo. Oto zimną Drogową Trasą Średnicową jedzie piaskarka. Nagle unosi do góry pług i przestaje sypać piasek. Jedzie do najbliższego zjazdu, tam nawraca, nadal jedzie „bezczyinnie” i w pewnym miejscu znowu zaczyna odśnieżać. Po co przejechała dwa kilometry „na darmo”? Bo DTŚ-ka jest zarządzana odcinkami przez poszczególne miasta i ta piaskarka podniosła pług i przestała sypać, gdy dojechała do granicy „swojego” miasta. Odpowiedzialni za utrzymanie dróg często się oburzają, że dziennikarze i tzw. „zwykli” ludzie nie rozumieją, jak to działa. Podzielam oburzenie epitetami o bezmyślnych urzędnikach, ale z faktu, że absurd jest normą, nie wynika, że przestaje być absurdem.

Zasada jest taka, że samorząd gminny ma się zajmować tym, co dotyczy danej gminy, powiatowy – powiatu itd. aż do województwa. Czy zatem problemami metropolii nie powinien zajmować się samorząd województwa? On jednak, po pierwsze zajmuje się o wiele

większym terenem niż aglomeracja, po drugie – nie bardzo może podejmować decyzje w sprawach, które na mocy ustaw pozostają w kompetencjach gmin czy powiatów. Obrazowo ujął to kiedyś marszałek Michał Czarski podkreślając, że gdyby istniała jakaś prawna władza aglomeracji, to „zniknąłby problem Tramwajów Śląskich. Teraz musimy organizować porozumienie kilkunastu gmin, które przejmą ode mnie nieodpłatnie tę firmę. Ja zaś musimy ją przejąć nieodpłatnie od ministra skarbu”.

Potrzebne jest zatem... co? Jakiś organ, ciało, instytucja uprawniona do decydowania w sprawach, które dotyczą całej metropolii. I do tego – z własnym budżetem. Są dwa powody, dla których wielka metropolia potrzebuje specjalnej ustawy:

Żeby sprawnie zarządzać tak wielkim organizmem;

Żeby być tą prawdziwą lokomotywą rozwoju.

Pierwszy powód wymaga stworzenia jakiegoś „aparatu władzy”, drugi – również pieniędzy...

Wyjście, wydawałoby się, najprostsze...

Mamy wiele miast jedno przy drugim? To może stworzyć jedno wielkie miasto tak, jak zrobiono z Warszawą? Dawne gminy stały się dzielnicami. To zresztą już trzecia tzw. ustawa warszawska. Daje ogromną władzę prezydentowi stolicy. I chyba z ustroju Warszawy zadowolona jest tylko partia, której udało się wygrać wybory prezydenckie. A pamiętajmy, że już ta „stara” Warszawa była ogromnym organizmem. A w metropolii śląskiej? Jaka jest skala wielkości poszczególnych miast, wspominałem już powyżej...

Prezydent Piotr Uszok w końcówce swojej ostatniej kadencji rzucił hasło stworzenia wielkich Katowic. Wyobraźmy sobie koszty takiej operacji, te czysto finansowe i te społeczne. Wymiana dowodów osobistych, innych dokumentów... W Warszawie zrezygnowano z masowej zmiany nazw ulic i teraz ponad 200 ulic ma takie same nazwy! Łatwo o nieprzyjemną pomyłkę. Znamienną opinię wypowiedział prez. Gliwic Zygmunt Frankiewicz w wywiadzie dla Gazety Wyborczej: – *Chętnie zapoznałbym się*

z dobrze przygotowaną koncepcją działania takiego miasta. /.../ Dopóki jednak mamy do czynienia jedynie z hasłem, dopóty nie widzę powodu, aby niepokoić tym mieszkańców. /.../ przypominam, że Katowice mają niecałe 300 tys. mieszkańców. W innych częściach naszej konurbacji trudno będzie przyjąć bez oporów, że to nowe duże miasto ma się nazywać Katowice. Rozpoczną się akademickie spory i zdominują dyskusję. Nie rozwiążą problemów. /.../ gdy autor pomysłu przekáže konkrety, nie zawaham się ogłosić referendum.

Autor nie ogłosił konkretów. Nie wiem, jak Szanowni Czytelnicy, ale ja wyczułem w słowach prez. Gliwic nutę ironii...

A może stare, sprawdzone wzory?

Bardziej docieklivy Czytelnik może z kolei zauważyć, że bez specjalnej ustawy istnieje przecież KZK GOP, który organizuje wspólną komunikację czyli rozwiązuje zadanie, które jest obowiązkiem każdej gminy. Jeszcze dociekliwszy sprawdzi, że w ustawach samorządowych jasno stoi, że gminy i powiaty mogą tworzyć związki gminne i powiatowe właśnie dla rozwiązywania wspólnych problemów. Czyli da się? Da się, ale nie wszystko, bo:

Taki związek jest związkiem dobrowolnym. Wystarczy czasem wyłamanie się jednego niechętnego i cała idea bierze w łeb;

Porozumienia muszą dotyczyć tego, co dany samorząd ma w swoich kompetencjach. Przykład: chcemy stworzyć związek, który ma prowadzić m.in. wspólną politykę ws. bezrobocia i aktywizacji zawodowej? Wedle ustawy to zadanie własne powiatów (wszak mamy Powiatowe Urzędy Pracy, a nie gminne). A to oznacza, że taki związek mogą stworzyć tylko miasta na prawach powiatu, pozostałe już nie.

Nie mogąc się doczekać ustawy śląskie miasta powołały w 2007 r. Górnośląski Związek Metropolitalny. Jego pomysłodawcami i gorącymi orędownikami byli prezydenci Katowic i Gliwic. GZM miał pokazać wolę współpracy, położyć kres złośliwościom, że włodarze miast nie potrafią się dogadać i za nic w świecie nie oddadzą ani rąbka

swojej władzy. Miał też przygotować projekt ustawy, która stworzyłaby prawdziwą władzę metropolii z jasno określonymi kompetencjami i własnym budżetem. Wiemy, że nie spełnił tych oczekiwań.

Przyczyny? Zaraz na wstępie nadzór prawny wojewody stwierdził, że GZM może skupiać tylko miasta na prawach powiatu. Czyli znów „dziurawa” metropolia... Ale i w ramach tego, co powstało, nie uzyskano oszałamiających sukcesów. Twórcy Związku zarzucają politykom, że dokonali „skoku na kasę” i w pewnej chwili przejęli nad nim władzę. To prawda, ale i wcześniej GZM nie rozwijał się zbyt błyskotliwie. Złośliwi mówili, że przez pierwsze lata Związek pracował głównie nad... tworzeniem własnego biura. Dzisiaj GZM „wrócił” w ręce samorządowców już nie tak związanych z partiami politycznymi. Czy stanie się bytem znaczącym i uzyska autorytet? Czas pokaże...

Warto przypomnieć, że gdzieś w szufladach GZM leży przygotowana przez prez. Zygmunta Frankiewicza koncepcja ustawy metropolitalnej. Proponuje ona obligatoryjny związek komunalny z władzą wybieraną w wyborach bezpośrednich. Zdaniem autorów koncepcji, tylko takie wybory gwarantują silne przywództwo metropolii. Na pytanie dziennikarza, dlaczego ten projekt nie został nigdy przesłany do Sejmu, padła odpowiedź: – *Przekazałem go do GZM. Takie było moje zadanie. Co do reszty, to trzeba tylko chcieć... Zarząd GZM tematu do dziś nie podjął.* Dokument nie został nawet upubliczniony. Trudno wręcz do niego dotrzeć...

Więc jednak ustawa?

W 2008 r. pojawił się wreszcie projekt ustawy (o bardzo długiej nazwie, na którą szkoda tu miejsca, ale w skrócie nazywanej „ustawą o obszarach metropolitalnych”) przygotowany przez MSWiA. Można go bez trudu znaleźć w internecie, więc ja przytoczę tylko fragment opinii Rady Legislacyjnej przy Prezesie Rady Ministrów:

„Przepisy projektu w zakresie definicji obszaru metropolitalnego, celów jego tworzenia, ustanawiania jego granic i funkcjonowania, są tak nieprecyzyjne, hasłowe

i niedookreślone, zredagowane językiem komentarza, a nie norm prawnych, **że trudno jest zrozumieć przedmiot regulacji**. /.../ obszar metropolitalny nie stanowi jednostki zasadniczego podziału państwa, ale na jego terenie działać będzie organ o wszystkich cechach jednostki samorządu terytorialnego.

Zespół (zarządzający – przyp. aut.) ma „zarządzać sprawami” obszaru metropolitalnego, tylko nie wiadomo co to znaczy i jakimi sprawami. /.../ przewiduje się że zespół będzie mógł (chyba w drodze uchwały jego organu stanowiącego) zobowiązywać do określonych działań gminy, /.../ Nie da się tych propozycji pogodzić z art. 16 ust. 2 Konstytucji, zgodnie z którym samorząd wykonuje zadania publiczne w imieniu własnym i na własną odpowiedzialność. /.../ na podstawie uchwały zespołu, po przeprowadzeniu nie wiadomo przez kogo nieokreślonych analiz, gmina może wbrew swojej woli znaleźć się w obszarze i być zobligowana do płacenia składek na rzecz zespołu, a przecież nie musi mieć na to pieniędzy.”

Projekt zniknął. W 2010 r. na łamach Dziennika Zachodniego kolejny marszałek – Bogusław Śmigiełski rzucił kolejny pomysł: – *Dla Śląska powinna być odrębna ustawa. Organem wykonawczym mogłaby zostać specjalnie utworzona jednostka podległa urzędowi marszałkowskiemu, kierowana przez zarząd województwa. Jako urząd mamy po prostu wszelkie narzędzia, by te zadania realizować.* Tego pomysłu (chyba na szczęście) nigdy nie przekuto na konkretny projekt.

I nagle pojawiła się idea dziwnego tworu – „powiatu metropolitalnego”. To on przejąłby od gmin i powiatów część kompetencji. Radni byłiby wybierani przez mieszkańców i to oni dopiero wybieraliby zarząd metropolii. Ustawę obiecał przed wyborami 2011 r. lider śląskiej PO poseł Tomasz Tomczykiewicz. Media nie pozostawiły na nim suchej nitki, odliczając zapowiedziane 100 dni...

Na początku 2012 r. min. Michał Boni ogłosił, że nie będzie ustawy tylko dla aglomeracji katowickiej: – *Nie będziemy szli drogą eksperymentu ustawy w jednym miejscu w kraju; chcielibyśmy, by ta opcja metropolitalna była dostępna dla wszystkich.* Lobby śląskich polityków okazało się o wiele za słabe.

Kilka miesięcy później w czasie publicznej debaty pos. Marek Wójcik (współautor projektu) wciąż mówił: – *Przygotowaliśmy projekt, który będzie wprost do zastosowania na Górnym Śląsku, uważam, że również bez przeszkód w Trójmieście czy w Warszawie. Próbujemy przekonać ministra Boniego, by przygotował kilka rozwiązań. Jedno dla takich zespołów jak Śląsk czy Pomorze, ze wspólną infrastrukturą, a inne np. dla Bydgoszczy i Torunia, jeszcze inne – dla silnego miasta, które oddziałuje na powiat, jak Poznań czy Kraków. W naszym projekcie dla powiatu metropolitalnego zostawałoby całe tzw. janosikowe, które samorządy na Śląsku płacą do budżetu państwa. Łączące się samorządy otrzymywałyby dodatkowe 5 proc. podatku od osób fizycznych. To kilkaset milionów zł.*

Nie przekonali nie tylko ministra... Dodatkowe pieniądze okazały się nie do przeknięcia dla rządu, a potencjalne metropolie zaczęły się mnożyć, jak grzyby po deszczu.

I kiedy już się wydawało, że wszystko umarło (śmiercią niezbyt naturalną), w 2013 r. (znow przed wyborami, tym razem samorządowymi) znowu zaczęto obiecywać ustawę. Prasa pisała: „*Platforma znow chce wskrzesić metropolię. Liczą na cud, czy co?*”

Przy okazji okazało się, kto jest winien. – *Nie będziemy się już oglądać na prezydentów, bo wiadomo, że nigdy nie uzyskamy ich zgody, bo po prostu nie chcą dzielić się władzą – grzmiała posłanka Danuta Pietraszewska. – Liczymy, że tym razem uda się wprowadzić ustawę na szybką ścieżkę – wyjaśniał ówczesny szef GZM i prezydent Świętochłowic Dawid Kostempski.*

Poprzedni projekt nieznacznie zmieniono, ale pos. Tomasz Tomczykiewicz ogłosił dziennikarzom, że „wprowadza rewolucyjne zmiany. Nie dość, że rada ma być zaledwie 9-osobowa, to jeszcze jej przewodniczący ma być jednocześnie starostą powiatu”. – *Sięgamy tu do wzorców przedwojennych. W okresie II Rzeczypospolitej burmistrz, był jednocześnie przewodniczącym rady powiatu. Dlaczego akurat tu miałyby być tak, jak przed wojną i inaczej niż na wszystkich innych szczeblach samorządu? To pozostanie tajemnicą autorów projektu.*

Powiat metropolitalny miałyby przejąć tylko część zadań miast –

tych, które do tej pory realizowane były poprzez związki międzygminne. Przewidziano możliwość podpisywania porozumień przez władze powiatu metropolitalnego z mniejszymi gminami w zakresie np. utrzymania dróg, czy organizacji komunikacji publicznej. Takie miasta, jak Czeladź czy Mikołów, nie będąc członkami metropolii, mogłyby z nią współpracować.

Miasta metropolii przez pięć pierwszych lat miałyby mieć większy o 5% udział w podatku PIT. Podobno zwiększyłyby to przychody gmin o 200 mln zł. Miasta byłyby też zwolnione z tzw. janosikowego. To kolejne 80 mln zł. Budżet powiatu metropolitalnego miałby wynosić około miliarda złotych.

Projekt spotkał się ze zmasowaną krytyką ze strony opozycji, koalicyjnego PSL i organizacji samorządowych. Krytykowano samą ideę powiatu jako dziwnego, nowego tworu. Brak wyborów bezpośrednich starosty i mała liczebność rady miała z góry stawiąć w uprzywilejowanej pozycji partię polityczną... Projekt jednak trafił do I czytania w lutym 2014 r. Sejm zdecydował, że zostanie on skierowany do komisji sejmowych.

Z tą „szybką ścieżką legislacyjną” jakoś nie wyszło. Minał już rok i cztery miesiące... Niedługo znow wybory. Zgodnie z prawem, nowo wybrany sejm nie może kontynuować prac. Może tylko zacząć od nowa. Może, ale nie musi...

Niech za pointę posłużę to, co ponad rok temu powiedział słuchający debaty sejmowej ówczesny marszałek Mirosław Sekuła: *to pierwszy projekt, który doszedł do pierwszego czytania.* I to jedyna jego zaleta?

Opinie wyrażone w niniejszym artykule są wyrazem poglądów autora i nie zawsze są tożsame ze stanowiskiem samorządów lokalnych i organizacji samorządowych w województwie śląskim.

Krzysztof Kosiński – dziennikarz radiowy, publicysta, komentator i felietonista. Od lat specjalizuje się w tematyce samorządowej. Autor książki „Dwa światy – samorządowy thriller z elementami horroru” wydanej nakładem SZGiP w 2011 roku.

W jednym z ostatnich swoich felietonów sportowych w „Gazecie Wyborczej” Wojciech Kuczok przywołał typowo śląski czasownik *luftnąć się*, znaczący tyle, co „trafić w powietrze zamiast w piłkę”. Używam go zawsze, gdy tylko widzę takie zdarzenie czy gram w piłkę nożną, a i przekazałem to słowo swej progeniturze, czyli synowi i wnukom! Ponieważ zaś w ostatnich tygodniach bez przerwy jestem w *lufcie*, czyli w podróżach samolotowych, postanowiłem dzisiejszy odcinek poświęcić i owemu *luftowi*, i szeroko pojętemu lataniu.

Czasownikowa forma *luftnąć się* pochodzi, oczywiście, od rzeczownika *luft*, przejętego z niemieckiego *die Luft* „powietrze”. Mówią Ślązacy: „Otwórz okno, żeby było wiyncyj *luftu*”, „Zdrowo być na świeżym *lufcie*”, „Sam mamy niyzdrowy *luft*” (Bożena Czastka-Szymon, Jerzy Ludwig, Helena Synowiec: „Mały słownik gwary Górnego Śląska”, Katowice 2000, str. 124). Potwierdzeniem utrwalonej obecności *luftu* w śląskiej komunikacji językowej są też wyrażenia i zwroty typu w *lufcie*, z *luftem*, bez *luftu*, nie ma *luftu*, brak *luftu*. Pierwsze z wymienionych połączeń bywa używane nie tylko jako regionalny odpowiednik standardowego „w powietrzu”, ale też jako określenie „wysokości, wysokiego pułapu”. Na alejce przed moim rodzinnym domem w Tarnowskich Grach usłyszałem na przykład przed laty taki oto dialog – zaczepkę małego chłopca i replikę wysokiego: „Ty, długi, jak tam w *lufcie*?” – „Ty, mały, jak tam w niskiej atmosferze?”.

W codziennym obiegu są również derywaty od *luftu*: *lufcić*, *luftować* „wietrzyć”: „Od rana *lufcymy* ta izba”, „*Luftujcie* sam zaroz, bo śmierdzi”, „Niy *luftuj*, bo bydzie przecióg”. *Luftować* może być także użyte w znaczeniu „przeganiać kogoś, coś z miejsca na miejsce”: „Alojz *luftuje* gołymbie”, „Tyn pijok (łóżyrok) zaś *luftuje* swoja baba”. Samo zaś *luftnąć się* znaczy nie tylko tyle, co „trafić w powietrze zamiast w piłkę”, ale i – ogólnie – „trafić w powietrze zamiast do jakiegoś celu” („Za każdym razem się *luftnół*, taki ś niego szczelec”) oraz „przewietrzyć się, przespacerować się” („Po południu my się *luftli* nad woda”, „Trza by się kaj *luftnół* na kole”).

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Luftnąć się

Bardzo charakterystyczne, bo będące przykładem obcego modelu słowotwórczego, są złożenia z członem odróżniającym na pierwszym miejscu – typu *luftbiksa* „wiatrówka, strzelba” („Chopcy szczyłali z *luftbiksę*”) albo *luftplómpa*, *luftplómpka* „pompka” („Achim, pożycz mi *luftplómpy*”, „Jak się wybiyrosz w dalszo dróga na kole, zawdy bier ze sobóm *luftplómpka*”).

Luftownik z kolei to „wywietrznik, *lufcik*” („Otwórz tyn *luftownik*”). Jak Państwo widzą, w jego parafrazie znaczeniowej pojawił się *lufcik* (z niemieckiego *Luftzuege*) – określenie, które weszło do języka ogólnopolskiego, definiowane jako „niewielka część okna z szybą osadzoną w ruchomej ramie, dająca się oddzielnie otwierać; wywietrznik” („Uniwersalny słownik języka polskiego” pod red. prof. Stanisława Dubisza, Warszawa 2003, t. 2, str. 683).

Dopowiedzmy, że w potocznym języku standardowym *luft* jako „powietrze” też jest używany, choć na pewno rzadziej niż na Śląsku („Wyjść na świeży *luft*”) – tak jak doskonale jest znane wszystkim Polakom potoczne wyrażenie *do luftu* odnoszone do kogoś lub czegoś nie nowego („Aktor, film *do luftu*”, „Praca *do luftu*”). Rzadziej już natomiast słyzy się o *lufcie* „przewodzie w piecu, kuchni, kominie, odprowadzającym dym”, bo i samo to urządzenie odchodzi nieuchronnie w przeszłość!

Przejdźmy teraz do zapowiedzianego wątku samolotowego, do latania, fruwania. – Typowo śląskim określeniem samolotu jest przeniesiony z języka niemieckiego *fliger*, *fligier*: „Leciołeś już kiedy *fligrym*?”, „Jeszczez takiygo *fligra* niy widziała na naszym lotniku” – czytamy w przywołanym wyżej „Małym słowniku gwary Górnego Śląska”. Przynosi on również informację, że *fliger*, *fligier* może też oznaczać „małe okienko, wywietrznik”: „Łotwórz tyn *fliger*, niych sie trocha wywietrzy”.

Głównie za sprawą tytułu znanej książki Szczepana Twardocha przypomniał mi się z dzieciństwa *drach*, czyli „latawiec” („Jesiynióm chopcy zawsze puszczałóm *drachy*”). Dla porządku dodajmy, że *drach* to również przenośne i żartobliwe nazwanie psotnego, nieznośnego dziecka, łobuza, urwisa („Ty *drachu*, kogoś to zaś napasztował?” „Pamiyntej sie, z takim *drachym* niy śmiesz sie kolegować!”). *Drach* pochodzi z niemieckiego *Drache*, *Drachen*, a w języku tym jest nie tylko określeniem latawca, ale także smoka i jędzy.

Typowym śląskim odpowiednikiem latania, fruwania jest *furganie*, rzadziej – *fiurganie*: „Jaskółki nisko *furgajóm* (*fiurgajóm*), mo sie na dyszcz”. Przenośnie *furgać* (*fiurgać*) to „wynosić się nad innych, być przesadnie ambitnym”: „Ona by wysoko *furgala!*” – czytamy w słowniku Czastki-Szymon, Ludwiga i Synowiec na str. 67. Niewątpliwie od owego *furgania* pochodzi dość popularne w naszych stronach nazwisko *Furgacz*.

Cała natomiast leksykalna seria: *furgać*, *furkać*, *furknać*, *furczec*, *furkotać*, *frugać*, *fruwać*, *frunąć*, *furnać*, *furtać* tworzy rodzinę wyrazów dźwiękonaśladowczych – z częścią *fru!* w punkcie wyjścia.



Dzień Ziemi wpisali do ekologicznego kalendarza Amerykanie i Kanadyjczycy. W 1970 roku dwadzieścia milionów obywateli tych krajów zmanifestowało swoją niezgodę na totalne wyniszczanie środowiska naturalnego. Dwadzieścia lat później, do zaplanowanej na 22 kwietnia przez organizatorów Earth Day akcji, w wymiarze globalnym i lokalnym, przystąpiło już sto kilkadziesiąt krajów. Zamieniła się ona w największą w historii demonstrację w obronie naszej planety. I obywatelską przestrożę dla konsumpcyjnego świata, bez umiaru pochłaniającego życiodajne zasoby Ziemi.

Cwierć wieku temu do tej akcji dołączyła również Polska. Z wielką nadzieją także miasta górnośląskiej aglomeracji, plasujące się wówczas w globalnej czołówce miejsc o największym skażeniu środowiska. Od tamtego czasu w ekologicznym pejzażu naszego kraju wiele się zmieniło. Uświadamia nam ten fakt corocznie 22 kwietnia Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach. W Dniu Ziemi, jako jedyny w kraju, honoruje wyróżnieniami i zielonymi czekami osoby, które się do tych zmian przyczyniają.

Kłęski ekologiczne wpisaliśmy w lęki naszych czasów. Są one dla wielu z nas silnym impulsem do włączenia się w proces naprawy środowiska naturalnego. Pogłębiają naszą ekologiczną świadomość w wielu dziedzinach życia. Ochronie zasobów przyrody coraz lepiej służy nauka, prawo, innowacyjność gospodarki, samorządność, głos obywatelski. Coraz większą też rolę przypisujemy edukacji ekologicznej Polaków.

Wobec nowych zagrożeń, wiedzę z tej dziedziny, trzeba bezustannie wzbogacać, doskonalić, promować i porównywać z doświadczeniami i osiągnięciami innych krajów. W myśl zasady, że środowisko naturalne to jeden wspólny system przyrodniczy, działający na zasadzie naczyń połączonych.

Czynią to pasjonaci, związani z pozarządowymi organizacjami, stowarzyszeniami, fundacjami i wieloma innymi podmiotami prawnymi, które troskę o czyste środowisko, zdrowie ludzi, ochronę przyrody, kultury w najszerszym tego słowa znaczeniu czy o zawodową

Czeki dla... Ziemi



Laureatki z mikolowskiego Ośrodka Edukacji Ekologicznej Dzieci:
od lewej Justyna Soblik, Agnieszka Król i Ewa Chmielorz

przypoitość w imię dobra wspólnego, wpisały swoją niekonwencjonalną działalność. Zasługi takich osób, nie tylko dla ekologii, trudno przecenić.

Jest ich coraz więcej także w województwie śląskim. Pokazał to również kolejny, ogłaszany od 1994 roku przez Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach konkurs pod nazwą „Zielone czekki 2015”. Adresowany jest do osób, szczególnie wyróżniających się w działalności na rzecz szeroko pojmowanej ekologii. Dotąd nagrodzono nimi 220 osób.

W tym roku do konkursu zgłoszono 55 wniosków w sześciu kategoriach. Decyzją kapituły konkursu przyznano trzynaście „Zielonych czeków”, trzy nagrody zespołowe i cztery nagrody indywidualne. Przyznano również jeden dyplom uznania i piętnaście dyplomów honorowych.

„Zielony czek”, to zgodnie z regulaminem, indywidualne nagrody finansowe w wysokości – 7,5 tys. złotych; zespoło-

we – do 15 tys. złotych (z zastrzeżeniem, że nagroda dla jednego członka zespołu nie może przekroczyć kwoty 5 tys. złotych).

Czeki oraz dyplomy honorowe wręczono laureatom 22 kwietnia br., podczas uroczystej gali zorganizowanej z okazji Dnia Ziemi w katowickim Kinoteatrze „Rialto”.

Laureaci

W kategorii: **innowacje i technologie** nie wyłoniono laureata „Zielonego czeku”. Dyplom honorowy został przyznany zespołowi w składzie: prof. dr hab. inż. Tadeusz Glinka, dr hab. inż. Jakub Bernatt; dr inż. Robert Rossa za opracowanie i wdrożenie nowoczesnego, bezemisyjnego napędu elektrycznego do elektryfikacji miejskich samochodów osobowych i dostawczych o masie całkowitej do 3,5 tony.

Programy i akcje ochrony przyrody to kolejna kategoria, w której „Zielonym czekiem” uhonorowany został zespół: Adam Gabryś, Izabela Cogiel, Radosława Radziwończyk-Gabryś za działalność proekologiczną w ramach Stowarzyszenia „Nasze Kalety”. W szczególności za popularyzację wiedzy z tej dziedziny wśród dzieci, młodzieży i dorosłych.

Bogato były reprezentowane **prace naukowo-badawcze.**

„Zielony czek” w tej kategorii otrzymał dr inż. Robert Mysłajek za wieloletnie badania nad składem gatunkowym, ekologią, behawiorem, genetyką i problemami ochrony ssaków województwa śląskiego.

Dr inż. Robert Mysłajek od wielu lat współpracuje z organizacjami pozarządowymi, zajmującymi się ochroną przyrody. Z jego inicjatywy powstało Stowarzyszenie dla Natury „Wilk”. Jest członkiem Regionalnej Rady Ochrony Przyrody w Katowicach oraz Rady Naukowo-Społecznej Leśnego Kompleksu Promocyjnego „Lasy Beskidu Śląskiego”.

W tej kategorii przyznano też dwa dyplomy honorowe. Otrzymali je: dr hab. Piotr Łaszczyca za wkład merytoryczny do koncepcji naukowego projektu, którego realizacja przyczynia się do lepszego ochrony i zarządzania Zbiornikiem Goczałkowickim w warunkach zagrożenia powodzią oraz prof. dr hab. Janusz Hereźniak za długoletnią pracę naukową na rzecz ochrony przyrody regionu.



Przedsiębiorcy w „Kąciku małego ogrodnika”

W dziedzinie: **edukacja ekologiczna dzieci i młodzieży**, Kapituła konkursu przyznała dwa „Zielone czeki”.

Jeden z nich otrzymała zespołowo edukatorki z Ośrodka Edukacji Ekologicznej Dzieci w Mikołowie: Ewa Chmielorz, Agnieszka Król i Justyna Soblik za ogromne zaangażowanie, pasję i poświęcenie, z jakim przygotowują i prowadzą stacjonarne i terenowe zajęcia dla najmłodszych w wieku przedszkolnym oraz wczesnoszkolnym.

Nauczanie małych dzieci jest sztuką najwyższej miary. Liczy się nie tylko wiedza nauczycieli, ich pasję czy dobre przygotowanie do tej pracy. Równie ważny jest szczególnie rodzaj empatii, która pozwala im od nowa „dorosnąć” do uczuć, możliwości percepcji, ciekawości i spontanicznej otwartości najmłodszych.

Tę sztukę opanowały do perfekcji trzy nagrodzone pasjonatki przyrody, nauczycielki, współpracujące ze Śląskim Ogrodem Botanicznym, w którego przestrzeni Ośrodek Edukacji Ekologicznej jest zlokalizowany. W ich zajęciach czy to o ochronie przyrody w najpiękniejszym ogrodzie Śląska czy też z recyklingu uczestniczą grupy dzieci z różnych zakątków regionu. Z radością przyswajają sobie na żywo wiedzę przyrodniczą jak i tę, dotyczącą twórczego wykorzystania odpadów. Wielkim przeżyciem była dla nich budowa karmników dla ptaków z plastikowych butelek, kawałków drewna znalezionych w terenie, z odzyskanych sznurków, szyszek i naturalnych tkanin czy budowa domków dla owadów. Zwłaszcza że na tych zajęciach uczą się odpowiedzialnie dokarmiać zwierzęta. Bajeczny jest dla nich „Kącik małego ogrodnika” czy niezwykle emocjonujący przygodowy program „Śladami smoka przyrodnika”. Ile cudów mogą zobaczyć w wędrowkach po najciekawszych zakątkach ogrodu botanicznego, jaką frajdę sprawia im obserwacja ptaków przez lornetki czy ogrody tarasowe ze starymi odmianami drzew owocowych,

ogrody warzywne i wodne z „mieszkańcami” stawów i mokradeł, wiedzą najlepiej same.

Autorskie programy edukacyjne dla najmłodszych są zawsze kreowane w taki sposób by były poznawcze, wykorzystywały zdolności manualne najmłodszych, ich zainteresowania i wyobraźnię, rozbudzały w nich odpowiedzialność, wrażliwość na piękno natury i ochotę działania na rzecz ochrony środowiska.

Indywidualny zdobywca „Zielonego czeku” w tej kategorii harcmistrz Andrzej Lichota od wielu lat kreuje politykę ekologiczną w Chorągwi Śląskiej ZHP, zrzeszającej 12 tysięcy dzieci. Dzięki niemu powstało Harcerskie Centrum Edukacji Ekologicznej ze ścieżkami edukacyjnymi i dydaktycznymi, niezbędnymi do poznawania zasad i metod ochrony przyrody, umiłowania ojczyzno- krajo- brazu i niepowtarzalnych walorów obiektów przyrodniczych, historycznych i kulturowych.

Harcerze z tej Chorągwi dobrze znają swoje ekologiczne powinności. Zawsze pierwsi są tam, gdzie trwa akcja „Sprzątanie Świata”, polskich gór, zdobywane ekologicznych sprawności.

Za promocję bez mała stukilometrowej, urokliwej trasy rowerowej pn. „Leśno Rajza”, opłatającej Kalety, Koszęcin, Miasteczko Śląskie, Swierkianiec, Tworóg i Woźniki oraz zainicjowanie nakręcenie filmu o tej trasie, „Zielony czek” w kategorii – **publicystyka ekologiczna** otrzymał Jarosław Myśliwski.

Pomysł stworzenia tej trasy, biegnącej przez zielone, urokliwe zakątki Śląska, urodził się w redakcji tarnogórskiego tygodnika „Gwarek”. Samorządy tych gmin wsparły pomysł. Podobnie jak Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach, który swoim dofinansowaniem umożliwił nakręcenie filmu, opowiadającego o przyrodzie, widzianej z perspektywy rowerzystów.

W kategorii **działania popularyzatorskie i promocja postaw proekologicznych** – przyznano trzy dyplomy honorowe i jeden czek. Otrzymali je zespołowo nauczyciele przedmiotów matematyczno- przyrodniczych: Ewa Cornik, Katarzyna Wojtal i Jarosław Wesolek z Zespołu Szkół Chemiczno- Medycznych i Ogólnokształcących w Tarnowskich Górach – pomysłodawcy i organizatorzy konkursów ekologicznych, cyklicznych warsztatów oraz wykładów i konferencji w tej dziedzinie dla samorządów, przedsiębiorców i nauczycieli oraz Józef Smolorz. Lucyna Kwiatkowska i Marcin Smolorz za niezwykłą pasję ratowania drzew oraz wyróżniono nim również prof. dr hab. Stanisława Wikę za długoletnią pracę naukową na rzecz ochrony przyrody.

„Zielonym czekiem” w tej kategorii uhonorowano dr Agnieszkę Bielską-Brodziak z wydziału prawa i administracji Uniwersytetu Śląskiego za budowanie „mostów” i komunikacji między wolontariuszami działającymi na rzecz humanitarnej ochrony zwierząt a środowiskami prawniczymi. Laureatka, dziękując za to szczególne wyróżnienie dla całego grona ludzi zaangażowanych w ochronę naszych „braci mniejszych”, podkreśliła i to, że spotkania naukowców z praktykami, funkcjonariuszami publicznymi, aktywistami i wolontariuszami są spoiwem nieodzownym do zbudowania silnego środowiska, rozwiązującego problemy zwierząt.

Nagroda specjalna została przyznana zespołowi w składzie: Anna Tarkowska, Agata Sady oraz Michał Siedlaczka z Fundacji „Zielona Liga”. To fundacja niezwykle zasłużona w popularyzowaniu śląskiej przyrody i problemów środowiska naturalnego, w promowaniu zrównoważonego rozwoju, wspomaganie formalnej i nieformalnej edukacji ekologicznej, kształtowaniu postaw proekologicznych młodego pokolenia.

JOLANTA MATIAKOWSKA



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA

Powieść Adama Bahdaja „Wakacje z duchami” to jedna z moich ulubionych lektur z młodszych lat, książka której nie da się zapomnieć. Powieść po raz pierwszy wydała „Nasza Księgarnia” w 1962 r. w serii Klub Siedmiu Przygód. Ozdobiona została genialnymi ilustracjami Bohdana Butenki. Ileż świetnych czytań dla młodych ukazało się w tej serii. Każdy, kto po nie sięgał, pozostał do dzisiaj wiernym czytelnikiem książek.

W „Wakacjach z duchami” śledzimy nowe przygody bohaterów znanych z wcześniejszej, równie popularnej pozycji tego autora „Do przerwy 0:1”: Maniusia „Paragona”, Felka „Mandżaro” i Bogusia „Perelki”. W książce Bahdaja sympatyczne chłopaki zaproszeni przez ciotkę *Perelki*, spędzają wakacje w leśniczówce nad jeziorem. W pobliskim zamku dochodzi do niezwykłych wydarzeń, przypisywanych działaniom duchów: pojawiają się światła, hałasy i widmowe postaci. Chłopcy starają się wyjaśnić tajemnicze zjawiska. Przekonują się, że zamek ukrywa jakiś sekret, a po okolicy krąży wielu dziwnych i podejrzanych osobników... W Teatrze Zagłębia, który właśnie wprowadził do swojego repertuaru sceniczną adaptację, jak to się dzisiaj mówi kulturowej powieści, miejsce akcji zmieniono: *Paragon*, *Mandżaro* i *Perelka* spędzają wakacje nie w leśniczówce, ale w mieszkaniu ciotki w... blokowisku w sosnowieckim Sielcu. Nic nie wróży, że będzie to atrakcyjny pobyt. Jedynie rozrywki dostarcza im kot *Hator*, który, chadzając własnymi drogami, często się gubi i trzeba go szukiwać. Chłopcy zakładają agencję detektywistyczną, w której wzorem Sherlocka Holmesa, używając metody dedukcji, czyli *logicznego rozumowania* i *wyciągania wniosków na podstawie prawdziwych przesłanek* łatwiej im odnajdywać kota-uciekinię. Deszcz pada i pada a chłopcy się okropnie nudzą (*to powszechnie znana rzecz*). Na sąsiadującym z osiedlem starym Zamku Sieleckim rozpoczyna się przebudowa i... pojawia się duch a w mieszkaniu ciotki atrakcyjna koleżanka z sąsiedztwa *Dziewiątka*. Oj, zaczyna się wtedy dziać. Co z tego wynikło? Dowiedziecie się w Teatrze Zagłębia. Zabawa jest przednia, zarówno dla młodych, jak i dla zdecydowanie starszych widzów. Są wszystkie atrakcyjne wątki z powieści Bahdaja, a nawet więcej! Adaptacja i dramaturgia jest bowiem dziełem świetnego prozaika i dramatopisarza Piotra Rowickiego, którego sztuka „Chłopiec malowany” zwyciężyła w ogólnopolskim konkursie na sztukę współczesną Metafory Rzeczywistości organizowanym przez Teatr Polski w Poznaniu. Pisarz jest również znany widzom Festiwalu Dramaturgii Współczesnej „Rzeczywistość przedstawiona” w Zabrzu. W 2011 r. dzięki wspomnianej sztuce „Chłopiec malowany” uznany został najlepszym dramatopisarzem, a w 2013 r. otrzymał nagrodę publiczności za spektakl „Matki”.



Paczka detektywów: Przemysław Kania (*Perelka*), Aleksander Blietek (*Mandżaro*), Edyta Ostojak (*Dziewiątka*), Krzysztof Korzeniowski (*Paragon*).

Duchy górą!

TEATR

W 2014 r. jego dramat „Oblężenie” po raz kolejny zwyciężył w poznańskim konkursie Metafory Rzeczywistości. Myślę, że to dopiero początek jego scenicznych sukcesów i jeszcze nieraz o nich usłyszymy. Bardzo ważne jest to, że cenią go nie tylko profesjonalści, ale kocha teatralna widownia.

Wyreżyserował na sosnowieckiej scenie „Wakacje z duchami” słynący z poczucia humoru Jerzy Jan Połoński. Któż nie pamięta z krakowskiego kabaretu „Formacja Chatelet” słynnego zwrotu „panie reżyserzu” kierowanego właśnie do pana Jurka? Według mnie jeszcze przez długie lata, jako artysta pozostanie radosnym młodzieńcem, niosącym ze sobą uśmiech i pozytywną energię. „Wakacje z duchami” śmieszą i budzą refleksje, trzymają w napięciu, bawią, wzruszają. Przedstawienie jest rozśpiewane i roztańczone, ale bez przesady. Wszystkiego w sam raz. Forma spektaklu, dzięki doborowi wspaniałych pomocników nieomal doskonała (Teatr Zagłębia już nas do tego przyzwyczaił). Choreografia jest dziełem mistrza Jarosława Stańka, którego pomysły tworzą rozwinięta, serdecznie oklaskiwana na premierze, asystentka Natalia Staniska. Muzyka Joanny Piwowar-Antosiewicz znakomicie służy tanecznym i wokalnemu popisom, szkoda tylko, że po spektaklu nie da się niczego zanuć. Przydałby się jeden maleńki szlagier. Scenografia – wykorzystująca najnowocześniejszą technikę multimedialną – funkcjonalna i będąca radością i relaksem dla oczu zmęczonych osaczającymi nas ze wszystkich stron krzykliwymi reklamami, jest dziełem Mariki Wojciechowskiej.

Parę słów o aktorach. Aleksander Blietek (*Mandżaro*) – śmieszny, wesoły i najbardziej ruchliwy, Przemysław Kania (*Perelka*) – zakochany, wdychający, najbardziej strachliwy, Krzysztof Korzeniowski (*Paragon*) – trzyma kolegów w ryzach, jako ten największy, najstarszy i najodważniejszy detektyw-amator. Trudno nie zakochać się w *Dziewiątce* skoro zagrała ją Edyta Ostojak. Andrzej Śleziak (*Nauczytel, Ochroniarz*) jak zawsze wyrazisty i profesjonalnie perfekcyjny. Wreszcie Piotr Zawadzki (*Dyrektor Pie-*

niówek) – typ z słusznie minionej epoki i... spod ciemnej gwiazdy. Pozostali aktorzy również zasługują na wymienienie: Agnieszka Bieñkowska, Michał Bałaga, Kamil Bochniak, Grzegorz Kwas i Tomasz Muszyński. Nie tylko wspaniale wcielił się w grane postaci, ale doskonale bawią się razem z widownią!

Zamki, szczególnie zaś te najbliższe naszym sercom, czyli jurajskie Orle Gniazda duchom zawdzięczają swoje przetrwanie. To wcale nie takie śmieszne. W czasach, kiedy nie było internetu a telewizja rządkowała, wieczorne posady najczęściej kończyły się strasznymi opowieściami o pojawiających się na zamkach duchach. W latach 60. i 70. sam straszylem ile wlezie okolicznych mieszkańców, którzy

przechwalali się, że traktują cudowne ruiny jako magazyny materiałów budowlanych. Ukochaną bohaterką moich niesamowitych opowieści była Olimpia Bonerówna z Ogrodzieńca. Kochało się dziewczę bez pamięci i z wzajemnością w pięknym rycerzu Stanisławie Kmicie. Wybrankę nie został zaakceptowany przez ojca Olimpię Seweryna, który intrygami doprowadził młodzieńca do samobójstwa. Córkę wywiózł do Ogrodzieńca, aby nie dotarła do niej tragiczna nowina. Najgrubsze mury nie ustrzegły jej przed okrutną prawdą i... z rozpaczki wyskoczyła z okna południowej baszty. No i od tamtego czasu spaceruje o północy po zamkowych blankach. Od siebie zawsze dodawałem, że Olimpia pilnuje miejsca swojej tragedii i każdemu, kto zagraża istnieniu jej wieczystej rezydencji szykuje niezłą łaźnię... Do tego dodawałem historię czarnego psa, czyli złego ducha kasztelana okrutnika Stanisława Warszkiego. W Bobolicach i Mirowie też straszylem duchami mieszkającymi w podziemiach łączących oba zamki, zwłaszcza pewnego boboliczanina, który chwalił się chlewikiem zbudowanym z zamkowych kamieni. „Teraz niech pan uważa, mieszkańcy podziemi bywają mściwi!” – mówiłem z powagą. Pisałem o tym często, opowiadałem i cieszyli mnie spotkania z osobami, które... czarnego psa spotkały! Wierzyłem, że pomagam zabytkom... W to, że zjawy ratują zabytek wierzą też bohaterowie „Wakacji z duchami” na sosnowieckiej scenie. Zły biznesmen (nie brakowało takich na początku lat 90.), który planuje zniszczyć zamek i zamienić go w najciemniejszy pod słońcem interes, ponosi porażkę. I o to chodzi. Duchy górą!

WITOLD KOCIŃSKI

Adam Bahdaj *Wakacje z duchami*. Adaptacja i dramaturgia: Piotr Rowicki, reżyseria: Jerzy Jan Połoński, scenografia i kostiumy: Marika Wojciechowska, multimedia: Dawid Kozłowski, wideo: Aleksandra Fudala, Kamil Niesłony, muzyka: Joanna Piwowar-Antosiewicz, choreografia: Jarosław Staniek, asystentka choreografa: Natalia Staniska. Premiera: Teatr Zagłębia w Sosnowcu 25 kwietnia 2015 r.

Teatralna lornetka pozwala patrzeć na człowieka na dwa sposoby. Zachęca do szczegółowej analizy słów i grymasów, które tworzą przecieć jedyną rzeczywistość postaci, albo relatywizuje pokazane sytuacje aż do ich unieważnienia. Obie perspektywy próbowano połączyć w Teatrze im. Adama Mickiewicza przy okazji sztuki Yasminy Rezy *Życie: trzy wersje*, napisanej w 2000 roku. Było to pierwsze spotkanie częstochowskiej publiczności z twórczością autorki na scenie, choć wcześniej jej sztuki prezentowano podczas spotkań Czytania Dramatu Współczesnego. Utwory Rezy zagościły w Polsce pod koniec XX wieku, gdy *Sztukę* zagrał m.in. Teatr im. Stanisława Ignacego Witkiewicza w Zakopanem czy Stary Teatr w Krakowie, natomiast sztuka *Życie: trzy wersje* pojawiła się w Teatrze Kwadrat (2002) w reżyserii Krzysztofa Zalewskiego z Marią Pakulnis, Edytą Olszówką, Krzysztofem Kolbergem i Piotrem Machalicą. Potem *Życie* wystawiono we Wrocławiu, Katowicach i Krakowie (w Nowej Hucie). To w Teatrze Kwadrat Piotr Machalica (*Henryk*) zachwyił się tekstem w doskonałym przekładzie Piotra Szymanowskiego, a przede wszystkim jego partyturową strukturą, dopuszczającą kolejne realizacje.

W częstochowskiej inscenizacji wystąpili: Iwona Chołuj (*Sonia*), Marta Honzatkó (*Ines Finidori*), Adam Hutyra (*Henryk*) oraz Waldemar Cudzik (*Hubert Finidori*). Spektakl przygotował Piotr Machalica, a asystował mu Adam Hutyra. Dwaj fizycy i ich żony przedstawiają trzy możliwe warianty kolacji, gdy w internecie właśnie opublikowano artykuł z obszaru badań młodszego naukowca, a wpływowy szef nie omieszka poinformować go o tym fakcie.

Zanim kolacja dla czterech osób została zrealizowana na scenie, aktorzy czytali sztukę w Carpe Diem 15 stycznia. Ostatecznie tekst uzupełniły: scenografia Grzegorza Policińskiego (wcześniej przygotowywał w naszym teatrze *Tango FM*), muzyka Bionulora, światło Andrzeja Wolfa. Postacie ubrane przez Stanisława Kulczyka zaczęły poruszać się na scenie i reagować na zachowania swoich partnerów, a interakcja stanowi przeciwieństwo główny temat sztuki. Autorka podkreśla, że utwór przypomina fugę, więc główne motywy pojawiają się w różnych konfiguracjach, innym rejestrze, by niepostrzeżenie stworzyć nieco odmienioną historię i postacie.

Można by powiedzieć, że *Życie: trzy wersje* to jeden z dramatów nawiązujących do osiągnięć współczesnej fizyki i astronomii (tematem rozmowy jest droga mleczna i zjawisko halo, które stanowi przedmiot zainteresowań *Henryka*), gdy pojawiają się alternatywne wersje, jak np. oglądane w Częstochowie podczas zeszłorocznego Przeglądu Przedstawień Istotnych *Konstelacje* Nicka Payne'a (Teatr Polonia). Tutaj jednak fizyczny chaos zostaje przesunięty na poziom psychologii postaci, ich nastrojów i przeżyć, gdy zmiana tonu i gestów ujawnia przede wszystkim ich stosunek



Fot. z mat. Teatru

Z bliska i z daleka

TEATR

do świata. Tym samym widz zaczyna zastanawiać się nad możliwością opisu świata, ale również nad kondycją człowieka, co wzmacnia jeszcze nazwisko francuskiego poety, Francisca Ponge'a.

Pozornie akcja sztuki rozgrywa się między dwoma astronomami: szefem *Hubertem Finidorem*, kierownikiem jednostki badawczej, członkiem Akademii Nauk, a *Henrykiem*, kandydatem na stanowisko kierownika Zakładu. Ich relacje ujawniają stosunki w światku naukowym, a jednocześnie charakteryzują wszystkie sytuacje zależności. Przydatnym terminem okazuje się „finidoryzacja” (określenie wymyślone przez *Sonię*, a pobrzmiewające trochę Gombrowiczem), co można by tłumaczyć jako uległość, a nawet lizusostwo, gdy zachowania są dobierane ze względu na konsekwencje i potencjalne korzyści. Tym samym zamiast branżowej sztuki o nauce i życiu naukowców otrzymujemy dyskusję o współczesnej moralności, a stawką starcia jest przywództwo, prestiż i uznanie. A wszystko zaczyna się od fatalnej w skutkach kolacji, gdy *Finidorowie* pojawiają się niespodziewanie, u *Henryków* brakuje jedzenia, a sytuację pogarszają jeszcze kłopoty wychowawcze i podarte rajstopy *Ines*. Splot przypadkowych okoliczności tworzy węzeł, który w farsie musiałby doprowadzić do katastrofy, ale w sztuce Rezy wszystko zależy od *Henryka*.

Tuż przed finałem *Sonia* wyjawia publiczności, że jej mąż jest trochę niezrównoważony emocjonalnie, dlatego nieustannie oscyluje między stanem euforycznym (wierzy w nagrodę) albo depresyjnym (jest załamany). I etudy potwierdzają tę charakterystykę, a papierkiem lakmusowym okazuje się jego relacja z *Hubertem* – *Henryk* jest albo unizony, albo niemal wulgarny, albo próbuje dość spokojnie i racjonalnie przyjąć informację o artykule, tym bardziej że nie wiadomo jeszcze, co w nim jest. Okazuje się, że w przedstawionym układzie, to właśnie *Henryk* jest główną zmienną i od tego, czy będzie stanowczy czy ciapowaty, zależy możliwy zakres zachowań pozostałych postaci.

Henryk realizuje komediowy typ naukowca i jest przeciwieństwem *Huberta*, człowieka sukcesu (dobra posada, pozycja wśród naukowców, dobrze skrojony garnitur), który

a pozostali muszą opowiedzieć się po jednej ze stron, choć mają wiele do stracenia.

Sztuka nie ma jednoznacznego zakończenia. To jedynie trzy możliwe wersje kolacji, z których każda zapowiada inny ciąg dalszy wskutek odmiany *Henryka*. Wariacje zmieniają nie tylko nastrój, kluczowe sformułowania są wypowiadane innym tonem przez kolejne postacie, co odmienia znaczenia słów i nieco inaczej charakteryzuje wypowiadających. To wszystko każe zastanowić się nad tym, jacy naprawdę są bohaterowie (charakter, osobowość...), gdy prezentowane stanowisko określa wstępne założenia oraz możliwe interakcje z pozostałymi.

To wszystko dzieje się na dużej scenie, w nieco klaustrofobicznym i współcześnie ascetycznym pomieszczeniu, wyłożonym białymi panelami. Mieszkanie z windą staje się elementem kosmosu, co w przerwach wzmacniają efekty świetlne oraz elektroniczna muzyka Bionulora. W finale kosmos pojawia się również w tyle sceny. Zaciemnienia zachęcają widza do zadumy; bez nich przedstawienie mogłoby nabrać szybkiego tempa i stać się typową komedią, ale realizatorom chyba nie o to chodziło.

Dźwięki zaproponowane przez Bionulora (prywatnie Sebastiana Banaszczyka) niemal w sposób naturalny kojarzą się z kosmosem – wcześniej prezentowano je m.in. w planetarium AJD oraz na składance muzyki elektronicznej wydanej pod auspicjami NASA z okazji 40-lecia lądowania na Księżycu pierwszego człowieka. Podkreślają one nowoczesność, przypominają o technologicznej orientacji współczesnej kultury, ale zachęcają również, by w obliczu ciał niebieskich raz jeszcze zastanowić się nad kondycją człowieka, jak przed laty czynił Immanuel Kant.

Rolą *Huberta Finidora* Waldemar Cudzik świętował jubileusz pracy artystycznej.

JOANNA WAROŃSKA

Yasmina Reza: *Życie: trzy wersje*, przekład: Piotr Szymanowski, reżyseria: Piotr Machalica, muzyka: Bionulor, scenografia: Grzegorz Policiński, reżyseria światła: Andrzej Wolf. Premiera Teatr im. A. Mickiewicza w Częstochowie 21 II 2015 r.

20 kwietnia br. na scenie Teatru Pałacu Młodzieży studenci Wydziału Wokalno-Instrumentalnego Akademii Muzycznej w Katowicach zaprezentowali wznowienie *Balu baśni* z muzyką Józefa Świdra oraz librettem Tadeusza Kijonki. Ten ogromny projekt, w którym udział wzięło 40 śpiewaków oraz 18 członków orkiestry, koordynowała Karolina Widera jako reżyser i scenograf przedstawienia oraz Francesco Bottigliero, który objął kierownictwo muzyczne. *Bal baśni* przypomniano z chęcią popularyzacji opery wśród najmłodszych oraz promowania śląskich kompozytorów, których wybitnym przedstawicielem jest zmarły w ub. roku Józef Świder, wieloletni wykładowca i dziekan w katowickiej Akademii Muzycznej oraz profesor cieszyńskiej filii Uniwersytetu Śląskiego.

Premiera opery-musicalu z muzyką Józefa Świdra miała miejsce 24 września 1977 roku w Operze Śląskiej w Bytomiu. Kierownikiem muzycznym premierowego spektaklu był Antoni Duda, reżyserem Zbigniew Bogdański. Scenografię przygotował Andrzej Łabiniec, a choreografię opracował Henryk Konwiński. Chórem kierowała Krystyna Świder.

Do tego samego libretta Tadeusza Kijonki muzykę napisała także Katarzyna Gaertner, a przedstawienie pod tytułem *Krasnoludki, krasnoludki, czyli Bal baśni* miało swoją premierę 7 listopada 1979 roku w Teatrze Dramatycznym w Elblągu. Jego reżyserem był Jacek Gruca, a kierownikiem muzycznym Małgorzata Latosińska. Choreografię opracował Czesław Kujawski, a scenografią zajęły się Jadwiga Pożakowska i Zdzisława Bubbella.

24 września 1996 roku Opera Śląska wystawiła premierę *Zaczarowanego balu* z muzyką Katarzyny



Zdjęcia: Akademia Muzyczna w Katowicach

W hołdzie profesorowi Józefowi Świdrowi

TEATR

Gaertner do tego samego libretta Tadeusza Kijonki. Tę inscenizację reżyserowała Maria Walcerz, a kierownictwo muzyczne objął Antoni Gref. Scenografię przygotował Ryszard Kaja, a choreografię Teresa Kujawa.

Cechą charakterystyczną projektu zrealizowanego w tym roku przez studentów katowickiej Akademii Muzycznej była próba dotarcia do oryginalnych kompozycji Józefa Świdra, nad których opracowaniem muzycznym oraz nad jak najwierniejszym odtworzeniem zaginionych partii czuwał Klaudiusz Jania. Twórcom najnowszej in-

Kopciuszek, Królowna Śnieżka, Dziewczynka z zapalkami, Jaś i Małgosia, Czerwony Kapturek, Śpiąca Królowna, Pinokio, Królowa Śniegu, Ośła Skórka, Złota rybka, Złota gęś, Kot w butach i Szczurołap z Hameln. Jeśli dzieci mają przekonać się do teatru jako miejsca im przyjaznego oraz interesującego poznawczo i artystycznie, nie mogą być tylko biernymi odbiorcami, bo to nie leży w ich naturze, a nade wszystko muszą mieć kontakt z dziełem sztuki na ich poziomie wrażliwości estetycznej, aby nie zraziły się do twórczości jako takiej.

Patrząc na *Bal baśni* w reżyserii Karoliny Widery oraz z udziałem studentów katowickiej Akademii Muzycznej jak na hołd złożony profesorowi Józefowi Świdrowi, należy stwierdzić, iż okazał się on prawdziwym żywym pomnikiem, zbudowanym przez talenty, które rozwijał i kształtował sam wielki mistrz.

KATARZYNA BERETA





Inauguracja ECC (od lewej): prezydent Katowic Marcin Krupa, marszałek województwa śląskiego Wojciech Saługa, wojewoda śląski Piotr Litwa i Małgorzata Mańka-Szulik przewodnicząca zarządu Górnośląskiego Związku Metropolitalnego.



ECC był dobrą okazją do promocji regionu śląskiego.

Trzy dni Europejskiego Kongresu Gospodarczego

22 kwietnia br. zakończyła się, trwająca trzy dni, VII edycja największej imprezy biznesowej Europy Centralnej – Europejskiego Kongresu Gospodarczego. Tematyka kongresu skupiała się wokół zagadnień innowacyjności i konkurencyjności gospodarki

Gościem sesji inauguracyjnej był prezydent RP Bronisław Komorowski, który przedstawił swoje propozycje dotyczące wsparcia i rozwoju innowacyjnej gospodarki. Tematem przewodnim sesji inauguracyjnej był wielki program inwestycyjny Unii Europejskiej, który ma odsunąć widmo stagnacji. Wśród innych kwestii poruszanych w ramach paneli tematycznych znalazły się także m. in. rola państwa w gospodarce, energia i gospodarka niskoemisyjna, rynek pracy, innowacje oraz nowe kierunki globalnej gospodarki. Istotny akcent tej edycji kongresu został położony na udział młodych ludzi w kształtowaniu przyszłości Europy.

Gości kongresu przywitał marszałek województwa śląskiego Wojciech Saługa. „Mamy dwie nadzieje związane z tegorocznym kongresem. Reindustrializacja i plan

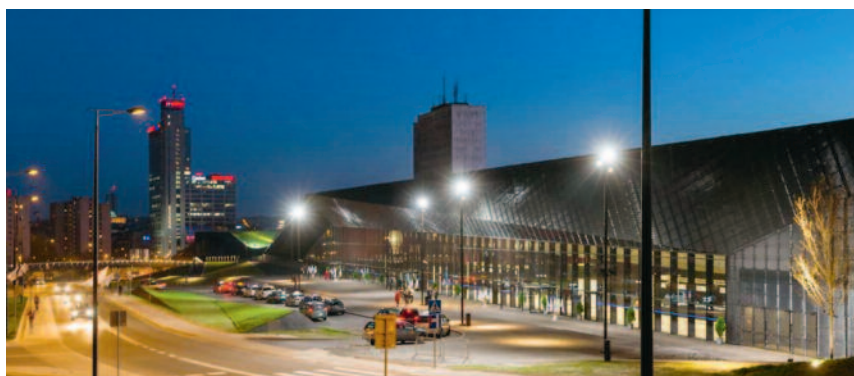
dla Śląska, nad którym pracowaliśmy w ostatnich miesiącach, dają nam nadzieję, że ten proces nie będzie prowadził do ograniczenia możliwości, a wręcz przeciwnie – otworzy przed nami nowe. Wciąż szukamy odpowiedzi, jaka jest nasza rola na mapie gospodarczej Europy, ale w trakcie tej dyskusji o gospodarce nie możemy zapominać o człowieku, on jest ważniejszy niż liczby i wskaźniki ekonomiczne” – podkreślał marszałek Wojciech Saługa.

W debatach kongresowych udział wzięło ponad 6 tysięcy gości, w tym niemal 700 prelegentów. Odbyło się 100 sesji dyskusyjnych, spotkań biznesowych i rozmów. Akre-

dytowanych zostało 500 dziennikarzy polskich i zagranicznych.

Współorganizatorem Europejskiego Kongresu Gospodarczego było Województwo Śląskie. Obecność czołowych polityków, przedsiębiorców, ludzi nauki i biznesu stworzyła możliwości promocji Śląskiego jako najlepszego regionu do lokowania kapitału oraz lidera atrakcyjności gospodarczej w kraju.

Zorganizowano także stoisko promocyjne regionu. Była to kontynuacja kampanii „Tworzymy Śląskie”, której celem jest budowanie świadomości technologicznego rozwoju, jaki dokonał się w ostatnich latach na terenie województwa śląskiego. (wk)



Gmach nowo otwartego Międzynarodowego Centrum Kongresu w Katowicach



„Tworzymy Śląskie” na ECC



Grzegorz Sawicki Członek Zarządu Województwa Opolskiego wręcza odznaki honorowe „Za zasługi dla Województwa Opolskiego” aktorom i pracownikom Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu. Od lewej: Z. Bielewicz, E. Wyszomirska, A. Los-Pławszewska, B. Wnęk-Malec, B. Lipka, R. Balcer, P. Kniec



„Wesele na podstawie Wesela” w reżyserii Cezarego Tomaszewskiego, spektakl Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu



„Dziadów część III” w reżyserii Michała Zadary, spektakl Teatru Polskiego we Wrocławiu



„nie-boska komedia. WSZYSTKO POWIEM BOGU!” w reżyserii Moniki Strzępki, spektakl Narodowego Starego Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie



„Traktat o manekinach” w reżyserii Piotra Tomaszuka, spektakl Teatru „Wierszalin” w Supraślu

Opolskie Konfrontacje Teatralne „Klasyka Polska 2015”

40. edycja Opolskich Konfrontacji Teatralnych „Klasyka Polska 2015”, pod patronatem i mecenatem: Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Marszałka Województwa Opolskiego i Prezydenta Opola, zbiegła się z jubileuszem czterdziestolecia Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu, dlatego podczas inauguracji festiwalu uhonorowano zasłużonych dla opolskiej sceny. Medale „Zasłużony dla Kultury Polskiej” otrzymały Justyna Paradzińska i Grażyna Misiorowska. Odznaki „Za zasługi dla Województwa Opolskiego”: Zofia Bielewicz, Ewa Wyszomirska, Beata Wnęk-Malec, Arleta Los-Pławszewska, Jacek Dżisiewicz, Waldemar Kotas i Michał Światała (wszyscy powyżej zespół aktorski) oraz Halina Flegler, Bogusław Lipka, Ryszard Balcer, Gerard Damaszek, Piotr Kniec, Bernard Szolc i Andrzej Trosiak. W programie OKT spektakle wystawiły: Teatr Polski z Wrocławia, Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi, Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie, Teatr Wierszalin w Supraślu, Teatr Powszechny w Warszawie i Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszeńskiego, Narodowy Stary Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie i Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu. Jurorzy (Marcin Cecko, Piotr Kruszczyński i Paweł Soszyński) grand prix przyznali spektaklowi „nie-boska komedia. WSZYSTKO POWIEM BOGU!” NST w Krakowie, wyróżnionemu również za grę aktorską zespołu i reżyserię Moniki Strzępki. Laury aktorskie otrzymali: Ewa Skibińska i Mariusz Kiljan („Dziadów część III” TP we Wrocławiu). Natomiast „Wesele na podstawie Wesela” w reżyserii Cezarego Tomaszewskiego, wystawione przez gospodarzy festiwalu wyróżniono za „bezkompromisowy anty-teatr” oraz scenografię i kostiumy Agnieszki Klepackiej i Maćka Chorażego. Niegdyś podczas Konfrontacji prezentowali swoje dzieła wybitni artyści sceny (Jerzy Grzegorzewski, Krystian Lupa, Andrzej Wajda), jak też młodzi twórcy, rozpoczynający karierę (Anna Augustynowicz, Grzegorz Jarzyna, Marek Fiedor, Paweł Passini, Michał Zadara, Barbara Wysocka, Jan Klata). OKT „Klasyka Polska” zapoczątkowane w 1975 roku od prezentacji dorobku teatrów w dziedzinie klasyki polskiej stały się jedynym monograficznym festiwalem krajowym o wielkich tradycjach artystycznych.

dks



„Ich czworo” w reżyserii Małgorzaty Bogajewskiej, spektakl Teatru im. Jaracza w Łodzi

Paweł Targiel: *O tyle więcej. Wiersze z lat 1970-2009*. Wybór, układ, redakcja i przedmowa Waław Tkaczuk. Wyd. Instytut Mikołowski, Mikołów 2014, s. 128.

Książkowy debiut poetycki urodzonego w roku 1945 autora nastąpił późno, bo w roku 2005. Tytuł *Wiersze ostatnie* można było odbierać czysto informacyjnie, oto tomik złożony z utworów napisanych w niedawnym, krótkim czasie przed edycją. Z drugiej strony tytułowe słowa, czarne na czarnej okładce, brzmiały dość złowieszco. Potem była tylko jeszcze jedna książeczka poetycka *Halsem*. A Paweł odszedł w roku 2009. Wspominaliśmy go w redakcji „*Śląska*”, wtedy jego najbliżsi koledzy podkreślali, że swoją twórczość często zaniedbywał, wiecznie zajęty innymi sprawami – promocją młodych, organizowaniem imprez w dawnym mieszkaniu Rafała Wojaczka, przełamywaniem urzędowych barier w walce o Instytut Mikołowski, którego został dyrektorem. Teraz ukazały się jego wiersze z lat 1970-2009. Dobrze się stało, że te inedita, opatrzone przedmową Waławę Tkaczuka i uzupełnione kalendarium życia i twórczości poety przygotowanym przez jego żonę Annę Kozińską-Targiel trafiły do czytelnika.

Robert Kowalski: *Rachunki podróże*. [Brak danych o wydawcy, dacie i miejscu wydania].

Te wiersze były pisane w latach 1981-2014. Z przerwami, więc może dlatego od razu przychodzą do głowy słowa, że „poeta się bywa”. Jednak Kowalski jest ponadto poetą „który bywa”, większość bowiem jego utworów opatrzone została adnotacjami: np. „Palermo, Sycylia, 15.07.2012”, „Liverpool. Marzec 1993”, „Barcelona. 13.05.2012”... Pojawiają się też Katowice (tu mieszka autor „urodzony w krainie jezior”), Ha-wa, Łapsze Niżne. Ale uwaga – te wiersze to nie „widokówki” poetyckie rejestrujące zabytki, cuda przyrody, krajobrazy. Są to specyficzne notatki „z podróży”, z tym że autor podróżuje, bardziej niż po rzeczywistych miejscach, po swoim wnętrzu, „umebłowanym” wiedzą, kulturą, filozofią, religią, lekturami. Brzmi to mało zachęcająco. Ale te wiersze – słowo daję – naprawdę czyta się dobrze, bo to nie traktaty, tylko „błyski” czasem z dozą humoru. Dla ilustracji utwór „U Frycka na Pere-Lachaise”: *Wreszcie Chopin / który nie gra / wreszcie pogadamy*. Polecam.

***Almanach Prowincjonalny nr 21 (kwiecień 2015)*. Wyd. Raciborskie Centrum Kultury, Racibórz 2015, s. 122.**

Mam ogromny sentyment do tych nielicznych czasopism kulturalnych, które się jeszcze u nas ukazują. Z uznaniem myślę o wydawcach zdobywających fundusze na przetrwanie i redaktorach pracujących za bardzo skromne pieniądze dla niszowej publiczności. *Almanach Prowincjonalny* do takich pism należy. Ale jaki on tam prowincjonalny, skoro drukowani autorzy a także zespół współpracowników – to twórcy „z najwyższej półki”. No chyba że chodzi o to, że nie publikują tu „ludzie ze stolicy”. A w kwietniowym numerze znajdziemy sporo poezji (Leszek Długosz, Jan Polkowski, Barbara Gruszka-Zych, Szymon Babuchowski, Krzysztof Błażycza, Jacek Mołęda, Bartłomiej Adamski, Wiesław Musiałowski i inni). Poza tym proza, przekłady, recenzje, eseje – krótko mówiąc – wszystko, co w kulturalnym czasopiśmie być powinno. *Almanach* ma przy tym świetną szatę graficzną, uwagę zwracają zwłaszcza zdjęcia – od tzw. artystycznych po reporterskie. Zachęcam do lektury.

Libor Martinek: *Władysław Sikora (monografie)*. Wyd. LITERATURE&SCIENCE, Opava 2013, s. 152.

Libor Martinek, nasz współpracownik i członek Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, zwany polonofilem z Opawy, znany jest przede wszystkim jako tłumacz poezji polskiej na język czeski a poza tym autor wielu prac naukowych dotyczących polsko-czeskich relacji literackich oraz twórczości regionalnej. Tym razem wydał monografię Władysława Sikory, jednego z najbardziej interesujących twórców zaolziańskich – poety, pisarza, tłumacza, dziennikarza i publicysty. Martinek zajmuje się w tej książce wszystkimi aspektami działalności swojego bohatera. Sikora związany jest z literaturą polską (ogólnopolską), jednocześnie mocno zaangażował się w życie kulturalne swojej ziemi – Zaolzia, czyli polskiej enklawy w Czechosłowacji. Jest więc zarazem pisarzem polskim jak i regionalnym, blisko związanym z cieszyńskim folklorem. Monografia Martinka, jak zwykle bardzo rzetelna naukowo, ma przybliżyć postać Sikory czytelnikowi czeskiemu. Co ciekawe – wyprzedza ona publikacje literackie poety z Boconowic w języku czeskim.

Arkadiusz Frania: *Rzeźby w maśle. Prozy z pamięci*. Wyd. Nowy Świat, Warszawa 2014. S. 152.

Podtytuł „Prozy z pamięci” sugeruje, że nie są to opowiadania, nie do końca to też wspomnienia, jednak teksty te są w jakimś tam sensie autobiograficzne. Autor jest pisarzem, poetą. W swojej książce pisze o sobie i o pisaniu oraz całej otocze towarzyszącej tworzeniu literatury (np. *Spotkanie autorskie w krakowskim iceum*). Wiele razy miałem okazję się przekonać, że pisarze, którzy piszą o sobie i swoim pisaniu rzeczywistym lub zamierzonym przypominają owego wielkiego węża zjadającego własny ogon i są nudni. Tym razem jest inaczej. Te prozy czyta się z wielką przyjemnością. Autor-narrator – jeżeli uwierzyć, że to teksty wspomnieniowe – opowiada o sobie z wielkim poczuciem humoru, w dodatku świetnym językiem. Czasami przypomina bohaterów niemych burlesek, którzy mimo kolejnych porażek, niestrudzenie podejmują walkę ze światem (np. batalia z molami). Książka złożona jest z krótkich tekstów, których nie da się złożyć w całość – to rzeźba w maśle w zbyt ciepłym pomieszczeniu. Gorąco polecam.

Wiesława Bertman: *Pamięć Wołynia 1943-1944*. Bibliografia. Biblioteka Śląska 2014, s. 208.

To wybór literatury dotyczącej zbrodni określanej mianem „rzezi wołyńskiej”. W latach 1943-1944 ukraińscy nacjonałści z OUN-UPA wymordowali na Wołyniu i w przyległych województwach około 130 tysięcy Polaków. W wykazie zamieszczone zostały opisy bibliograficzne publikacji w języku polskim, które ukazały się do roku 2013 włącznie. Poza wydawnictwami książkowymi uwzględniono w zestawieniu także artykuły z czasopism i gazet. Większość tych materiałów ukazała się dopiero w czasach najnowszych, ponieważ świadkowie i badacze ze zrozumiałych względów dopiero po zmianie ustroju zyskali możliwość mówienia o tamtych wydarzeniach bez cenzuralnych ograniczeń. Bibliografię poprzedza wprowadzenie Ryszarda Kaczmarka pt. *Geneza „zbrodni wołyńskiej”*. Warto wspomnieć, że w wykazie publikacji uwzględniono także filmy oraz wybrane serwisy internetowe. Uzupełniają książkę indeksy miejsc i osób oraz dwie barwne mapy. Jednym z celów wydawnictwa jest pomoc dla nauczycieli i uczniów.

Feliks Netz

Krzyk sowy



Feliks Netz: *Krzyk sowy*. Biblioteka „Toposu”, Sopot 2014, ss. 71.

Wiersze jak umierające słonie

W opublikowanym w 1985 r. wyborze wierszy *Wir* F. Netza znalazł się krótki zaledwie dwuzwrotkowy i ośmiowersowy tekst, pozbawiony rymów i ozdobnych epitetów, zatytułowany *Późne wiersze*. Wywierał on mocne wrażenie dzięki porównaniu, będącym puentą nawiązującą do tytułu. Fragment ten godny przytoczenia: „Trzymają się z dala, od kartki papieru. / Układają się same, / na uboczu, / jak słonie przed śmiercią”. Nie sposób do takich późnych wierszy nie zaliczyć tekstów zamieszczonych w zbiorze F. Netza *Krzyk sowy*, wydanym w 2014 roku w sopockiej Bibliotece „Toposu”. Zrządzeniem losu wiersze z tego tomiku stały się nie tylko późnymi, ale i ostatnimi.

Niespodziewana śmierć autora sprawiła, że tom *Krzyk sowy* stał się podsumowaniem jego życia, poetyckim testamentem oraz przedśmiertnym głosem we współczesnych politycznych i historycznych dysputach Polaków. Tytułowy wiersz *Krzyk sowy* jest tragiczny i ostrzegawczy zarazem, narzuca też główny trop ostatnich zainteresowań Netza. Podmiot liryczny przybiera tu postać morderzanego ptaka

nocy, jest zarazem oficerem mordowanym w Katyniu, jak i jednym z 96 ginących pasażerów rządowego Tupolewa, a także poetą protestującym przeciwko kolejnej narodowej tragedii w tym samym przekleństym przez historię miejscu. To zaledwie jeden z wierszy poświęconych problematyce kraksy w smoleńskiej mgle.

Podjęcie w poezji żywej i bolesnej aktualnej sprawy nurtującej Polaków nie jest u Netza niczym nowym. Zawsze wyczulony był na polityczny barometr i żywo reagował w wierszach na bolesne dla narodu wydarzenia. Sztandarowym tego przykładem może być słynny – poświęcony tragedii górników na kopalni Wujek – tekst *Śmierć jak kromka chleba*. Jednak wcześniejsze wiersze poety zaangażowane w politykę i historię były bardziej konfesyjne, sięgające do jednostkowej egzystencji, bez koturnowego kostiumu mesjanistycznej i cierpiętniczej tradycji.

Tymczasem w ostatnich już wierszach pojawił się ton patetyczny, doskonale dopasowujący się do żalobnej celebry wciąż rozdrapywanych nieszczęść. Oczywiście rzecz to chwalebna, bo świadczy o ludzkiej wrażliwości autora i nieobcym mu umiłowaniu Ojczyzny. Ale trochę straciły na tym jego późne wiersze, lokując się w chórze lirycznych tekstów okolicznościowych, jakie pojawiły się w polskiej poezji po katastrofie smoleńskiej, co odebrało im swoistą odrębność, jaka cechowała wcześniejsze zaangażowane teksty poety. Jakoś zbyt blisko ojczyźnianym lirykom Netza do znanego poematu J. M. Rymkiewicza. Nawet nieobecne na ogół w poezji Netza rymowanie, które zastosował w wierszu *Bajka smoleńska*, a także nawiązanie do starego toposu literackiego widoczne w inicjującym wiersz dystychu: „Dusza z ciała wyleciała, na smoleńskiej łączce stała, / Ciemna rana w białej mgłę się wykrwawiała”, nakazuje kierować uwagę w stronę głoszonego przez Rymkiewicza klasycyzmu.

Niekiedy upodobał sobie poeta w nurcie narodowych wierszy lirykę roli. Podmiot liryczny przemawia w imieniu historycznych postaci Chodasiewicza, Lebidewej, Eugeniusza Bodo. Co wypowiada? Przede wszystkim martyrologię i bezimienną śmierć zadawaną przez sowieckich siepaczy. Na szczęście zawarł także Netz w swoim ostatnim tomie sporo wierszy pozbawionych historycznego kostiumu. Bez takiego sztafażu stają się bardziej osobiste i pozwalają mu na prywatne rozliczenie z czasami kompromisów oraz wyrażenie zawołanego protestu przeciwko narzuconej mimikrze. Do tej grupy należą z pewnością *Barbarzyńcy* czy *Ćwiczenia aksjologiczne*. Tu już nie chodzi o wzniosłe dywagacje, lecz o własny los i doświadczenia bliższe ciału niż koszula. Najlepszym uświadomieniem wpływu wielkiej historii i jej bliskiego i znajomego oblicza stała się refleksja, że barbarzyńcy „nie muszą przyjść prosto ze stepów”, lecz „to mogą być swoi, z drugiej strony ulicy”. Względnie konstatacja: „Jeżeli kazałeś strzelać do swego narodu / pochowają cię z honorami na koszt państwa”. I nie zmieni tego nawet gniew-

na fatalistyczna puenta: „a grób sukiny-na, wiedz to, synu szlachecki / choćby był z granitu rozdziobią kruki i wrony” – także nie pozbawiona literackich aluzji.

Równie mocno jak literaturę umiłował F. Netz kino, co uwidacznia się na każdym kroku w ostatnim zbiorze wierszy. Jego wyobrażenia nie potrafi pozbyć się natrętnych kadrów z filmów, które funkcjonują w jego myślach i tekstach poetyckich na równi z historyczną refleksją i otaczającym go realnym światem. Przykładem kolażu scen i postaci z popularnych międzywojennych powieści Dołęgi-Mostowicza, utrwalonych także na celuloidowych taśmach, jest wiersz *Śmierć w Kutach*. Na tragiczne historyczne wydarzenia upadku II Rzeczypospolitej i ucieczki do Rumunii nakładają się fikcyjne losy prozatorskich bohaterów: Dyzmy, profesora Wilczura, pani Hanki oraz, jak najbardziej prawdziwe, samego pisarza. Poprzez filmowe kadry zapamiętane z *Popiołu i diamentu* i postać aktora Zbigniewa Cybulskiego, wcielającego się w rolę akowca Maćka Chelmickiego, wyraził Netz własny stosunek do narodowego mitu pochwały zwyciężonych. Rozterki i cynizm aktora na równi z jego nowoczesnym ubiorem uderzały w legendę niezłomności, ale wcale nie pozbawiały sensu odwiecznych moralnych rozterek. „Nie ten w ciemnych okularach, kłęk / nerwów, chłopak... ten drugi, który ma wyrzyte na szlachetnej / twarzy trzy słowa-znaki: Bóg, Honor, Ojczyzna” – zadeklarował poeta, przekornie pozostawiając dla siebie jednak odrobinę niepewności wyrażaną „nikłym drgnięciem brwi”.

Obok rozważań o kulturze, polityce i historii znalazły się też w zbiorze *Krzyk sowy* wiersze autobiograficzne, w których opisał Netz własne dojrzewanie życiowe. Do tej grupy należy zaliczyć strofy o ojcu i matce, czy też niezwykle szczery wiersz *Chłopiec idzie do szkoły*. Podmiot liryczny tożsamy z autorem jawi się jeszcze w tych wersach jako niezapisana tablica, jedynie nacechowana genetycznie i mentalnie przez rodzinę. Jako bardziej rozdzierające duszę poety można potraktować wiersze ze Stalinogrodem w tytułach i wszystkie dotyczące nastoletniej młodości autora w Katowicach, gdzie doznał stalinowskiego ukaszenia. Netz potraktował owe lata niejednoznacznie, bo wówczas zaczęła się także jego fascynacja literaturą, dlatego napisał w wierszu *Stalinogród, ulica 3 Maja, czyli całe tysiąclecie* z przekąsem: „dalej Dom Książki Radzieckiej, / za rok kiwnie na mnie z wystawy poeta / Błok Aleksander, nieco później mrugnie / do mnie z dwóch lilii-wych tomów poeta / Sergiusz Jesienin, już mnie mają? Już zostałem / uwiedziony?” Dopełnieniem osobistym stały się wierszowane zapiski z pobytu poety w szpitalu. Puenta jednego z nich zatytułowanego *O północy* zabrzmiała złowieszczo: „śpi-my, panie Feliksie, mówi siostra Karina, / śpi-my; szeroko rozpina skrzydła i odfr-wa”. Aż nie chce się wierzyć, że autor już zapadł w sen wieczny, nieprześniony.

RYSZARD BEDNARCZYK

Pod koniec XIX wieku Wołyń, Podole i inne strony przemierzał Napoleon Orda, którego pasją stało się utrwalanie zabytków architektury i krajobrazów. Artysta próbował swoją twórczością przeciwstawić się niszczycielskiej mocy czasu i bezwzględności historii. Jego dziełem życia stały się albumy „widoków historycznych, zrysowane z natury”, a w nich odnaleźć można rysunki, które dziś są nierzadko jedynym źródłem dokumentującym wygląd nieistniejących już kresowych rezydencji lub innych budowli, a także miast i wsi, które zmieniły się nie do poznania. W pewnym stopniu to dzieło kontynuuje S.S. Nicieja. Zamierem autora pięciu opublikowanych tomów *Kresowej Atlantydy. Historii i mitologii miast kresowych* (i kolejnych woluminów przygotowywanych do druku) jest „działanie na rzecz zachowania śladów polskiego losu na rozległej przestrzeni od Zaleszczyk i Śniatyna na południu po Wilno i Nowogródek” – przedstawienie dziejów dwustu miast, które zostały poza granicą wschodnią Polski po roku 1945.

Napoleonowi Ordzie udało się zrobić ikonograficzną dokumentację cennych zabytków i interesujących miejsc jeszcze przed ich zniszczeniem czy wręcz zagładą. Sytuacja współczesnego historyka jest inna, a sygnalizuje ją tytułowe porównanie Kresów do mitycznej Atlantydy. We wstępie do pierwszego tomu autor pisze, że pragnie opowiedzieć o „krainie zatopionej w odmętach niepamięci”, rozpoczyna „swoistą wyprawę na mityczną wyspę młodzieńczych doznań i nostalgii setek tysięcy ludzi”, tak zwanych repatriantów i emigrantów. Wytyczonej przestrzeni nie można już „zrysować z natury”, pozostaje jednak historia, mitologia, pamięć.

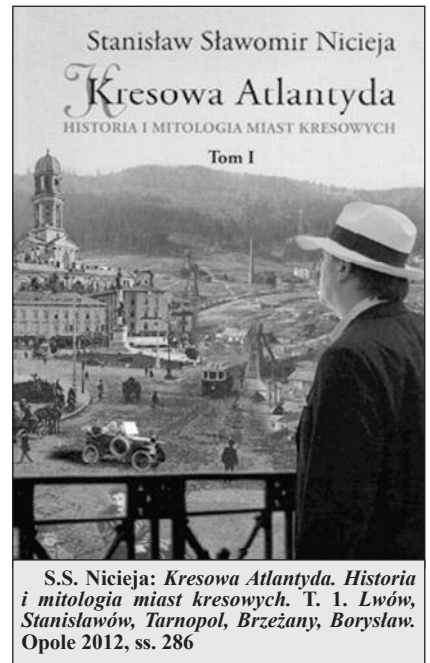
Wielotomowa publikacja jest efektem ponad trzydziestu lat pracy, niezliczonych godzin spędzonych w archiwach, wędrowek, poszukiwań po targach staroci i antykwariatach, rozmów z ostatnimi świadkami lub ich potomkami. Początkiem *Kresowej Atlantydy* były artykuły publikowane w prasie lokalnej i ogólnopolskiej, na które odpowiedziało wielu czytelników, przesyłając autorowi kolejne materiały i wspomnienia. Powstał w ten sposób i – jak zapewnia autor – wciąż powstaje „zbiorowy portret mieszkańców tamtej zatopionej Atlantydy”. Proces dokumentacji trwa, jednak historyk ma świadomość, że jego działanie jest już w dużym stopniu „spóźnione” – odchodzą ostatni świadkowie, zanika pamięć, giną dokumenty.

Opolski uczyony przedstawia historię wybranych miejsc. W każdym tomie jest miasto dominujące: opowieść rozpoczyna się od obrazu Lwowa – „stolicy Galicji i Lodomerii”. W drugim tomie został przedstawiony przede wszystkim Truskawiec – „galicyjska Kolchida”. W kolejnym woluminie najważniejszą

rolę pełni „miasto słońca” – Zaleszczyki. W tomie czwartym zgromadzone zostały opowieści o „stolicy Pokucia” – Kołomyi, a w piątym o pełnym ogrodów Samborze i „bramie Gorganów”, czyli Nadwórnej. Obok wymienionych miast przedstawiane są także inne, może mniej znane, ale nie mniej fascynujące. W tomie czwartym zamieszczona została na przykład opowieść o największej wsi II Rzeczypospolitej – Żabiem i losach mieszkających w tej okolicy Hucułów i Polaków. Niezwykle okazują się również dzieje Dobromila – „miasteczka w letargu”.

Historyk koncentruje się nie tylko na dziejach grodów, ale pisze także o tym, czym zasłynęły, co stanowiło ich *genius loci*, a teraz jest częścią kresowej mitologii. Istotną częścią książek Nicieji są opowieści o mieszkańcach. Odnaleźć tu można historie ludzi znanych: naukowców, polityków, artystów, a wśród nich są pisarze: Stanisław Vincenz, Stanisław Lem, Andrzej Kuśniewicz i inni. Ale w *Kresowej Atlantydzie* przedstawiony został również Emil Dworzak – leśnik w Podhorkach pod Kałuszynem czy Kazimierz Kasprzysiak – fryzjer z Sambora, który po wojnie w Opolu zyskał renomę podobną do tej, jaką miał w rodzinnym mieście. Z publikacji wyłania się galeria barwnych osobowości, zbiór anegdot, składających się na sagi rodzinne Kresowiaków. Uwaga, jaką historyk poświęca losom zarówno Polaków, jak i innych mieszkańców, tych którzy wyjechali jako „repatrianci” i tych, którzy pozostali i do dziś mieszkają np. w Stanisławowie obecnie zwanym Iwano-Frankiwskiem, zdaje się nieprzypadkowa. Wyraża się w niej przekonanie, które autor *Kresowej Atlantydy* artykułuje wielokrotnie: „Historię tworzymy wszyscy. Jedni zamykają swe dzieje i dzieła w obrębie swej rodziny, inni w wymiarach swej wsi, miasta czy instytucji, w której pracowali. (...) Wielkiej historii towarzyszy mała. Oprócz dziejów miast i wielkich postaci historycznych związanych z nimi są w niej również historie zwykłych ludzi zatrzymane w anegdocie, w starym zdjęciu, w opowieści późnego wnuka, a także w mitologii rodzinnej”. Dodać można, że jest to wizja historii, w której istotną rolę odgrywa przestrzeń. Nicieja szuka śladów historii w konkretnych miejscach, ale i dostrzega związki z miejscem w losach poszczególnych ludzi. Powstaje topografia historii i topografia biografii.

Na omawiane książki można spojrzeć jako na zapis podróży, która ma zarówno wymiar realny, jak i symboliczny, odbywa się w przestrzeni, ale i w czasie. Historyk wyrusza z Opola na Kresy, by tam szukać śladów przeszłości, a następnie powraca, bo tu – na Opolszczyznę, Dolny i Górny Śląsk prowadzą losy ocalałych z „kresowej Atlantydy”. Wyprawa ma wymiar tragiczny – na przykład,



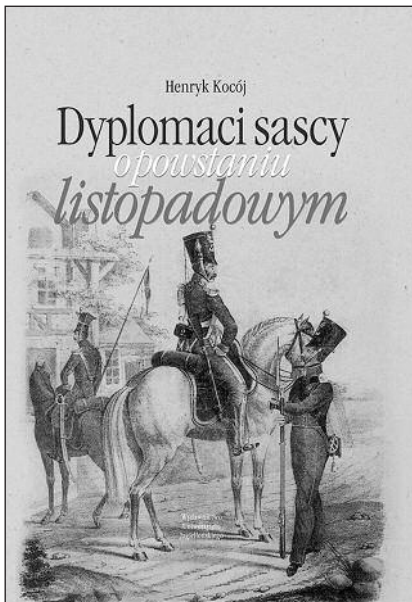
S.S. Nicieja: *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych. T. 1. Lwów, Stanisławów, Tarnopol, Brzeżany, Borysław. Opole 2012, ss. 286*

Z Opola na Kresy i z powrotem

gdy autor pisze o zagładzie Żydów ze Lwowa, Sambora i innych miejscowości. Ale jest także pozytywny wydźwięk podróży – czytając o losach wielu Kresowiaków, trudno nie myśleć o nich z podziwem, gdy mimo wojny, która przekreśliła plany, odebrała często wszystko, potrafili rozpocząć nowe życie i odnosić sukcesy. Przykładów ponownie rozpoczętych biografii jest w książkach Nicieji naprawdę dużo.

Warto wspomnieć również o roli materiału ikonograficznego. Fotografie, reprodukcje tworzą w *Kresowej Atlantydzie* autonomiczną opowieść. Wiele spośród nich pochodzi z rodzinnych archiwów, prywatnych kolekcji. Są to obrazy nieznane i niedostępne, które pozwalają czytelnikom jeszcze bardziej poznać i „zobaczyć” przedstawiane miejsca i czasy.

ELŻBIETA DUTKA



Henryk Kocój: *Dyplomaci sascy o powstaniu listopadowym*. Kraków 2014, ss. 380.

Dyplomaci sascy

Dorobek H. Kocója nie wymaga przypomnienia badaczom, których przestrzeń zainteresowania obejmuje epokę tuż przedrozbiorową i czasy zniewolenia narodowego. Autor już nieraz zaskakiwał środowisko i czytelników rozległością swoich badań w tak zdawałoby się ciasnej przestrzeni. Zainteresowania kierowały go ku dyplomacji europejskiej i jej spojrzeniu na problemy Polaków oraz ich zmagania o utrzymanie lub też odzyskanie niepodległości politycznej i państwowej. Ponadto zajmowała go dyplomacja monarchii Habsburgów i Hohenzollernów oraz ich służby dyplomatyczne, a także czołowi dyplomaci Królestwa Saksonii w dobie polskiego powstania listopadowego.

Zbiorek tytułu publikacji *Dyplomaci sascy o powstaniu listopadowym* sugeruje, iż czytelnik może się spodziewać szerszej charakterystyki saskich dyplomatów. Zwornikiem jest tu osoba J. Minckwitza, ministra spraw zagranicznych Królestwa Saksonii, do którego docierała dyplomatyczna korespondencja. Zainteresowania katowickiego badacza skierowane zostały na zachowaną korespondencję od posłów saskich w Petersburgu

(J.F. Lemaistre'a), w Berlinie (E.K. Watzdorfa), w Wiedniu (E. Uchtritza) oraz w Paryżu (posła Könneritza).

Na zaproponowany układ książki można spojrzeć dwojako. Tytuł sugeruje, iż mamy do czynienia z rozprawą naukową poświęconą stosunkowi dyplomacji monarchii saskiej do problemu powstania listopadowego i wojny Królestwa Polskiego przeciw Imperium Rosyjskiemu w roku 1831. Jednakże po pobieżnym zapoznaniu się z publikacją można się zorientować, że mamy do czynienia z opracowaniem źródłowym, choć bardzo specyficznym.

Część pracy nazwana *Wstępem* liczy 43 strony, a kolejne 40 to przypisy do niej. Jest to pewnego rodzaju analiza korespondencji wspomnianych poselstw z ważniejszych stolic europejskich. W przypisach odnajdujemy obszernie odwołania do poszczególnych kwestii. Całość wywodu opiera się na archiwalnych dreźnieńskich, a tymczasem w pracy nie znajdziemy żadnych odniesień do tego typu źródeł czy też opracowań, co można uznać za poważny błąd. Należy jednak pamiętać, że podjęty temat jest raczej nieznaną, a źródła saskie wręcz porażają wielością materiału badawczego. Zapewne to ogromny walor tej pracy, gdyż rysuje oparty o konkretne źródło wizerunek początków powstania i jego wojennej kontynuacji.

Większość drugiej części pracy to wybór źródeł archiwalnych z *Sächsisches Hauptstaatsarchiv Dresden*. Składa się ona z czterech zbiorów dokumentów wspomnianych poselstw. Co ważne, są one przytoczone w języku oryginału – francuskim oraz niemieckim. Dla szczegółowego poznania sytuacji to wielki plus, ale też dla części czytelników stanowi pewną barierę językową, tym bardziej że mamy do czynienia z formą i budową gramatyczną stosowaną ponad 180 lat temu. Walorem zapisu tej części pracy jest podanie szczegółowego opisu źródłowego pod każdym listem korespondencji poselskiej. Wertując treści depesz, nasuwa się pytanie, jakie szczegółowe instrukcje otrzymywali dyplomaci od ministra Minckwitz'a? W pracy bowiem przedstawiona jest tylko jedna strona medalu, choć zapewne z treści poszczególnych listów da się wyłuszczyć panoramę zainteresowań saskich w materii problematyki dotyczącej sytuacji w Królestwie Polskim i konfliktu z Rosją.

Chronologia wybuchu i pierwszych tygodni powstania oraz późniejszej wojny wpłynęła na zaprezentowaną korespondencję poselstw saskich. Materiał z Petersburga, Berlina i Wiednia zaczyna się jeszcze w grudniu 1830 roku, z Paryża jest przytaczany dopiero od stycznia 1831. Koniec prezentowanych relacji wiąże się z wygaszaniem konfliktu zbrojnego po klęsce powstańczych wojsk polskich. W związku z ujętym w pracy materiałem źródłowym nasuwa się kolejne pytanie: czy kolejność prezentacji, uwzględniając podawaną w opisie poszczególnych

listów numerację, odzwierciedla znajdujący się w nich materiał dotyczący relacji polsko-rosyjskich czy też bardziej jest kwestią doboru autora?

Wstęp Kocója bezpośrednio przedstawia czytelnikowi temat pracy, natomiast praktycznie nie wprowadza do zbioru archiwalnego w odniesieniu do spraw polskich w dreźnieńskiej placówce archiwalnej. Szkoda, bo opis dotyczący materii archiwalnej (dzieje tego zbioru czy ewentualne wcześniejsze jego badania) dodałby całości pracy dodatkowego blasku. Wspomniana numeracja, jaką w spisie treści zamieszczono pod poszczególnymi depeszami, również mogła być wyjaśniona. Uważny czytelnik z pewnością dostrzeże, że dla pracy wielką pomocą byłby indeks nazw geograficznych z transkrypcją na język polski lub współczesną pisownią. W pojedynczych przypadkach zapisy współczesne pojawiają się w treści korespondencji, choć brak wzmianki, czy jest to dopowiedzenie ze strony autora czy zapis oryginalny? Wskazany byłby także indeks osób.

Publikacja od 347 strony aż do końca zawiera jeszcze dodatkowy materiał. Są to odezwy imperatora rosyjskiego Mikołaja I oraz generała Iwana Dybicza (w oryginale marszałka grafa Diebitsch-Sabalkańskiego) kierowane do Polaków i Rosjan w okresie powstania, które publikowano w „Auszug der Neusten Zeitungen” w Rostocku. Niestety w pracy nie znalazł się odpowiedni opis tego typu materiału i wyjaśnienie jego zamieszczenia oraz zastosowanego doboru odezów. Brak również próby wskazania powiązań, poza tematyką powstaniową, prasy z Rostocku z Saksonią.

Należy jeszcze zwrócić uwagę, że podobnie jak w materiale źródłowym z dreźnieńskiego archiwum, szczegóły opisu bibliograficznego dotyczącego cytatów prasowych podano w spisie treści publikacji oraz ponad treścią odezów. Może to nie jest złe rozwiązanie, niemniej jak na wydawnictwo szacownej krakowskiej uczelni wydaje się, że warto było włożyć nieco wysiłku w redakcję całości. Dopracowanie całości narzędzi edytorskich dla materiału źródłowego (indeksy) byłoby swoistą „kropką nad i”. Dotyczy to również szaty graficznej. Korzystnie prezentuje się okładka publikacji z piękną ryciną nawiązującą do epoki. Niestety nie można powiedzieć tego samego o materiale znajdującym się w aneksie publikacji. Nieco lepsza jakość kopii depesz i papieru zastosowanego w tej części książki podniosłaby atrakcyjność całej publikacji.

Konkludując, nauka polska uzyskała niezwykle cenne źródło do kolejnych badań nad oceną sytuacji i międzynarodowego oddźwięku powstania listopadowego i późniejszej regularnej wojny. H. Kocój ponownie dał rzetelnie udokumentowany przykład, że w polskich archiwach można znaleźć wiele nieznanych informacji o polskich zrywach patriotycznych.

MARCIN WIECZOREK

Można ponoć okłamywać wszystkich przez pewien czas, niektórych przez cały czas, ale wszystkich przez cały czas nie można. Kto sądzi inaczej, popełnia ogromny błąd, jak to się zdarzyło kobiecie kilkorga nazwisk – Makryna Mieczysławska, Irina Winczowa czy Julia niewiadomego właściwie nazwiska. Z książki J. Dehnela wynika, że była tylko jedna osoba, której Makryna nie okłamywała – ona sama. Ale i to nie jest całkiem pewne.

Postać Matki Makryny nie jest niezna polonistom, zwłaszcza tym, którzy interesują się romantyzmem. Jednak niewielu badaczy zapuszcza się w mroczny labirynt, w którym ukrywają się mistycy czasów Wielkiej Emigracji. Czy w ogóle warto? Nie jestem pewien, ale niezwykle oryginalna powieść J. Dehnela zdaje się przekonywać, że jednak tak. Po co? Choćby po to, by odkryć chorobliwe oblicze polskiego patriotyzmu, którego objawami są relacje o nieistniejących klasztorach, pełnych na wpół rzeczywistych zakonnic-męczennic, przechodzących przez czyszcenie mąk stworzonych przez wyobraźnię manipulantki i intrygantki.

Kompozycja *Matki Makryny* jest niezwykle nośna, mamy bowiem do czynienia z dwiema równoległymi narracjami. Jedna z nich to relacja Makryny na użytek jej sponsorów, a druga to coś na kształt osobistego wyznania na użytek zupełnie prywatny. Jakże przekonująca jest ta pierwsza. *Chapeau bas* przed sprawnością stylistyczną autora, który odtworzył, czy też skomponował, nieistniejący już język polskich kresów początku dziewiętnastego stulecia, do tego w wersji indywidualnej, niezwykle emocjonalnej, przechodzącej w czułość-kowość. Ale i nad tą czułośćkowością jesteśmy skłonni z należytym pietyzmem się pochylić. Jakżeby inaczej? Wszak mamy do czynienia z męczeństwem nie tylko religijnym, ale i narodowym, a nadto nie jest to męczeństwo walki zbrojnej, ale opór biednych słabych kobiet, przeciwstawiających oprawcy jedynie siłę charakteru i nieugiętą wiarę.

Relacje o cierpieniach, zwłaszcza fizycznych, bazylianek są najeżone takimi okropnościami, że dzisiejsza medycyna przeciera ze zdumienia oczy, jak te kobiety mogły to wytrzymać. Odpowiedź jest prosta: nie mogły. No, ale to były cuda – a więc na kolana, narodzie! I naród padał na kolana. Pierwej na Litwie, a gdy ta zrobiła się zbyt ciasna, w Księstwie Poznańskim, potem w Paryżu i wreszcie w samym Watykanie. Nawet w „chłodnej” Anglii zainteresował się nią Dickens. Wśród tych, co klękali, byli m.in. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, a wreszcie i Norwid. Jedni klękali przelotnie, inni przez czas jakiś pozostawali w tej wdzięcznej pozycji, by w końcu zorientować się, że nawet jeśli w relacjach Makryny jest coś nie tak, to stanowią one znakomity materiał propagandowy, a ponadto skuteczny oręż w rękach emigracyjnych intrygantów, albowiem konkurentami mateczki i jej skromnej ekipy w walce o dusze, ale

i o kasę zżeranych przez nostalgię emigrantów byli zmartwychwstańcy i sam mistrz Towiański.

Druga relacja początkowo także budzi nasze współczucie. Ot, biedna kobieta, skatowana przez męża-pijanicy i okrutny los, czepiła się słomki miotanej przez fale wzburzonego morza, a że słomka i morskie prądy trochę ją poniosły – no cóż... Potem jakoś to wszystko ją przerosło i jakże, biedna kobiecina, miała się z tego wycofać? No jak? Jednak z czasem, kiedy jej specyficzna kariera zaczęła się pięknie rozwijać, bohaterka zaczyna coraz częściej pokazywać język i w ogóle trochę się chyba rozsmakowuje w coraz przemyślniejszych intrygach. Nauczyła się dzielić ludzi na dwie kategorie: tych, którzy są jej przychylni, i paskudnych sceptyków (zdradców narodu i odstępców od wiary – ogólnie szatańskie pomioty), którymi nie tylko gardzi, ale stara się ich zniszczyć, jak to się stało z pewnym zakonnikiem-staruszkiem, któremu „wychodziła” misje w Afryce, z których już nie wrócił. Pomiedzy tymi dwiema kategoriami, znalazła się jeszcze mała niszka dla kogoś jej podobnego – pseudolekarza szantażysty, z którym targuje się jak pospolita przekupka. Jej stosunek do spotykanych poetów jest, delikatnie mówiąc, lekceważący (nie jest w stanie poprawnie powtórzyć nazwiska J. Słowackiego, a Norwid jawi jej się jako szczególnie niesympatyczny). W końcu dociera do niej, że przeszarżowała, m.in. udzielając w obecności kardynałów i biskupów błogosławieństwa w antyszambrach Watykanu, co nie uchodzi nawet męczennicy i cudotwórczyni. Dość groteskowa jest historia uzdrowienia przez nią pewnego francuskiego księdza. Kropkę nad przysłowiowym „i” stawia, usiłując ingerować w politykę zagraniczną papieżstwa. Czeką ją jakiś z łaski dany klasztor w ruinie i życie w odosobnieniu. Uważa, że jak na kogoś takiego jak ona i tak osiągnęła wiele, ale z drugiej strony... No właśnie: włos się jeży na głowie, gdy uświadamiamy sobie, że miała ochotę i szanse, by osiągnąć więcej. W polityce większym mętom od niej to się jednak udawało.

Prababka Nikodemu Dyzmy? Do pewnego stopnia. Ale nie to jest najbardziej niepokojące. Dehnel pokazuje w tej wielopłaszczyznowej książce, iż jedną spośród naszych narodowych wad, jest łatwość z jaką dajemy wiarę doniesieniom o wszelkich podłościach popełnianym przez innych, nawet jeśli logika wskazywałaby na to, iż są to jedynie koniunkturalne konfabulacje. Jednocześnie wiele wskazuje na to, iż duch Matki Makryny nadal się tłucze w naszej zbiorowej jaźni. Warto może wspomnieć, że rezultaty solidnych badań nad działalnością prorokini i cudotwórczyni zaczęły się ukazywać dopiero po roku 1920, a w środowiskach emigracyjnych jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia pojawiały się teksty o charakterze hagiograficznym.

Innym przesłaniem płynącym z tej niezwykle książki jest stwierdzenie płytkości naszego patriotyzm i uwaga, że często



Makryna cierpi za miliony

emocje przesłaniają nam trzeźwe spojrzenie. Ktoś powie, iż w obu przypadkach nie jesteśmy wyjątkiem wśród narodów. Zgoda. Ale nadal potrafimy zbliżyć się do poziomu mistrzowskiego.

Na koniec inne pytanie: w jakim stopniu w takim razie wiarygodna jest powieść J. Dehnela? W krótkim posłowniu *Od autora* czytamy m.in.: „...Makryna powinna istnieć dla historyka «cierpień polskich» tyleż, co męczennicy z kanonu religijnego i narodowego. Jakkolwiek duża część tej powieści powstała na podstawie tekstów źródłowych, należy pamiętać, że były one tylko materiałem, mierzwą, a zbudowana z nich rekonstrukcja ani nie jest tekstem naukowym, ani też nie rości sobie pretensji do powiedzenia «prawdy» o Makrynie; to tekst literacki, nie historyczny”. I jako taki z wielką satysfakcją polecam! W moim odczuciu jest jedną z najbardziej godnych uwagi pozycji prozatorskich wydanych w roku ubiegłym. A kto będzie chciał Matkę Makrynę oglądać oczyma „wyznawcy” ...w końcu jego rzecz.

WITOLD TURANT

Rozwój technologii cyfrowych, postępująca informatyzacja społeczeństwa mają znaczący wpływ na działalność współczesnych bibliotek. Problemy związane z ich codzienną pracą skłaniają do wymiany poglądów i dzielenia się doświadczeniami, a także do stałego doskonalenia zawodowego.

Inicjatywą uwzględniającą potrzeby pracowników bibliotek jest organizowane przez Miejską i Powiatową Bibliotekę Publiczną w Będzinie Forum Bibliotekarzy Samorządowych Powiatu Będzińskiego. Przedsięwzięcie – zrealizowane po raz pierwszy w 2005 roku – od 10 lat wspiera proces doskonalenia zawodowego bibliotekarza, wskazując standardy obsługi informacyjnej i nowe sposoby komunikacji z czytelnikami. Przez lata będzińska biblioteka podejmowała działania wzmacniające interpersonalne i merytoryczne kompetencje bibliotekarzy, przede wszystkim w zarządzaniu, współpracy ze społecznością lokalną oraz budowaniu wizerunku i zdolności koalicyjnych. Organizatorów wspomagali eksperci: przedstawiciele instytucji naukowych, bibliotekarze, animatorzy i badacze kultury, którzy współczesną bibliotekę postrzegają jako centrum naukowe posiadające bogate zaplecze edukacyjno-informacyjne, stymulujące rozwój intelektualny, kulturalny i społeczny użytkowników. Wymiana doświadczeń i poglądów możliwa była dzięki uczestnictwu pracowników różnych typów bibliotek: publicznych, pedagogicznych, szkolnych i parafialnych, którzy muszą sprostać oczekiwaniom odbiorców, nieustannie poszukując nowych metod pracy z czytelnikiem.

Pierwsze Forum Bibliotekarzy Samorządowych Powiatu Będzińskiego zorganizowane zostało pod hasłem „Biblioteka – Informacja – Komunikacja”. Gośćmi spotkania były dr hab. Anna Tokarska z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, która wygłosiła referat *Biblioteki w procesie komunikacji społecznej XXI wieku* oraz Elżbieta Bacia z Powiatowej Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej, mówiąca o szeroko rozumianych procesach komunikacyjnych. Rok później Forum zostało poświęcone zagadnieniom „Bibliotek XXI wieku”. W 2007 roku wspólnie z dr. Zdzisławem Gębołym z Instytutu Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach uczestnicy dyskutowali m.in.

na temat *etyki zawodowej bibliotekarza we współczesnym świecie*. Będzińskim bibliotekarzom nieobce są blogi, portale i komunikatory, będące elementami nowych koncepcji pracy bibliotek, zaprezentowane podczas czwartego Forum. Anna Janus z wrocławskiej Mediateki przedstawiła zasady funkcjonowania jednej z największych i najnowocześniejszych multimedialnych bibliotek. O Śląskiej Bibliotece Cyfrowej, jej organizacji i sposobach współpracy mówił Remigiusz Lis z Biblioteki Śląskiej w Katowicach, a Agnieszka Koszowska podzieliła się z uczestnikami spotkania wiedzą na temat możliwości, jakie stwarza interaktywny Internet (Web 2.0).

O *modelu bibliotek publicznych, ich funkcji i zadaniach*, obejmujących m.in. pełnienie roli centrów kultury i ośrodków zdobywania wiedzy, mówiono podczas Forum w 2009 roku. Do współpracy w jego zorganizowaniu MiPBP w Będzinie zaprosiła stowarzyszenia i organizacje pozarządowe, których przedstawiciele podkreślali znaczenie bibliotek pomagających w realizacji wielu przedsięwzięć. W 2010 roku podczas trwającego dwa dni seminarium Wojciech Kowalewski z Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Krakowie zaprezentował *wizję komputeryzacji bibliotek*

w powiecie będzińskim, a w Teatrze Dzieci Zagłębia odbyła się gala „X lat Biblioteki Powiatowej”, w czasie której Sławomir Lubas z będzińskiej księgarni przedstawił raport o *standardach pracy bibliotek samorządowych powiatu będzińskiego*. Wyróżniającym się bibliotekarzem starosta będziński wręczył laury Bibliotekarza Roku Powiatu Będzińskiego.

Następny rok przyniósł dyskusję na temat procesów komputeryzacji i nowych źródeł informacji. O *przeźrzeni informacyjnej bibliotek* mówił dr Jarosław Pacek z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, a telekonferencja internetowa – zorganizowana z przedstawicielami zaprzyjaźnionego Fife Migrants Forum ze Szkocji – była świadectwem otwartości będzińskiej placówki na nowe wyzwania.

Seminaria w kolejnych latach zostały poświęcone zagadnieniom związanym z infrastrukturą kultury. O tym, *dlaczego warto inwestować w kulturę*, w 2013 roku mówił Sebastian Waciga z Małopolskiego Instytutu Kultury, a Mariola Talewicz z Galerii

Książki Miejskiej Biblioteki Publicznej w Oświęcimiu przedstawiła wizję bibliotek XXI wieku.

Z okazji jubileuszu 10-lecia organizacji Forum będzińska księgarnia w 2014 roku postanowiła pokazać współczesną bibliotekę jako ważne miejsce publiczne funkcjonujące w oparciu o idee dzielenia się i swobodnego udostępniania swoich zasobów. Gościem spotkania był dr Łukasz Hajduk z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, który mówił o bibliotece w czasoprzestrzeni miasta oraz Tomasz Zięba z Centrum Informacji Naukowej i Biblioteki Akademickiej w Katowicach. Została przedstawiona prezentacja Biblioteka – centrum usług społecznych przygotowana przez MiPBP w Będzinie.

Forum Bibliotekarzy Samorządowych Powiatu Będzińskiego jest doskonałą okazją do wymiany doświadczeń, pomysłów oraz prezentowania wizji bibliotekarstwa i jego miejsca we współczesnym świecie. Spotkania integrują bibliotekarzy, a także umożliwiają im prezentację własnych osiągnięć i metod pracy.

BEATA WARDEGA
kierownik Działu Promocji MiPBP
w Będzinie



VI Forum Bibliotekarzy Samorządowych Powiatu Będzińskiego (16–17 IX 2010)

10 lat Forum Bibliotekarzy Samorządowych
Powiatu Będzińskiego

Biblioteka otwarta na zmiany

Fot. z archiwum MiPBP w Będzinie



X Forum Bibliotekarzy Samorządowych Powiatu Będzińskiego (13 XI 2014).



Gala „X lat Biblioteki Powiatowej” była okazją do nagrodzenia szczególnie aktywnych bibliotekarzy (17 IX 2010).

11 kwietnia wystąpił w Sali Kameralnej NOSPR zespół Kwadrofonik, który od kilku lat podbija polską i zagraniczną publiczność grając utwory oryginalnie skomponowane, bądź własnoręcznie zaaranżowane na dwa fortepiany i perkusję – taki jest bowiem skład zespołu. Gra w nim duet pianistów: Emilia Sitarz i Bartłomiej Wąsik oraz dwoje perkusistów: Magdalena Kordylasińska i Miłosz Pękala. Młodzi muzycy mają w dorobku występy w najlepszych światowych salach, nagrane płyty; w bieżącym roku zostali uhonorowani Paszportem Polityki. Nic więc dziwnego, że na ich niedzielnym występie w ramach cyklu Recitale Mistrzowskie zjawiał się komplet publiczności, mimo – że jak podслуchałam – obok w Spodku odbywał się równocześnie ważny mecz, bodajże tenisowy. Kwadrofonik tworzy aranżacje na pograniczu muzyki klasycznej i popularnej, bliski jest mu nurt folkowy, ale nie stroni od wyrafinowanego repertuaru XX-wiecznego.

Na program katowickiego występu złożyły się autorskie opracowania dwóch baletów: *Harnasie* Szymanowskiego i *Święto wiosny* Strawińskiego, które znajdują się na kolejnej płycie Kwadrofoniku. Zwłaszcza drugi utwór sprawdził się w wersji fortepianowo-perkusyjnej – nie utracił nic ze swej „dzikości” i „prymitywizmu”, a zyskał jeszcze na błyskotliwej wirtuozerii. Podobało się również publiczności opracowanie *Wariacji według Paganiniego* Witolda Lutosławskiego, które zabrzmiało jako „przerwywnik” między baletami. Partię perkusji dokomponowała do *Wariacji...* wybitna polska kompozytorka perkusistka Marta Ptaszyńska. Na bis zagrali artyści fragment Ravelowskiej suity *Ma mer l'Ois*, udowadniając, że potrafią się wczuć w subtelny klimat bajkowy równie dobrze, jak w orgiastyczną rytmikę Strawińskiego.

VI Festiwal Prawykonania

Tydzień później (17 kwietnia) rozpoczął się w NOSPR trzydniowy Festiwal Prawykonania „Polska Muzyka Najnowsza”. Już po raz szósty Narodowa Orkiestra oraz czelowe śląskie zespoły: Zespół Śpiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia”, Orkiestra Kameralna miasta Tychy „Aukso”, Orkiestra Muzyki Nowej i Kwartet Śląski prezentowały z udziałem znakomych dyrygentów (Alexander Humala, Jose Maria Florencio, Marek Moś, Anna Szostak, Szymon Bywalec) i solistów (m.in. trębacz Marco Blaauw, skrzypek Szymon Krzeszowiec, wiolonczeliści Tomasz Strahl i Magdalena Bojanowicz, kontrabasista Dario Calderone, klarnet-



cista Bartosz Pacan, pianiści Marcin Koziak i Piotr Sałajczyk, akordeoniści Maciej Frąckiewicz i Marek Andrysek, śpiewaczka Lidia Jovanović) nowe (bądź pierwszy raz wykonywane w kraju) utwory polskich kompozytorów. Było ich aż 28, reprezentujących różne kierunki, od postmodernizmu i postawangardy do neo-neoklasycyzmu i różnych innych odmian konserwatywności.

Nie zawiedli mistrzowie: utwór Krzysztofa Meyera *Muzyka światła i półcienia* op. 118 frapował niezwykle wyszukaną grą brzmień, układającą się w pięknie zakomponowany fresk dźwiękowy. Zbigniew Bargielski przedstawił *Hierofanię 2*, hojnie sięgającą po brzmienia perkusyjne i zestawiającą je w czytelne warstwy. *Monadologia* na kwartet smyczkowy Rafała Augustyna okazała się atrakcyjnie napisanym zbiorem miniatur nawiązujących do barokowej idei ksiąg, czy też „ogrodów” muzycznych. *III Koncert na trąbkę i orkiestrę* Hanny Kulenty przyniósł słuchaczom możliwość (zaprojektowaną przez kompozytorkę) przebywania w „spirali czasu”, a przede wszystkim upewnił o jej talentcie do przemyślnego dekonstruowania znanych motywów i brzmień.

Wśród utworów napisanych przez młodszych twórców zapamiętałam przede wszystkim *Muqarnyas* PRA-SQUALA, świetnie napisaną muzykę na sześć grup instrumentalnych rozmieszczonych przestrzennie, a dalej – *erschallen* (co znaczy: „rozbrzmiewać”) Andrzeja Kwiecińskiego na kontrabas i orkiestrę – utwór rozgrywający się na granicy dźwięku i ciszy, pełen intrygujących efektów i frapujący pod względem dramaturgicznym. Do tej samej kategorii dźwięko-ciszy należało *Sfex* na akordeon i wiolonczelę Jana Duszyńskiego – dla odmiany statyczne, wręcz prowokujące brakiem „energii kinetycznej”, jak by się wyraził stary Kurth. Z utworów energicznych podo-

bała mi się zabawna *Mechanofaktura* Artura Zagajewskiego, w której autor „przełożył” na dźwięki (konkretnie – motoryczne ciągi brzmień perkusyjnych) zasadę konstrukcjonizmu malarstwa oraz *Kwintet na klarnet i kwartet smyczkowy* najmłodszej uczestniczki festiwalu Joanny Szymali (ubiegłorocznej absolwentki katowickiej Akademii Muzycznej), ujmujący tym, co niegdyś nazywano „zdrowiem”, czyli naturalnością inwencji i narracji.

Festiwal, który reprezentował ogólnie bardzo wysoki poziom kompozytorski i wykonawczy, obserwowało wielu twórców, krytyków muzycznych oraz liczna publiczność.

Recital Pawła Wakarecego

Przedostatnią kwietniową *Środę Młodych* w NOSPR (21 kwietnia) wypełnił recital Pawła Wakarecego, współorganizowany przez Instytucję „Silesia”. Pianista – finalista ostatniego Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. F. Chopina, obecnie koncertujący w świecie wirtuoz i pedagoga Akademii Muzycznej w Bydgoszczy, zaprezentował *Karnawał* op. 9 Schumanna oraz szereg utworów Chopina. Interpretację *Karnawału* cechował rozmach i różnorodność emocji: od subtelnej liryzmu we fragmentach *Karnawału* takich jak *Chiarina* czy *Aveu*, poprzez żartobliwość (perfekcyjnie zagrane *Reconnnaissance* oraz *Pantalon et Colombine*) do romantycznego wybuchu (*Chopin*). Dobór utworów Chopina w drugiej części recitalu ujawniał podobną intencję – osiągnięcia skrajnie różnorodnych odcieni muzycznej ekspresji. Część tę rozpoczęło wykonanie *Nokturnu Es-dur* op. 55 nr 2, ukazujące utwór w wysubtelnionej, wręcz onirycznej szacie dźwiękowej. Następnie słuchaliśmy *4 Mazurków* op. 24, potraktowanych przez pianistę jako cztery sugestywne, „narysowane” giętką kreską obrazy: „rzewny” (g-moll nr 1), „skoczny” (C-dur), „wesoły” (As-dur) i „namiętny” (b-moll). Nastrój ostatniego z mazurków przedłużyło wykonanie *Preludium cis moll* op. 28 nr 2 oraz *Nokturnu e-moll* op. 72 nr 2. Na koniec usłyszeliśmy porywającą interpretację *Poloneza fis-moll* op. 44. Zagrał go Paweł Wakarecy z ogromnym zaangażowaniem, w świetnych tempach, ale czysto i zachowaniem precyzji wykonania szczegółów, co uchroniło go od popadnięcia w fanatyzm, często spotykany u pianistów niedostatecznie rozumiejących Chopina i dających się jego polonezom „porwać”. Zachwycona publiczność wyprosiła od artysty dwa bisy: usłyszeliśmy jeszcze *Walc cis-moll* op. 64 nr 2 oraz *Mazurek B-dur* op. 7 nr 1.

Muzeum Archidiecezjalne w nowej odsłonie

Mieszczące się od ponad trzydziestu lat przy ulicy Wita Stwosza w Katowicach Muzeum Archidiecezjalne od 20 maja tego roku prezentować będzie nowe otwarcie stałej ekspozycji poświęconej dawnej i nowej sztuce sakralnej.

Wielce zasłużone dla Śląska muzeum wraz ze swą Galerią Sztuki Współczesnej „Fra Angelico” stanowią ważny punkt na mapie dziedzictwa kulturowego regionu. Przez te lata dokonywało się tu wiele niezwykle ważnych wydarzeń artystycznych, których uczestnikami byli najznakomitsi śląscy artyści. Zwłaszcza lata 80. minionego wieku były „złotym okresem” galerii, kiedy to swoje przemyślenia na temat wartości prezentowali niepokorni wówczas malarze, graficy, rzeźbiarze czy twórcy plakatów. Z kolei w salach muzealnych królowała śląska rzeźba gotycka – urokliwa, niepowtarzalna. Dodatkowym akcentem muzealnych wnętrz były koncerty organizowane tu od lat przez niestrudzoną w upowszechnianiu i promocji muzyki Instytucję „Silesia”. Wraz z nowym otwarciem zagości tu ponownie. Już zapowiadany jest koncert inauguracyjny cykl muzycznych wieczorów z udziałem znakomitych klawesynistki Elżbiety Stefańskiej i Mariko Kato oraz grającej na skrzypcach barokowych Agaty Sapiechy. Koncerty wypełnią utwory von Bibera, Jana Sebastiana Bacha, Scarlattiego, Mozarta i wielu innych kompozytorów.

Dyrektor Muzeum Archidiecezjalnego ks. dr Leszek Makówka mówi, że dzięki nowej aranżacji wystaw stałych zaistnieje możliwość prezentacji kolekcji sztuki współczesnej: sztuki sakralnej, grafiki i plakatu religijnego. – Chcemy pokazać inne oblicze śląskiego mikrokosmosu, ponad wszelką wątpliwość kojarzącego się w Polsce z przemysłem i ciężką pracą. Właśnie w tym miejscu powstały niezwykle świadectwa wiary oraz poszukiwań świata przekraczającego zwykłe doświadczenie.

Z kolei kustosz czekającej na otwarcie wystawy Małgorzata Mehlich tak komentuje ekspozycję stałą: – Najciekawszą część nowej ekspozycji stanowi dotychczas nieprezentowane nowożytne malarstwo europejskie, będące częścią kolekcji bl. ks. Emila Szramka. Wśród nich miejsce na wystawie znalazły takie obrazy jak powstały w XVI wieku w Wenecji obraz „Święta rodzina ze św. Lucją” czy obraz autorstwa Jana Breughel’a Aksamitnego pt. „Odpoczynek Świętej Rodziny”. Szczególną ozdobą jest datowany na 1515 rok rysunek – projekt do arrasu Przekazanie kluczy św. Piotrowi autorstwa Rafaela Santi”.

Z niecierpliwością zatem oczekujemy nowego otwarcia Muzeum Archidiecezjalnego – niezmiennie istniejącego pod tym samym adresem.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Pod patronatem „Śląska”

Tychy. Sztuka w przestrzeni miasta

Tychy. Sztuka w przestrzeni miasta to tytuł wystawy w Muzeum Miejskim w Tychach, którą od 16 maja można oglądać w Dawnej Młótowni (ul. Katowicka 9).

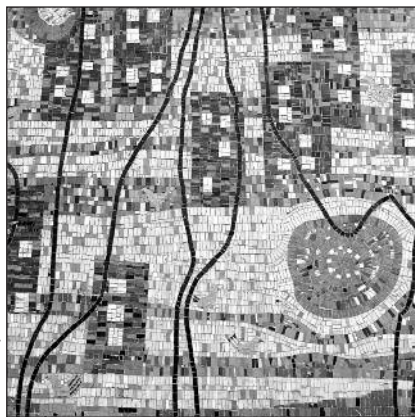
W czerwcu ukaże się także obszerna publikacja autorstwa Patryka Oczkio pod tym samym tytułem.

Wystawa oraz książka stanowią podsumowanie intensywnych badań dotyczących sztuki w przestrzeni miejskiej Tychów, prowadzonych przez Muzeum. Przedsięwzięcie stanowi pierwsze tak wnikliwe i dogłębne ujęcie tematu.

Wystawa przedstawia różnorodne przejawy sztuki, współtworzące krajobraz Tychów na przestrzeni kilku ostatnich dziesięcioleci. Począwszy od pomników powstałych z okresu 20-lecia międzywojennego XX wieku, aż po czas obecny. Jest to swoista wędrówka poprzez zmieniające się kierunki i style w sztuce, a jednocześnie realia społeczne i polityczne.

Na ekspozycji zaprezentowane zostały projekty oraz dokumentacja fotograficzna dzieł z zakresu rzeźby, malarstwa monumentalnego oraz małej architektury – zarówno tych istniejących, jak i nie przetrwałych do dnia dzisiejszego. Można zapoznać się ze wstępnymi koncepcjami oraz realizacjami takich artystów jak, m.in.: Augustyn Dyrda, Stefan Borzęcki, Antoni Hajdecki, Jerzy Nowakowski, Józef Sękowski, Tomasz Wenklar, Franciszek Wylezuch, Anna Szpakowska-Kujawska i Ewa Surowiec-Butrym.

W przestrzeni ekspozycyjnej są również prezentowane trzy materiały filmowe zrealizowane specjalnie na potrzeby wystawy. Są to wypowiedzi Augustyna Dyrdy, Andrzeja Czyżewskiego oraz Tomasza Wenklara na temat sztuki w przestrzeni miejskiej Tychów.



Mozaika na budynku Teatru Małego w Tychach. Projekt: Janusz Włodarczyk. Realizacja: Janusz Włodarczyk i Franciszek Wylezuch, 1964

Jednym zdaniem

■ Otwarty plener fotograficzno – teatralny, działania happeningowe oraz czytanie performatywne fragmentów dzienników autorstwa Tadeusza Kantora to działania przygotowane przez Centrum Scenografii Polskiej Oddział Muzeum Śląskiego w ramach obchodów setnej rocznicy urodzin artysty.

■ Kawiarenka Kulturalno-Literacka Biblioteki Śląskiej zaprasza na inauguracyjne spotkanie z Arkadiuszem Ławryńcikiem, fotoreporterem „Dziennika Zachodniego” i współpracownikiem miesięcznika „Śląsk” w ramach cyklu „Wywiady Zbigniewa Kuca”.

Wystawie towarzyszy szereg ciekawych spotkań. Wśród nich są spotkania poświęcone zagadnieniom sztuki w przestrzeni miasta z udziałem uznanych artystów, architektów, historyków sztuki: prof. Ewy Chojeckiej, dr hab. Irmy Koziny, dr Marii Lipok-Bierwaczonki, prof. Józefa Sękowskiego, prof. Jerzego Nowakowskiego, Łukasza Łyducha, Mariusza Chodorka, Tomasza Wenklara, Stanisława Rukszy, Marty Frej, Tomasza Kosińskiego, Marcina Gołębiewskiego, Adama Mazura.

COŚ na polską nutę

Z okazji jubileuszu 70-lecia Opery Śląskiej, 8 czerwca br., zaprezentowany będzie inscenizowany koncert z polską muzyką chórąlną a cappella, na który złożą się kompozycje wielkich muzyków – kompozytorów polskich – począwszy od renesansu aż po kompozycje współczesne. W programie koncertu usłyszeć będzie można m.in. piękne polskie madrygaly o tematyce miłosnej oraz



wzorowaną na słynnej „La Guerre” Clementa Janequina „Pieśń Rokoszan Zebzydowskiego”; utwory lub opracowania najwybitniejszych kompozytorów polskich: Karola Szymanowskiego, Stanisława Wiechowicza, Kazimierza Serockiego, Feliksa Nowowiejskiego, Jana i Tadeusza Maklakiewiczów, Krzysztofa Pendereckiego, Andrzeja Koszewskiego, w tym wybitnych kompozytorów związanych z Ziemią Śląską: Henryka Mikołaja Góreckiego, Józefa Świdra, Witolda Szalonka. W programie koncertu znajdują się również opracowania utworów ludowych lub kompozycje inspirowane folklorem – suity pieśni kurpiowskich, Suię Orawską lub inspirowane pieśniami na Noc Św. Jana sobótkowe śpiewki; zabrzmią też opracowania na chór pieśni Fryderyka Chopina, kompozycje do tekstów Adama Mickiewicza, Juliana Tuwima, Emila Zegadłowicza, Wincentego Pola i innych, przeboje inspirowane piosenkami z lat dwudziestych w opracowaniu Włodzimierza Sztołtysika czy piosenki z Kabaretu Starszych Panów w opracowaniu Andrzeja Borzysy.

Małgorzata Lazarek w galerii „Ateneum”

„Świeżo malowane” to tytuł wystawy malarstwa Małgorzaty Lazarek, na którą zapraszał Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum”

Małgorzata Lazarek ukończyła studia na katowickim Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w 1987 roku, uzyskując dyplom w pracowni projektowania graficznego prof. Tomasza Jury oraz – dodatkowy, nagrodzony medalem – w pracowni malarstwa prof. Jacka Rykały.

Pracowała w liceum plastycznym, była grafiką w „Super Expressie”, publikowała m.in. na łamach „Gazety Wyborczej”, „Newsweeka” i „Twojego Stylu”. Uprawia grafikę projektową, malarstwo, ilustrację i rysunek. Wychowana na „Szpilkach” i „Przekroju” upodobała sobie szczególnie rysunek satyryczny.



Małgorzata Lazarek, „Halda”

Ma za sobą wiele wystaw indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą (w galeriach i muzeach francuskich, belgijskich, niemieckich czy węgierskich); jej prace podziwiać można w kolekcjach na całym świecie. Zdobyła wiele nagród i wyróżnień, również za prace malarskie (np. Grand Prix w konkursie katowickiego Okręgu ZPAP „Praca Roku 2009”), ale to ambitny żart i satyra, inspirowane często kultowym już „Humorem zeszytów szkolnych”, drukowanym we wspomnianym „Przekroju” przyniosły artystce chyba najwięcej sukcesów. Zaczęło się od nagrody głównej w Ogólnopolskim Biennale Rysunku Studenckiego w Katowicach. Od lat związana z Międzynarodową Wystawą „Satyrykon” w Legnicy była jej laureatką 13 razy, w roku 2013 otrzymała Grand Prix.

W Galerii Ateneum artystka pokazała trochę starych i trochę nowych – „świeżo malowanych” obrazów.

Plakaty Starczewskiego

Galeria ArtNova2 ZPAP w Katowicach prezentowała wystawę plakatów Artura Starczewskiego (1935-2010).

Artysta studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie na Wydziale Grafiki w Katowicach. Dyplom z wyróżnieniem otrzymał w 1966 r. Od 1973 r. związany z Wydziałem Pedagogiczno-Artystycznym Uniwersytetu Śląskiego, kierownik Zakładu Wiedzy Wizualnej, Formowania Otoczenia i Grafiki. Profesor. Przez wiele lat kierował Katedrą Projektowania Graficznego w Instytucie Sztuki na cieszyńskim Wydziale Artystycznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Prezentował swoje grafiki i plakaty na ponad 120 wystawach indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą. Laureat licznych nagród i wyróżnień. Członek polskich i międzynarodowych stowarzyszeń arty-



stycznych i naukowych. Zajmował się wiedzą wizualną będącą podstawą systematyzowania języka różnych dziedzin działań artystycznych.

O Nagrodę Scenograficzną im. Jerzego Moskala

Centrum Scenografii Polskiej Oddział Muzeum Śląskiego w Katowicach zaprasza scenografów i kostiumologów do udziału w konkursie o Nagrodę Scenograficzną im. Jerzego Moskala. Najlepsze prace zostaną zaprezentowane na ekspozycji towarzyszącej Festiwalowi Nowej Scenografii we wrześniu 2015 roku, a na zwycięzcę czeka nagroda pieniężna oraz możliwość nawiązania współpracy z zawodowymi scenami.

W konkursie mogą uczestniczyć licencjaci i dyplomanci wyższych uczelni artystycznych w dziedzinie scenografii teatralnej, filmowej i kostiumu z lat 2014-2015. W odrębnej kategorii zostaną przyznane również nagrody za scenografie zrealizowane w latach 2010-2015. Prace, które spełnią wymagania konkursowe oraz zdobędą uznanie jury, zostaną pokazane na wystawie „Wymiary scenografii” w przestrzeniach siedziby Muzeum Śląskiego w Katowicach przy ul. T. Dobrowolskiego 1.

Zwycięzca konkursu oprócz nagrody pieniężnej ma szansę rozpocząć współpracę z profesjonalnymi teatrami.

Projekty do zaprezentowania na wystawie wraz z wypełnioną kartą zgłoszenia należy przesyłać drogą elektroniczną do 15 czerwca 2015 roku na adres konkurs@scenografia-polska.pl.

Malarstwo Beaty Wąsowskiej

W Galerii Miejskiego Domu Kultury w Mikołowie można oglądać malarstwo Beaty Wąsowskiej. Wyróżniająca się kolorem twórczość jest próbą pokazania pozytywnych stron otaczającego nas świata. Napawające optymizmem obrazy zawsze przyciągają uwagę wielu miłośników sztuki.



Beata Wąsowska, *W aureoli butelki*

Beata Wąsowska studiowała w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, na Wydziale Grafiki w Katowicach, w pracowniach malarstwa: profesora Jerzego Dudy-Gracza oraz profesora Macieja Bieniasza oraz projektowania graficznego książki w pracowni profesora Adama Romaniuka. Dyplom uzyskała w 1985. W 1986 roku była stypendystką Ministra Kultury i Sztuki. Uprawia malarstwo.

Zrealizowała ponad 50 wystaw indywidualnych. Uczestniczyła w blisko 70 prezentacjach w wystawach zbiorowych w kraju i zagranicą. Była gościem krajowych i międzynarodowych plenerów malarskich. Jest darczyńcą wielu fundacji i aukcji malarstwa m.in.: Aukcja Polskiej Sztuki w Nowym Yorku, „Godula Hope”, „Bliźniemu swemu...”. Według jej pomysłu realizowany jest projekt artystyczny Akcja Sztuki oraz projektu Zielona Oś 2.0.

Jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków. Jej prace znajdują się w zbiorach instytucji, muzeów oraz osób prywatnych w kraju i zagranicą.

Pamięci Wilhelma Blandowskiego

Jeden z najbardziej oryginalnych obywateli w historii Gliwic: górnik, rewolucjonista, podróżnik i badacz historii naturalnej Australii, fotograf – niespokojny duchem Wilhelm von Blandow-

ski, 161 lat temu, 18 kwietnia 1854 roku, po długotrwałych staraniach zainaugurował działalność Muzeum Historii Naturalnej w Melbourne, obejmując stanowisko jego pierwszego kuratora i organizatora wypraw badawczych. Owa instytucja, ufundowana przez rząd stanu Wiktorii, trwa do dnia dzisiejszego, świadcząc niezbicie, że wysiłki podjęte przez przybyłego z Gliwic na Antypody Blan-



Tablica upamiętniająca Wilhelma von-Blandowskiego

dowskiego miały sens, a ich rezultaty są rozwijane przez kolejne pokolenia naturalistów badających piątą kontynent.

Muzeum w Gliwicach ufundowało tablicę pamięci von Blandowskiego, która została odsłonięta na kamienicy przy ulicy Bankowej 4, w której w latach 1860-1873 von Blandowski mieszkał i prowadził fotograficzne atelier. Projekt tablicy Muzeum powierzyło Krzysztofowi Nitschowi – rzeźbiarzowi, profesorowi Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Pod znakiem romantyzmu i wirtuozerii

W programach muzycznych koncertów organizowanych w kwietniu przez Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” znalazły się pozycje z kręgu romantyzmu i romantycznej wirtuozerii. Ta arcydziełowa epoka muzyczna, charakteryzująca się niezwykłą uczuciowością, emocjonalizmem czy brawurową, kunsztowną grą lub śpiewem, była reprezentowana przez kompozycje mistrzów tamtych czasów m.in. Ferencza Liszta, Fryderyka Chopina, Niccolò Paganiniego, Roberta Schumanna, Franz Schuberta.

Koncerty odbywały się w studiu koncertowym Polskiego Radia, gdzie wystąpiła Ewa Biegas wraz z klarnecistą Romanem Widaszkim i pianistą Grzegorzem Biegasem. Wystąpił także w ramach cyklu „Mamo, tato chodźmy na koncert!” – Małgorzata Wojciechowska na skrzypcach, Malwina Wyborska na altówce, Piotr Gach na wiolonczeli i Marek Romanowski na kontrabasie. Cykl ten dofinansowało Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a Honorowy Patronat objął Prezydent Miasta Katowice.

W sali Parnassos Biblioteki Śląskiej zaprezentowali się Voytek Proniewicz (skrzypce) oraz Wojciech Waleczek (fortepian). Natomiast w MDK „Koszutka” zabrzmiało akordeonowe *Symetrio*, a w sali kameralnej NOSPR wystąpił laureat ostatniej edycji Konkursu Chopinowskiego – Paweł Wakarecy.

■ Na spotkanie z fotografią „Wokół Wielkanocy” autorstwa Antoniego Kreisla, Arkadiusza Ławrywnia, Marcina Górskiego i Józefa Wolnego zaprasza oddział Śląski Związku Polskich Artystów Fotografików.

■ Muzeum w Chorzowie zaprasza na spotkanie z cyklem „Granice historii – Historia bez granic”, podczas którego wykład *Pierrot. O nieugaszonym pragnieniu miłości* poprowadził dr Jacek Kurek.

■ W Galerii Za Szyby Miejskiego Domu Kultury „Dąb” w Katowicach odbyła się wystawa fotografii Antoniego Kreisla pt. „Pejzaż bezpośredni. Opowieści camery obscura”.

■ „Elżbietański Londyn” – minispektakl poetycki z wierszami Witolda Turanta w interpretacji Katarzyny Pojdy był prezentowany w katowickiej kawiarni „O’jo!”

■ Miejski Dom Kultury „Południe” w Katowicach zaprasza na wystawę grafik Joanny Piech.

■ W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Rudzie Śląskiej – Wirku odbyła się promocja książki Barbary i Adama Podgórskich pt. „Patroni leśnych ostępów” o świętych patronach leśnictwa i myślistwa

■ Parafia ewangelicka w Katowicach zaprasza na nabożeństwo z okazji inauguracji IV Ekumenicznego Tygodnia Biblii oraz Sympozjum Biblijne, któ-

re odbyło się w auli „Parnassos” Biblioteki Śląskiej, w czasie którego zostały wygłoszone wykłady: prof. dr hab. Andrzeja Kluczyńskiego „Ekstremalna demokracja według księgi Jeremiasza” oraz „Gościnność realizacja Bożego nakazu” ks. dr. Macieja Basiuka.

■ Jakie tajemnice skrywał nieistniejący już Mały Wersal? Gdzie mieścił się pałac Paulinum? Jak historia się wiąże z wizerunkami hrabiny Ingi Hohmann? Odpowiedzi na te oraz wiele innych pytań szukano podczas spotkania z autorami monografii „Zamki i pałace Śląska. Dziedzictwo – tożsamość – arystokracja” w Bibliotece Muzeum Śląskiego w Katowicach.

Zamiast idiotów

Stanisław Lem wyznał kiedyś, że dopóki nie korzystał z Internetu, nie wiedział, że na świecie jest tylu idiotów. Parafrazując słowa wielkiego mistrza literatury, można zauważyć, że dopóki nie było Krakowskiego Salonu Poezji Anny Dymnej, nikt nie miał pojęcia, że w Czechowicach-Dziedzicach jest tylu miłośników poezji.

Podczas jubileuszu dziesięciolecia Krakowskiego Salonu Poezji w Miejskim Domu Kultury w Czechowicach-Dziedzicach 13 marca br., aby wysłuchać wierszy Wisławy Szymborskiej w interpretacji Anny Dymnej i Rafała Sawickiego, przybyło około 350 osób. Sala kina „Świt” wypełniła się niemal do ostatniego miejsca. Co prawda zjawili się także ludzie z Bielska-Białej, Tychów, Pszczyzny i okolicy, ale większość stanowiły mieszkańcy grodu nad Wisłą. Przybyli nie tylko, aby przeżyć piękno słów ostatniej polskiej noblistki. Część widzów popatygowała się zapewne z sympatii dla założycielki Krakowskiego Salonu Poezji, zwłaszcza że podczas trwania jubileuszowej imprezy można było kupić po promocyjnej cenie książkę Elżbiety Baniewicz pt. „Dymna”.

Anna Dymna i Rafał Sawicki w czasie interpretacji tekstów podkreślali dyskursywny i dialogowy charakter poezji Wisławy Szymborskiej, szczególnie dłuższych form, takich jak poemat „Rozmowa z kamieniem”. W antraktach muzycznych wystąpił pianista Jerzy Owczarz. Na szczęście niemal nie było wpadek, o co – wbrew pozorom – nie jest trudno. Podczas jednego z ubiegłorocznych Salonów w Bielsku-Białej pewien miejscowy aktor wielokrotnie był upominany przez Jerzego Kronholda, kiedy przinaczał trudniejsze słowa poety.

W ciągu dziesięcioletniej przygody ze słowem na scenie czechowickiej estrady pojawiali się znani nie tylko w dorzeczu górnej Wisły czechowiczanie – Barbara Bielaczyc, Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Bolesław Folek, Jadwiga Grygierczyk, Grażyna Krzanowska, Piotr Machalica czy Wojciech Myrczek. Dlatego w czasie jubileuszowego występu głos zabierali – oprócz Anny Dymnej, Rafała Sawickiego i gospodarza imprezy Bolesława Folka – także „Muzyczne Anioły Salonu”: Grażyna Krzanowska i Barbara Bielaczyc. Czechowicki bard i współorganizator Festiwalu Poezji Słowiańskiej Ryszard Grajek zaprezentował okolicznościowy wiersz. Jubileuszowy Salon wzbogaciły wystawy fotografii, książek, pamiątek oraz kulinarne niespodzianki.

Anna Dymna – jak zwykle – emanowała dobrem: cierpliwie podpisywała wszystkie książki tłumom wielbicieli poezji oraz jej osobowości. Wykonaniem oryginalnej formy graficznej w kronice wydarzeń kulturalnych Bielska-Białej i okolicy artystka zaspokoila nawet oczekiwania wybrednego bielskiego kronikarza Andrzeja Ziomka.

To były chwile z poezją, które leczą. Między innymi leczą z uzależnienia od Internetu. I od idiotów...

JAN PICHETA

BIELSKO-BIAŁA NOTATNIK KULTURALNY

40 lat minęło

Dorobek czterdziestolecia prezentował w Galerii Bielskiej BWA na wystawie pt. „Rozmowa” urodzony w Przemysłu bielszczanin Janusz Karbowniczek. Artysta od 1977 roku jest pedagogiem w macierzystej Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, obecnie profesorem zwyczajnym w Katedrze Malarstwa. Prowadzi tam autorską pracownię rysunku. Podczas wernisażu 17 kwietnia pierwszy rektor katowickiej ASP, także bielszczanin, prof. Michał Kliś ujawnił, że jest dumny, iż uczelnia ma tak wspańiałego pedagoga jak Janusz Karbowniczek. Dyrektorka BWA Agata Smalcerz twierdzi, że twórczość artysty można usytuować pomiędzy sztuką kontemplacji a ekspresjonizmem. Jego obrazy, wysmakowane kolorystycznie, głęboko poruszają, odnoszą się do problemu ludzkiej kondycji, stanowią refleksję nad przemijaniem. Od 21 do 28 kwietnia Janusz Karbowniczek prowadził w BWA warsztaty rysunku.



Fot. Krzysztof Morcinek

7 kwietnia 2015. Otwarcie wystawy Janusza Karbowniczka pt. „Rozmowa” w Galerii Bielskiej BWA. Na zdjęciu od lewej: Janusz Karbowniczek i Michał Kliś.

Znakomite kino

Widzowie XVII Przeglądu Filmowego „Kino na Granicy” (od 28 kwietnia do 3 maja w Cieszynie i Czeskim Cieszynie) byli zachwyceni. Podobała się nie tylko niezwykła sprawność organizacyjna ekipy pomysłodawczyni imprezy, polonistki Jolanty Dygoś, ale i – jak zwykle – znakomity repertuar. Zobaczyliśmy sześć filmowych retrospektyw, dwa cykle tematyczne, przegląd czeskich, polskich i słowackich nowości, a także filmowe niespodzianki z Węgier i Ukrainy. Bohaterami retrospektyw byli aktorzy: Katarzyna Figura, Emilia Vášáryová

i Bolek Polívka, reżyserzy: Marcin Krzyształowicz i Stanisław Párnický oraz scenarzysta Ludvík Aškenazy. Oglądaliśmy ciekawy dla koneserów cykl pod nazwą „Stokrotki. Kino kobiet w kinematografii czechosłowackiej”. Bielszczanie z dużym zainteresowaniem przyjęli cykl prezentujący twórczość artystów ze Studia Filmów Rysunkowych. Dzieci mogły oglądać przygody „Bolka i Lolka” Władysława Nehrebeckiego czy „Reksia” Lechosława Marszałka, a dorośli produkcje dla widowni dorosłej. Zaprezentowano twórczość jednego z najważniejszych ośrodków animacji polskiej, m.in. mniej znane szerszej publiczności filmy Marka Burdy, Mariana Cholerka, Andrzeja Czczęzota, Józefa Cwiertni, Stanisława Dulza, Anny Kaszuby-Dębskiej, Mirosława Kijowicza, Zdzisława Kudły, Aleksandry Magnuszewskiej-Oczko, Władysława Nehrebeckiego, Aleksandra Oczko, Andrzeja Orzechowskiego, Jana Petruszyna, Bronisława Zemana czy Jerzego Zitzmana. W przyszłym roku festiwal osiągnie pełnoletniość.



Fot. fotoSprinter.pl

Zdzisław Kudła (z lewej), Jolanta Dygoś i Andrzej Orzechowski podczas Kina na Granicy 28 kwietnia 2015 r.

Literaci do piór!

Już po raz 33. odbędzie się najstarszy polski Przegląd Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej LIPA pod patronatem prezydenta Bielska-Białej. Od 19 edycji impreza ma charakter ogólnopolski i mogą w niej brać udział uczniowie szkół podstawowych, gimnazjalnych i średnich z całego kraju. Tematyka i rodzaj literacki utworów są dowolne, a ilość prac ograniczona do sześciu tekstów. W wypadku utworów prozatorskich lub dramatycznych objętość przesłanych ograniczona do sześciu stron normalizowanego maszynopisu. Warunkiem udziału jest nadesłanie samodzielnie napisanych utworów (nigdzie dotąd niepublikowanych) w trzech egzemplarzach (napisanych na komputerze lub maszynie do pisania). Utwory należy opatrzyć słownym godłem (pseudonimem); to samo godło należy wpisać do karty zgłoszenia, którą można pobrać ze strony internetowej. Termin nadsyłania prac wraz z kartami zgłoszenia upływa 19 czerwca 2015 r. Utwory należy przelać pod adresem: Spółdzielcze Centrum Kultury „Best” przy SM „Złote Łany”, 43-300 Bielsko-Biała, ul. Jutrzenki 22 z dopiskiem „Lipa” 2015”.

Jednym zdaniem

■ „Z minuty na godzinę” to tytuł singla Piotra Wróbla – wokalisty bielskiego zespołu „Akurat” – zapowiadającego album pt. „Ty i Ja i Świat” (premiera w maju 2015 r.).

■ Ponad trzy tysiące prac przysłano na międzynarodowy konkurs organizowany przez DK Włókniarzy i SFR z okazji pięćdziesiątej rocznicy „urodzin” Bolka i Lolka.

■ 26 marca w siedzibie Bielskiego Stowarzyszenia Artystycznego Teatr Grodzki odbyło się spotkanie założycielskie Komitetu Budowy Teatru Społeczności Lokalnej, które zamierza przekształcić (za ok. 1,5 mln zł) budynek dawnej brakarni w teatr dla niepełnosprawnych.

■ Od 13 do 16 kwietnia odbył się XVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej na Podbeskidziu „Sacrum in Musica”.

■ 14 kwietnia w Galerii Srodowisk Twórczych otwarto wystawę II Międzynarodowego Biennale Plakatu Bielsko-Biała 2015 „Cóż nam po prawdziwe?”

■ Szymon Broda przedstawił fragmenty swej pracy 16 kwietnia w bielskim Klubie Nauczyciela.

■ 17 kwietnia w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej odbyła się premiera „Lalki” wg B. Prusa w adaptacji Artura Pałygi i reż. Anety Groszyskiej.

■ 21 kwietnia w Książnicy Beskidzkiej odbyła się promocja tomu Krystyny Krzyżanowskiej-Nastulczyk „I włos na swój cień”.

■ 24 kwietnia w bielskim Aquarium grało trio gitarzysty basowego Roberta Szewczugi.

■ 3 maja w wieku 90 lat zmarła w Warszawie urodzona w Białej Krakowskiej poetka Mieczysława Buczkówna – żona Mieczysława Jastruna i matka Tomasza Jastruna.

■ „Michał Ciał: Metropolia” to tytuł wystawy w galerii fotografii B&B w Bielsku-Białej, która trwała do 5 maja.

■ 6 maja w Galerii Bielskiej BWA odbył się wykład Karola Komorowskiego pt. „Fotografia po Internecie”.

Projekt „Haśka!” rozpoczęty!

Halina Poświatowska jest najbardziej znaną poetką urodzoną i wychowaną w Częstochowie. Nic dziwnego, że miasto z tak wielką pieczołowitością pielęgnuje pamięć o niej i przypomina jej twórczość literacką. W tym roku, z okazji 80. rocznicy urodzin, która przypada 9 maja, przygotowano projekt „Haśka. Poświatowska in art, czyli konkursy, koncerty wystawy. Wydarzenia zaplanowane na cały rok ruszyły 20 marca.

Biblioteka Publiczna im. dra W. Biegańskiego rozpoczęła pierwszy weekend z Poświatowską rozstrzygnięciem konkursu plastycznego dla dzieci na najładniejszą zakładkę do książki, a po południu zaprosiła częstochowian na rozmowę prof. Elżbiety Hurnik (AJD Częstochowa) z prof. Grażyną Borkowską (IBL PAN), autorką książek i artykułów o Halinie Poświatowskiej (m.in. publikacji „Nierozważna i niem romantyczna. O Halinie Poświatowskiej”). Grażyna Borkowska opowiadała o swoim spotkaniu z twórczością poetki, zawodowym i prywatnym, odkrywała zalety feministycznej lektury, pozwalającej zaakceptować odrębność twórczości Poświatowskiej i innych kobiet piszących, jakby trochę wbrew upowszechnionemu przez mężczyzn modelowi poezji.

Rozmawiano także o biografii Haśki, relacjach z matką, które kształtowały jej stosunek do świata, ludzi, a także cielesności. Matka, Stanisława Mygowa, wspierała córkę w chorobie, animując jej działania – pisanie wierszy oraz podtrzymywanie znajomości. To ona przyczyniła się do debiutu poetki, prowadziła dom otwarty, stając się niejako „projektantką jej intymności”, a w czasie pobytu w Ameryce cierpliwie przepisywała jej listy, zmieniając nagłówki i rzucając do wszystkich adoratorów i znajomych.

Spotkanie było więc nie tylko okazją do zapoznania się z poezją Poświatowskiej, ale również zachwycenia się jej wolą życia wbrew okolicznościom. Wśród publiczności obecna była m.in. prof. Maria Nasińska, polonistka z I LO im. Juliusza Słowackiego, nauczycielka młodszej siostry Haliny Poświatowskiej i przyjaciółka Ludmiły Marjańskiej.

Dzień później w Międzynarodowym Dniu Poezji Częstochowa niemal przekształciła się w miasto poetów. Po południu w Teatrze im. Adama Mickiewicza odbyła się gala finałowa 36. Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Haliny Poświatowskiej, ale już od rana dla wszystkich zainteresowanych poezją odbywały się warsztaty i spotkania z jurorami. W tym roku nadesłane zestawy oceniali: Justyna Bargielska, Grzegorz Jankowicz oraz Marcin Zegadło. Gałę uświetnił koncert Janusza Radka i jego interpretacje wierszy częstochowianki.

W południe w Ratuszowej wieży zabiło serce Poświatowskiej, chore, ale przepelnione miłością (dźwięk zarejestrowany został w czasie badań), a poetka odczytała swój wiersz „Pod usmiechniętym zielenią drzewem kasztanu”. O zmroku postać 17-letniej dziewczyny pojawiła się na murze kamienicy przy Al. NMP 4, gdzie rodzina poetki mieszkała w czasie II wojny światowej, a potem odbyło się nocne zwiędanie I LO im. Juliusza Słowackiego.

Co jeszcze przed nami? Cykl konkursów dla szkół, film biograficzny Michała Tkaczyńskiego, a także odwołania na wiele sposobów twórczość Poświatowskiej... W projekcie uczestniczą niemal wszystkie instytucje kultury – OPK „Gaude Mater”, Muzeum Częstochowskie (w tym Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej), Biblioteka Publiczna im. dra W. Biegańskiego, Szkoła Podstawowa nr 8 jedna z dwóch w Polsce noszących imię częstochowianki, OKF, Częstochowski Teatr Tańca, Regionalny Ośrodek Kultury...

Wszystko po to, by podtrzymać pamięć o poetce.

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Częstochowanie górą!

36. Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Haliny Poświatowskiej w kategorii *Po debiucie* wygrała po raz pierwszy od wielu lat częstochowianka Małgorzata Januszewska, absolwentka pedagogiki na Uniwersytecie Warszawskim, nagradzana i wyróżniana w wielu konkursach.

W tym roku wpłynęło 413 zestawów i 2065 wierszy (łącznie w obu kategoriach), także z zagranicy – USA, Anglii i Francji. Drugą nagrodę w kategorii *Po debiucie* odebrała Maria Żywicka-Luckner z Warszawy, trzecią – Dorota Ryst z Warszawy. W kategorii *Debiut* zwyciężyła Klaudia Pieszczoł z Paryża, drugą nagrodę przyznała Magdalenie Sanoćkiej ze Szczecinka, trzecią – Tomaszowi Duszyńskiemu ze Złotoryi.

Nie był to jednak jedyny marcowy sukces częstochowskich artystów. Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru w Katowicach wręczono Złote Maski. Wśród nominowanych znaleźli się wszyscy aktorzy występujący w *Sprzedawcach gumek* Hanocha Levina: Agata Ochota-Hutrya, Michał Kula oraz Antoni Rot. Złotą Maskę otrzymał Michał Kula (także za *Grabarza* w Hamlecie, doskonały epizod charakterystyczny). Dodatkowo Maciej Piótorak za rolę *Hamleta* odebrał Nagrodę Dziennika Teatralnego im. Zbigniewa Grucy, przeznaczoną dla młodych aktorów.

Jubileusz Filharmonii

Pierwszy koncert symfoniczny po odzyskaniu niepodległości odbył się w Częstochowie 2 marca, a organizacją zespołu zajął się między innymi pedagog, dyrygent oraz animator życia muzycznego, Edward Makosa. Muzycy występowali m.in. w Teatrze Miejskim, w kinie Wolność oraz w terenie, a prawdziwa sala koncertowa została oddana do użytku dopiero w 1965 roku, w Domu Kultury Filharmonia. Orkiestra otrzymała rangę Filharmonii w 1976 roku, gdy Częstochowa została miastem wojewódzkim. Z okazji jubileuszu 70-lecia 20 marca br. odbył się uroczysty koncert. Przygotowano doskonały program muzyczny oraz nagrodzono długoletnich pracowników.

Muzycy wykonali uwerturę do opery Karola Kurpińskiego *Dwie chatki*, kompozytora zwanego polskim Rossinim, którym zachwycił się m.in. Yehudi Menuhin, poemat symfoniczny Zygmunta Nowakowskiego *Step* op. 66 oraz *Harnasie* Karola Szymanowskiego. Partię *Jonika* zaśpiewał jak dwa lata temu na Wawelu Sebastian Karpień-Bulecka z towarzyszeniem kapeli góralskiej. W koncercie śpiewaków z Collegium Cantorum wspomagał Chór Filharmonii Łódzkiej (kierowany przez Dawida Bera). Całością dyrygował dyrektor artystyczny Filharmonii częstochowskiej, Adam Klocek.

Koncertowi towarzyszyła wystawa fotografii Zbigniewa Burdy oraz prezentacja pamiętek po Bronisławie Hubermanie, patronie Filharmonii, wśród

Jednym zdaniem

■ Zagrali: klub Rura – Skubas, Domowe Melodie; MDK – Volodia, Superpalka, Lady Pank; OPK Gaude Mater – KK Blues Band, Krzysiek Niedźwiecki, Paweł Łowicki; Teatr from Poland – KAT&Roman Kostrzewski, Lao Che, Konicie Świata; Filharmonia – Hey, Czerwone Gitary; Muzyczna Meta – Artur Gadowski, Ania Rusowicz; plac Biegańskiego – Donatan i Cleo; Restauracja Sztuczka – Michał Gasz; Hala Sportowa – Skaldowie.

■ Wystawiali: Wejściówka – Wiesław Lipiecki; Art-Foto w ROK-u – *Snienie* Sandry Woźniak i Konrada Grzybka; OPK „Gaude Mater” – *Jazz &...* fotografie Anety Zalejskiej i Janusza Różańskiego.

■ W Sali Rycerskiej na Jasnej Górze *Perły muzyki jasnogórskiej* z udziałem skrzypka Zbigniewa Plicha.

których znajdowały się m.in.: książka napisana przez skrzypka *Zjednoczona Europa*, z dedykacją dla Heleny Biedrzyckiej oraz ich wspólne zdjęcie. Z okazji jubileuszu Wanda Malko, pedagog muzyczny oraz badaczka historii częstochowskiego życia muzycznego przygotowała książkę pt. *70 lat Orkiestry Symfonicznej w Częstochowie. Filharmonia Częstochowska im. Bronisława Hubermana w latach 1945–2015*.

Historia jurajskich plenerów

W Sali Gobelinowej pokazano efekty 40. Ogólnopolskiego Pleneru Malarskiego *Jurajska Jesień*, którego komisarzem była Barbara Szyca. Wzięło w nim udział 20 artystów z Częstochowy, Gliwic, Opola i Kielc, m.in. Alicja Nadolska, Cecylia Szerszeń, Aleksandra Banek, Agnieszka Mitura-Bagińska, Krystyna Szwałkowska, Barbara Chowańska-Najwer, Teresa Pawłowska, Tomasz A. Man, Rafał Cierpień...

Była to także okazja do świętowania jubileuszu. Pierwszy plener zorganizowali w 1975 roku Adela Wiśniewska, Jerzy Filip Sztuka oraz Stefan Chabrowski, ale ciągłość imprezie zapewnił nie tylko artyści, ale także ówczesni urzędnicy, m.in. Józef Drosik z urzędu wojewódzkiego w Częstochowie. Wystawa pokazywała więc dwa oblicza plenerów – artystyczne efekty oraz kronikarskie zapisy spotkań.

W Antresoli znalazły się wydawnictwa poplenerowe, znaczki, fragmenty kronik, gdzie dowcipnie komentowano wydarzenia i oczywiście uzupełniono je zabawnymi rysunkami, karykatura wykonana przez Agnieszkę Żmudzińską, fotografie. Na I piętrze dominowały prace wykonane podczas plenerów, m.in. *Przemijanie* z Bobolic Alicji Nadolskiej (1975), zamek w Ogrodzieńcu widziany oczyma Cecylii Szerszeń (1978), ale również prace Jerzego Dudy-Gracza (*Pejzaż* 1983), Sabiny Lonty, Jana Świdorskiego, Stanisława Batrucha, Sławomira Mazusia, Stanisława Tabisza, Franciszka Maśluszczaka.

Prace nie tylko dokumentowały zmianę technik i warsztatu poszczególnych artystów, ale również historię Jury Krakowsko-Częstochowskiej, jej dawną architekturę i sposób życia mieszkańców...

Cyfrowo o świecie i kulturze współczesnej

Od 17 kwietnia do końca czerwca w Art-Foto w ROK można oglądać prace nadesłane na XVIII Międzynarodowy Konkurs Cyfrowej Kreaacji CYBERFOTO. Pokazano 130 prac 48 autorów z 54 biorących udział w konkursie (295 prac). W tym roku nie było wprawdzie gości z zagranicy, ale wśród ciekawych i różnorodnych propozycji dobrze zaprezentowali się częstochowianie.

Członkowie jury: Krzysztof Jurecki (przewodniczący), Jolanta Rycerska, Krystyna Małgorzata Dołowska oraz Sławomir Jodłowski przyznali następujące nagrody i wyróżnienia: pierwszą nagrodę otrzymała Paulina Stasiak z Kańczugi za cykl *Kulturowy cykl kultury*, II – Adam Markowski z Częstochowy za paradoksalny cykl *Zagubione i odnalezione*, *Obiekty i Nadeszło jutro*, III – Magdalena Samborska za tryptyk *Pleć domniemana*. Wyróżniono również prace Natalii Zakrockiej z Warszawy, Małgorzaty Kozakowskiej z Częstochowy oraz Jana Zycha z Krakowa.

Na wystawie można zobaczyć także prace innych częstochowian: Jarosława Dumańskiego, Andrzeja Zembika, Jerzego Piwowarskiego, Piotra Haltera, Wiktora Stasiaka, Ewy Latos, co świadczy o sile naszego środowiska fotografików.

■ W klubie Rura zorganizowano zawody w interpretacji tekstu, czyli *Czytanie z przeszkodami*.

■ W ROK-u przypomniano filmy Tomasa Bagińskiego.

■ W Czytelni Komików CPM-u w ramach akcji *Po czytaj!* odbyło się spotkanie z Jakubem Woynowskim, autorem *Martwego sezonu*, opowieści graficznej na podstawie tekstów Brunona Schulza.

■ W OKF „Iluzja” przegląd pofestiwalowy 12. Multimedialnego Happy End Festivalu Filmów Optymistycznych.

■ Z okazji Międzynarodowego Dnia Osób z Zespołem Downa Fundacja Oczami Brata przygotowała happening *Stereotypy na stos* polczył z tradycyjnym (295 prac) Marzanny.

Odeszła pani Maria od poetów

Kiedy wspominam pożegnanie „Marii od poetów” powracają wersy z „Ziemi jawowej” Thomasa S. Eliota – Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień. Wywodzi z niezwywej ziemi lodygi bzu... Maria Wojtczak była lekarzem medycyny, współtworzyła brzeską „Solidarność”, angażowała się w sprawy społeczne, krzewiła idee samorządności, pełniąc funkcje radnej Brzegu i sejmiku województwa opolskiego zawsze była blisko ludzi ze środowisk kultury. W działalności publicznej przyświecała jej idea pracy na rzecz dobra wspólnego, przestrzegala wysokich standardów etycznych, nie godziła się na zawłaszczanie przestrzeni obywatelskiej przez tych, którzy coraz częściej przychodzili do samorządu „aby coś ugrać”. Kiedy stan zdrowia ograniczał kolejne pola aktywności upominała się o ważne sprawy dla mieszkańców swojego miasta, publikując zaangażowane felietony i artykuły na łamach lokalnej prasy. – Była lekarzem dusz, dowartościowała rozkolatanie serca, mówiła, żeby nie przestawać, bo wszystko ma swój sens. Wystawiała nam recepturę na dobry lek przeciwko złu świata, przeciwko klótniom i waśniom w środowisku literackim oraz w naszych rodzinach – wspominała Romana Więczaszek prezes Brzeskiego Klubu Literackiego. Poza medycyną i samorządem terytorialnym, wielką pasją pani Marii była literatura. Wspierała działalność stowarzyszeń społeczno-kulturalnych, a szczególnie gorąco działania animatorskie i twórcze młodego pokolenia, dlatego Stowarzyszenie Żywych Poetów w dowód uznania przyznało swojej patronce tytuł Honorowego Członka. Podczas kolejnych edycji Najazdu Poetów na Zamek Piastów Śląskich współtworzyła dobrą aurę tego wydarzenia, wówczas mieszkając pani Marii, znanej z gościnności i serca dla artystów, zamieniało się w salon literacki. Poeci z różnych stron Polski i Europy czytali wiersze, dyskutowali o przekładach i nowych tomikach przy stole okrytym białym obrusem, wokół którego rozciągał się aromat kawy i domowych wypieków. Spotkania z twórcami owocowały na półkach gospodyni kolejnymi książkami z dedykacjami i nowymi obrazami na ścianach. Jeden z nich – portret „Marii od poetów” Zbyszka Kresowatego towarzyszył nam w kaplicy. Dopiero po śmierci dowiedzieliśmy, że pisała wiersze, przez wiele lat skrywała to w tajemnicy. Na zakończenie ceremonii Córkę pożegnały Matkę jej własnym, przejmującym wierszem o znikającym życiu. Ten niezwykły poetycki debiut stał się kodą ziemskiej drogi osoby szlachetnej i odważnej. Pani Maria od poetów zapewne teraz sięga po tomiki w niebieskim salonie, do którego odeszli już wcześniej poeci – znajomi i przyjaciele: Wiesław Malicki, Zygmunt Dmochowski, Marianna Bocian, Gustaw Sajdok, Wilhelm Przekazek, Jan Pyszko, Andrzej Palosz, Marek Jodłowski... Kiedy już po wszystkich z ogrodu cieni odchodziliśmy opustoszała aleją, wiatr zakochał lodygami bżów zakwitających kiściami białego kwiecia.

JANUSZ WÓJCIAK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Pionier polskiej elektrotechniki

W opolskim wydawnictwie MS Bogusława Szybrowskiego ukazała się książka prof. Jerzego Hickiewicza „Roman Dzieślewski. Pierwszy polski profesor elektrotechniki i jego współpracownicy”, stanowiąca cenne źródło wiedzy na temat działalności i osiągnięć polskiej kadry technicznej w dwudziestolecie międzywojennym. Już w słowie wstępnym wyjątkowość postaci bohatera publikacji podkreślił prof. Bolesław Orłowski z Instytutu Historii Nauki Polskiej PAN, zwracając uwagę na fakt, że Roman Dzieślewski jako młody 28-letni naukowiec miał zaszczyt utworzyć w 1891 roku pierwszą na ziemiach polskich akademicką Katedrę Elektrotechniki w c.k. Szkole Politechnicznej we Lwowie. Warto podkreślić, że w tak młodym wieku Dzieślewski został profesorem nadzwyczajnym, a cztery lata później profesorem zwyczajnym elektrotechniki i po kilku latach rektorem, który stworzył na Politechnice Lwowskiej Oddział Elektryczny jedyny w tamtym okresie na ziemiach polskich. Zasluga naukowca było również opracowanie podstaw polskiego słownictwa i terminologii związanej z elektrycznością. Autor książki przedstawił postać profesora Dzieślewskiego na tle historii szkolnictwa elektrotechnicznego, ukazując również sylwetki jego najbliższych współpracowników i uczniów. W książce znajduje się wiele cennych materiałów ikonograficznych i archiwalnych związanych bezpośrednio z biografią pioniera polskiej elektrotechniki i ukazujących oblicze przedwojennego Lwowa. Książka profesora Jerzego Hickiewicza stanowi znakomitą lekturę nie tylko dla studentów i doktorantów elektroniki i elektrotechniki, ale także dla miłośników historii Lwowa.

XV Wiosna Austriacka w Opolu

W programie tegorocznej *Wiosny Austriackiej* zorganizowanej przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w Opolu przygotowano dla uczestników szeroką gamę atrakcyjnych i róż-

norodnych propozycji upowszechniających wiedzę o kulturze, języku i historii Austrii. Dużym zainteresowaniem cieszyły się: XII edycja Wojewódzkiego Przeglądu Teatrów Obcojęzycznych, II Festiwal Małych Form Artystyczno-Teatralnych w Języku Niemieckim oraz konkurs „Austria – kraj i jego mieszkańcy”. Zorganizowano również warsztaty dla nauczycieli języka niemieckiego, spotkania dyskusyjnego klubu książki, wystawy, wykłady historyczne i kulturoznawcze. Martin Pollack, znany i ceniony austriacki reportażysta, dziennikarz i tłumacz, podzielił się z czytelnikami Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej refleksjami dotyczącymi pracy nad jego najnowszą książką „Skażone krajobrazy”. Finałowym akcentem XV *Wiosny Austriackiej* był koncert symfoniczny „Muzyka rodziny Straussów i austriackich kompozytorów XX wieku, którzy wyemigrowali do USA”. Patronat nad imprezą objęli ambasador Republiki Austrii i marszałek województwa opolskiego.

Opolskie szmaragdy

Blisko czterdzieści podmiotów wykonawczych, reprezentujących gminne domy kultury z różnych miejscowości województwa opolskiego, wzięło udział w III Wojewódzkim Przeglądzie Twórczości Artystycznej „Opolskie Szmaragdy”, zorganizowanym na opolskim placu Wolności przez Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego. W tegorocznej edycji imprezy wystąpiły amatorskie zespoły wokalne i wokально-instrumentalne (m.in. kapela ludowa i podwórkowe, chóry, zespoły rockowe, jazzowe oraz soliści), którzy otrzymali od organizatorów pamiątkowe statuetki. Przeglądowi towarzyszyło „miasteczko kultury” zbudowane z drewnianych domków, gdzie swoje prace prezentowali twórcy ludowi, plastycy, rzeźbiarze i ceramicy wywodzący się z amatorskiego ruchu artystycznego skupionego w kołach zainteresowań działających w domach kultury z różnych miejscowości Opolszczyzny. Zwiedzający mogli obejrzeć pokazy garncarstwa i kowalstwa, a na wystawach w domkach: rękodzieło ceramiczne, ręcznie zdobioną porcelanę, rzeźby, kroszonki, prace malarskie i haftowane, a także fotografie i witraże. Tegoroczne „Opolskie Szmaragdy” poprowadziła Katarzyna Dowbor, która na estradzie została uhonorowana odznaką „Za Zasługi dla Województwa Opolskiego” przyznaną przez marszałka Andrzeja Bułę w dowód uznania za promocję Opolszczyzny i współorganizację Jeździeckich Mistrzostwa Gwiazd ArtCup, które co roku odbywają się w Zakrzowie.

Jednym zdaniem

■ W Muzeum Czynu Powstańczego w Górze św. Anny uruchomiono wystawę czasową „Tak płaci Polska – Henryk Ślawik”, poświęconą losom i działalności Henryka Ślawika – uczestnika trzech powstań śląskich, działacza plebiscytowego, dziennikarza i działacza politycznego PPS.

■ Na wystawie „Ekslibrisy Jana Pawła II ze zbiorów Krzysztofa Switaly” w galerii Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Opolu, można było obejrzeć artystyczne znaki graficzne własności książki, z których podczas swego pontyfikatu korzystał Jan Paweł II.

■ Prezentacja książki „Mała Zagłada” Anny Janko z udziałem autorki odbyła się w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu, spotkanie prowadził Wojciech Bonowicz z „Tygodnika Powszechnego”.

■ Bartłomiej Trzos, młody opolski twórca grafik i plakatów, zaprezentował swoje prace na wystawie „Remaster – edycja limitowana” w galerii „Pierwsze Piętro” ZPAP w Opolu.

■ „Śląsk w życiu i twórczości Jana Długosza” to tytuł ogólnopolskiej konferencji nauko-

wej, która odbyła się w Muzeum Śląska Opolskiego.

■ W Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych Łambinowice-Opole odbyło się spotkanie z dr. Jakubem Żakiem autorem książki „Nie walczyli dla siebie. Powojenna odyseja 2. Korpusu Polskiego”.

■ Reprezentacyjny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego uświetnił obchody uchwalenia Konstytucji 3 Maja uroczystym koncertem w Filharmonii Opolskiej.

■ W Domu Kultury w Niemodlinie odbył się XI Ogólnopolski Konkurs Interpretacji Piosenek Agnieszki Osieckiej – Oceany 2015, jury przewodniczyła Katarzyna Groniec, która na zakończenie imprezy wystąpiła z recitaleem.

■ W ramach cyklu Otwartych Seminarium Polskiego Towarzystwa Filozoficznego w Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu miało miejsce spotkanie zatytułowane „Względność w fizyce i filozofii. W stulecie publikacji ogólnej teorii względności Alberta Einsteina”.

■ W ramach obchodów Dni Opola w Muzeum Śląska Opolskiego z koncertem „Nastroje baroku” wystąpił zespół Ensemble Chimerique.

Leśmian na otwarcie

I znów, jak co roku, rusza największa impreza kulturalna w regionie – Sosnowieckie Dni Literatury. To już XI edycja. Od kilku lat impreza nie zamyka się w gościnnych pomieszczeniach bibliotecznych i choć aulla przy ul. Kościelnej i Czytelnia przy ul. Zegadłowicza są znakomitymi przestrzeniami, sprzyjającymi nie tylko kameralnym spotkaniom, projekcjom filmowym, okazałym wystawom czy nawet spektakłom teatralnym, „Dni” opuszczają mury i zawiązują przestrzeń miasta. Dla wielbicieli teatru zapewne znakomitą okazją do spotkania z ulubieńcami sosnowieckiej sceny (Edytą Ostojak, Przemysławem Kanią, Krzysztofem Korzeniowskim) będzie Poetycki Hyde Park w centrum miasta, które nie wiedzieć dlaczego dziwnie mianowano „Patelnią”, bardziej zapewne kojarzącą się z królującymi we wszystkich stacjach telewizyjnych kulinarnymi reality show niż z patronującym tej przestrzeni Janem Kiepurą. Organizatorzy zapowiadają spotkania m.in. z Katarzyną Bondą, Sylwią Chutnik, Lilianą Fabisińską, Renatą Piątkowską, Małgorzatą Szejnert, Markiem Bieńczykiem, Markiem Krajewskim, Bartłomiejem Majzlem, Jerzym Lucjanem Woźniakiem. Wystawa otwierająca XI „Dni...” poświęcona jest Bolesławowi Leśmianowi, autorowi poetyckich baśni i niezwykłych erotyków. Autor „Klechd polskich” będzie bohaterem kilku popularnych spotkań tak dla dorosłych, jak i dla dzieci. Bohaterką tegorocznego „Czasu na debiut” (28 maja) będzie Małgorzata Zajac, jej powieść „W dobrej wierze” będzie zapewne znakomitym pretekstem do rozmów o tolerancji, współczesnej rodzinie i problemach, z którymi musi się ona zmagać. Temat niezwykle aktualny i wzbudzający wiele kontrowersji. Małgorzacie Szejnert trudno będzie uciec od tematu jeszcze nie przebrzmiałej premiery spektaklu w Teatrze Śląskim, który powstał na bazie bestselleru, jakim okrzyknięty został jej „Czarny ogród”. Będą poeci, pisarze, literaturoznawcy, krytycy, nie zabraknie także tradycyjnych warsztatów literackich, choć organizatorzy zapowiadają niespodzianki i znacznie zmienioną i odświeżoną formę, nowością jest czas ich trwania – trzy dni. Tegoroczne SDL zakończy finał Konkursu Czytelniczego Biblioteczka Roku, któremu towarzyszyć będzie Bractwo Rycerskiego Zamku Będzin.

Pamiętam pierwsze Sosnowieckie Dni Literatury i przepowiednie malkontentów, którzy wróżyli nie więcej niż cztery, no może pięć edycji. Tymczasem SDL doczekały się stałej publiczności, która z niecierpliwością wyczekuje programu, stawia wysoko poprzeczkę oczekiwań, nie skąpi pochwał, ale i krytycznych uwag nie szczędzi, zapewne cennych dla organizatorów, o ile oczywiście nie przeobrażają się w chorobliwe krytykanctwo. Myli się także ten, kto sądzi, że SDL to prawdziwa gratka dla sosnowieckich moli książkowych, ponieważ na wybrane imprezy jeżdżą tu goście z całego regionu a dzisiejsi czytelnicy zatopieni w e-bookach niczym nie przypominają anachronicznych, trącających myszką moli, chyba że po metamorfozie np. pustoszą kradnik przybrał postać z promującego imprezę znakomitego i wytrawnego plakatu Romana Kalarusa.

MARIA SZTUKA

ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

W Gdyni będzie gorąco

Spektakl Teatru Zagłębia „Koń, kobieta i kanarek” Tomasza Śpiewaka w reżyserii Remigiusza Brzyka sięga po kolejne trofea. Po Laurze Konrada dla Remigiusza Brzyka na XVI Ogólnopolskim Festiwalu Sztuki Reżyserskiej Interpretacji i znalezieniu się w wyróżnionej „12” w 21. Ogólnopolskim Konkursie na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej (II etap Konkursu zakończy się w drugiej połowie czerwca) przyszedł czas na kolejny sukces – sosnowiecka realizacja została zaproszona jako jedna z sześciu (spośród 80 polskich przedstawień) do 10. edycji Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych R@Port. Festiwalowa publiczność zobaczy spektakl 20 maja na scenie Teatru Miejskiego w Gdyni. Serdecznie życzymy zespołowi powrotu z Gdynią z Nagrodą Dramaturgiczną, „Koń, kobieta i kanarek” jest jedyną śląską realizacją zakwalifikowaną do udziału w festiwalu. Trzymamy kciuki!



Fot. Maciej Stobierski

Krzysztof Kiwerski w Zamku Sieleckim

W Sosnowieckim Centrum Kultury-Zamku Sieleckim do 7 czerwca będzie można spotkać się z twórczością Krzysztofa Kiwerskiego, profesora krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Na wystawę „Zagubione w czasie” złożyły się obrazy pochodzące z pięciu cykli malarskich: *Vermeer in New York* (2013), *Gadu gadu* (2011),

■ Teatr Zagłębia pozyskał 40 tys. złotych na realizację wakacyjnych warsztatów teatralnych w ramach programu „Lato w teatrze” organizowanego przez Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszeńskiego. Projekt „Tak to widzę: szkoła” znalazł się w gronie wniosków najwyższej oceny przez Komisję Ekspertów programu i otrzymał 100% wnioskowanego dofinansowania.

■ W Palacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej gościła w kwietniu wystawa „Wyklejanki Wisławy Szymborskiej”. Podobnie jak pozycje, tak i wyklejanki Noblistki charakteryzują trafne pointy i surrealistyczne poczucie humoru.

Mędrce (2008/2012), *W drodze* (2004), *Zaćmienia* (2003). Krzysztof Kiwerski uprawia malarstwo, rysunek, grafikę komputerową i motion graphics. Zrealizował 38 filmów animowanych, w tym cztery pełnometrażowe. Brał udział w ponad 100 wystawach m.in. w Polsce, Niemczech, Francji, Szwajcarii, Belgii, Danii, Szwecji, Japonii, Turcji, Grecji, Jugosławii, Austrii, w tym w 50 wystawach indywidualnych. Uczestniczył w licznych festiwalach filmowych m.in. w Poznaniu, Krakowie, Oberhausen, Annecy, Cannes, Huesca, Tours, Chicago, New York. W trakcie trwania wystawy można obejrzeć sześć (wybranych z licznej filmografii Krzysztofa Kiwerskiego) filmów animowanych: *The Rolling Stones* (2013), *Świadek* (2008), *Przejście Żydów przez Morze Czerwone* (2007), *Level* (2005), *Opcja zerowa* (1983) oraz *Ryszard III* (1977).

Młodzi historycy

Gimnazjalistom i uczniom szkół ponadgimnazjalnych z terenu Zagłębia Dąbrowskiego marzec i kwiecień upłynęły w gorącej konkursowej zmaganiu. Do rywalizacji zaprosili ich sosnowieckie: Muzeum i Miejska Biblioteka Publiczna. Tym razem tematem Konkursu Wiedzy Historycznej były *Wydarzenia lat 1939–1945 w „Małej ojczyźnie” i na świecie – w 70. rocznicę zakończenia II wojny światowej*. W finale uczestniczyło 46 uczniów z dwudziestu zagłębiowskich szkół. W obu kategoriach zwyciężyli uczniowie sosnowieckich szkół, w kategorii *gimnazja I miejsce zdobył Igor Tomecki z Gimnazjum nr 25, II – Dominik Lechowicz z Niepublicznego Gimnazjum nr 3, III – Mateusz Bąba z Gimnazjum nr 11*. W kategorii *szkoły ponadgimnazjalne* także triumfowali sosnowieccy uczniowie: I miejsce zajął Jakub Sytniewski z II LO im. E. Plater, II – Wojciech Wydmański również uczeń „Platerki”, III – Jakub Antosiewicz z IV LO im. S. Staszica. Jak widać historia stała się męską domeną. Sosnowieckie szkoły Konkurs Wiedzy Historycznej zdały na szóstkę z plusem.

Jednym zdaniem

■ Od 24 do 26 kwietnia w Palacu Kultury Zagłębia po raz siódmy odbył się Międzyszkolowy Festiwal Folklorystyczny „Zagłębie i Sąsiedzi”.

■ W Energetycznym Centrum Kultury w Sosnowcu Beata Soltysik w kwietniu prezentowała swoją wystawę *Vintage Art*.

■ Od 8 do 12 kwietnia w Sosnowcu odbywał się XIV Międzynarodowy Festiwal Sosnowieckie Dni Muzyki Znanej i Nieznanej, w tym roku poświęcony był on muzyce Południowej Europy. Wśród wykonawców znaleźli się m.in.: Sinfonietta Cracovia, Magdalena Idzik i Robert Morawski, Zespół Trifolium, Męski Zespół Wokalny Lipa Vinkovici, Camerata Silesia.

Zaolzie pamięta o zbrodni sprzed 75 lat

– Mam 82 lata, z tego 75 lat żyję bez ojca. Został zamordowany przez stalinowskich oprawców w Twerze. O tym, że jego ciało spoczywa w lesie pod Miednoje, nie mogliśmy mówić przez 50 lat, do 1990 roku. Nigdy jednak nie zapomnieliśmy o nim i o innych ofiarach tamtej zbrodni – podkreślił 24 kwietnia w czeskokieszyńskiej „Strzelnicy” Józef Pilich, prezes Stowarzyszenia „Rodzina Katyńska” w RC. Ta organizacja była głównym organizatorem zaolziańskich uroczystości wspomnieniowych pn. „75 lat o pamięci o Katyniu”.

Uroczystości odbywały się pod patronatem honorowym konsula generalnej RP w Ostrawie, Anny Olszewskiej. Rozpoczęły się one przed południem pod pomnikiem na Konteszyńcu. Pod tablicami z nazwiskami Zaolziaków pomordowanych przez NKWD, których ciała spoczywają w lasach w Katyniu, Miednoje czy Charkowie, w asyście Kompanii Reprezentacyjnej Wojska Polskiego, kwiaty i wieniec złożyli m.in. Grażyna Bernatowicz – ambasador RP w Pradze, Jan Stanisław Ciechanowski – kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Andrzej Sznajder – dyrektor Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach, przedstawiciele wielu zaolziańskich polskich organizacji i władz samorządowych wielu szczebli z obu brzegów Olzy.

– Pamięć o ofiarach tamtej okropnej zbrodni miała zostać wymazana z naszej świadomości. Dzięki ich żonom, matkom, najbliższym tak się nie stało. Od 25 zaś lat kulturyje tę pamięć nasza organizacja. Także poprzez organizowanie takich spotkań rocznicowych, jak ta dzisiejsza – powiedział prezes „Rodziny Katyńskiej”, Józef Pilich, w sali ośrodka kultury „Strzelnica”, gdzie kontynuowano uroczystości.

Z kolei ambasador Grażyna Bernatowicz przypomniała, że to dokładnie przed 75 laty odbywała się eksterminacja obywateli państwa polskiego: oficerów, policjantów, a także osób cywilnych. – Ludobójstwo katyńskie jest w tragicznych dziejach polskiego narodu zbrodnią bez precedensu. W ciągu zaledwie kilku tygodni zabito tysiące niewinnych osób, które należały do elity intelektualnej tego narodu. Wśród ofiar, o czym do niedawna w Polsce niewiele osób wiedziało, było wielu mieszkańców Zaolzia. Nie wolno nam o nich zapomnieć. Dziękuję wam za to, że utrzymujecie pamięć o nich – powiedziała polska ambasador.

Uczestnicy uroczystości mogli też wysłuchać krótkiego koncertu zespołu wokalnego TA Grupa oraz wykładu czeskiego historyka Mečislava Boráka z Opawy, autora wielu publikacji i filmów o zaolziańskich ofiarach zbrodni katyńskiej (jeden z filmów: „Cienie sumienia”, został wyświetlony podczas spotkania). Historyk był też z Marianem Steffkiem współautorem wystawy okolicznościowej, którą z „Rodziną Katyńską” przygotowały Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków, Śląskie Muzeum Krajowe w Opawie oraz władze Czeskiego Cieszyna.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Zmarł nestor rodu Cieślańców

W wieku 97 lat zmarł 17 kwietnia w Nydku nestor rodu Cieślańców, Oskar Franciszek Cieślańcew.

Śp. Oskar Franciszek Cieślańcew urodził się w Wiśle 25 grudnia 1917 roku. Po wojnie, w 1948 roku – po ślubie z Heleną Wojnar, zamieszkał w Nydku, rodzinnej wsi żony. To tam właśnie odwiedził Go w 2007 roku, kiedy obchodził 90. urodziny, konsul generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Ostrawie, Jerzy Kronhold. Konsul przywiózł wówczas dla Jubilata w prezencie m.in. trzy listy z życzeniami od marszałka Senatu RP, Bogdana Borusewicza, prezesa Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, Andrzeja Stelmachowskiego, oraz ambasadora RP w Pradze, Jana Pastwy. – Pańska postawa życiowa budzi mój najwyższy szacunek, a działania na rzecz krzewienia polskości zasługują na szczególne uznanie. Pragnę złożyć podziękowania za Pańską działalność społeczną, charytatywną, służbę drugiemu człowiekowi i wychowanie młodego pokolenia – napisał w swoim liście marszałek Borusewicz.

90-letni wówczas Oskar Franciszek Cieślańcew wspominał w rozmowie z konsulem spotkanie z przedwojennym prezydentem Ignacym Mościckim w Zameczku Prezydenckim w swojej rodzinnej wsi, trudne czasy II wojny światowej, podczas której był m.in. zamknięty w gulagu w Siastroj na brzegach jeziora Ładoga, niewesołe czasy wojenne w komunistycznych realiach, kiedy to był nauczycielem w szkołkach niedzielnym w Nydku, Bystrzycy, Koszarzyskach i Karpętnej. Opowiadał też o swoim... pogrzebie. Podczas wojny bowiem, po 4 latach tułaczki na froncie wschodnim, w jednej z bitw został ranny w głowę. Dowódcy byli przekonani, że nie żyje i wysłali wiadomość do kraju, że padł na polu walki pod Kownem na Litwie. W rodzinnej Wiśle odprawiono uroczystości pogrzebowe.

Drugi, już prawdziwy pogrzeb śp. Oskara Franciszka Cieślańcewa odbył się 21 kwietnia o 15.00 w kaplicy ewangelickiej w Nydku.

Rakowska z Nagrodą Senatu

Małgorzata Rakowska, prezes Miejsowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czeskim Cieszynie-Centrum, może się pochlubić nie lada sukcesem w konkursie Kobieta Regionu 2015. Podczas finałowego koncertu, który odbył się 9 kwietnia w hotelu Ambassador

w Pradze, wiceprzewodniczący Senatu Republiki Czeskiej, Miluše Horská i Ivo Bábek, wręczyli jej jedną z głównych nagród konkursu, którą przyznali Rakowskiej właśnie członkowie Wyższej Izby Parlamentu RC.

Główne nagrody były trzy. Oprócz senatorów swoją laureatkę wybrało też fachowe jury, powołane przez głównego organizatora konkursu – spółkę Prime Communications. Została nią Hana Potměšilová z województwa środkowoczeskiego, szefowa Fundacji na rzecz Wspierania Zatrudniania Osób Niepełnosprawnych. Natomiast absolutną zwyciężczynią szóstej edycji konkursu została Andrea Kulová z województwa południowomorawskiego, która uzyskała najwięcej, bo aż 1317 głosów w eliminacjach regionalnych.

Małgorzata Rakowska, prezes Miejsowego Koła PZKO Czeski Cieszyn-Centrum, nie ukrywała zadowolenia z nagrody. – Ten konkurs to dla mnie miła przygoda, a także wielka przyjemność, bo doceniono przecież moją pracę. Uważam też, że chodzi przy okazji o promocję Śląska Cieszyńskiego, bo jest to nagroda dla osoby pracującej w naszym regionie społecznie, w dodatku narodowości polskiej. Chciałabym przy tej okazji podziękować Maryli Goduli, która zgłosiła mnie na konkurs oraz senatorowi Petrowi Gawlasowi z Jabłonkowa, który mocno się angażował w Senacie na rzecz nagrody dla mnie – powiedziała laureatka naszej redakcji.

Pod patronatem Elżbiety Ryksy

W Brnie odbyły się w kwietniu Dni Kultury Polskiej. Ich piątą edycję zorganizowały władze stolic Moraw Południowych i Wielkopolski – Poznania, wspólnie z Biblioteką Jiřego Mahena i Biblioteką Raczyńskich.

W przygotowaniu imprezy wzięła udział Katedra Polonistyki brneńskiego Uniwersytetu Masaryka i Klub Polski „Polonus”. – To na pewno ciekawa i bardzo sympatyczna inicjatywa przede wszystkim Biblioteki Jiřego Mahena, z którą brneńska polonistyka od lat współpracuje – powiedziała Renata Putzlacher, członkini „Polonusa” i wykładowczyni brneńskiej polonistyki. – W tym roku zaś wspólnie z kierownictwem biblioteki postanowiliśmy obrać za patronkę Dni Kultury Polskiej Elżbietę Ryksę, znaną w Republice Czeskiej pod imieniem Elišky Rejčeki. Przede wszystkim dlatego, że ta czeska i polska królowa, córka polskiego króla Przemysła II, urodziła się w Poznaniu, a zmarła właśnie w Brnie. Te partnerskie miasta łączy więc nie tylko blisko 50-letnia współpraca, ale też osoba królowej Ryksy, żony dwóch czeskich królów: Waclawa II i Rudolfa Habsburga – uściśliła poetka.

Patronce Dni Kultury Polskiej i epoce, w której żyła, poświęcone były liczne wykłady i przedstawienia teatralne. Ciekawą była także wystawa pn. „Czeska i polska królowa”, którą w brneńskiej bibliotece przygotowała poznańska Biblioteka Raczyńskich. Dniom Kultury Polskiej towarzyszył ponadto mini-festiwal polskich filmów.

Jednym zdaniem

■ Święta Wielkanocne od lat kojarzą się na Zaolziu z przedstawieniami teatralnymi PZKO-wskich amatorskich teatrzyków. W sobotę w Lomnej Dolnej można było obejrzeć sztukę Ireny i Jana Czudków „Przeróbka, czyli tam dómy szifoner”. Natomiast w Milikowie-Centrum tamtejszy zespół zagrał w niedzielę przedstawienie „Wachtorz, czyli dobrze jest na świecie” tychże autorów.

■ Ewa Farna dała w sobotę 11 kwietnia akustyczny koncert w trzynieckiej „Trisii”. Dla Zaolziaków zaśpiewała również akustyczne wersje kilku swoich polskich przebojów.

■ 13 kwietnia 1945 roku, pod murem cmentarza żydowskiego w Jablonkowice zostało straconych przez gestapo 12 mieszkańców Istebnej i Jaworzynki. Aby zachować to wydarzenie w pamięci kolejnych pokoleń, dokładnie w 70 lat od tamtych tragicznych wydarzeń w miejscu egzekucji została odsłonięta tablica pamiątkowa.

■ Stowarzyszenie Przyjaciół Polskiej Książki zaprosiło na Zaolzie – w ramach projektu „Ja czytam tobie a ty mnie” – pisarkę Ewę Chotomską. Spotkania autorskie ze słynną Ciotką Klotką z telewizyjnego programu „Tik-Tak” odbyły się w Karwinie i Czeskim Cieszynie.

■ 20 mniej lub bardziej znanych Zaolziaków wystąpiło w filmie „Pocztówka z Zaolzia”, którego premiera odbyła się 18 kwietnia w czeskokieszyńskim Kinie Central. Od półtora roku film promujący Zaolzie i wyjątkowych ludzi kreśli Izabela Wałaska i operator kamery Luděk Ondruška.

■ Mali recytatorzy z całego Zaolzia stanęli 15 kwietnia na scenie w czeskokieszyńskim Ośrodku Kultury „Strzelnica”. Odbyła się tam 11. Edycja Przeglądu Recytatorskiego Polskich Przeszkół. Imprezie od początku patronuje Zarząd Główny Macierzy Szkolnej w RC, a organizacją zajmuje się przedszkole z Lesznej Dolnej.

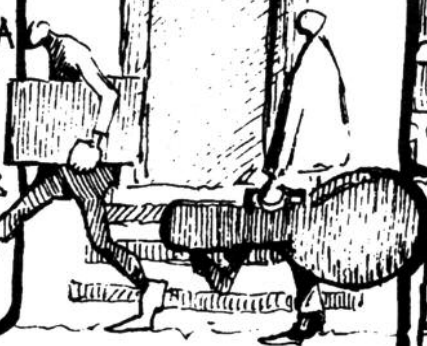
■ Uczniowie polskiej szkoły w Bukowcu wystawili 24 kwietnia przedstawienie „Kopciuszek”. Kopiczka zagrała Ema Tomanek, Macochę Natalia Gazur, Królewiczem był Samuel Zogata, a Wróżką Sylwia Byrtus. Przedstawienie wyreżyserowała Beata Tomanek, muzykę opracował Andrzej Macoszek.

■ Sukcesem dla 26 kandydatów zakończyły się egzaminy wstępne na studia do Polski na zasadach stypendialnych, które odbywały się 23 i 24 kwietnia w Polskim Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Czeskim Cieszynie. Łącznie do walki o indeksy polskich uczelni stanęło 28 osób. Dwom się nie poszczęściło.

WIOSNA NADZIEJE ROSNA

NIKTÓRZY
ARTYŚCI
WYPEŁNILI
WNIOSKI
O STYPENDIA
TWÓRCZE

LOTTO



PRZYJAZNY URZĄD



REDAKTOR



DONOSZE
O WIOSENNYM
OŻYWIENIU
WE WSZYSTKICH
ŚRODOWISKACH TWÓRCZYCH.
WIELU Z TYCH ARTYSTÓW,
KTÓRYM UDAŁO SIĘ PRZEŻYĆ ZIMĘ,
WYRUSZYŁO W PLENER



Przysłowia „ŚLĄSKA”



Jesteśmy mądrzy?

JAROSŁAW STARZYK

— Polacy są mądrzy. Kto to powiedział? – zapytał profesor tym swoim tonem wieloletniego egzaminatora.

– Zaraz – zacząłem się zastanawiać. – „Nowe przysłowie Polak sobie kupi, że i przed szkodą...”

– Nie, nie, nie! Zły trop! Tak mówią wszyscy politycy przed wyborami – wyjaśnił naukowiec. – A ze wszystkich badań wynika, że Polacy politykom nie wierzą i im nie ufają. Jeśli tak, to czy uważamy się za naród niemądry?

– Aleś pan wymyślił! – odezwał się nasz osiedlowy biznesmen. – Takie uczone pułapki to tylko zabawa. Ze szkoły pamiętam... Jak to szło... Acha, że jeden – dajmy na to – starożytny Grek powiedział, że wszyscy starożytni Grecy kłamią. I główkuj tu, czy powiedział prawdę, czy łgał. Ale że jesteśmy nieufni – to fakt.

– Bo wiemy lepiej – włączyłem się do rozmowy. – Mamy Internet. Wybieramy się na przykład do lekarza (a wiadomo, że nie ma im co wierzyć), to wcześniej dowiemy się z Google co nam jest, więc mówimy od razu temu doktorowi, co nam ma na to zapisać. I wtedy on się wścieka...

– Zupęnie jak mój kumpel, co prowadzi warsztat samochodowy – przewrał mi nasz przedstawiciel klasy średniej. – Do niego też podejźda klient, który zajrzał do komputera, więc mówi staremu warsztatowcowi, co się dzieje z autem, jaką część trzeba wymienić i co jeszcze zrobić. Wtedy mój kolega mu radzi: „to se pan kup i zrób”. Bo tak już jest, że my uważamy wszystkich fachowców za oszustów, którzy tylko czekają, żeby nas naciągnąć dlatego, że się nie znamy na medycynie, samochodach, czy „komórkach”.

– Znamy się na swojej robocie, ale też nie do końca wierzymy kolegom – rozwijał wątek nasz osiedlowy uczonec. – A nuż ktoś nam ukradnie pomysł albo się dowie do jakiej organizacji zwróciliśmy się o grant i będzie nam robił konkurencję. Radio nadaje reklamę takiego szpiegowskiego sklepu, w którym można nabyć mikroskopijne kamerki, urządzenia podsłuchowe i różne takie gadzety jak z filmów o Bondzie. I reklamodawca namawia nas do kupowania tych zabawek i wykorzystywania ich w pracy oraz w domu (sic!), bo warto wiedzieć (sic! sic!). Nie szpiegujemy, tylko pozyskujemy wiedzę!

– To wszystko brzmi przekonująco – przyznałem – ale skoro jesteśmy tacy ostrożni, nieufni, podejrzliwi dlaczego tak łatwo dajemy się nabrać? Dlaczego pieniądze niesiemy do rozmaitych para-banków? Skąd wiara w najgłupsze reklamy suplementów diety? Dlaczego wierzymy, że są firmy, które marzą tylko o tym, żeby nam dać najnowszy model smartfona albo tablet za jedną złotówkę? Panie wbiegają do sklepów, które mają na wystawie napis „sale” i wyliczankę: 30%, 50%, 70%, nie wiedząc nawet ile wynosiło 100% na początku. To dowód, że jesteśmy raczej dziecinnie ufni, żeby nie powiedzieć – idiotycznie naiwni.

Doszliśmy do naszej ulubionej kawiarni, w której od czasem grywamy w tysiąca. Niewymyślna rozrywka, ale może być zabawna. Poza tym lubię obserwować moich przyjaciół. Profesor, który po pięć razy sprawdza każdy cytat i powołuje się wyłącznie na suche fakty, podczas gry okazuje się marzycielem i fantastą. „Myślałem – wzdycha – że coś mi dojdzie...” Biznesmen, niezależnie od karty, zawsze płacze i narzeka, jakby rozmawiał nie z nami a z fiskusem. A jaki jest mój styl? Nie wiem. Starożytni Rzymianie twierdzili, że najtrudniej poznać samego siebie. Mógłbym zapytać moich partnerów, ale po co mi ta wiedza? Mogłaby zabołec.

Redakcja miesięcznika „Śląsk” wkraczając w 20. rok istnienia, pragnie z tej okazji sprezentować Czytelnikom publikowaną co miesiąc „Kolekcję jubileuszową”. Składają się na nią grafiki i malarstwo wielu znakomitych artystów z regionu śląskiego.



Foto. z arch. artysty

Ferdynand Szypuła

Urodzony 19 stycznia 1931 r. w Rybniku. Studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Wydział Grafiki w Katowicach. Dyplom w 1957 roku w Pracowni Grafiki Warsztatowej prof. Aleksandra Raka i w Pracowni Grafiki Użytkowej doc. Bogusława Góreckiego. W latach 1958-1968 pracował w Telewizji Katowice jako operator kamery. W okresie 1960-1979 stale współpracuje z telewizją realizując około stu scenografii m.in. do Teatru Telewizji, Melodie Wielkiego Ekranu i cyklicznych audycji „Żywoty instrumentów” nagrodzonych Grand Prix na Festiwalu Interwizji w Pradze. Od 1972 r. stale współpracuje jako projektant ekspozycji w BWA w Katowicach. Członek ZPAP. Od 1972 r. związany z Komitetem Organizacyjnym Międzynarodowego Biennale Grafiki w Krakowie oraz Intergrafii w Katowicach. Dwukrotny stypendysta Aldgrever Gesellschaft w Münster. Uprawia grafikę warsztatową (akwaforta, akwatinta, linoryt, serigrafia, monotypia, grafika cyfrowa, plakat).

Laureat najwyższych nagród wielu zagranicznych wystaw i konkursów graficznych (m.in. Paryż, Kanada, Wlk. Brytania) i krajowych (m.in. Triennale Grafiki Polskiej, Międzynarodowe Triennale Grafiki). Autor kilkunastu wystaw indywidualnych oraz uczestnik kilkudziesięciu wystaw zbiorowych w kraju i za granicą. W 2007 r. uhonorowany medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis.



Ferdynand Szypuła, *Tarpary*, 1969, akwaforta, akwatinta, 50x65

DNI MYSŁOWIC

19 CZERWCA | SŁUPNA PARK

17.00 | **EVOS** | INNI

19.30 | **MROZU**

21.00 | **EWA FARNA**

22.30 | **PO MYSŁOWI**

IMPREZĘ
POPROWADZI
JANKES

